

MARCIN A. GUZEK



MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54

SZARE PŁASZCZE

ebookpoint.pl Kopia dla:

waramyr



Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Epilog](#)

Marcin A. Guzek

SZARE PŁASZCZE:
KOMANDORIA 54



Szare Płaszczce: Komandoria 54

Copyright © Marcin A. Guzek Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak Copyright © for the cover art by Jacek
Łukawski Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-095-9
epub ISBN 978-83-7995-096-6
mobi ISBN 978-83-7995-097-3

Redakcja: Emil Strzeszewski
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Projekt okładki Jacek Łukawski
Skład okładki Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie,
ani odczytywana środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

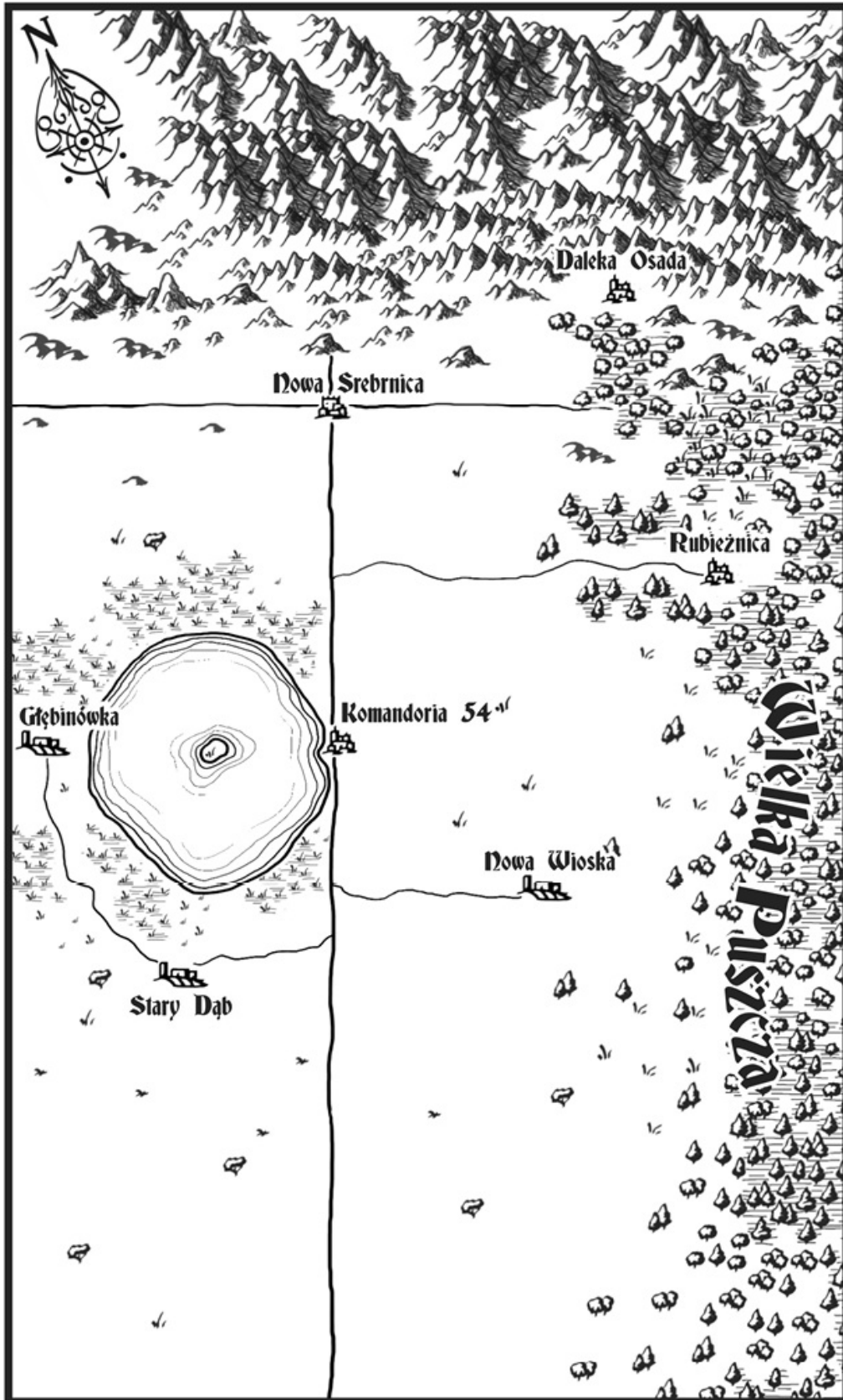
MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl, www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

*Smoczycy, Michałom, Jerzemu,
rodzicom i wszystkim innym,
którzy mnie wspierali.*



Rozdział I

Obleśni – to było pierwsze słowo, które przychodziło Valerianowi do głowy, kiedy próbował opisać towarzyszy. Brudni, śmierdzący, ubrani w nigdy nieprane szmaty. Siedzieli przy ognisku, gotując w starym kociołku coś, co cuchnęło jeszcze gorzej niż oni. Starał się więc trzymać jak najdalej. Niemal bał się, że ten odór mógłby przejść na niego.

Więc tak to ma wyglądać? – spytał w duchu sam siebie. Po wszystkim, co zrobiłem, co poświęciłem i co wycierpiałem? Jak do tego doszło?

Rozejrzał się dookoła, ale pradawna puszcza, w której przebywali, nie przynosiła żadnych odpowiedzi. Wszechobecną ciszę zakłócało tylko nienaturalnie brzmiące bulgotanie, dochodzące ze starego, wyszczerbionego kociołka.

– Będziesz jadł? – spytał zachrypniętym głosem Bliższy.

– Chyba sobie daruję – odpowiedział Valerian, nawet nie zerkając na pokrytą czyrakami twarz banity.

Wstał i odszedł kilka kroków w głąb lasu, próbując uciec od smrodu. Po tygodniach wędrówki jego drogie ubranie było całkowicie zniszczone. Guziki podpadały z eleganckiego dubletu, nogawice rozdarły się na kolanach, a całość już dawno zmieniła kolor na błotny. Żywił jednak nadzieję, że wciąż wygląda lepiej niż te zwierzęta przy ognisku.

Bliższy i Dalszy – tak nazywał swoich towarzyszy, zależnie od tego, gdzie akurat stali. Prawdziwe imiona nie interesowały go i nawet nie próbował ich spamiętać. I tak nie miał z nimi o czym rozmawiać. Jeszcze do niedawna był lekarzem z Wolnych Miast. Do czasu aż zabobonni głupcy przyszli po niego w środku nocy i zabrali wszystko, co miał. Nie potrafili docenić znaczenia jego pracy.

Był gotów umrzeć, spoglądając swoim oprawcom w oczy. Jak męczennik zginąć za sprawę, której poświęcił już tak wiele. Ale nie mógł. Jego praca nie była jeszcze ukończona, a nikt inny nie podołałby zadaniu. Nikt inny nie miał wiedzy i determinacji, potrzebnych, by zakończyć to dzieło. Więc uciekł, unikając

prześladowców.

A teraz wylądował tutaj, na środku pustkowia, z bandą degeneratów.

– Znów śniesz na jawie? – rozbrzmiał nad nim donośny, głęboki głos Olbrzyma.

Valerian nigdy nie mógł zrozumieć, jakim cudem ktoś tych rozmiarów mógł poruszać się tak cicho.

– Czy już czas? – spytał, odsuwając się o kilka kroków od przybysza.

– Tak. Tej nocy ruszycie. – Wielkolud usiadł na pniu, a jego oczy znalazły się na równi z oczami stojącego człowieka. – Jesteś gotów?

– Oczywiście, że jestem. W tej cholernej puszczy nie ma do roboty nic poza byciem gotowym.

Nie podobało mu się, że kolos na niego patrzy. Całkowicie czarne oczy tej istoty miały w sobie coś przeraźliwie przenikliwego. Jakiś magnetyzm. Nie sposób było przestać w nie patrzeć.

– Dobrze... Będę potrzebował trzech z jednej krwi. Jedną młodą.

– Jak młodą? – spytał Valerian, z pewnym zaniepokojeniem.

Olbrzym podrapał się po łysej głowie. Całe jego ciało, okryte jedynie przepaską biodrową, wydawało się pozbawione wszelkiego owłosienia.

– Nie więcej niż osiem wiosen. Ale nie martw się, jestem pewien, że obstawa świetnie sobie poradzi z tym zadaniem – stwierdził, zerkając w kierunku banitów przy ognisku. – Dzieci to wręcz ich specjalność.

Twarz Valeriana wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia.

– Ciekawe – zauważył jego rozmówca. – Powiedz mi, przyjacielu, bo wolę to wiedzieć na przyszłość. Gdzie dokładnie przebiega granica wiekowa, poniżej której porywanie, torturowanie i mordowanie wydaje ci się czymś obrzydliwym?

– Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla sprawy! Nie czerpałem z tego przyjemności. To była tragiczna konieczność.

– Zabawne. Tamci dwaj – wielkolud wskazał Bliższego i Dalszego – wszystko, co zrobili, zrobili dla siebie. I czerpali z

tego olbrzymią przyjemność. I oto jesteście dokładnie w tym samym punkcie.

Gigant wstał i powoli ruszył przed siebie.

– Uważajcie na Szaraków. Z tego, co słyszałem, Zakon ściąga w najbliższym czasie nowych rekrutów w tę okolicę.

Pięści Valeriana zacisnęły się na samą myśl o oprawcach z Szarej Straży.

– I jeszcze jedno. Upewnij się, że dziecko, które przyprowadzicie, jest nietknięte. – Olbrzym wymownie spojrzął w kierunku zbirów przy ognisku.

Obrzydzenie malujące się na twarzy Valeriana musiało go wielce rozbawić, gdyż odszedł, uśmiechając się, jak gdyby właśnie usłyszał wyśmienity dowcip.

*

Duncan ukląkł na trawie i przez chwilę uważnie przyglądał się śladom.

– Wilk – orzekł wreszcie.

– Szokujące – skomentował Edwin z wysokości swojego konia.

– Wilk. Kto by się spodziewał. Ostatecznie nie jesteśmy w środku puszczy czy czegoś takiego.

Rozłożył ręce, wskazując otaczające ich ze wszystkich stron nieskończone zastępy drzew.

– Nie widzisz w tych śladach niczego dziwnego? – spytał tropiący, spoglądając na swojego towarzysza.

Jeździec przybrał zamyśloną minę, którą zwykł robić, gdy udawał zastanowienie.

– Tamten ślad jest faktycznie dziwny – odparł.

– To zwykła kałuża – skwitował Duncan.

– Albo tylko chce, żebyśmy tak myśleli – zaznaczył konny, podnosząc do twarzy palec wskazujący prawej ręki. – Daj spokój, nigdy nawet nie widziałem żywego wilka. O co ci chodzi?

– Był sam – stwierdził łowca.

– A to ważne, ponieważ?

– Wilki to zwierzęta stadne. Jak Szarzy Strażnicy. Zwykle trzymają się razem.

Myśliwy wstał i otarł czoło ręką. Mimo letnich upałów miał na sobie kolczugę, na którą założył tunikę z herbem Zakonu Szarej Straży.

– A czy to mały wilk? – spytał jego towarzysz.

– Raczej dosyć duży.

– Szkoda. Jakby był mały, moglibyśmy go złapać i wytresować. To byłoby coś, mieć własnego wilka. Może nawet byłby szary. W balladach, które śpiewałem w Wolnych Miastach, Szarzy Strażnicy często mieli ze sobą szare wilki.

– I naprawdę wierzyłeś w te ballady?

– Oczywiście, że nie. Część z nich sam wymyśliłem – westchnął śpiewak. – Gdybyśmy wpadli do jednej z okolicznych wiosek z małym szarym wilczkiem, nie potrzebowalibyśmy nawet szarych płaszczy. Wszystkie kobiety i tak by się na nas rzuciły.

Słońce powoli obniżało się w swojej wędrówce po nieboskłonie, temperatura nadal jednak była nieznośna. Duncan w swoim pancerzu wyglądał, jakby zaraz miał się ugotować.

– Wiesz, że moglibyśmy jechać nago, a i tak wszyscy tutaj wiedzieliby, że należymy do Szarej Straży – stwierdził bard, sam ubrany jedynie w lekki kaftan.

– Miejscowi muszą czuć przed nami respekt. Człowiek w zbroi wzbudza większy respekt niż człowiek w podartej koszuli.

– Po raz nie wiem który powtarzam, ona nie jest podarta! To ma tak wyglądać. W ogóle nie znasz się na modzie Wolnych Miast. I uwierz mi, że nieprzytomny człowiek w kolczudze nie wzbudzi większego respektu.

– Jestem daleki od utraty przytomności – zapewnił młodzieniec stanowczo, po czym uciszył towarzysza ruchem ręki. Nasłuchiwał.

Las wydawał się spokojny jak zawsze. Potężne drzewa nachylały się nad starym, szerokim traktem imperialnym, jakby gotowe w każdej chwili na niego wkroczyć. Minęło ponad sto lat od czasu, kiedy ostatnio ktoś naprawiał tę drogę. Przyroda coraz wyraźniej pochłaniała szlak, tak jak pochłonęła już większość innych śladów minionej cywilizacji.

– Wóz – stwierdził wreszcie Duncan.

I po chwili, na potwierdzenie jego słów, ich oczom ukazał się

nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd.

– O tej porze, zgaduję, to będzie Stary Nolan – ocenił Edwin.

Kiedy powóz się zbliżył, zobaczyli, że obok starego, pomarszczonego woźnicy siedziała jedna z jego licznych rudych i piegowatych wnuczek. Duncan nie miał pojęcia, która, gdyż nie rozróżniał dziewcząt. Poza tą dwójką, z tyłu wozu, na skrzyniach, siedziała jeszcze przygarnięta przez mężczyznę dziewczyna o imieniu Amelia.

– Witamy pana gospodarza! – zakrzyknęli jeźdźcy.

– Na patrolu, widzę – odparł starzec.

– Służba nie drużba – powiedział Edwin tonem kogoś ciężko pracującego.

– A my z Nowej Wioski wracamy. Zapasy żeśmy uzupełniali.

– Nie ma z wami Magnusa? – spytała siedząca obok Nolana wnuczka, chyba środkowa, Tatria.

– Nie – pośpieszył z wyjaśnieniem Edwin, szczerząc się do dziewczyny. – Nasz wielki przyjaciel pozostał pilnować Komandorii. Spodziewamy się dziś przybycia nowych rekrutów.

– Miejscowe dziewczki się ucieszą – powiedział z przekonaniem Nolan. – Niech tylko trzymają się z dala od moich dziewczuch, bo jaja pouryvam. A ty też się tak do niej nie szczerz, wyjcu. Moje wnuczki są dla lepszych od ciebie.

– Wypraszam sobie, Szary Strażnik to na pewno najlepsza partia w okolicy.

– Ano, Szary Strażnik, a nie jakiś rekrut z daleka. Płaszcz najpierw zdobądź, to może wnuczki na ciebie spojrzą.

– To może chociaż panienska Amelia się zlituje i obdarzy biednego śpiewaka uśmiechem?

– Panienska Amelia ma lepszy gust do mężczyzn – odpowiedziała dziewczyna, taksując go spojrzeniem.

– Z pewnością ostrzeżemy nowych rekrutów, by trzymali ręce przy sobie – zapewnił Duncan, przerywając rozmowę. – A teraz powinniśmy ruszać. Nasza zmiana się jeszcze nie skończyła.

Skinęli głowami i ruszyli naprzód. Nolan pogonił dwie stare kobyły, które ciągnęły jego powóz.

– Myślisz, że ktoś powinien powiedzieć starcowi, że większość chłopów w sąsiedztwie nie trzyma swoich rąk z dala od jego

wnuczek? – spytał bard.

– Tylko jeśli chcesz mieć go na sumieniu. Jego albo połowę mężów w tej okolicy...

Ruszyli dalej w swoją stronę. Trubadur nie mógł jednak powstrzymać się przed kolejnym komentarzem.

– To niepojęte. Oto jesteśmy inteligentni, obyci, wykształceni, kulturalni. Dwa wspaniałe przykłady przyszłych Szarych Strażników, a tymczasem wszystkie dziewczki w okolicy oglądają się tylko za tym tępym wielkoludem Magnusem. Nolanówny prawie wyskakują z ubrań na sam jego widok. Ja rozumiem, że jego gabaryty i pewien ruralistyczny wdzięk mogą lepiej przemawiać do prostych niewiast zamieszkujących te, bądź co bądź, wiejskie okolice. Jednak nadal jest to zaskakujące.

– Może to dlatego, że używasz słów w stylu „ruralizm” – zauważył Duncan.

Było już późno. Mieli właśnie kończyć patrol i wracać do komandorii, gdy w oddali pojawiła się trójka jeźdźców.

– Wygląda na to, że przybyli nowi rekruci – stwierdził Duncan.

*

Nowoprzybyli stanowili dziwaczną zbieraninę, nawet jak na rekrutów Zakonu. Arystokrata, mnich i wyjątkowo osobliwa kobieta. Wszyscy troje byli mniej więcej w wieku Duncana i pochodzili z południa, z Terytoriów Centralnych, gdzie mieściło się serce Imperium. Pierwszym jeźdźcą był Nathaniel, trzeci syn księcia Terylu, o czym nie omieszkał poinformować już przy pierwszej okazji, szczerząc przy tym swoje doskonale białe zęby.

Na drugim koniu siedział Lucius, niezbyt postawny chłopak, z ogoloną na czubku głową. Jego ubranie stanowił podniszczony mnisi habit, na który niechlujnie naszyto herb z wizerunkiem Szarej Wieży.

Ostatnia jechała młoda kobieta o imieniu Cassandra. Była drobną niewiastą w całkowicie niedopasowanym męskim ubraniu.

– Czy ta komandoria ma już dowódcę rekrutów? – spytał Nathaniel, kiedy skończyli się przedstawiać i ruszyli w dalszą

drogę.

– Tak się składa – odpowiedział Duncan – że ja pełnię tę funkcję.

Przybysz po raz pierwszy naprawdę zatrzymał na nim wzrok.

– I jestem pewien, że świetnie sobie radzisz. – Ku zaskoczeniu wszystkich zabrzmiało to naprawdę szczerze. – Rozumiem, że masz jakieś doświadczenie na froncie dowodzenia?

– Nie – przyznał niechętnie zapytany. – Ale mój ojciec był Szarym Strażnikiem, więc można powiedzieć, że całe życie spędziłem w Zakonie.

– Świetnie, będę potrzebował kogoś takiego w roli zastępcy.

Zszokowany Duncan bezskutecznie próbował znaleźć odpowiednią odpowiedź. Na szczęście Edwin postanowił przerwać rozmowę, zmieniając temat.

– Więc zgaduję, Luciusie, że jesteś mnichem?

– Tak... to znaczy nie. W sensie... – mężczyzna wydawał się wręcz przerażony faktem, że ktoś zwrócił na niego uwagę – ... wychowałem się w klasztorze, ale nigdy nie przyjąłem święceń. Opat stwierdził, że muszę najpierw zobaczyć świat poza wyspą.

– Wyspą?

– Tak. Nasz klasztor jest położony na małej wysepce. Mieszkają tam tylko braciszkanie i...

– Chwila. Jak to... tam się wychowałeś?

– Moi rodzice zginęli, kiedy byłem dzieckiem. Katastrofa okrętu. Fale wyrzuciły mnie na brzeg i zakonnicy postanowili się mną zaopiekować.

– Więc nigdy nie widziałeś żadnego kawałka świata poza klasztorem?

– Nie. Nigdy. Ale dużo czytałem! – dodał pośpiesznie Lucius.

– Ten przydział zaczyna się robić coraz ciekawszy – stwierdził pieśniarz, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Ciekawe, kogo przyślą nam z transportem z zachodu?

– Z zachodu? – spytał Nathaniel.

– Tak. Ma przybyć dzisiaj – wyjaśnił Duncan. – Trochę zapasów wraz z trójką rekrutów. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się was przez następne dwa lub trzy dni.

– No cóż, postanowiłem nadać odpowiednie tempo – odparł

arystokrata. – Nie mogłem się doczekać tej nowej komandorii.

– Jestem pewny, że człowiek z twoim pochodzeniem będzie nią po prostu zachwycony. – Jakimś sposobem w głosie barda nie zabrzmiał nawet cień kpiny.

*

Podróż zajęła im jeszcze ponad godzinę. Dla Duncana była to wyjątkowo nieprzyjemna wycieczka, choć Edwin wydawał się szczerze rozbawiony sytuacją.

Wczesnym wieczorem ich oczom ukazała się Komandoria 54. Drewniana palisada otaczała pierwotną strażnicę legionu, okupującą niewielki obszar między linią traktu a brzegiem Głębokiego Jeziora. Wewnątrz ogrodzenia znajdowała się przede wszystkim stara, pokryta mchem kamienna wieża. Do niej przylegał podłużny, częściowo wkopany w ziemię drewniany barak. Centralny punkt dziedzińca stanowiła stara kamienna studnia. Były tu jeszcze dość duże stajnie i niewielka przystań, obok której na brzeg wyciągnięto małą łódkę. Na powitanie wyszedł Magnus, wielki, ruralistyczny osiłek, jak zwykł określać go Edwin.

Nathaniel ocenił całe miejsce bardzo krytycznym spojrzeniem.

– Gdzie są kwatery dla wysoko urodzonych rekrutów? – zapytał.

– Wszyscy rekruci śpią razem w baraku – wskazał Duncan. – W wieży jest jeden pokój, ale należy on do Olafa, naszego Szarego Płaszczka.

Nathaniel wyraźnie nie wydawał się z tego zadowolony.

– Ty! – zawołał do Magnusa. – Zajmij się naszymi końmi. Lucius, weźmiesz mój bagaż.

Ku irytacji Duncana obaj posłusznie przystąpili do wykonania zleconych im zadań.

Dowódca rekrutów zeskoczył z konia i rzucił lejce Magnusowi, trochę zły na siebie, że to robi, po czym ruszył za arystokratą w kierunku baraku. W podłużnym pomieszczeniu pod ścianami stało w równych odstępach dziesięć drewnianych łóżek. Szlachcic z rosnącą dezaprobatą potupał w klepisko podłogi.

– Połóżcie moje rzeczy tutaj – nakazał, siadając na jednym z łóżek.

– Tu śpi Magnus – zaprotestował Duncan.

Zdawało się, że Nathaniel dopiero teraz zauważył wielkoluda.

– Wezmę twoje łóżko, możesz sobie wybrać inne – zwrócił się do postawnego rekruta. – Luciusie, ty zajmij łóżko obok, żebym miał cię pod ręką.

– Tu śpi Magnus – powtórzył twardo dowódca rekrutów.

– Wybacz. Może nie dosłyszałeś za pierwszym razem. Jestem księciem.

– Byłeś księciem. Po miedzianym pierścieniu zdobiącym twój palec wnioskuje, że jesteś raczej rekrutem Szarej Straży, tak samo jak Magnus.

– Urocze. – Nathaniel roześmiał się. – Równość, braterstwo i wspólna walka z magami i siłami ciemności. Jak w balladach, prawda? Naprawdę zaczynam cię lubić, Duwanie.

– Duncanie.

– Nie będę się sprzeczał. A teraz, wracając do mojego łóżka...

– Jego łóżka.

– Chyba jednak nie zacznę cię lubić.

– Przeżyję, a teraz...

– Nie szkodzi – przerwał Magnus, stawiając skrzynkę we wskazanym miejscu. – Pan może zająć to łóżko.

Duncan, nie mając już właściwie nic do dodania, po prostu odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Przez chwilę przeklinał pod nosem, po czym rozejrzał się po dziedzińcu. Dostrzegł Edwina, siedzącego na pieńku obok wejścia do starej wieży.

– Ten książęcy bufon traktuje ich jak swoją własność – poskarżył się, podchodząc bliżej.

– Szokujące. Kto by się tego spodziewał po kimś takim?

– A oni zdają się nie mieć nic przeciwko. – Duncan całkowicie zignorował drwinę. – Zachowują się jak jego służący.

– Ty zachowujesz się jak służący Olafa.

– To co innego, Olaf jest Szarym Płaszczem i naszym przełożonym. Nie jakimś nadętym arystokratą.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – przerwał mu Edwin.

– Wychowałeś się w Szarej Straży.

– Co to...

– To, że może i zobaczyłeś kawał świata, ale nigdy faktycznie w nim nie żyłeś.

Kilka metrów dalej, na środku dziedzińca, stała Cassandra. Dziewczyna nachylała się nad starą, kamienną studnię i z wyraźnym zainteresowaniem wpatrywała w ciemną otchłań poniżej.

– Popatrz – dodał bard. – Odkąd przyjechaliśmy, zsiadła z konia, podeszła do studni i od tamtej pory się nie ruszyła. Myślisz, że chce skoczyć?

– Myślę, że ktoś z nas powinien ją o to zapytać.

– A ja myślę, że to doskonałe zadanie dla dowódcy rekrutów – stwierdził z przekonaniem Edwin.

– Ta studnia i tak jest zabezpieczona kratą. – Dowódca rekrutów spróbował uniku, ale odpowiedzialna część jego natury ostatecznie wzięła górę.

Wzruszył ramionami i podszedł do dziewczyny.

– Masz na imię Cassandra, tak?

Dziewczyna nie zareagowała, więc Duncan postanowił zwrócić na siebie uwagę, kładąc rękę na jej ramieniu. Tym razem reakcja była błyskawiczna. W ułamku sekundy Cassandra znalazła się dwa kroki dalej, ściskając sztylet i wbijając w niego spojrzenie drapieżnika gotowego do ataku.

– Spokojnie – powiedział mężczyzna, podnosząc ręce wyżej, by pokazać, że jest nieuzbrojony. – Nie zrobię ci krzywdy. Chciałem tylko porozmawiać.

– Nie lubię... – Cassandra zrobiła krok do tyłu, obchodząc studnię – ...nie lubię, kiedy inni... Kiedy się mnie dotyka.

Dopiero kiedy znalazła się po przeciwnej stronie studni, ostrze zniknęło z jej ręki równie szybko, jak się pojawiło. Wzrok znów wbiła w głęboką ciemność.

– To stara studnia. – Jakoś nic lepszego nie przyszło mężczyźnie do głowy. – Pewnie równie stara jak wieża.

– Starsza – stwierdziła stanowczo Cassandra, nie podnosząc wzroku.

Duncan nie miał pojęcia, co jeszcze może powiedzieć. W tej dziewczynie było coś niepokojącego. Z tym większą ulgą powitał

widok wjeżdżających przez bramę jeźdźców.

Na pierwszym koniu jechał Olaf, wysoki, chudy, wręcz kościsty Szary Strażnik. Jego ubiór był stary, zniszczony i wielokrotnie połatany. Pod tym względem doskonale współgrał z poznaczoną licznymi bliznami twarzą. W całej postaci Olafa było coś, co przywodziło na myśl wieżę, w której mieszkał. Pradawną, wyniszczoną, lecz nadal funkcjonalną ruinę.

Za Olafem podążali kolejni nowi rekruci: dwoje konno i jeden na wyładowanym po brzegi wozie. Na pierwszym koniu jechał Nord. Potężnie zbudowany mężczyzna był typowym przedstawicielem wojowników znad Północnego Morza. Miał długie włosy koloru słomy. Takie same porastały jego twarz, potężną brodą opadając na klatkę piersiową w dwóch warkoczach. Ubrany był tylko w spodnie, eksponując pokryty tatuażami tors. Do siodła przytroczone miał cztery topory różnych rozmiarów i kształtów.

Następny był wóz z zapasami. Kierowała nim atletycznie zbudowana blondynka, ubrana w białą, dosyć obcisłą koszulinę, która ledwo była w stanie pomieścić widowiskowych rozmiarów biust. Trochę odwracało to uwagę od faktu, że kobieta była uzbrojona w miecz i dwa sztylety.

Ostatnim jeźdźcem również była dziewczyna. I to wyjątkowo piękna dziewczyna. Długowłosa brunetka o zielonych oczach, ubrana po męsku, lecz elegancko, w stylu typowym dla Wolnych Miast. Było w niej coś wyniosłego, ale delikatnego zarazem.

– Duncan, do mnie. – Z zamyślenia wyrwał go głos dowódcy. – Mamy nowych rekrutów, spotkałem ich w Nowej Srebrnicy. A ci to kto? – Wskazał na mężczyzn wychodzących właśnie z baraku.

– Nowi rekruci. Przyjechali dzisiaj z południa.

– Wcześniej.

– Mieliśmy dobre tempo – wtrącił szlachcic, podchodząc. – Może się przedstawię...

– Nie trzeba. – Szary Strażnik zeskoczył z konia. – Zbierzcie się za chwilę obok studni, zrobimy wam małą odprawę. – Ruszył szybkim krokiem w kierunku wieży.

Młodzian zasalutował plecami swojego przełożonego, po czym spróbował pomóc pięknej brunetce zsiąść z konia. Nie był

niestety jedynym, któremu przyszło to do głowy.

– Pani pozwoli, że pomogę. – Padły słowa, podkreślone doskonałym, książęcym uśmiechem.

– Dziękuję. – Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, przyjmując pomoc.

– Pani pozwoli, że się przedstawię, Nathaniel Everson z Terylu.

– Skłonił się, całując jej dłoń.

– Czy Eversonowie nie są rodziną panującą w Terylu?

– Istotnie. Zdaje się, że chyba są. – Wahanie w głosie Nathaniela było perfekcyjnie niewymuszone.

– Ej, ty! – Głos blondynki z wozu zabrzmiał jak na musztrze. – Rusz tyłek i pomóż mi to rozładować!

– Oczywiście – stwierdził Duncan, ruszając w jej stronę i próbując ignorować wyraz rozbawienia na twarzy obserwującego ich z boku Edwina.

*

– Witajcie, bando gówniarzy – przywitał się Olaf kilka chwil później, z dezaprobatą patrząc na grupę zebraną na dziedzińcu. – To urocze miejsce, w którym się znajdujecie, to Komandoria 54 Zakonu Szarej Staży. Znana również jako Kurwidolek. Jesteśmy tu, bo zanim wszystko poszło w cholerę, tutejsze wzgórza słynęły z bogatych złóż. Gdyby udało się wznowić wydobywanie w tutejszych kopalniach, być może te tereny wróciłyby na łono cywilizacji, a wtedy my, Szara Straż, moglibyśmy stwierdzić, że to nasza zasługa, co da nam strategiczną przewagę i pozwoli pokierować losami tych terenów. Niestety, nawet jeśli się uda, efekty i tak nie będą widoczne wcześniej niż za kilka lat. Dlatego też Rada Zakonu uznała, że zamiast przysyłać tu pełną obsadę Szarych Płaszczy, wystarczy umieścić na tym zadupiu bandę rekrutów i jednego weterana w charakterze dowódcy. Znaczący mnie. – Wskazał palcem na swoje gęste, czarne wąsiska. Wiatr zawiał ciut mocniej, lekko poruszając zniszczonym płaszczem Olafa, jakby dla podkreślenia jego słów.

– Przez najbliższe miesiące zajmiemy się głównie nawiązywaniem przyjaznych stosunków z miejscową ludnością,

pomaganiem w rozwiązywaniu jej problemów, patrolowaniem traktów, koordynowaniem prac przy wznowieniu wydobywania w kopalniach i tym podobnymi. Tylko nie myślcie sobie, że to będzie sielanka. Jesteśmy na Rubieży, do najbliższej Komandorii Straży jedzie się prawie tydzień. W podobnej odległości znajduje się najbliższa siła zbrojna, którą moglibyśmy poprosić o pomoc. Co więcej, jeśli przetrwacie następny rok, nadal będziecie musieli starać się sprostać moim wymaganiom. Ci, którym się uda, zasłużą sobie na miejsce pośród Szarych Strażników, reszta albo się złamie i wycofa, albo zginie. I pamiętajcie: tylko czterech na dziesięciu rekrutów faktycznie dostaje płaszcz. Z pozostałych sześciu dwóch zwykle rezygnuje, dwóch po prostu się nie nadaje i dwóch ginie. – Ostatnie słowa wypowiedział, patrząc im prosto w oczy, jakby zastanawiał się, kto z nich pierwszy wyląduje w grobie.

Przez chwilę chodził w tę i z powrotem wzdłuż szeregu, przyglądając się zebranym, wreszcie wznowił przemowę.

– Tych trzech po prawej to Duncan, Magnus i Edwin. Pierwszy pełni funkcję dowódcy rekrutów, choć kto wie, czy nie ma wśród was lepszego kandydata. – Słowa nie były skierowane do nikogo konkretnego, co nie przeszkodziło Nathanielowi błysnąć swoimi doskonale białymi, książęcymi zębami w uśmiechu triumfu. – Pozostali dwaj to Wielkolud i Śmieszek. Przez pierwszych kilka dni będą was niańczyć, bo znają już teren, a ja nie mam na to czasu. Wasze imiona, szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzą, ale muszę wiedzieć, co potraficie, więc zacznijmy od mojej lewej. Tak, to oznacza ciebie, Nordzie.

– Ulgar Wulgarson z...

– Nieważne – przerwał Olaf. – Potrafisz władać tym toporem?

– Zabiłem już pięć osób.

– Świetnie. Przyjmę, że niektóre z nich nawet się broniły. Jesteś spory, to dobrze, ludzie nie będą chcieli z tobą zadzierać. Na razie chyba nazwę cię po prostu Nordem. Następny.

– Jestem Nathaniel Everson, trzeci syn księcia Eversona, władcy Terylu...

– Nie! – Kolejny ostry okrzyk. – Byłeś synem władcy Terylu, teraz jesteś po prostu Nathaniel. Wiem, jak chowają się władcy

Terylu, więc wiem też, czego cię już nauczyli, Książę. Następna.

– Po prostu Clara – powiedziała stojąca obok brunetka, spoglądając na rozmówcę z czysto arystokratyczną godnością.

– Widzisz, Książę, mamy tu kogoś, kto szybko się uczy. Co potrafisz, „po prostu Claro”?

– Jeżdżę konno, potrafię czytać i pisać, miałam też nauczyciela szermierki...

– Starczy, słyszę po akcencie, że to Wolne Miasta Zachodu, wiem, czego się tam uczy młode damy. Młoda Damo. Przejdźmy dalej.

– Matyllda – powiedziała atletyczna blondynka. – Potrafię walczyć. Dobrze.

– I to mi się podoba. Prosto, wymownie. Może nawet zapamiętam twoje imię. Następny.

– L... Lu... Lucius – wykształcił z siebie młodzieniec, wyglądając, jakby miał zamiar stracić przytomność. – Wychowałem się w klasztorze na... Umiem czytać i pisać. I dużo czytałem.

– Przyszły Kruk, co? No cóż, ktoś w tym Zakonie musi umieć myśleć. Nazwiemy cię Mnichem, łatwo będzie poznać po fryzurze. I wreszcie ty.

Dziewczyna na końcu szeregu stała z oczami wbitymi w niebo.

– Hej, dziewczko, słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedziała sennie.

– To może się przedstawić.

– Cassandra.

Olaf zerknął na zgromadzonych, jakby zastanawiając się, czy nie staje się właśnie ofiarą jakiegoś żartu.

– A co potrafisz, Cassandro? – spytał wreszcie.

– Byłam wcześniej sztukmistrzem – stwierdziła powoli dziewczyna.

– Sztukmistrzem? A co potrafiłaś robić jako ten sztukmistrz?

– Rozśmieszałam ludzi. Chodziłam po linie. Żonglowałam. Stałam na głowie na pędzącym koniu. Płułam ogniem. I czasami jeszcze rzucałam nożami z przepaską na oczach. Byłam błaznem.

– Czekaj. – Olaf rozejrzał się po dziedzińcu. – Byłabyś w stanie

trafić tamto jabłko?

Nóż przeleciał obok jego ucha i trafił w owoc. Starzec odwrócił się błyskawicznie, ale Cassandra stała dokładnie w tej samej pozycji, co chwilę wcześniej, nadal patrząc wprost na niego.

– Niezłe oko – stwierdził, zastanawiając się, skąd dziewczyna w ogóle wyciągnęła ostrze. – Potrafisz też strzelać z łuku?

– Nie wiem. Nigdy nie miałam łuku. – Jej wzrok znów wbił się w niebo.

– Taa, ciebie chyba nazwiemy Wariatką.

Dowódca wrócił na środek i jeszcze raz przyjrzał się wszystkim, po czym przystąpił do drugiej części swojej odprawy.

– Jak wspomniałem, przed Upadkiem było to tętniące życiem miejsce, ale Plagę przetrwała tylko jedna mała osada. Jakies pół wieku temu nowi osadnicy zamieszkali w ruinach największego miasta w tej okolicy. Od tamtej pory liczba osiedli na tym terenie wzrosła do sześciu. Na północ od nas, na skrzyżowaniu starych traktów, leży Nowa Srebrnica. To największa miejscina w okolicy. Po drugiej stronie Głębokiego Jeziora, za tamtą wyspą, jest wioska rybacka o nazwie Głębinówka. Na południowym zachodzie mamy Stary Dąb. Tamtejsi ludzie mieszkali tu jeszcze przed Upadkiem, więc chyba można ich uznać za tubylców. Na południowym wschodzie mamy Nową Wioskę, jak nietrudno się domyślić, to najnowsze sioło w tym sąsiedztwie, liczy sobie zaledwie jakieś dwadzieścia lat, choć w większości zamieszkują je osoby, którym zrobiło się za ciasno w Nowej Srebrnicy. Na wschód od nas, tuż przy granicy Wielkiej Puszczy, znajduje się Rubieżnica. To mały przysiółek, zamieszkały głównie przez łowców i drwali. I jest jeszcze jedno miejsce na północy, pośród wzgórz. Miejscowi nazywają je po prostu Daleką Osadą. Tamtejsi nie są zbyt skorzy do bratania się z innymi. Szczerze mówiąc, po miesiącu tutaj nie spotkałem nikogo stamtąd. Poza tym w pobliżu jest sporo samotnych gospodarstw, utrzymywanych przez pojedyncze rodziny... Czasami dosyć liczne. Szczegóły poznacie na swoim pierwszym patrolu, zapewne już jutro. Na dziś wystarczy, zapasy z wozu zanieście do spiżarni pod wieżą, Duncan, wskażesz im, gdzie. Robi się już ciemno, więc będzie też trzeba przyrzędzić kolację.

Tym zajmuje się Wielkolud, chyba że ktoś z was potrafi przygotować coś więcej niż ziemniaki ze słoniną. Resztę wieczoru macie wolną, jutro rano zajmiemy się wdrożeniem was w nowe obowiązki. Rozejść się.

*

– Gdzie jest pomieszczenie dla kobiet? – spytała Clara, przyglądając się wnętrzu baraku.

– Obawiam się, że nie ma – stwierdził przepraszającym tonem Duncan.

– To barak koedukacyjny – powiedział Edwin, siadając na swoim łóżku.

– Co to ma znaczyć?

– Koedukacyjny znaczy... – pośpieszył z wyjaśnieniem Śmieszek.

– Wiem, co to znaczy koedukacyjny – przerwała mu Dama.

Duncan musiał przyznać, że sam jedynie domyśla się znaczenia tego słowa. Zapewne nie on jeden w pomieszczeniu.

– Pytam, co to znaczy, że mamy spać tutaj? Razem z bandą napalonych samców. To całkowicie wykluczone. My, kobiety, się na to nie zgadzamy.

– Mnie tam wszystko jedno – stwierdziła Matylda, siadając na najbliższym z łóżek.

– Jak możesz tak mówić, co jeśli... – dziewczyna zeszła do półszeptu i nachyliła się do swojej rozmówczyni, jakby mówiła coś okropnego – ...co jeśli spróbują robić z nami w nocy coś... niegodnego?

– Niech spróbują. – Blondynka bez najmniejszych śladów skrępowania zdjęła koszulę, wystawiając swój wydatny biust na spojrzenia bandy napalonych samców.

Po chwili nie tyle zagroziła, co po prostu stwierdziła:

– Pierwszy, który czegoś spróbuje, straci fujarę.

– No cóż... – Przez chwilę Clara wydawała się całkowicie zbита z tropu, szybko jednak odzyskała rezon. – Tak czy inaczej, ja i... Cassandra nie będziemy spać w takich warunkach. Prawda?

Potwierdzenie przyszło w formie niezbyt pewnego kiwania

głową.

– No widzisz. – Szlachcianka próbowała wziąć towarzyszkę za rękę, wywołując reakcję w postaci natychmiastowego cofnięcia się.

– Nie lubi, kiedy się jej dotyka – pośpieszył z wyjaśnieniem Duncan.

– Jeśli mogę dorzucić coś od siebie – wtrącił się Nathaniel – myślę, że istnieje proste rozwiązanie tej sytuacji. Takie, które pozwoli naszym damom – mówiąc to, wyraźnie spoglądał na jedną z nich – zachować godność i równocześnie nie wpłynie na funkcjonowanie tej komandorii. Parawan.

– I zapewne masz jakiś parawan wśród swoich licznych bagaży? – Dowódca rekrutów starał się powstrzymać narastającą złość na nowego towarzysza.

– Nie, ale mam namiot. Jeśli odpowiednio obejdziemy się z materiałem, z którego jest zrobiony, otrzymamy dwie sporych rozmiarów płachty. Następnie wystarczy przymocować je gwoździami tam – wskazał jedną z poziomych belek pod sufitem. – Otrzymamy w ten sposób kurtynę z wyjściem pośrodku, która oddzieli ostatnie cztery łóżka od reszty sali. Proste i skuteczne rozwiązanie.

I znów ten cudowny uśmiech triumfu. Duncan z trudem powstrzymywał ochotę wybicia kilku z tych zębów.

– Wyśmienity pomysł, dziękuję, Nathanielu – powiedziała Clara, muskając ustami jego policzek. – Cassandro, chodźmy, zajmiemy nasze łóżka.

Wszystkie trzy kobiety zebrały swoje rzeczy i ruszyły w kierunku pokrytej mchem wieży, której bok stanowił równocześnie tylną ścianę baraku.

Oczywiście sam Książę nie miał zamiaru nic robić, wyciągnął tylko z właściwego kufra swój ciemnozielony namiot i zagonił Luciusa i Magnusa do roboty. Matylda zgłosiła się do gotowania, co okazało się prawdziwą ulgą dla podniebień mieszkańców komandorii. Nawet Olaf wydawał się zadowolony z tej zmiany, choć swoim zwyczajem nic nie powiedział.

Tej nocy we wspólnym baraku było tłoczno. Duncanowi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, pomieszkiwanie w podobnych

miejscach przyzwyczało go do zasypiania w tłumie. Odgłos oddechów innych ludzi ułatwiał mu podążenie do krainy snów, dawał poczucie bezpieczeństwa.

*

Noc nie była bezpieczna. Wręcz przeciwnie, w ciemnościach zawsze czaiła się groźba. Drapieżnik, gotowy dopaść nieuważnych i słabych. Tak właśnie lubił o sobie myśleć Valerian.

Znalezienie odpowiedniej chaty zajęło wieczność. Dom musiał stać na uboczu, z dala od innych, mieścić odpowiednią liczbę kobiet, by starczyło do rytuału, ale niezbyt wielu mężczyzn zdolnych do obrony. I być blisko traktu, by ułatwić ucieczkę. Ostatni wymóg nie był trudny do spełnienia, jako że większość budynków Nowej Srebrnicy stała wzdłuż drogi. Po kilku godzinach obserwacji znaleźli też chałupę na skraju osady, zamieszkałą przez jakiegoś chłopca i jego cztery córki. Teraz tylko musieli poczekać, aż osada pogrąży się we śnie i uważać na patrolujących ją członków wiejskiej milicji. Oczywiście, atak na jakieś odosobnione sioło mógł być łatwiejszy, ale ani Valerian, ani jego towarzysze nie znali okolicy wystarczająco dobrze, by móc na czas odnaleźć odpowiednie gospodarstwo.

Zakradli się po północy. Valerian podążał za nimi, dosyć wystraszony. W tak upalną noc okiennice były otwarte na oścież, znacząco ułatwiając zbirom zadanie. Wślizgnęli się do środka niczym wyjątkowo cuchnące żmije. Sam Valerian pozostał na zewnątrz, dopóki nie otworzyły się drzwi. Następnie wszedł, garbiąc się i próbując zachować ciszę. Jego towarzysze porzucili już podobne środki ostrożności i chichotali, rozpalając palenisko.

– Już spokojnie – powiedział jeden z nich. – Załatwione.

Wnętrze chaty było jedną izbą. W rogu leżało ciało chłopca z poderżniętym gardłem. Obok siedziały cztery wystraszone dziewczyny. Najstarsza miała może szesnaście lat, druga była niewiele młodsza. Pozostałe dwie wydawały się jeszcze dziećmi.

– Zwiążcie je i zbierajmy się – szepnął medyk, nerwowo zerkając za okno.

– Spokojnie – odpowiedział Dalszy.

– Najpierw się trochę zabawmy – Bliższy oblizywał swój nóż z krwi, gapiąc się na więźniarki. Lekarzowi zrobiło się niedobrze.

– Nie ma na to czasu. Musimy się zabierać. Zabawicie się później.

– Później to nie będzie to – zaprotestował bandyta. – Więc jak się dzielimy?

Doktor dopiero po chwili zrozumiał, że to pytanie było skierowane do niego.

– Nie mam zamiaru brać udziału w czymś takim – powiedział z odrazą. – Zwiążcie te dziewczyny i ruszajmy albo...

– Albo co? – Uśmiechnął się szubrawiec. – Pytam, którą bierzemy?

– Młoda miała być nietknięta.

– Jedna będzie. – Dalszy oblizał pokryte czyrakami usta.

Było w tym widoku coś, co sprawiło, że Valerian z trudem powstrzymał odruch wymiotny. Jedna ze starszych dziewczyn próbowała im przeszkodzić, ale silny cios w brzuch rzucił ją z powrotem na ziemię.

– Przestańcie – powiedział głośniej lekarz. – Albo was powstrzymam.

Groźba nie zrobiła wrażenia na towarzyszach, którzy w odpowiedzi popchnęli go na ziemię.

– I lepiej tam zostać – zagroził Bliższy. – To który z nas zaczyna?

Uśmiechnął się do młodszej z dziewczynek, wywołując paniczne spazmy wszystkich sióstr.

Czarodziej podniósł się i wyciągnął zza pasa sztylet.

W odpowiedzi znów obalono go na ziemię. Tym razem jeden z bandytów postawił mu stopę na szyi.

– Długo jeszcze będziesz chojraczył? – Roześmiał się oprych, uwalniając wreszcie krtań mężczyzny od swojego buta. Oswobodzony zwinął się w kłębek i zaczął kasłać. Z jego oczu płynęły łzy.

Obłeśny potwór, zwyrodnialec jakich mało – pomyślał. Nienawiść dodała sił, by znów się podnieść.

– Ty naprawdę jesteś durny – stwierdził parszywiec,

zdenerwowany faktem, że ponownie przerwano mu walkę z rzemieniami utrzymującymi jego nogawice na swoim miejscu. – Tym razem ci chyba coś utnę.

Czarownik próbował powiedzieć coś odpowiedniego do okazji. Gardło jednak odmawiało mu posłuszeństwa. Zamiast tego po prostu uniósł rękę, po czym wbił sztylet w dłoń.

*

Wrzask rozdarł ciszę panującą w pomieszczeniu. Duncan zerwał się momentalnie, odruchowo złapał miecz i ruszył w głąb baraku.

– Czekaj. – Zatrzymał go głos Nathaniela. – Claro, wszystko w porządku?

– Tak. – Dobiegł ich lekko stłumiony głos zza zasłony. – Zdaje się, że Cassandra miała koszmar. Ale chyba nic jej nie jest.

Za zasłoną zapaliła się świeczka. Po stronie mężczyzn z poszczególnych łóżek zaczęły dobiegać pomruki niezadowolenia. Księżę spokojnie podszedł bliżej.

– Claro, czy możemy wejść na drugą stronę?

– Co to, kurwa, za pytanie? – odpowiedział głos Matyldy.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy jesteście odpowiednio odziane.

– Chwilę – odpowiedziała Clara.

Duncan musiał przyznać, że nawet o tym nie pomyślał. Korzystając jednak z okazji, postanowił sam nałożyć na siebie coś poza gaciami.

– Teraz mam się ubierać? Przecież i tak zaraz znów położymy się spać. – Dało się słyszeć narzekanie Matyldy.

Ulgar chrapnął głośno. Reszta mężczyzn po prostu leżała w swoich łóżkach.

– Już. – Padło wreszcie przyzwolenie.

Po drugiej stronie Duncan i Nathaniel zobaczyli dziewczynę stojącą obok Cassandry. Ta siedziała na swoim łóżku, obejmując rękoma kolana i bujając się w przód i w tył. Jej olbrzymia koszula zakrywała całe ciało.

– Nie wiem, co się z nią stało. Próbowałam ją pocieszyć, ale kiedy wyciągnęłam rękę, prawie mnie ugryzła. – Młoda Dama

wydawała się prawdziwie przejęta.

Duncan powoli podszedł, trzymając otwarte ręce podniesione i na widoku.

– Wszystko w porządku?

– Krew, dużo krwi – odpowiedziała Cassandra, nawet nie patrząc na niego.

– Miałaś koszmar. – Spróbował wyjaśnić, siadając na skraju łóżka. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że na stoliku obok leży kilkanaście różnego rodzaju noży.

– To nie był sen, on tam był, zły człowiek ubrany w ciemność, widziałam go wyraźnie, jak ciebie teraz. – Zaczęła mówić bardzo szybko. – Przyszli w nocy i zabili ojca, a potem chcieli zrobić krzywdę córkom, ale on się sprzeciwił.

– Córkom?

– Były cztery i oni chcieli im zrobić coś bardzo złego. – Skuliła się jeszcze mocniej. – A potem zły człowiek zranił się w rękę i jeden z bandytów... To go rozerwało, na kawałeczki. – Jej wzrok skupił się nagle na twarzy Duncana. – Rozsadziło go po całym pokoju. Był na ścianach i suficie, i wszędzie. Czerwono.

Opuściła wzrok i zaczęła bujać się jeszcze szybciej.

– Ona jest całkowicie szalona – stwierdził rozbawiony Nathaniel. Clara nie podzielała jego dobrego humoru.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała uspokajającym tonem. – To był tylko koszmar. Teraz wszyscy lepiej wróćmy do naszych łóżek i spróbujmy się jeszcze przespać.

Zebrani zaczęli się rozchodzić, ale usłyszeli za sobą jeszcze cichy głos Cassandry:

– To nigdy nie jest tylko sen.

*

– Wstawać! – Głos Olafa dokonał mordu na słodkim śnie. – Za chwilę chcę was wszystkich widzieć w siodłach! Jedźcie do Nowej Srebrnicy. Czas zobaczyć, ile jesteście warci!

– Nowej Srebrnicy? – Duncan wciągnął koszulę przez głowę, zadowolony z faktu, że Nathaniel dopiero próbował oprzytomnieć.

– W nocy porwano trzy dziewczyny. Wygląda na to, że w użyciu była magia. Ponoć jednym z napastników udekorowało cały pokój. – Olałowi wyraźnie wydało się to zabawne.

Duncan ziewnął i zaczął wciągać spodnie. Dopiero po chwili dotarło do niego, co właśnie usłyszał.

*

– To chyba najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałem – przyznał Edwin, przyglądając się pomieszczeniu. – Zostały po nim tylko buty. I do tego to chyba najbrzydsze buty, jakie widziałem.

Czerwona maź, kiedyś będąca człowiekiem, pokrywała ściany i sufit, tworząc okrąg dookoła nietkniętego obuwia, wciąż zawierającego stopy właściciela. Ostre odłamki kości powbijały się we wszystko w odległości jakichś dwóch metrów od epicentrum. W zaskakujący sposób żadne fragmenty ciała nie zdołały się wydostać poza tę ograniczoną strefę rażenia.

– Trudno nawet powiedzieć, że był kiedyś człowiekiem – zauważył Nathaniel z wyraźnym obrzydzeniem.

– Nikt nie powinien tak umierać – stwierdził Ulgar. Potężny Nord sprawiał wrażenie, że poważnie rozważa zwrócenie pośpiesznie zjedzonego śniadania. – To go po prostu... rozprysło.

– Ekspłodował. – Dobiegł ich z zewnątrz głos Luciusa. Mnich siedział przed chatą, dochodząc do siebie po wcześniejszych wymiotach.

– Eksp... co?

– Ekspłodował. To naukowe określenie tego, co się z nim stało. Uczone określenie. – Poprawił się po chwili.

– Istnieje uczone określenie na TO? – zdziwił się Ulgar.

– Oczywiście. Podobne wypadki zdarzają się, kiedy w grę wchodzi magia – pośpieszył z wyjaśnieniem Lucius.

– Widziałem dosyć – stwierdził Duncan, ruszając do wyjścia. Pozostali podążyli za nim.

Na zewnątrz powitał go tłum ciekawskich, powstrzymywanych przez członków tutejszej wioskowej milicji. Nowa Srebrnica była największą osadą w okolicy. Z populacją liczącą powyżej trzystu

ludzi wydawała się właściwie małym miasteczkiem. Pierwotne osiedle, stojące tu od ponad stu lat, zbudowano na skrzyżowaniu dwóch ważnych traktów przechodzących z północy na południe i z zachodu na wschód. Szlak idący na wschód wprawdzie kończył się kawałek za miastem, co nie zmieniało faktu, że wydobyte w pobliskich kopalniach zapewniało Srebrnicy stały ruch. Obecna wioska powstała na ruinach tamtego skupiska ludności. Większość chat zbudowano na fundamentach dawnych domów, wiele odziedziczyło po poprzednikach kamienną ścianę lub dwie. Całość sprawiała wrażenie chaotycznego architektonicznego kanibalizmu. Co więcej, nowi osadnicy zajmowali głównie budynki wzdłuż traktu, sprawiając, że wioskę otaczały zaniedbane ruiny. Tu, na wschodniej rubieży, podobny widok nie był niczym wyjątkowym.

Duncan podszedł do pobliskiej drewnianej studni i napił się z wiadra.

– Dokładnie tak, jak powiedziała – stwierdził Nathaniel, zerkając na siedzącą nieopodal Cassandrę. – Wiesz, co to znaczy?

– Nie mamy pewności – zaprotestował Duncan. Choć właściwie zrobił to tylko po to, by nie zgodzić się z Księciem.

Clara i Magnus wyszli z pobliskiej chaty i podeszli do studni.

– Mała jest wystraszona, trudno było coś z niej wyciągnąć – powiedziała Dama. – Na razie zostanie u sąsiadów, ale już wysłali kogoś po jej rodzinę z Nowej Wioski.

– Wzruszające – przerwał jej Ulgar. – A dowiedzieliście się czegoś na temat tego całego magicznego morderstwa?

– Nie przeszkadzaj, kiedy pani mówi – uciszył go Nathaniel, znów reagując szybciej niż Duncan. – Mów dalej.

– Z tego, co zdołaliśmy zrozumieć z jej opowieści, napastników było trzech. Wkradli się w środku nocy i poderżnęli gardło ojcu. Potem pokłócili się, zaczęli walczyć. Jeden z nich wbił sobie nóż w dłoń i wtedy jego przeciwnik... no cóż... Później zabrali starsze siostry. Ją zostawili. – Clara wydawała się naprawdę przejęta tą historią.

– Po jaką cholerę zadali sobie tyle trudu, by je porwać? – spytał Edwin.

– Niektóre rytuały wymagają złożenia ofiary – wyjaśnił Mnich.

– W wielu przypadkach wymagana jest ofiara z kobiet. Pokrewieństwo i wiek ofiar też mogą być czynnikiem. Szczególnie... dziewice są popularne, z racji swojej jakoby mistycznej mocy.

– Jakiej, kurwa, mocy? – zaniepokoiła się Matylda. – Parę lat już minęło, ale ja żadnej mocy nie pamiętam.

– To oczywiście przesąd – poprawił się szybko młodzieniec. – Lecz rytuały magiczne często opierają się na podobnych przesądach...

– Ile mamy czasu? – przerwał mu Duncan.

– To zależy od rodzaju rytuału. Być może do północy, może do południa. Może mieliśmy czas do świtu. Nie sposób...

Dowódca uciszył go ruchem ręki. Zapadła cisza.

– Jest ich dwóch – odezwał się wreszcie Magnus. – Prowadzą trzy związane dziewczynki. Nie dojdą zbyt daleko.

– W jakim miejscu można odprawić taki rytuał? – spytał dowódca rekrutów.

Lucius wzruszył ramionami.

– Problem w tym, że są tysiące możliwości. A księgi zawierające dokładny opis podobnych praktyk są zakazane zarówno przez kościół Deusa, jak i przez Szarą Straż, więc ja sam nigdy...

– Mnichu. – Dowódca sprowadził rozmówcę z powrotem na właściwy temat.

– Na pewno w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie nikt im nie przeszkodzi, bo to może zająć nawet kilka godzin.

– Jesteśmy w środku puszczy – zauważył Nathaniel. – Tu jest masa miejsc, gdzie nikt im nie przeszkodzi.

– W okolicy mieszka wielu łowców i drwali. Zawsze jest ryzyko, że kogoś spotkasz.

– Wzgórza – powiedział spokojnie Magnus.

Wszyscy zwrócili głowy w kierunku północnym.

– Miejscowi uważają je za przeklęte, dlatego nie wznowili wydobywania w kopalniach – kontynuował. – Nikt nigdy tam nie chodzi. Na północ od Srebrnicy nie ma żadnych osad, żadnych gospodarstw. Nawet nasze patrole kończą się tutaj. W środku nocy mogliby po prostu pójść traktem i nikogo by nie spotkali.

– Nawet jeśli masz rację – wtrącił się Książę – to przeszukanie tych wzgórz zajmie tygodnie.

– Jak powiedział Magnus, mają związanych więźniów. Te wzgórza to trudny teren. Nie odeszli daleko. – Duncan przez chwilę rozważał sytuację. – Musimy zawiadomić Olafa.

– Żartujesz? – sprzeciwił się szlachcic.

– Nie możemy sami walczyć z czarodziejem, potrzebujemy Szarego Płaszcz.

– Bzdura. Olaf wiedział, co tu się stało, a mimo to wysłał nas samych – zauważył Książę. – To oczywisty test. Chce zobaczyć, jak sobie poradzimy. Poza tym droga do komandorii i z powrotem zajmie dobre dwie godziny, te dziewczyny mogą być już wtedy martwe.

– Nie możemy sami zaatakować.

– Jak wolisz, nieustraszony przywódco. Biegnij schować się za wąsami dowódcy. Ja tymczasem poprowadzę tych, którzy faktycznie chcą ocalić porwane. – Arystokrata ruszył w kierunku koni. Ulgar podążył za nim, po chwili dołączył też Magnus. Pozostali również wyglądali, jakby mieli zamiar ruszyć.

– Dobrze! Jedziemy. Ale ustalmy jedno, ja tu dowodzę.

– Oczywiście, nieustraszony przywódco.

*

W pomieszczeniu panował przyjemny półmrok. Pojedyncze promyki słońca wpadały przez dziury w dachu, ale zdawały się słabe, jakby przytłumione. Część nawet nie docierała do poznaczonej mistycznymi symbolami podłogi. Panowała tu nienaturalna cisza, nawet większa niż w innych miejscach na tym wzgórzu. Jakby wszystko, co żyje i wydaje dźwięki wyczuło, że nie będzie tu mile widziane. Równocześnie, skupiwszy się, człowiek mógł usłyszeć dźwięk. Dziwaczny odgłos, dochodzący zewsząd i znikąd, pojawiający się i znikający bez żadnego wzorca. Niektórzy znawcy tematu, zwłaszcza ci bardziej religijni, wyrażali opinię, że to odgłos tysięcy demonów wrzeszczących na dnie piekła. Inni twierdzili, że to duchy umarłych, przyciągane przez magię albo starsze byty, tańczące

w innym świecie. Być może nawet odgłos pęknięcia fizycznej rzeczywistości. Tylko nieliczni badacze potrafili przyznać, że zwyczajnie nie mają pojęcia, coż to jest.

W powietrzu unosił się zapach pleśni, zgnilizny i zwierzęcych odchodów. Valerianowi to nie przeszkadzało. Już nie. Siedział w kącie starej, zrujnowanej chaty i czekał. Lewa ręka bolała go niemiłosiernie. Owinięta brudną szmatą dłoń była całkowicie sparaliżowana. Do tego dochodziło doświadczenie początków gorączki.

Pomyślał o zakażeniu i to go rozbawiło. Przypomniawszy sobie, że od tego się zaczęło. Szukał sposobu na radzenie sobie z zakażeniami. To doprowadziło go do tej starej księgi na dziadkowym strychu. Kiedy to było? Sześć lat temu? Teraz wydawało się, że w innym życiu. Proste zaklęcie, niewinna zabawa.

– Widzę, że wszystko gotowe – dobiegł go głos Olbrzyma.

Valerian otworzył oczy i zobaczył wielką, pozbawioną włosów głowę, zaglądającą do środka. Podniósł się z trudem i wyszedł na zewnątrz. Zaskoczyło go, jak jasny i przyjemnie ciepły był ten dzień.

– Nie wyglądasz najlepiej – usłyszał.

– To nic. Zaklęcie mnie wyczerpało. No i pewnie zakażenie. Zajmę się tym później. Nic mi nie będzie. – Starał się mówić twardo, ale drżący głos zepsuł efekt.

– Jak wolisz. Jesteś gotów? Świetnie. – Stwór pstryknął palcami i spomiędzy drzew wyszedł jeden z jego zbirów, prowadząc małe, wystraszone dziecko.

Dziewczynka była ubrana w brudną koszulę nocną. Jej twarz pokrywały łzy i smarki. Widok był żalony, mimo to Valerian nie odczuwał pogardy, a raczej strach.

– Ona pierwsza? – spytał niepewnie. – Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, co się stanie.

– Wypełnisz moje rozkazy, a potem zaczniesz nowe życie, mogąc kontynuować swoje badania w luksusie i wygodzie – przypomniał rozmówca.

– Tak, ale... ale co stanie się tutaj? Co stanie się, kiedy odprawię rytuał?

– Tego nie musisz wiedzieć. Sam wszystko przygotowałeś, więc wiesz, że nie ma tutaj pułapki. Niczego, co mogłoby skrzywdzić osobę odprawiającą rytuał. – Zapewnienie brzmiało nad wyraz spokojnie.

– Tak, ale... – Valerian spojrział na dziewczynkę. – Gdybym wiedział, łatwiej byłoby mi pogodzić się z...

– Chyba raczej usprawiedliwić to, co zrobisz. – Olbrym znów wydawał się rozbawiony. – Naprawdę, rozczarowujesz mnie.

Lekarzowi kręciło się w głowie. Gorączka zdawała się rosnać z każdym oddechem. Serce łomotało w piersi. Myśli zaczynały mu się plątać. I jakimś sposobem nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to dziecko cały czas patrzy na niego z wyrzutem.

– Ja tylko... Ja nie jestem jak ty. Ja muszę...

– Naprawdę? – Rozległ się obrzydliwy chichot.

– Nie jesteś? Znałem jednego, który miałby inne zdanie.

– Nie miałem wyboru. – Wielkie krople potu spływały po jego twarzy. Chciało mu się wymiotować.

– Nie chciał słuchać. Był zagrożeniem.

– I zapewne nie było żadnego, jakby to ująć, bardziej subtelny sposób na pozbycie się go?

– Musiałem im pokazać, że nie żartuję. Że muszą się ze mną liczyć.

– Naprawdę? Rozsadziłeś go na miliony kawałeczków. Przychodzi mi do głowy co najmniej kilka innych metod, by pokazać, że nie żartujesz.

– Nie chciał słuchać. Był brudnym dewiantem! – Kręciło mu się w głowie. Czuł się jak w potrzasku. – Był ohydny potworem! I ten szczur śmiał mnie dotknąć! Śmiał położyć swoje brudne łapska...

Olbrym śmiał się, co sprawiało, że świat wydawał się trochę ciemniejszym miejscem.

– Każdy jest potworem, ty i ja – stwierdził wreszcie, nachylając się. – Jesteś dziką bestią, kochającą władzę i moc nad życiem i śmiercią innych. To dobrze. Jesteś drapieżnikiem. Wejdz do środka i wytnij jej serce. Tego od siebie oczekujesz, to doda ci sił.

Świat rozmył się i zawirował. Wszystko zdawało się umykać. Wszystko poza dwojgiem małych, wystraszonych niebieskich

oczu, które wydawały się ścigać go, nieważne, gdzie odwrócił wzrok. Valerian zerwał się i pobiegł. Popędził przed siebie, byle gdzie, byle dalej od tego wszystkiego. Wpadł pomiędzy drzewa, niczym szalenciec zbiegając w dół wzgórza, a straszliwy śmiech Olbrzyma był jedynym, co podążyło za nim.

Biegł wprost przed siebie, w dół. Potykał się, zahaczał o gałęzie i krzewy. Rozdarł ubranie, ale pędził dalej.

W pewnym momencie stracił równowagę, padł na ziemię i zaczął się toczyć. Świat wirował, tym razem dosłownie. Valerian cudem omijał drzewa.

Wreszcie zatrzymał się. Przez chwilę leżał na plecach z zamkniętymi oczami, próbując złapać oddech.

– To on, jego widziałam w wizji! – Odezwał się gdzieś obok kobiecy głos. Poturbowany, powoli otworzył oczy i dostrzegł kilka postaci stojących nad nim. Jedną z nich był młody brunet, który wycelował w niego ostrze miecza.

– Co ci się stało w dłoń? – spytał mężczyzna.

– Zraniłem się – odpowiedział niewinnie. Jego umysł działał z opóźnieniem, więc dopiero po chwili dostrzegł herb zdobiący zbroję młodzieńca. W nagłym przypływie paniki spróbował się podnieść.

– Łap go, Magnus – rozkazał Duncan i wtedy jeden z jego osiłków złapał Valeriana za dublet, bez problemu postawił go na nogi, a potem oparł o pobliskie drzewo.

– Urwać mu łeb? – spytał swojego dowódcę.

– Jeszcze nie. Gdzie dziewczyny?

– Nie wiem.

– Gdzie są?! – wrzasnął Duncan. Równocześnie Magnus przyparł jeńca mocniej do drzewa.

– Wyżej... Najmłodsza jest w chacie, dokładnie nad nami. Ale już za późno.

– Idziemy – padł rozkaz. – Matylda, pilnuj go. Jeśli zacznie wykonywać dziwne ruchy rękoma lub mówić w nieznanym ci języku, zrób mu krzywdę.

Wysoka blondynka złapała Valeriana i wykręciła mu lewą rękę.

– Jeśli czegoś spróbujesz... – Wcisnęła mu palce w ranę na

dłoni. Ból pozbawiał oddechu. – Rozumiemy się? A teraz idź.

Pchnęła go do przodu, prowadząc przed sobą.

Podróż w górę zbocza okazała się udręką. Gorączka coraz mocniej mu doskwierała, a żelazny uścisk Matyldy, zmuszający do kolejnych kroków, zdecydowanie nie pomagał. Próbując utrzymać przytomność, skupił swoją uwagę na dziewczynie idącej obok. Była to krótko obcięta, drobna niewiasta, ubrana w najbardziej niedopasowany strój, jaki Valerian kiedykolwiek widział. Było w niej coś nietypowego. Coś, co sprawiało, że lekarz nie mógł odwrócić od niej wzroku. Nie chodziło o urodę. To było coś innego. Głębszego. Nie potrafił dokładnie tego określić. Po prostu patrzył. Cóż innego miał zrobić?

Nagle dziewczyna w dziwnym ubraniu zatrzymała się. Jej spojrzenie utkwilo w jakimś punkcie wyżej, a źrenice rozszerzyły się do absurdalnych rozmiarów. Valerian poczuł to dopiero kilka uderzeń serca później. Dziewczyna już wtedy leżała na ziemi, wrzeszcząc z bólu.

– Cassandra! – krzyknął ktoś obok, ale Valerian nie zdążył zorientować się, kto, bo w tym samym momencie fala dotarła do niego. Umysł, i tak trawiony już przez gorączkę, stanął w płomieniach, myśli rozbiegły się we wszystkich kierunkach, a pozostały jedynie ból i ciemność. I krzyk.

*

– Najmłodsza – powiedział stojący przed chatą Duncan. Jego kamienna mina wyrażała wszystko.

Spóźnili się.

Młody mnich zrobił w powietrzu znak Deusa i wbiegł do chaty. Cassandra wydawała się jakby nieobecna, trwała pogrążona w stuporze. Jej towarzysze daliby głowę, że w ogóle nie pamiętała tego, jak się tu znalazła. Valerian zaś miał nadzieję, że teraz już dadzą mu spokój.

Rozczarował się.

– Gdzie są pozostałe dwie? – spytał dowódca, podchodząc bliżej. Próbował udawać spokojnego, ale w jego oczach błyszczał gniew.

– Nie wiem – odparł lekarz.

– Gdzie?

– Nie...

Mocne uderzenie obaliło go na ziemię. Zaskoczony zdążył jedynie wykrzyknąć:

– Nie wiem, wyżej! Zabrał je wyżej!

– Kto?! – Duncan wyciągnął sztylet i przystawił mężczyźnie do szyi.

– Olbrzym.

– Gdzie są?!

– Naprawdę nie wiem...

Duncan złapał więźnia za lewą rękę i wbił mu sztylet w świeżą ranę. Valerian wrzasnął z bólu. Resztki woli całkowicie go opuściły.

– Wyżej – wyszeptał z trudem. – W obozie, bliżej szczytu wzgórza. Jest tam Olbrzym i dwóch albo trzech z nim. Może i ma ich pośród tych wzgórz całą masę. To on wydaje rozkazy. Skoro wszystko przygotowałem, mógł kazać im odprawić rytuał... Przysięgam. – Jego głos z każdym słowem robił się coraz bardziej płaczliwy.

Duncan wstał, splunął i ruszył w kierunku szczytu wzgórza. Z chaty wyszedł mnich, niosąc ciało dziewczynki. Wydawało się, że dziecko nie spuszcza wzroku ze swojego poturbowanego, skomlącego oprawcy, choć w tych oczach nie było już życia.

Duncan zatrzymał się na chwilę i spojrzał na zwłoki małej.

– Edwin, weź Luciusa, Clarę i Cassandrę, zanieście ciało do rodziny. Reszta za mną.

– Cassandra idzie z nami – sprzeciwił się inny ze strażników.

– Nie mam na to czasu, Książę. – Valeriana zdziwiła trochę pogarda, z jaką Duncan wypowiedział to ostatnie słowo.

– Na pewno domyśliłeś się już, czym ona jest. Będziemy jej potrzebować.

– Tak, wiem, kim ona jest. I właśnie dlatego ją odsyłam, to zbyt niebezpieczne dla...

– Próbujemy znaleźć w puszczy kryjówkę czarodzieja. To może zająć dużo czasu. Możemy wpaść w jakąś magiczną pułapkę.

– Podjąłem decyzję. Ja tu dowodzę!

– I z jak cudownymi efektami.

Valerian odwrócił głowę i napotkał wzrok siedzącej obok Cassandry. Było w nim coś dziwnego. Coś, co go drażniło. Coś, co przypominało mu wzrok Olbrzyma.

Dziewczyna nagle wstała i podeszła do Duncana.

– Idę z wami – powiedziała cicho, po czym ruszyła w górę zbocza.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie duży Nord podążył za nią, pozostali wkrótce dołączyli. Edwin wziął od Luciusa ciało dziewczynki i razem z mnichem ruszyli w przeciwną stronę. Valerian przekręcił się na plecy i zamknął oczy. Przez chwilę myślał, że o nim zapomnieli. Pomylił się. Kiedy otworzył oczy, stała nad nim Matylda. Ostrze miecza oparła na jego klatce piersiowej. Pomiędzy żebrami, na wysokości serca. Jej twarz nie wyrażała absolutnie nic, choć Valerianowi wydawało się, że przez chwilę dostrzegł w jej oczach obrzydzenie.

– Zrobiłem to...

– Nikogo to nie obchodzi – przerwała.

– Nie skrzywdziłem jej – wyszeptał po chwili ciszy.

– Nie ocaliłeś jej – powiedziała spokojnie Matylda. A potem nadeszła ciemność.

*

– Są przed nami – oznajmił Duncan. – Ukryli się w głębokim parowie.

– Kiepskie miejsce na obóz – ocenił Nathaniel. – A przynajmniej byłoby takie, gdyby ktoś z nas pomyślał o wzięciu ze sobą łuku.

– Czterech. – Przełożony zignorował ten komentarz. – Dwóch układa kamienie przy ognisku w jakiś wzór, chyba przygotowują rytuał.

Zaczął rysować patykami na ziemi prostą mapę.

– Kolejny jest tu, po lewej – dodał. – Pilnuje szałasów. Zapewne tam trzymają dziewczyny. Ostatni stoi tutaj, w tyle. Po wyglądzie zgaduję, że to właśnie jest ten cały Olbrzym.

– Więc jaki mamy plan? – spytał Książę. – Wpadniemy tam z wrzaskiem, mordując wszystko na swojej drodze?

– Konkretnie ty, Magnus i Ulgar. Zaatakujecie stąd i narobicie hałasu. W tym czasie ja i Matylda zaatakujemy od drugiej strony. Zajmiemy się strażnikiem przy szałasie, a potem ruszymy dalej. Tym sposobem przeciwnicy znajdą się w kleszczach.

– Zaskakujące. To całkiem niezły plan. Dobra robota, nieustraszony przywódco.

– Zajmijcie pozycje i poczekajcie chwilę, żebyśmy zdążyli podejść jak najbliżej. Cassandra, idziesz z nami, ale trzymaj się w tyle. Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Rozległo się potwierdzające mruknięcie, po czym rozdzielili się na dwie grupy. Dowódca rekrutów wraz z Matyldą i Cassandrą ruszyli naprzód, starając się zachowywać jak najciszej.

Kiedy już dotarli na odpowiednią pozycję, zaczęła się najtrudniejsza część. Czekanie.

– Mam pytanie – odezwała się Matylda, kiedy jej towarzysz po raz kolejny poprawił ułożenie kolczugi na ramionach. – To nie jest twoja pierwsza prawdziwa walka, prawda?

– Nie – odpowiedział twardo. – Byłem już w walce. Raz.

– Pociuszające.

– Ja jeszcze nigdy nie byłam w czymś takim – odezwała się za nimi Cassandra. Dziewczyna zdjęła buty, a teraz wiązała koszulę w tali.

– Co robisz?

– Upewniam się, że nie będzie mi zawadzać – odpowiedziała, zabierając się za rękawy.

Mężczyzna przez chwilę się jej przypatrywał, dosyć zaskoczony.

– Tylko trzymaj się w tyle.

Pokiwała głową, choć nie był pewien, czy w odpowiedzi na jego słowa, czy tak po prostu.

– Myślisz, że Nathaniel był już w walce? – spróbował zmienić temat.

– Wątpię. – Odpowiedź towarzyszki poprawiła mu humor.

– A ty?

– Można powiedzieć, że...

Jej odpowiedź przerwał bojowy ryk Norda. Zaczęło się.

Natychmiast zerwali się na nogi i ruszyli. Minęli zarośla i ich oczom ukazał się parów wraz z małym, prymitywnym obozem. W tym miejscu zbocze było w miarę łagodne, więc zdołali po nim zbiec. Obdarty strażnik przed szaląsem podniósł jakąś pałkę, wyraźnie zaskoczony tym, co się dzieje. Duncan wrzasnął, dodając sobie odwagi. Nagle banita jęknął i padł na ziemię z wystającym mu z oczodołu nożem. Wojownicza nawet nie zwolniła, przeskoczyła nad ciałem, zajrzała do baraku.

– Są całe – rzuciła szybko i natychmiast ruszyła dalej.

Jej kompan po chwili otrząsnął się z zaskoczenia. Rzucił okiem za siebie. Dostrzegł Cassandrę stojącą na górze i ściskającą kolejny nóż. Dziewczyna była wyraźnie z siebie zadowolona. Odwrócił się i ruszył za towarzyszką. Po drugiej stronie obozu zbocze było o wiele wyższe i bardziej strome. Ulgar po prostu zeskokczył z niego w biegu. Wyglądał naprawdę imponująco, lecąc w dół z krzykiem, ściskając topory w obydwu dłoniach. Efekt całkowicie zepsuło twarde lądowanie. Magnus spróbował zejść bezpieczniejszym sposobem, Nathaniel po prostu ruszył wzdłuż zbocza, szukając lepszej drogi.

Dwaj banici dopadli do gramolącego się z ziemi Ulgara i zaczęli go okładać wszystkim, co wpadło im w ręce. Matylda dobiegła do pierwszego, który próbował się zasłonić ściskaną pałką, ale szybko stracił ją razem z ręką. Drugi banita chciał uciekać, ale Magnus dopadł go i obalił na ziemię. Duncan rozejrzał się i zobaczył, że Olbrzym umyka w głąb parowu. Nie zastanawiając, się ruszył w pogoń. Nord wreszcie dźwignął się z ziemi, złapał jeden z leżących obok toporów i podążył za nimi.

Minęli szamoczącego się na ziemi Magnusa, który właśnie tłukł głową wyrywającego się przeciwnika o pobliski kamień. Duncan nawet nie zwolnił.

Pościg skończył się, gdy dobiegli do stromej ściany, stanowiącej koniec parowu. Olbrzym wyprzedził ich na tyle, by wdrapać się na górę, zanim dobiegła za nim pogoń. Mimo to postanowił zaczekać. Kiedy wreszcie strażnicy dotarli na miejsce, obydwoj oddychali ciężko po gonitwie.

– Wreszcie – odezwał się głębokim, dudniącym głosem potwór.
– Już myślałem, że padniecie z wyczerpania gdzieś po drodze.

– Musimy go zająć z dwóch stron – powiedział cicho dowódca rekrutów. – Ty idź z prawej, ja uderzę z lewej.

– Jest pewna maksyma – kontynuował przeciwnik – której uczy się oficerów Legionu Imperialnego z oddziałów ćwiczonych do walki z przeważającymi siłami wroga. Może ją znacie...

Ulgar, nie zważając na nic, wyrwał się do frontalnej szarży. Jego towarzysz nie zdążył nawet zareagować, kiedy potężny cios oderwał Norda od ziemi i posłał na spotkanie ze ścianą parowu.

– Dziel i rządź – dokończył Olbrzym, jak gdyby nigdy nic. – Choć biorąc pod uwagę, jak łatwo było was rozdzielić, zgaduję, że w Zakonie was tego nie uczą.

Duncan nagle stał się nieprzyjemnie świadomy faktu, że został sam. Popędził tu jak głupiec, zostawiając wszystkich pozostałych w obozie. I to po tym, jak sam wielokrotnie powtarzał, że celem tego ataku jest ocalenie dziewczyn, a nie zabicie potwora.

– Jakieś ostatnie słowa? – spytał Olbrzym, ruszając do ataku.

Duncan cofnął się. Jeden krok, drugi, trzeci. Nagle wyrwał do przodu w desperackiej szarży. Uniknął jednego ciosu wielkich łapsk, potem drugiego. Był blisko, już wyprowadzał pchnięcie.

Potężne uderzenie rzuciło nim o ścianę parowu. Zderzenie go zamoczyło. Dopiero po chwili z trudem dźwignął się na kolana. Nie miał miecza, czuł ból w całym ciele i z trudem łapał oddech. Jego przeciwnik tymczasem nadal wydawał się ponad dwuipółmetrowym zbiorem mięśni twardych jak stal.

– Świeżaki – stwierdził z pogardą stwór. – Naprawdę liczyłem na większe wyzwanie ze strony Zakonu. Na jakąś prawdziwą rozrywkę. No cóż, chyba podczas waszego ataku zobaczyłem tam jakieś kobiety. Może...

Monolog został nagle przerwany przez czubek ostrza wystający Olbrzymowi z gardła. Potwór przez chwilę wydawał się zaskoczony sytuacją. Poruszał bezgłośnie ustami jakby próbując złapać oddech, potem opadł ciężko na kolana. Przez chwilę jeszcze spoglądał na Duncana, po czym ostrze cofnęło się, a potężne cielsko upadło na ziemię bez życia, odsłaniając osobę stojącą z tyłu.

Nathaniel z pewnym zaskoczeniem spoglądał to na trupa, to na swój pokryty czarną krwią miecz. Przez chwilę sprawiał

wrażenie naprawdę zdezorientowanego.

– Zupełnie inne uczucie, niż mówił mój ojciec – stwierdził wreszcie. Po czym jakby przypomniał sobie, gdzie jest. Spojrzał wprost na leżącego na ziemi Duncana, a na jego twarz powrócił uśmiech. – Dziękuję. Tak jak sądziłem, okazałeś się doskonałym odwróceniem uwagi. Naprawdę nie wiem, jak poradziłbym sobie bez twojej pomocy. Jeśli ten Nord jeszcze żyje, to on i Wielkolud powinni chyba zabrać to truchło. Zgaduję, że będziemy musieli je spalić, ale o tym powinien chyba zdecydować Olaf.

Nathaniel odwrócił się i ruszył w kierunku obozu banitów, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Aha, jeszcze jedno. Nie musisz mi dziękować za ocalenie ci życia. Ostatecznie jesteśmy teraz obydwaj rekrutami Szarej Straży, to czyni nas prawie jakby przyjaciółmi. – Ruszył dalej, zanosząc się śmiechem.

*

Dym unosił się nad dogasającym stosem. Lucius odmawiał głośno modlitwę. Magnus, Ulgar i Matylda siedzieli obok, czekając, aż popioły ostygną i będzie można wrzucić kości i prochy Olbrzyma do wzmocnionej ołowianymi okuciami skrzyni. W ciągu miesiąca miał przybyć powóz, by zabrać trumnę do Kruczej Skały, siedziby Bractwa Mędrców w Komandorii 1 – potężnej pradawnej twierdzy, potocznie zwanej Czarną Skałą. Siedzący na szczycie wieży Duncan powoli przeniósł wzrok na dziedziniec wewnątrz palisady. Edwin grał jakąś spokojną melodię na lutni. Wprawdzie zakładając miedziany sygnet rekruta odrzucił życie barda, ale nadal starał się regularnie ćwiczyć. Nathaniel spacerował z Clarą, zapewne chwając się swoim wczorajszym zwycięstwem. Nigdzie nie było widać Cassandry.

– Jak się czujesz? – spytał Olaf za jego plecami. To niezwykle, jak cicho potrafił się poruszać stary Strażnik.

– Lepiej. – Padła odpowiedź. – Okłady pomagają.

Kiedy wrócili do komandorii, okazało się, że nabyte przez Luciusa w klasztorze umiejętności zielarskie przydają się. Dzięki

służbie u mnichów zdobył niemałą wiedzę na temat medycyny. A przynajmniej wystarczającą, by poradzić sobie z siniakami i skręceniami wyniesionymi z tego starcia.

Starzec podszedł bliżej i też spojrzał poza palisadę, na dogasający stos.

– Co się z nim dalej stanie? – spytał Duncan.

– Kruki z Czarnej Skały zabiorą to, co z niego zostało do swoich laboratoriów i przebadają na wszelkie możliwe sposoby. Potem przetrząsną pradawne księgi, sprawdzając, czy Zakon już kiedyś natknął się na podobną istotę. Jeśli tak, uzupełnią opis o nowe informacje. Jeśli nie, sporządzą nową notę, sprzecząc się przy tym o masę nieistotnych szczegółów. Potem odłożą tomy na półkę i wrócą do swoich zajęć. Tak jak my.

– I tyle?

– I tyle.

– A co z pozostałymi? Nadal nie wiemy, co on chciał osiągnąć za pomocą tych rytuałów. Ani czy osiągnął coś dzięki pierwszemu, temu, którego nie zdążyliśmy powstrzymać?

Olaf wzruszył ramionami.

– Byłoby łatwiej, gdybyście sprowadzili któregoś z tych bandytów żywego. Choć po prawdzie to wątpię, by mieli dużo do powiedzenia. Istnieją tysiące różnych rytuałów. Wiele takich, które odprawiono tylko kilka razy w historii i nikt nigdy ich nie opisał. Nie ma najmniejszych szans, byśmy zorientowali się, co się stało. Jeśli mamy szczęście, ceremonia nie zadziałała, bo na przykład wymagała złożenia wszystkich trzech ofiar. Jeśli nie mamy szczęścia, co zdarza się dużo częściej, no cóż... Cokolwiek to jest, poradzimy sobie z tym. Po to tu jesteśmy. Na razie najważniejsze, że ocaliliście porwane dziewczyny.

Duncan przerzucił spojrzenie z powrotem na Nathaniela i Clare.

– Cassandra jest czującym – stwierdził wreszcie.

– Wiem, Nathaniel nie omieszkiał mnie o tym poinformować. Choć, prawdę powiedziawszy, wiedziałem już wcześniej. Zakon wysłał mi informacje o każdym z was, zanim się tu zjawiliście. To nie jest Legion Imperialny, Kruki uwielbiają mieć wszystko udokumentowane.

– Czy to dlatego jest taka... dziwna?

– Może. Wielu czujących popada w szaleństwo. Trudno im się dziwić. Widzą rzeczy niedostępne innym, słyszą różne dźwięki i głosy. Dosłownie czują magię. Niekoniecznie potrafią to znieść, choć znam takich, którzy zachowują się całkowicie normalnie. Spotkałem też mnóstwo szaleńców, którzy byli po prostu obłąkani. Żałuję, że nie mam dla ciebie więcej odpowiedzi, ale, no cóż, tak to już jest. – Odwrócił się i ruszył w kierunku schodów.

– Dzisiaj macie jeszcze wolne. Magnus i Ulgar muszą odpocząć i zaleczyć rany. Ale jutro o świcie zbierz ich na trening. Jeśli masz ich prowadzić, musisz wiedzieć, na co ich stać.

Te słowa wywołały zdziwienie u młodzieńca, co nie umknęło uwadze jego rozmówcy.

– Coś nie tak? – spytał.

– Nie, po prostu myślałem, że po tym, co stało się wczoraj, oddasz funkcję dowódcy rekrutów Nathanielowi.

– Myślenie najwyraźniej nie jest twoją mocną stroną. – Uśmiechnął się Olaf.

– Czy to... – Duncan bał się zadać to pytanie, ale musiał wiedzieć. – Czy to z powodu mojego ojca?

Przełożony zmierzył go wzrokiem.

– Służyłem z twoim ojcem przez dwa lata w Komandorii 36. Był dobrym człowiekiem i wspaniałym Szarym Strażnikiem. Szczerze mówiąc, widzę w tobie wiele cech, które czyniły go takim. Ale powiedzmy to sobie jasno. Jeśli uznam, że nie nadajesz się do dowodzenia, to nieważne, czy twój ojciec był Szarym Płaszczem, księciem czy samym cholernym Imperatorem. Rozumiemy się?

– Tak.

– Dobrze. Pierwszy raz dowodziłeś ludźmi w boju. Wykonałeś zadanie, zniszczyłeś wroga i zdołałeś sprowadzić tę bandę patałachów z powrotem w jednym kawałku. Na razie to wystarczy. Na razie.

Rozdział II

A leż mnie boli tyłek – pomyślał Lucius, zwlekając się ze szkapy.

– Coś nie tak? – spytał Duncan, sprawnie zeskakując ze swojego konia.

– Nie, prostu nie jestem przyzwyczajony.

– W klasztorze zapewne nie było za dużo jazdy konnej – stwierdził Nathaniel, patrząc z wysokości swojego rumaka. Zarówno on, jak i dowódca rekrutów wydawali się wręcz urodzeni w siodle.

Mnicha pocieszał jedynie fakt, że Magnus i Ulgar wyglądali na równie zmęczonych i obolałych. Żaden z nich nie dosiadał wierzchowca przed wstąpieniem do Straży.

Nowa Wioska, w której się znajdowali, była drugą co do wielkości osadą w okolicy, prezentowała się jednak o wiele skromniej niż Nowa Srebrnica. Kilkuset mieszkańców rozlokowało się w niewielkich, otoczonych prymitywnymi ogrodzeniami chatach dookoła wzgórza, na którym stała duża Kamienna Sala, pełniąca zarówno funkcję miejsca spotkań, jak i czegoś w rodzaju małej warowni. Lucius poświęcił chwilę, próbując dostrzec jakiś porządek w sposobie rozlokowania poszczególnych domostw. Skutek był niezbyt zadowalający. Wyglądało to tak, jakby ludzie po prostu budowali akurat tam, gdzie im się podobało, całkowicie ignorując wszelkie względy estetyczne i praktyczne.

– Nie mają nawet palisady – zauważył Ulgar z dezaprobatą. – Z dwudziestoma wikingami można by zniszczyć całą osadę.

– Więc dobrze, że w okolicy nie ma dwudziestu wikingów – stwierdził ostro Duncan. – Magnus, przypilnuj koni. Reszta za mną. Wzięłeś książkę?

– Tak – potwierdził Mnich. – Najgrubszą i najstarszą, jaką znalazłem. To zbiór podań ludowych na temat grzybów zebranych z całego Imperium. Autor...

– Nieważne. Po prostu trzymaj ją tak, żeby wszyscy widzieli i rób mądrą minę. Nord, ty wyglądaj groźnie.

– A czy zdarza mi się wyglądać inaczej? – Uśmiechnął się

wojownik, poprawiając uczezione przy pasie topory.

– Nathaniel... ty po prostu się nie odzywaj.

Książę skinął głową, nie powstrzymując się przy tym od pogardliwego prychnięcia.

Czwórka rekrutów ruszyła na szczyt wzgórza, starając się omijać wszechobecne psy, dzieci i kurze odchody. Jak zwykle najwięcej brudnych, półnagich wyrostków biegło za wikingiem. Ten odstraszał je, robiąc groźną minę, choć faktycznie wyglądało na to, że zainteresowanie go cieszyło.

W Kamiennej Sali panował przyjemny chłód. Marmurową posadzkę pokrywała słoma i naniesiona z pola ziemia. Podłużne ławy ustawiono pod ścianą, by nie przeszkadzały, kilka kobiet krzątało się obok nich z mokrymi szmatami, czyszcząc pozostałości po wczorajszej uczcie. Jakieś dziecko grzebało patykiem w popiołach wielkiego paleniska, ulokowanego na środku pomieszczenia. Sędzia Adrian siedział na dębowym krześle, na końcu sali. Dookoła stali inni starcy i trzej potężnie zbudowani synowie sędziego, stanowiący wioskową milicję.

Dowódca rekrutów powoli podszedł i usiadł na brudnym, rozpadającym się taborecie naprzeciwko mieszkańców wioski. Wiking stanął za nim, wyglądając nawet groźniej niż zwykle. Lucius ustawił się po drugiej stronie, trzymając księgę w możliwie najbardziej demonstracyjny sposób i starając się sprawiać inteligentne wrażenie. Specjalnie na tę okazję założył swoje stare mnisie szaty, które ponoć sprawiały, że wyglądał mądrzej. Nathaniel obrzucił całe pomieszczenie lekceważącym spojrzeniem z typowym dla siebie wyrazem dezaprobaty na twarzy, po czym oparł się o jedną z potężnych kolumn, które biegły w dwóch szeregach wzdłuż pomieszczenia.

Przez chwilę panowała cisza, zagłuszana jedynie przez bawiące się na środku pomieszczenia dziecko.

– Nie ma mowy – zaczął wreszcie Adrian. – Chłopak już jest zaręczony z dziewczyną ze Starego Dębu.

Sędzia był wiekowym wojakiem, noszącym liczne blizny i nadal postawnym pomimo wieku. Żołnierska przeszłość zapewniała mu szacunek miejscowych, choć los wyraźnie zabrał mu już cierpliwość.

– Mógł o tym pomyśleć, zanim zrobił brzuch Polinie. – Głos Duncana był całkowicie beznamiętny.

– Nie ma pewności, że to jego. Rozkładała nogi przed jednym, mogła rozkładać przed innymi.

– Dziewczyna twierdzi, że tylko przed nim.

Dziadek prychnął.

– A kto by tam jej, kurwie, wierzył – wtrącił się jeden z siedzących obok starców. Inni zgromadzeni poparli go zgodnym pomrukiem.

– Dziewczyna jest z biednej rodziny – przemówił przywódca, uciszając ich ręką. – Nie ma szans na dobry posag, urodą też nie grzeszy. Nie uda jej się złapać takiego chłopaka jak Jokov inaczej niż na brzuch. Jakby była przyzwoita, to by poszła do zielarki i się brzucha pozbyła.

– Kapłani Deusa zakazują takich praktyk – stwierdził dowódca rekrutów, zerkając na wiszący na ścianie, otoczony kręgiem krzyż solarny.

– Rozkładania nóg przed ślubem też. Jak już raz zgrzeszyła, to niech teraz załatwi sprawę. – Kolejny pomruk aprobaty rozległ się wśród chłopów.

– Jeśli chcesz, Lucius może przeczytać, co na ten temat mówi Kodeks Imperialny. – Duncan wskazał na ciężkie tomiszcze opisujące ludowe podania na temat grzybów.

Odpowiedziały na to pogardliwe prychnięcia, ale zgromadzonym wyraźnie zrzędyły miny.

Od ponad stu lat nie widziano tu urzędnika imperialnego – pomyślał Mnich. A oni nadal czują zabobonny wręcz szacunek do praw ustanowionych przez dawnych Imperatorów.

– Jokov ma miesiąc, żeby ożenić się z Poliną albo znaleźć jej innego męża – zarządził Szary Strażnik nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Adrian przez chwilę mierzył wzrokiem młodszego o dobre trzydzieści lat mężczyznę. Wreszcie pokiwał głową z rezygnacją.

Jego rozmówca wstał i bez słowa ruszył do wyjścia.

– Chłopcze – odezwał się starzec. – Robisz się zbyt dobry w tej grze.

Duncan dopiero teraz pozwolił sobie na uśmiech.

- Nie, to ty robisz się za stary – odpowiedział przyjacielsko.
- Będziecie jutro na uczcie?
- Za nic byśmy tego nie przegapili.

*

W normalnych okolicznościach rozsądzanie podobnych sporów nie leżało w gestii Szarej Straży. Na bardziej cywilizowanych obszarach zająłby się tym miejscowy władca. Tu takiego nie było, każda z okolicznych wiosek miała swojego sędziego do rozstrzygnięcia sporów. Jeśli jednak problem dotyczył mieszkańców różnych osad lub ludzi mieszkających w puszczy, potrzebny był zewnętrzny arbiter. Lucius nie wiedział, jak rozwiązywano takie problemy przed powstaniem Komandorii, ale teraz chłopcy mieli w zwyczaju zgłaszać się po pomoc do Zakonu. Oczywiście Olaf nie miał najmniejszego zamiaru bawić się w mediatora, więc szybko zaczął zrzucać ten obowiązek na Duncana. Jak się zresztą okazało, dowódca rekrutów świetnie radził sobie w tej roli.

Magnus czekał przy koniach, zwyczajowo otoczony wianuszkami dziewcząt. Lucius odruchowo ruszył za Ulgarem, próbując pozostać niezauważonym dla przedstawicielek płci przeciwnej.

– Witajcie, dziewczki – przywitał się Nord z kobietami, niby mimochodem eksponując swoje mięśnie. Niewiasty zachichotały zgodnie, po czym ruszyły w swoją stronę.

– Chyba wpadłem w oko tej blondynce w niebieskiej chuście – stwierdził wiking, śledząc je wzrokiem.

– Malianie? – zdziwił się Wielkolud. – Zapomnij, już zaręczona jest. I najwyraźniej szalenie zakochana – dodał z żalem.

– Jak poczuje moją bestię między nogami, to zaraz się jej odmieni.

Lucius z trudem wspiał się na konia, nadal próbując pozostać niezauważony. Rozmowy o kobietach go peszyły, a myśl o byciu wciągniętym w takową konwersację napawała strachem. Zamiast tego zwrócił się do swojego przełożonego:

- Nieźle ci tam poszło.

– Zgadzam się – przyznał Nathaniel. – Tak świetnie idzie ci rozwiązywanie problemów prostego ludu, że może powinieneś rozważyć karierę wędrownego sędziego.

– Zabawne – odparł Duncan ze znużeniem. – Może ty powinieneś rozważyć karierę błazna. Cass może ci nawet pożyczyć kostium.

Książę odpowiedział kpiącym uśmiechem.

– Zbierajmy się – pogonił wszystkich dowódca rekrutów. – Chcę jeszcze przed kolacją odbyć z wami kolejny trening.

Luciusowi zrzędała mina. Nie znosił ćwiczeń. Jeden z mnichów, były legionista, dał mu w klasztorze kilka lekcji władania mieczem, ale w porównaniu z pozostałymi kandydatami Straży były zakonnik pozostawał w tyle. Duncan i Nathaniel spędzili połowę życia ćwicząc walkę mieczem. Matylda miała doświadczenie, Magnus i Ulgar nadrabiali braki w wyszkoleniu siłą i zajadłością, a Edwin szybkością i sprytem. Nawet Clara przed przybyciem tutaj miała osobistego nauczyciela szermierki. Tylko Cassandra radziła sobie gorzej od Luciusa, ale jedynie dlatego, że nigdy nie zdołali faktycznie zmusić jej do walki. Atakowana, zawsze odruchowo odskakiwała od przeciwnika i zaczynała ciskać w niego wszystkim, co wpadło jej w ręce. Raz prawie złamała Nathanielowi nos, trafiając go w twarz jednym ze swoich ciężkich, okutych butów.

– Nadal planujemy jutro pojawić się na uczcie? – upewnił się Magnus, kiedy minęli zabudowania wioski.

– Tak – potwierdził dowódca. – Nie pozbawiłbym tych wszystkich miejscowych panien twojego towarzystwa.

– Jego? Niech no tylko zobaczą mnie – wtrącił się wiking.

– Jesteś tu od miesiąca i jakoś jeszcze nie widziałem, by kobiety się na ciebie rzucały – zakpił Wielkolud.

– Kiepsko zacząłem, ten cholerny Olbrzym, skręcona kostka. Ale teraz już doszedłem do siebie. Po tej uczcie ślicznotki będą o mnie opowiadać jeszcze swoim wnukom. – Spojrzał na Luciusa, jak gdyby oczekiwał potwierdzenia. – A ty, Mnichu? Planujesz porwać jakąś gąskę w krzaki?

– Ja... yyy... to znaczy, jeśli chodzi o niewiasty... Yyy...

– Słuchaj, Nordzie – wtrącił się Magnus. – Jeśli uda ci się

dobrac do większej liczby dziewczek niż mnie, to przez miesiąc będę brał za ciebie patrole.

Ulgar zmierzył towarzysza wzrokiem.

– A jeśli ty wygrasz?

– Wtedy ty będziesz brał moje patrole. Uczciwy zakład.

– Umowa stoi. – Nord splunął na dłoń i podał ją rozmówcy, ten odpowiedział podobnym gestem.

– Tylko pamiętajcie, że mają być chętne – upomniał dowódca. – To nie jest jakaś wyprawa łupieżcza.

– Uwierz mi, gdyby była, to z tej osady już nic by nie zostało – zaśmiał się wojownik.

Nathaniel nachylił się do Duncana.

– Swoją drogą ciekawi mnie, czy ten osiłek kiedykolwiek miał kobietę, która faktycznie była chętna? Choć pewnie to łatwiejsze, kiedy rabujesz właśnie jej wioskę.

– Zabawne, zadawałem sobie to samo pytanie odnośnie ciebie. Choć pewnie to łatwiejsze, kiedy są służącymi twojego ojca. Jestem naprawdę ciekaw, czy udałoby ci się dobrać do którejś z tych chłopek bez popisywania się ładnie brzmiącymi tytułami?

– Pewnie moglibyśmy sprawdzić, gdyby nie fakt, że nie interesują mnie proste wieśniaczki. A Clara zdecydowanie nie jest niczyją służącą – odpowiedział Książę, uśmiechając się równie znacząco, po czym pogonił swojego konia.

*

Jeziro wydawało się niesamowicie spokojne. Lekki wiatr wywoływał tylko niewielkie zmarszczki na powierzchni wody. Gdzieś w oddali, za wyspą, łodzie rybaków z Głębinówki dryfowały powoli w poszukiwaniu zdobyczy. Na bezchmurnym niebie szybowało kilka ptaków. Lucius przymknął oczy w nadziei na krótką poobiednią drzemkę. Rozkoszował się panującą ciszą i spokojem.

Straszliwy okrzyk bojowy przeszył powietrze. Ulgar, goły jak go Deus stworzył, przebiegł dziedziniec i z głośnym chluśnięciem wskoczył do wody. Na chwilę zniknął pod jej powierzchnią, po czym nagle wynurzył się, wydając z siebie triumfalny ryk.

– To jak obserwowanie małego niedźwiadka – stwierdził Edwin, siadając obok Mnicha w malejącym cieniu wieży strażniczej.

Było już prawie południe, za kilka godzin mieli ruszyć do Nowej Wioski na ucztę i Duncan wyjątkowo zwolnił ich z popołudniowego treningu.

Po chwili pojawił się też Magnus, zrzucił ubrania i ostrożnie wszedł do wody. Mijał miesiąc, a on nadal nie nauczył się pływać.

– To musi być niezwykła okazja, skoro nawet Wielkolud postanowił się umyć – zażartował Śmieszek. – A ty, podekscytowanyś ucztą?

– Yyy... tak. – Lucius w sumie sam nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Geneza tego miejscowego święta go ciekawiła. Obchodzono je w Nowej Wiosce co roku z początkiem września, na pamiątkę powstania osady. To była historia, więc go to interesowało. Jeśli chodzi o samą ucztę, nigdy dotąd na żadnej nie był. W klasztorze uroczyste posiłki od zwykłych różniło tylko lepsze jedzenie i trochę weselsze śpiewy. I nie było tam kobiet.

– Rany, zostaw trochę tego entuzjazmu na później. O, idzie nasza para książęca. – Na ustach Edwina pojawił się psotny uśmiech, zdobiący zwykle twarze dzieci, które właśnie postanowiły napchać komuś gnoju do butów. – Claro! Lepiej nie podchodź bliżej! Obawiam się, że niektórzy mniej kulturalni członkowie naszej małej społeczności postanowili kąpać się nago.

Edwin całkowicie nie pasował do tego miejsca. Urodził się i wychował w Błękitnym Porcie, jednym z potężnych Wolnych Miast Zachodu. Większość ze swoich dwudziestu lat życia spędził wewnątrz pradawnych murów miejskich, zanurzony w ludzkim mrowisku pełnym przybyszów z najdalszych zakątków Imperium. Cisza, spokój i las były dla niego czymś całkowicie nowym i nieprzyjaznym. Niemniej jednak starał się odnaleźć w nowej rzeczywistości na swój kpiący sposób.

– Szokujące, Edwinie. – Clara wydawała się raczej rozbawiona. – A wiesz może, kiedy skończą?

– Obawiam się, że to może trochę zająć, zanim cały brud zejdzie z naszego drogiego Magnusa.

– Mogę poczekać.

– Oczywiście, że możesz, jak zwykle, ale...

– Tak?

– Słońce zbliża się do zenitu, czasu na przygotowanie do uczyty coraz mniej. A te draby pewnie będą tam siedzieć dosyć długo. – W głosie Edwina pojawiła się wyraźna, choć trochę przesadna nutka żalu. – A po wyjściu nie czeka na nich patrol ani żadna inna praca, więc będą się zapewne krzątać po dziedzińcu i nieprzyzwoicie – zawiesił głos – ...zerkać.

– I zapewne tak się składa, że ty masz jakąś metodę, żeby temu zaradzić? – włączył się do dyskusji Nathaniel.

– Zapewne. – Trubadur odwrócił się i wskazał zdobiącą środek jeziora wyspę. – Na północnej stronie tej wysepki znajduje się niewielka zatoczka. Jest dobrze osłonięta drzewami i zaroślami, zarówno od strony lądu, jak i wody. Co więcej, panuje tam przyjemny cień, a to z pewnością będzie miłą odmianą dla twojej jakże już nadwyreżonej słońcem cery.

– Dziękuję Edwinie, wyśmienity pomysł. Cassandro, udamy się na wyspę – stwierdziła Clara, przerywając drugiej dziewczynie desperacką próbę wydostania się z olbrzymiej koszuli. – Matyldo, czy ty... Nieważne.

Matylda swoim zwyczajem bez najmniejszych oznak skrepowania zrzuciła ubranie i nabierała właśnie rozpędu, by wskoczyć do jeziora z małego pomostu do cumowania łodzi. Dla zebranych mężczyzn był to bieg wyjątkowo widowiskowy.

– Oczywiście, jestem pewien, że nasz książę nie pozwoli damom wiosłować – ciągnął swój wywód Edwin.

– Oczywiście – potwierdził Nathaniel.

– Świetnie. – Bard zaczął się już odwracać w kierunku Luciusa, ale nagle jakby coś sobie przypomniał. – Tak sobie myślę, że to chyba trochę nie przystoi, by młody szlachcic znajdował się na odosobnionej wyspie sam z dwiema, bądź co bądź, nagimi niewiastami. Oczywiście, nikt nie insynuuje tak szlachetnej osobie jak nasz książę jakichś bezecnych i niegodnych zamiarów, niemniej chyba wyglądałoby to lepiej, gdyby udał się z wami ktoś jeszcze. Jakaś persona o nieposzlakowanej reputacji. Na przykład... – przez chwilę

spoglądał na Mnicha – nasz szlachetny dowódca rekrutów.

Zarówno Nathaniel, jak i stojący kilka metrów dalej Duncan wydali się szczerze zaskoczeni. Tymczasem Clara zareagowała natychmiastowo, jakby nie zauważając nic niezwykłego w propozycji.

– Wyśmienity pomysł. Z dwoma tak dzielnymi i wprawnymi wojownikami chyba obydwie będziemy się czuć bezpieczniej. I z całą pewnością docenimy towarzystwo po drodze. Tym sposobem będziecie mniej zmęczeni wiosłowaniem.

Obydwaj wskazani mężczyźni potwierdzili z dworską wręcz uprzejmością i ruszyli przygotować łódź.

– W tym przedstawieniu był jakiś większy cel czy po prostu lubisz patrzeć, jak skaczą sobie do gardeł? – Clara spytała szeptem.

– Jeszcze nie wiem. Choć, jeśli już przy tym jesteśmy, zastanawia mnie, pani, jaki ty miałaś cel w tym, by mi pomóc?

– Pomogłam ci?

– Nie przeszkodziłaś – zauważył Edwin. – I to zdanie o czuciu się bezpieczniej przy dwóch tak wspaniałych wojownikach... Naprawdę byłem poruszony.

Clara jedynie uśmiechnęła się zagadkowo i razem z Cassandrą ruszyła w kierunku łodzi.

Po kilku minutach cała czwórka była już w drodze na wyspę. Żegnana machaniem stojących na brzegu Edwina i Luciusa.

– Ja tam ich nie rozumiem – stwierdziła Matyllda, patrząc na oddalającą się łódkę. – Się kąpać w samotności. Nas było piętnaścioro w chacie i wszyscy na jednej podłodze spali, i razem w rzece pływali i nikt się tam na golasa nie wstydał biegać.

– No cóż, nie wszyscy pochodzimy z tak uroczo dekadentkich miejsc, jak ty.

– Uważaj se. – Matyllda gwałtownie wynurzyła się z wody. – To, że obrażasz mój dom uczonymi słowami nie oznacza, że ci nie przywalę. A ty co tak znowu wzrok ode mnie odwracasz? Do ciebie mówię, Mnichu.

Lucius uparcie starał się nie odrywać spojrzenia od ziemi.

– Ja... Po prostu nie przystoi, by...

– Następny.

– Daj mu spokój, biedak pewnie nigdy nie widział tak doroźnie obdarzonej niewiasty. W klasztorze pewnie dużo ich nie było.

– Właściwie to wcale – wyznał z ociąganiem Lucius. – Ani na samej wyspie. Więc... Pierwszy raz faktycznie spotkałem kobietę dopiero w porcie, dwa miesiące temu.

– Dziadek zawsze mówił, że te całe kapłany to są popieprzone – stwierdził z przekonaniem Ulgar.

– No, to wyjaśnia, dlaczego tak ciężko ci się z nimi rozmawia – przyznał Edwin. – Ale chwila, czy to znaczy, że nasza jakże urocza Matylda jest twoim pierwszym kontaktem z panną, jakby to rzec, roznegliżowaną?

Lucius niechętnie pokiwał głową, czując, jak policzki zaczynają go palić żywym ogniem.

– Że co?

– Nigdy nie widział gołej baby – wyjaśnił Śmieszek.

– Aha... No teraz to się faktycznie czuję trochę nieswojo – stwierdziła Matylda, krzyżując ręce na piersiach.

– Nie martw się, młody, mogłeś trafić gorzej. – Bard przyjął mentorski ton. – Pierwsza kobieta, którą ja zobaczyłem nago, do dziś prześladowuje mnie w koszmarach...

– Chwila – wtrącił się Ulgar. – Czy to znaczy, że on nigdy nie chędożył?

– Tak, mój drogi barbarzyński przyjacielu – potwierdził Śmieszek. – Fakt, że nigdy nie widział nagiej kobiety i niezbyt potrafi rozmawiać nawet z ubranymi, niechybnie świadczy, że nie chędożył... Chyba, że w sodomii.

Lucius jakimś cudem zdołał zaczerwienić się nawet bardziej.

– Deusie, nie. Oczywiście, że...

– Tylko się upewniam. W moich stronach sodomia jest uznawana za coś w dobrym guście.

– Naprawdę?

– Nie.

– Co to ta cholerna sodomia? – spytał Ulgar.

– Jak facet chędoży z innym facetem – wyjaśniła Matylda.

– Co chędoży?

– Siebie nawzajem.

– Co, kurwa?! – Po pierwszej chwili zaskoczenia Ulgar omiótł

zgrupowanych mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem. – Cholerni południowcy. U nas to się takim na miejscu chuje odrąbuje.

– Niezłomna moralna postawa wobec dewiacji – stwierdził Edwin. – A niektórzy twierdzą, że północ to barbarzyńska kraina.

Jego ton nie zdradzał nawet najmniejszych oznak kpiny:

– Ale wracając do tematu, nasz drogi Lucius faktycznie nigdy nic. Ale nie ma tego złego, przed nami ucztą. Wino, śpiew, wino, kobiety i wino. A takie zestawienie dobrze wróży.

– Jak to? – Lucius nagle zmienił się w małe, schwywane w pułapkę zwierzątko. – Nie trzeba, ja...

– Od czego są przyjaciele – przerwał mu Śmieszek, po czym wymownie spojrzął na Magnusa.

Wielkolud przez chwilę przyglądał się całej scenie, jakby znudzony.

– Briana – stwierdził wreszcie.

– Świetny wybór – zaaprobował Edwin. – Kojarzysz, Luciusie? Blondynka, trochę pulchna, ale za to te usta...

– Nie wiem, czy... To znaczy... nie wiem, czy to byłoby odpowiednie.

– Oczywiście, że nie wiesz. W całym życiu widziałeś tylko jedną nagą kobietę. Ale uwierz mi, to dobrze ci zrobi.

– Jasne – dodał Ulgar. – Raz zakosztujesz tego, co baby chowają pod kiecką, to zaraz przestaniesz się przy nich jękać.

Matylda wyglądała, jakby miała zamiar coś dodać, ale zrezygnowała i zanurzyła się w wodzie.

– Uwierz mi, Luciusie. – Edwin uśmiechnął się. – To będzie pamiętna noc.

*

Zatoczka po północnej stronie wyspy faktycznie okazała się dobrze ukryta. Pokryte zaroślami brzegi niemal zamykały się dookoła niej, pozostawiając tylko kilkumetrowe połączenie z resztą Głębokiego Jeziora. Nigdy niekarczowane drzewa otaczały to miejsce, tworząc zieloną ścianę. Wprawdzie sam zalew nie należał do największych czy najgłębszych, ale dla

dwóch niewiast był więcej niż wystarczający.

– Tak lepiej – stwierdziła Clara. – Choć to nie to samo, co marmurowa wanna i pachnące olejki. No i zimą będzie problem. Zdecydowanie będziemy potrzebowały wtedy odpowiednio dużej balii i gorącej wody. Nathaniel i Duncan muszą się tym zająć. Wchodzisz?

Cassandra stała na brzegu, zanurzając stopę i gwałtownie podrywając ją do góry, rozpryskując wodę. Dopiero po chwili zdecydowała się zanurzyć cała.

– Przyjemne – stwierdziła z uśmiechem.

– To nic, pamiętam kąpiele w basenach pałacu mojej... W pałacu, gdzie się wychowałam. Cudowne zapachy w powietrzu, płatki kwiatów unoszące się na wodzie, ploteczki z damami dworu. – Uśmiechnęła się.

– Brakuje ci tego?

– Oczywiście. Ale tamto życie jest już za mną. A teraz... Co robisz?

Cassandra zerwała się nagle, wyszła na brzeg i przez chwilę szukała czegoś w zostawionej tam torbie. Wreszcie z wyrazem triumfu na twarzy wyjęła kilka kwiatów i zaczęła odrywać im płatki i wrzucać je do wody.

– Dziękuję – stwierdziła Dama z uśmiechem. – Teraz faktycznie jest jak w domu. Ptaki możemy uznać za bardów... I nawet mamy kawalerów czekających na nas z komplementami.

– Dlaczego to zostawiłaś i przybyłaś tutaj?

– Obawiam się, że nie do końca miałam wybór. – Przez chwilę Clara jakby posmutniała. – A ty? Co robisz w takim miejscu?

Cassandra przez chwilę się nad tym zastanawiała.

– Mieszkałam na ulicy w mieście i zonglowałam nożami dla ludzi. Pewnego dnia podszedł do mnie mężczyzna w szarym płaszczu i powiedział, że muszę dołączyć do Szarej Straży. A oni wysłali mnie tutaj.

– Tak po prostu? Ktoś do ciebie podszedł i kazał ci tu przyjechać?

– Miał długą siwą brodę i pierścień z krukiem. Wyglądał na bardzo mądrego. Trzeba słuchać mądrych ludzi. – Sztukmistrzyni przytaknęła sobie, kiwając głową.

– Czyli był z Bractwa Mędrców. Pierwszy raz słyszę, by zajmowali się oni rekrutacją.

– Nie wiem. – Wariatka wzruszyła ramionami. – Ale sprawiał wrażenie, że wie, co mówi. Kiedy jest się szalonym, nie powinno się spierać z ludźmi, którzy wiedzą, co mówią. – Znów pokiwała głową.

Clara przez chwilę rozważała te słowa.

– Więc powinnaś ubrać sukienkę – powiedziała tonem świadczącym, że wie, co mówi. – Nie patrz tak na mnie, musisz ubrać ją na ucztę.

– Matyllda nie ubiera.

– No cóż, jeśli ona chce ubierać się po męsku i rezygnować ze swojej przewagi, to jej sprawa.

– Czasami w ogóle się nie ubiera – stwierdziła Cass, próbując złapać małą rybkę.

– Wiem, to okropne. Madame Luana zawsze powtarzała, że naga kobieta nie ma już nic więcej do dodania.

– Madame kto? Złapałam!

– Świetnie. Madame Luana, nasza nauczycielka etykiety. Kiedy ją poznałyśmy, była już stara i pomarszczona, ale w młodości uznawano ją za najbardziej pożądaną kobietę w Wysokim Porcie. Ponoć jedno jej słowo potrafiło obalać potężne, starożytne rody i wyprowadzać w pole wielotysięczne armie.

– Musiała być piękna.

– Nie była brzydka. Choć nie należała też do piękności. Ale jak sama mówiła, to, czego Deus poskąpił jej w urodzie, nadrobił w rozumie. Zawsze powtarzała, że mężczyźni władają światem używając mieczy, armii i tytułów. A kobiety używając mężczyzn.

– Tak jak ty używasz Duncana i Nathaniela? – Padło pytanie, podczas gdy kolejna ryba została wyłowiona z wody.

– Otóż to – potwierdziła Clara.

– Matyllda też nimi rządzi. Jak ktoś robi nie po jej myśli, to go bije.

– Wybacz, że wolę władać przy użyciu sukni. Nasza towarzyszka mogłaby naprawdę zyskać, gdyby stała się trochę bardziej... kobieca.

– Czy to dlatego muszę założyć sukienkę na ucztę?

– Właśnie.

– Ale ona jest niewygodna. Trudno w niej biegać i oddychać – poskarżyła się Cass.

– Moja droga, to znaczy, że pasuje doskonale. W tym worku, który nosisz na co dzień, w ogóle nie widać figury. Tę suknię specjalnie przerobiłam tak, by uwypuklała twoje atuty. I uwierz mi, nie było to łatwe, skoro nawet nie dałaś mi się dotknąć.

Kuglarka przez chwilę patrzyła w dół jak skarcone dziecko.

– Mogę zawsze iść nago, jak Matylda. Wtedy wszyscy zobaczą moją figurę.

– Nie, nie, nie. Już ci mówiłam. Naga kobieta nie ma nic do dodania. Musisz ich przyciągać, podkreślać swoje zalety, podsycać ich wyobraźnię, ale nie ukazywać za dużo. To jak niepisana umowa. Oczekiwanie na nagrodę zawsze jest bardziej motywujące niż samo jej uzyskanie.

– To strasznie skomplikowane.

– Wiem, ale taki jest świat. Jak mówiła Madame Luana, życie prawdziwej damy to nieustająca bitwa. – Clara uśmiechnęła się do wspomnień.

– Ale nie jesteś już damą, teraz jesteś rekrutką.

– Ależ nie! Prawdziwa dama powinna być nią zawsze i wszędzie. Niezależnie od wszystkiego.

*

Duncan wystawił głowę z wyciągniętej na brzeg łodzi i ze znużeniem spojrzał na pobliskie zarośla.

– Ile jeszcze może im to zająć?

Duncan większość ze swoich szesnastu lat spędził w drodze, przenosząc się z miejsca na miejsce między gorącymi wybrzeżami południa a mroźnymi górami północy. Przemierzał obszerne tereny, od potężnych miast zachodu po wyludnione rubieże wschodu, na których znajdowali się obecnie. Czuł się na miejscu wszędzie tam, gdzie powiewał sztandar Zakonu. Tutaj jednak było za daleko, aby mógł go zobaczyć. Nie nawykł do odpoczynku w zatoczkach.

– Nigdy nie poganiaj dam – stwierdził Nathaniel, krążąc po

niewielkiej plaży. – Zwłaszcza kiedy biorą kąpiel... Ubierają się, tańczą, chodzą, jedzą czy doświadczają innego rodzaju rozkoszy.
– Uśmiechnął się niedwuznacznie.

Dowódca rekrutów nie skomentował. Położył się na dnie łodzi i wbił wzrok w niebo.

– Zdaję sobie sprawę, że moje towarzystwo może ci nie odpowiadać – zaczął po chwili Książę, wyraźnie znudzony podziwianiem krajobrazu. – Ale pomyśl, że mogło być gorzej. Ja utknąłem tu z tobą.

Znów odpowiedziało mu milczenie. Nie mając najwyraźniej nic lepszego do roboty, Nathaniel podszedł do łodzi.

– Nie lubisz mnie, ponieważ uważam, że ludzie dzielą się na lepszych i gorszych. Ale czy możesz powiedzieć, że się mylę? Sam Deus nas tak podzielił. Jedni rodzą się piękni, inni szkaradni, jedni bywają mądrzy, inni zaś głupi, są bogaci, są biedni. Tak ułożony jest świat. Kim jestem, by się z tym sprzeczać?

– Nie lubię cię, ponieważ jesteś dupkiem, który uważa siebie za lepszego od innych – poprawił rozmówca.

– A nie powinienem? Urodziłem się w głównej gałęzi rodu Eversonów, jednego z najstarszych rodów w Imperium. Wśród moich przodków byli władcy, generałowie, zdobywcy, artyści, filozofowie, reformatorzy, przywódcy religijni, nawet kilku Imperatorów. Ja sam jestem młody, przystojny, inteligentny i sprawny fizycznie. Nie prosiłem o to, nie zabiegałem, niemniej Deus obdarzył mnie wszystkimi tymi cechami i postawił tam, gdzie się znajduję. Można rzec, że zostałem przez niego wybrany. Czemu więc nie powinienem czuć się lepszy?

– To twoje usprawiedliwienie? Deus wybrał cię, byś urodził się z takim a nie innym nazwiskiem, więc jesteś lepszy od wszystkich dookoła?

– Władam mieczem lepiej niż większość znanych mi ludzi. Od dziecka byłem uczony, przygotowywany do przewodzenia ludziom, wydawania rozkazów, podejmowania decyzji czy operowania swoim słowem w odpowiedni sposób. Mam możliwość decydowania o losach setek, a nawet tysięcy ludzi. I kiedy przyjdzie pora, będę to robił. Wezmę na siebie

odpowiedzialność za los maluczkich, bo do tego się urodziłem.

Przerwał, by za moment podjąć:

– Wiesz, widziałem w życiu wielu szlachciców, którzy zapomnieli o swoich obowiązkach i swojej pozycji. Dogadzali swoim potrzebom, aż stali się tak tłuści, że nie widzieli nic poza swoim brzuchem. Zmienili się w żałosne, słabe kreatury, warte jeszcze mniej niż najgorszy żebrak. Mój ojciec pokazywał mi ich na dworze w Smoczym Leżu i sam ich widok sprawiało, że chciało mi się wymiotować. Widzisz, szlachectwo to nie przywilej, to obowiązek. By być lepszym, by stale się doskonalić, by nie zmarnować roli, którą przeznaczył ci Deus. Ludzie nie rodzą się książętami Terylu, by wieść bezbarwne życie i dogadzać swoim potrzebom. Rodzą się nimi, by osiągnąć wielkość. A kim jestem ja, by walczyć z przeznaczeniem? Czasami wręcz zazdroszczę prostym ludziom braku tak wielkiej odpowiedzialności.

– Tak, jestem pewien, że tak właśnie myślą sobie, kiedy umierają z głodu, bo susza zniszczyła im plony.

Nathaniel uśmiechnął się.

– Jesteś hipokrytą, wiesz o tym?

– Doprawdy?

– Obwiniasz mnie o stawianie się wyżej od innych, ale sam czynisz dokładnie to samo.

– Nieprawda. – Ostra reakcja rozmówcy mówiła sama za siebie.

– Uważasz, że jesteś lepszy, ale nie dlatego, że masz nazwisko, a dlatego, że masz to. – Arystokrata podniósł dłoń, eksponując miedziany pierścień rekruta. – I wkrótce zamienisz go na brązowy, dostaniesz płaszcz, tatuaż i będziesz członkiem Zakonu Szarej Straży. A oni przecież są lepsi niż zwykli ludzie. Ba, może nawet zasłużysz sobie na złoty sygnet Bractwa Dowódców.

– Nawet jeśli, to, jak wspomniałeś, będę musiał na to zasłużyć. Tak jak wszyscy inni.

Książę wzruszył ramionami, odszedł kilka kroków i usiadł pod drzewem. Duncan przez chwilę przyglądał mu się, po czym mimowolnie przerzucił spojrzenie na zarośla.

– Nieładnie, panie przywódco – zaśmiał się jego towarzysz. – Poza tym między nami i nagimi niewiastami jest kilkadziesiąt

metrów takich zarośli.

– Ty jesteś, jak sądzę, zbyt doskonały, by o tym myśleć?

– Oczywiście, że o tym pomyślałem. Ale nie będę próbować przystawek, skoro w perspektywie mam główne danie. Clara jest damą, przywykłą do pewnych standardów. Ja te standardy spełniam i zaspokajam. Poza tym, bądźmy szczerzy, czemu miałyby na ciebie spojrzeć, mając obok mnie? Członkowie mojego rodu służyli w Zakonie od stuleci. Mam wśród przodków aż czterech Wielkich Mistrzów, wiedziałeś o tym? Ja planuję być piątym... Gdy tylko zdobędę płaszcz, liczę na jakiś porządny przydział i na to, że w krótkim czasie otrzymam miejsce w wiadomym Bractwie. Złoty pierścień pasuje do mnie o wiele lepiej niż taki z brązu. Oczywiście wcześniej zamierzam zostać tu szefem rekrutów, że o dobraniu się do naszej uroczej Clary nie wspomnę.

– Nie dostaniesz mojego stanowiska i naprawdę wątpię, byś dostał Clare. Ona zwodzi cię od miesiąca.

– To gra. Gra między mną i nią. A ty, niestety, stałeś się w tej grze pionkiem.

– Założmy się więc – wypalił rozmówca, zdenerwowany przechwałkami Księcia.

– Wszystko albo nic. – Na twarzy Nathaniela zagościł uśmiech triumfu. – Ten, kto zdoła zdobyć Clare, zostanie też dowódcą rekrutów. Jak ten głupi zakład Magnusa z Ulgarem, tylko z realnym wyzwaniem i prawdziwą nagrodą.

Duncan zawahał się, ale było już za późno.

– Zgoda – stwierdził wreszcie, podając rękę. – Kto zdobędzie Clare, ten zostanie dowódcą rekrutów.

*

– A my na nich i łup! – Ulgar machnął ręką w powietrzu, prezentując potężny cios toporem. – Nawet nie zauważyli, co ich rąbnęło. Z dwóch może padło, wszyscy się rzucili do ucieczki i tyle było z potężnego Legionu Imperialnego.

– Dupa to była, a nie legion – stwierdziła Matylda, wciągając ubranie na wciąż mokrą skórę. Było późne popołudnie, mimo to

wszyscy nadal siedzieli na nabrzeżu. Edwin grał jakąś spokojną melodię. – Banda chłopów zebranych na szybko i nazwanych wojskiem. Mnie się zdarzyło stanąć przeciw prawdziwym legionom, z południa. Uwierz mi, oni tak łatwo się do ucieczki nie rzucają.

– Jakby naszych spotkali, to tyle by ich było widać – nie rezygnował Nord.

– Gówna prawda, mówię. Legion, prawdziwy legion, to nie jakaś banda łupieżców. To niewzruszony mur tarcz. U nich nie ma bohaterów, co to z krzykiem na wroga się rzucają. Legion walczy w ciszy, jeden obok drugiego, jak jedno ciało. Jedyne, co od nich słychać, to gwizdki, którymi komendy wydają.

– A gdzie w tym chwała? Gdzie okazja do sławy? – upierał się Ulgar.

– Nigdzie. Oni nie walczą, by zdobyć chwałę. Biją się, by zniszczyć wroga. Uwierz mi, wikingu, służyłam kiedyś z bandą najemników w rebelii przeciw zarządcy imperialnemu w jakimś zapadłym księstwie na granicy Terytoriów Centralnych i Spornych Ziem. Jak doszło do bitwy, mieliśmy trzykrotną przewagę liczebną, mimo to rozbijaliśmy się o te tarcze jak fale o skały. Raz za razem, aż musieliśmy szarżować po stosach trupów. A potem ktoś gwizdnął i legioniści ruszyli równym krokiem, niczym jedna ściana. Po prostu zepchnęli nas z pola bitwy, a potem od flanki uderzyła w nas ciężka kawaleria. Nie było co zbierać – stwierdziła z mieszanką żalu i podziwu. – Gdyby nie to, że bab do legionu nie biorą, to już bym tam służyła.

– A gdzie teraz ten legion? – spytał Magnus, jakby z wyrzutem.

– Tam, gdzie Imperium – odpowiedział Ulgar z uśmiechem. – Gdzieś bardzo kurewsko daleko.

– Nie można winić Imperatorów za niemożność utrzymania terytorium po Pladze – stwierdził Lucius uczonym tonem.

Magnus prychnął.

– Jak służyłem w wojsku mojego księcia, to on zawsze powtarzał, że my poddani Imperatora jesteśmy. Nawet jakiegoś urzędnika z południa miał na dworze. Nazywali go logat, legat

czy coś takiego. Tak czy inaczej, jak wdaliśmy się w wojnę z sąsiednim władyką, to wszyscy mówili, że Imperium nam wsparcie przyśle. Ale po roku mój książę nie żył, a ten cały legat już następnego dnia oferował imperialną pomoc temu drugiemu. I tyle nam było z Imperium.

– Do nas, na północ, to nawet urzędnicy nie docierają.

– W Wolnych Miastach Zachodu wszyscy uważają się za obywateli Imperium i władcy poszczególnych miast nawet płacą co roku podatek dworowi w Smoczym Leżu – przyznał Edwin. – Ale jak sam Imperator rozkazuje ten podatek podnieść, to wszyscy zgodnie go ignorują. Tyle zostało z dawnej potęgi. Niemniej chciałbym tu zgromadzonym zwrócić uwagę, że wszyscy, jak tu siedzimy, mówimy jednym językiem. Może nasze akcenty są skrajnie różne i ja sam do dziś mam problem ze zrozumieniem połowy słów, które opuszczają usta naszego towarzysza z północy, ale nadal jest to ten sam język. Język Imperium, w którym spisane są księgi, dekrety i umowy handlowe. Język świętych ksiąg Deusa, modlitw i kazań. Język kupców i bardów, przemierzających nasz świat. Język, w którym śpiewa się stare pieśni i opowiada legendy. Wreszcie język, którym posługiwali się ludzie, którzy zbudowali te wspaniałe ruiny, tak gęsto rozsiane po okolicy. Mało tego! Wszędzie, gdzie zdarzyło mi się dotrzeć, spotykałem monety wzorowane na dawnej walucie Imperium. Wszyscy, jak tu siedzimy, w dzieciństwie słyszeliśmy legendę o tym, jak Pierwszy Imperator zwyciężył smoka i założył Smocze Leże. Wydarzenie, które przed Plagą uznawano za pierwszy rok nowej ery, początek historii. I co najważniejsze, wszyscy tu czujemy wyraźną różnicę między nami a dzikusami mieszkającymi dalej na wschodzie, za Wielką Puszcza i Wielkimi Górami. Ponieważ oni nie mówią tym językiem, nie znają tej legendy i nigdy, nawet przez chwilę, nie byli częścią Imperium.

Bard uśmiechnął się triumfalnie, widząc zgodę na twarzach towarzyszy.

– Możemy więc narzekać na Imperium, ale mimo wszystko i tak nadal czujemy się jego częścią – dokończył.

– Tak czy inaczej, nie ma straszniejszego widoku niż legion –

powiedziała Matyllda. – Jakby ten cały Imperator miał ich więcej, to może byśmy byli jego poddanymi w czymś więcej niż tylko nazwie.

– A Żniwiarze? – spytał po chwili Ulgar. – Oni są straszniejsi.

Lucius słyszał historie o tych wojownikach: Bractwo Egzekutorów, zbrojne ramię Zakonu, skupiające najlepszych, najbardziej zabójczych wojaków.

– Nigdy tak naprawdę nie widziałam żadnego – przyznała z ociąganiem Matyllda.

– Jasne, że nie. Tylko jeden na sto Szarych Płaszcy dostaje srebrny pierścień z kostuchą – stwierdził Edwin z uśmiechem.

– Właściwie to raczej jeden na dziesięciu – wtrącił Mnich, najwyraźniej przegapiając sarkazm w wypowiedzi towarzysza. – Choć biorąc pod uwagę liczbę członków Straży, to i tak dosyć niska...

– Ja raz widziałem Żniwiarza – wtrącił Ulgar. – Przyszedł do naszej wioski, jak byłem mały. Wyglądał jak obdarty dziad, ale kiedy tylko pokazał pierścień, zaraz wszyscy się przed nim płaszcyć zaczęli. Próbowali udawać hardych, ale jasno widziałem, jacy wszyscy przerażeni byli. A to jeden staruch był. Pomyślałem wtedy, że oto jest prawdziwa siła.

– To już wiemy, jaką drogę kariery planuje nasz Nord.

– Żebyś wiedział, Śmieszku. Dostanę ten srebrny pierścień. Jeszcze będą mnie prosić, żebym go założył.

– Ktoś chce się założyć, że prędzej Magnus dostanie złoty sygnet Paladyna? – spytał trubadur, wyraźnie rozbawiony sytuacją. Nikt nie zdecydował się przyjąć zakładu. – Poza tym najpierw chyba musisz ogólnie załapać się do Straży. A słyszałeś Olafa, daje radę tylko czterech na dziesięciu rekrutów.

– A jak! I ja na pewno będę jednym z tych czterech. Wy wszyscy możecie co najwyżej walczyć o pozostałe trzy miejsca.

– Wiesz, z tymi czterema na dziesięciu to nie jest do końca tak – sprostował Mnich. – To raczej figura statystyczna, niekoniecznie odzwierciedlająca faktyczny stan rzeczy.

Wyraz całkowitego braku zrozumienia, malujący się twarzy Norda, zmusił Luciusa do próby uproszczenia:

– To znaczy, że to niekoniecznie jest nasza dziesiątka. Pomyśl

o tym raczej jak o... ośmiu na dwudziestu, albo czterdziestu na stu. To znaczy, że teoretycznie możemy się załapać wszyscy albo nikt z nas. To statystyka.

– To czemu Olaf powiedział, że czwórka się załapie? – dopytywał Ulgar.

– Powiedział też, że dwójka zginie – zauważył Śmieszek.

– Tak, ale pomyślałem sobie, że może jeden z tych, co umrą, to ten dziesiąty, co go tu nie ma, bo pewnie jest w innej komandorii.

– A co, jak on jest jednym z tych czterech, co się załapią? Pomyślałeś o tym?

– To wtedy zostały tylko dwa miejsca dla reszty z was.

– Ale pomyśl o tym: z punktu widzenia statystyki możliwe, że to ty jesteś tym dziesiątym z innej dziesiątki?

Nord podrapał się po głowie.

– Statystyka to jakaś pojebana bzdura jest.

– To nie tak – wtrącił się Mnich. – Słuchaj. Dostanie się ileś osób, najpewniej będzie to faktycznie czwórka, ale istnieje możliwość, że będą trzy osoby albo pięć. Cztery to nie jest ustalona liczba, jedynie najbardziej prawdopodobna.

– Wciąż myślę, że to jakieś pierdolenie jest – uparł się Ulgar. – I tylko mnie łeb od tego boli. O czymś normalnym pogadajmy.

– Jak to możliwe, że Żniwiarze wzbudzają takie przerażenie? – spytał po chwili zastanowienia Lucius. – Przecież to tylko ludzie. Może walczą dobrze, ale Brutus, mnich, który uczył mnie władania mieczem, zawsze powtarzał, że prędzej czy później każdy trafi na lepszego od siebie.

– Kiedyś w Błękitnym Porcie widziałem, jak całe zamieszki skończyły się, bo ktoś puścił plotkę, że Zakon ma zamiar wysłać Żniwiarzy. Tak już jest. Siła mitu. Ludzie wierzą, że Żniwiarze są niepokonani, podobnie jak wierzą, że Kruki znają odpowiedź na każde pytanie, a Paladyni potrafią wygrać każdą bitwę. Zakon przez stulecia o to zadbał.

– Wracają – stwierdził Magnus, wskazując odbijającą od wyspy łódź z czwórką pasażerów.

– Najwyższa pora – podsumowała Matylda. – Jedźmy się wreszcie zabawić. Od tego gadania zaschło mi w gardle.

Wszyscy zgodnie wstali i ruszyli w kierunku baraków. Magnus został trochę w tyle, zagadując do Edwina:

– Tak się zastanawiam. Jak to jest, że Imperium upadło, legionów nigdzie nie widać, nawet kapłani Deusa tu na wschodzie to rzadki widok, a Szara Straż nadal jest?

– Dobre pytanie – odpowiedział bard. – Powinniśmy je zadać Wielkiemu Mistrzowi, jak będzie nam wręczał płaszcze.

*

Uczta odbywała się w Kamiennej Sali, na szczycie wzgórza. Za długimi ławami zasiadło zdecydowanie więcej ludzi, niż przewidzieli to konstruktorzy budowli. Niemal wszyscy mieszkańcy Nowej Wioski, większość ludzi mieszkających w okolicy, liczni goście z okolicznych osad i Szara Straż. Podliczając: grubo ponad trzy setki ludzi.

Okazja była jednak szczególna. Dokładnie bowiem dwadzieścia lat temu pierwsi osadnicy osiedlili się dookoła wzgórza. Stoły uginały się wręcz od jedzenia, głównie dziczyzny, dostarczonej przez okolicznych łowców. Zwierzyna była jedną z niewielu rzeczy, na brak których ta okolica nie mogła narzekać.

Olaf i Duncan siedzieli przy głównym stole, na końcu sali, obok sędziego Adriana i starszego Nowej Srebrnicy, Borsa. Reszta rekrutów rozsiadła się po pomieszczeniu. Ogień wesoło tańczył w wielkim palenisku na środku sali, grupa grajków tworzyła kakofoniczny rozgardiasz, który i tak nie był w stanie przebić się przez gwar toczących się rozmów. Kobiety plotkowały, mężczyźni dyskutowali, Nathaniel i Cassandra otwarcie ziewali, Clara i Edwin udawali wielkie zainteresowanie, zaś Matyllda i Ulgar pili, przekrzykując się sprośnymi żartami. Lucius starał się pozostać niezauważony, a Magnus oganiał się od kobiet. Przy głównym stole Olaf pochłaniał jeden kufel piwa za drugim, przerywając tylko, by wyjść w celu opróżnienia pęcherza. W tej sytuacji to Duncan, jak zwykle, wziął na siebie obowiązek podtrzymywania rozmowy.

Dzielnie konwersował na temat zbiorów, prawa, planów otwarcia dawnej kopalni, urody miejscowych dziewczek (uważając

przy tym, by nie dać się z żadną wyswatać) i chorób wieku podeszłego, które coraz mocniej dawały się we znaki włodarzom okolicznych osad. Kiedy wreszcie nadszedł czas na tańce, z umiejętnie skrywaną ulgą przeprosił swoich rozmówców i dołączył do grupy ludzi zmierzających na zewnątrz. Kamienna Sala ledwie mieściła tych wszystkich gości, kiedy siedzieli, ale nie miała najmniejszych szans w starciu z tańczącymi.

Na łące obok wioski rozpalono wielkie ogniska. Rozgrzani już grajkowie zaczęli grać na tyle szybko i skocznie, że mało kto zwracał uwagę na zdarzający się od czasu do czasu fałsz, a przelany na uczcie alkohol zwiększał atrakcyjność potencjalnych partnerów do tańca. Wszystkie warunki dobrej zabawy były więc spełnione.

Magnus i Matylda przeskakiwali od jednego partnera do drugiego, zatrzymując się tylko na kolejny łyk piwa. Ulgar starał się nadążyć, lecz taniec wyraźnie nie był jego mocną stroną. Cass tańczyła samotnie gdzieś na uboczu, podczas gdy reszta rekrutów rozsiadła się na drewnianym stoliku obok jednego z ognisk.

– Ta muzyka jest okropna – poskarżył się Edwin. – Istny kakofoniczny zamach na dobry gust każdego z choć jednym sprawnym uchem. I nawet alkohol nie pomaga.

– Jest w tym jednak pewna... pierwotna siła – stwierdziła Clara. – Plebejska wolność.

– Raczej plebejski chaos – sprzeciwił się Nathaniel. – Mój nauczyciel tańca dostałby na ten widok zawału.

– Claro. – Duncan wyłonił się spośród tańczących ludzi i ukłonił w iście dworskim geście. – Masz ochotę zatańczyć?

Dziewczyna uśmiechnęła się i podała mu rękę, ruszając w szalony taniec.

– Pierwotna siła i plebejska wolność – stwierdził Edwin, uśmiechając się znacząco do Nathaniela.

– Znasz zapewne wiele tańców dworskich z Wolnych Miast – przerwał mu Nathaniel, ni to pytając, ni stwierdzając.

– Ośmielę się powiedzieć, że wszystkie. Czemu pytasz?

– Idź do tych grajków i zmuś ich, by zagrali coś przyzwoitego, coś dobrego do gawota.

– Nie będzie łatwo. – Bard zastanawiał się przez chwilę. – Może jakąś prostą wersję, odpowiednią dla tych wszystkich piszczałek. Gdybyś dał mi więcej czasu...

– Edwin!

– *Błękitna Łania*, zwana też Gawotem Karczemnym. Wersja niezbyt subtelna i całkowicie pozbawiona polotu, ale z tych pseudomuzyków więcej nie wycisnę – stwierdził Śmieszek z żalem.

– Ruszaj więc.

– No cóż, pozostaje jeszcze pytanie, czemu miałbym ci pomóc?

– Ponieważ to jedyny sposób, byś usłyszał dziś choć odrobinę przyzwoitej muzyki. Jak również dlatego, że być może już niedługo będę dowódcą rekrutów. I, co najważniejsze, ponieważ cała ta sytuacja cię bawi.

Śmieszek uśmiechnął się i ruszył w kierunku podestu dla muzykantów.

Taniec był szybki i skoczny. Duncan nie był nigdy zbyt miłośnikiem wiejskich potańcówek, ale przez lata nauczył się ukrywać to pod maską entuzjazmu. Clara wydawała się naprawdę dobrze bawić. Była w swoim żywiole. Kiedy muzyka wreszcie zamarła, była cała czerwona i roześmiana, a jej piersi falowały w szybkich oddechach, jeszcze bardziej uwypuklonych przez skryty pod sukienką gorset. Duncan miał już nachylić się i szepnąć jakiś komplement, kiedy nad tłum wzniosł się głos Edwina.

– Przepraszam, przepraszam! Proszę o uwagę! Teraz coś nowego i nieznanego w tych stronach! Prosto ze szlacheckich dworów Wolnych Miast Zachodu, *Błękitna Łania*! – Zaczął grać na swojej lutni, podczas gdy pozostali grajkowie dołączali powoli i trochę niezgrabnie.

Duncan od razu wyczuł, co nadchodzi i nie pomylił się. Niczym w jakiejś sztuce teatralnej tłum rozstał się, przepuszczając księcia Nathaniela Eversona. Ten z istic dworskimi manierami poprosił Clary do tańca i, rzecz jasna, nie spotkał się z odmową. I jak w bajce, książę i księżniczka tańczyli z gracją i arystokratyczną godnością. On prowadził pewnie, ona podążała

za nim wdzięcznie, podczas gdy ludzie dookoła zatrzymywali się, patrząc na ten nowy, nieznany tu widok. Po chwili dowódca rekrutów miał dosyć. Odwrócił się, minął duże ogniska i podążył z powrotem w kierunku Kamiennej Sali i starców rozprawiających o bolesnych żylakach.

*

Briana miała na sobie białą lnianą sukienkę. Pot przyklepił ubranie do ciała, uwydatniając kształty.

– Więc? – spytał Edwin, przekrzykując muzykę.

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się Luciusowi, potem przerzuciła spojrzenie na Magnusa.

– Będę bardzo wdzięczny – stwierdził z ociąganiem Wielkolud.

To najwyraźniej wystarczyło, panna złapała Mnicha za rękę.

– Choć ze mną, znam odpowiednie miejsce – powiedziała, uśmiechając się zalotnie. Jej oddech zalatywał przedziwną mieszanką wina i czosnku. Mężczyzna odpowiedział skinieniem głowy i ruszył za nią, niepewnie spoglądając za swoimi towarzyszami, którzy wyraźnie zadowoleni z siebie podążyli z powrotem pomiędzy tańczących.

Zaprowadziła go do jakiejś szopy na uboczu wioski. Po drodze skupił wzrok na jej pośladkach opiętych ciasną sukienką. Niewiasta była tęższa od niego, ale nie posunąłby się do określenia jej otyłą. Kiedy odwracała się do niego i uśmiechała, widoczny stawał się brak co najmniej dwóch zębów. Zauważył też pieprzyk na jej szyi, który niekiedy znikał zakryty długimi włosami koloru słomy. Szła bosą i jej drobne stopy oblepione były ziemią. Odśloniętą do połowy łydek skórę znaczyły ugryzienia komarów.

Wepchnęła go do środka, niezbyt delikatnie, i rzuciła na gęstą warstwę słomy. Przez otwory między deskami wpadało światło z odległych ognisk, szatkując wnętrza liniami jasności.

– To twój pierwszy raz? – spytała, zamykając za sobą drzwi.

– Tak – odpowiedział nieśmiało, ale potem przypomniał sobie liczne rady, których udzielali mu Edwin i Ulgar, powtórzył więc głośniej i z większą pewnością siebie: – Tak.

Dziewczyna podeszła i położyła się obok niego.

– Ty byłeś mnichem, prawda? To nie będzie grzech? – zmartwiła się.

– Nie złożyłem świąceń – wyjaśnił, lecz nie dostrzegł na jej twarzy zrozumienia. – Nigdy naprawdę nie byłem zakonnikiem.

Przyszło mu do głowy, że brak ślubu i tak czynił to nierządem, ale nie dodał tego. Kiedy leżała tak blisko, czuł jej zapach, pot i ziemię. Mimowolnie jego wzrok zaczął rejestrować szczegóły. Jej skóra była spalona słońcem, trochę pomarszczona i porowata. Nie przypominała gładkiej i bladej cery Clary. Do tego jedną brew miała szerszą od drugiej, choć to mogło być złudzenie, wywołane pręgą światła padającą na środek kobiecej twarzy.

– Dobra, załatwmy to szybko, chcę jeszcze potańczyć – stwierdziła Briana, podnosząc się i siadając na nim. – Ty tańczysz?

– Nie.

– Szkoda, ten wasz ksiączę z południa ładnie płaś. – Wprawnie zaczęła rozwiązywać sznurki na plecach.

– Możemy porozmawiać? – spytał.

– A o czym tu gadać? – zdziwiła się.

– Chciałbym cię poznać... masz na imię Briana, tak? Pochodzisz stąd? Z Nowej Wioski?

– No. Ojciec pole uprawia, niewielkie jest, ale nam wystarcza, mam dwóch braci... – zawahała się. – I jeszcze krowę mamy – dodała po chwili. – I trochę kur... No. Co tu wiedzieć więcej? – Rozluźniła wystarczająco sznurki i pozwoliła, by materiał zsunął jej się z ramion.

Lepka od potu skóra zaburzyła płynność tego ruchu, ale ostatecznie udało jej się uwolnić piersi spod materiału. Nie mając innego porównania, Lucius musiał stwierdzić, że były trochę mniejsze od tych Matyldy i nieco bardziej obwisłe. Przez chwilę gapił się na nie, nie mając pojęcia, co dalej. Briana spoglądała na niego z wyraźnym wyczekiwaniem, jakby spodziewała się jakiegoś gestu lub wyrażenia opinii.

– Ładne – stwierdził niepewnie.

Od razu zdał sobie sprawę, że nie tego oczekiwała.

– Może ty chcesz wiedzieć, coś o mnie? – spróbował zmienić

temat, nadal nie odrywając wzroku od jej sutków. Nie był pewien, czy powinien na nie patrzeć, ale było to zdecydowanie łatwiejsze, niż spoglądanie w oczy. Na to nie mógł się zdobyć żadną miarą, mimo rad Edwina.

– Tylko co masz w portkach – odpowiedziała, rozbawiona tym pytaniem, po czym zabrała się za rzemienie utrzymujące na miejscu jego spodnie.

– Ale myślę, że powinniśmy się jakoś poznać, zanim...

Dziewczyna złapała jego dłoń i położyła sobie na piersi. Z gardła Mnicha wyrwał się cichy jęk. Briana uśmiechnęła się, znów prezentując ubytki w uzębieniu, a potem na jej twarzy zagościło rozczarowanie.

– Właśnie skończyłeś, co?

Lucius potwierdził, kiwając głową. Nie mógł się zdobyć na słowa.

– Zawsze, kurwa, to samo.

Doprowadziła sukienkę do jako takiego porządku i gniewnie wyszła na zewnątrz, trzaskając za sobą drzwiami.

– Przepraszam – stwierdził Lucius, trochę za późno, ale za to szczerze.

*

Duncan spoglądał na płasających ludzi, siedząc przy wejściu do Kamiennej Sali. Nie mógł się zdobyć na kolejną dyskusję ze starcami, nie miał też ochoty wracać na tańce. Spędzanie czasu w tłumie nigdy go szczególnie nie bawiło. Potrafił niezle tańczyć i opowiadać żarty, podtrzymywać dyskusję i flirtować z dziewczynami, ale pierwsze trzy czynności nigdy nie sprawiały mu prawdziwej przyjemności, a na ostatnią nie miał w tej chwili ochoty.

– A, tu jesteś – stwierdził Olaf, wytaczając się chwiejnie z budynku. – Zostawiłeś mnie samego z tymi staruchami.

– Myślę, że radzisz sobie świetnie.

– Bzdura, musiałem ich spić, by się wreszcie zamknęli. Rozkazy mówiły o utrzymywaniu porządku, nie o gadaniu o bzdurach z bandą dziadów. I nikt z nich nie jest nawet równie

stary jak ja – stwierdził z wyrzutem, po czym odwrócił się i zaczął walczyć ze sprzączką pasa.

Duncan wrócił do obserwowania tańczących. W tłumie trudno było mu z tej odległości wyłapać Nathaniela i Clare.

– Być może będę zmuszony ustąpić ze stanowiska dowódcy rekrutów – stwierdził niechętnie.

– To już zależy od mojego widzimisię – odpowiedział jego przełożony, opróżniając pęcherz. – Nie od jakiegoś cholernego zakładu.

– Wiesz o zakładzie?

– Oczywiście, że wiem. Edwin przybiegł do mnie, jak tylko mu powiedziałaś. Najwyraźniej ma więcej oleju w głowie od ciebie.

– Ale moje słowo...

– W dupie mam twoje słowo – powiedział twardo Olaf, wciągając spodnie. – Nie potrzebuję twojego honoru, tylko twojej pracy. Powiedz mi, chłopcze – naprawdę myślisz, że Książę nadaje się na dowódcę?

– Jest lepiej wyszkolony niż ja i...

– Chuj mi z jego wyszkolenia. Ty naprawdę jeszcze nie zrozumiałaś? Posłuchaj uważnie. Książę ma w dupie tych ludzi, cała okolica może spłonąć i on się tym nie przejmie, dopóki będzie mógł się popisać i dostać płaszcz. Tak samo jest z pozostałymi, oni wszyscy są tu, bo muszą, bo to dla nich jedyna droga. Jednak to, czy otrzymacie płaszcze, nie zależy od powodzenia tego przedsięwzięcia. Cholera, nawet ja mam to w dupie! Powinienem być teraz w Komandorii 11. Wiesz, co to Komandoria 11?

– Dom Starców.

– Otóż to. Ciepły, suchy zameczek, daleko na południu, nad morzem, z dala od jakichkolwiek kłopotów. Specjalnie po to, by takie skamieliny jak ja mogły w spokoju przeżyć ostatnie lata. Miałem tam właśnie wygrzewać moje sędziwe kości, ale ten skurwiel, Wielki Mistrz, powiedział: „Wypełnij jeszcze to jedno zadanie”. A ja jestem żołnierzem, jak dostaję rozkaz, to go wykonuję. Więc oto jestem, niańcząc bandę dzieciaków na krańcu świata. Kurwa! Wstaję do nocnika po trzy razy w nocy, staje mi już tylko od święta i mam naprawdę głęboko w dupie,

czy ta cała okolica spłonie.

Splunął i podjął:

– Niezależnie od tego, czy nasze zadanie tu się powiedzie, czy nie, ja za rok będę w drodze nad morze. – Uśmiechnął się do tej myśli. – A w międzyczasie mam zamiar pić. Pić sporo. Dlatego potrzebuję kogoś, kto ogarnie ten burdel.

Wskazał dookoła siebie.

– A jako że ty jesteś jedyną osobą na tyle głupią, by się przejmować, praca jest twoja.

– A co, jeśli jej nie chcę?

– Chcesz. Widziałem, jak gadałeś z tymi spierniczałymi dziadami. Nie mam pojęcia, czemu, ale w przeciwieństwie do reszty z nas tobie naprawdę zależy na tym, by ta misja się udała. Dlatego ty jesteś dowódcą. Zaczynaj się zachowywać, jak przystało na tę funkcję, bo uwierz mi, ta banda brudnych chamów nie ma nikogo innego.

*

Mnich powoli otworzył drzwi i wygramolił się na zewnątrz. Nie był pewien, ile dokładnie minęło czasu. Miał wrażenie, że cała wieczność. Raczej nie robił sobie wielkich nadziei na dyskrecję Briany. Wolnym krokiem ruszył w kierunku ognisk i muzyki.

– Mógłbyś pomóc – odezwał się jakiś głos.

Odwrócił się i dostrzegł dziewczynę, ładującą beczkę na wóz.

– Przepraszam – stwierdził Mnich i pośpiesznie ruszył jej na pomoc. – Zagapiłem się.

– Aha. – Dziewczyna wydawała się znudzona jego wyjaśnieniami. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, skąd ją zna. To była Amelia, służąca u Starego Nolana – właściciela wozu.

– Jestem Lucius – stwierdził, kiedy beczka, na szczęście w połowie pusta, znalazła się na swoim miejscu.

– Wiem – odpowiedziała niewiasta, zeskakując z wozu i podchodząc do pozostałej części ładunku.

– Ty jesteś Amelia.

– To też wiem. – Spojrzała na niego wyczekująco. Mężczyzna dopiero po chwili zreflektował się i zeskoczył, by jej pomóc. Po

tym niezręcznym początku nie za bardzo wiedział, co powiedzieć. Przyszło mu do głowy, by pochwalić się faktem, że należy do Szarej Straży, ale o tym też na pewno wiedziała. W blasku stojącej obok pochodni jej oczy wydawały się niezwykle błękitne. Pachniała winem i kwiatami.

– Dziękuję – stwierdziła Amelia, kiedy wtoczyli ostatnią beczkę. Na szczęście wszystkie, poza pierwszą, były puste.

– Nie ma sprawy... Jestem tu, by pomagać... I bronić...

– Aha – odwróciła się i odeszła kilka kroków.

Już myślał, że tak po prostu sobie pójdzie, ale zatrzymała się pod ścianą pobliskiej chaty i zaczęła podnosić z ziemi kształt, który po chwili okazał się Starym Nolanem. Lucius natychmiast popędził na ratunek.

– Jest trochę pijany – zauważył.

– Myślisz?

– Tak... to znaczy... Aha, to był sarkazm. Sprytne.

– Widzę, że ty jesteś tym wykształconym, o którym wszyscy mówią. – Uśmiechnęła się.

– Naprawdę mówią? Aha, no tak, znów sarkazm. – Położyli mężczyznę na wozie.

– Masz w komandorii sporo książek? – spytała nagle Amelia.

– Nie powiedziałbym, że sporo. Jak na standardy tej okolicy, to faktycznie można powiedzieć, że...

– Mogłabym coś wypożyczyć?

– Oczywiście... Umiesz czytać?

– Nie, po prostu lubię obrazki.

– Nie wiem, na ile są w nich... Sarkazm. Masz zamiar jechać teraz? Jest ciemno...

– Jest bezchmurne niebo, a księżycowi brakuje tylko kilka dni od pełni. Droga do naszego domu wiedzie prosto traktem. Bal skończony, ktoś musi położyć go do łóżka. – Wskazała na starca.

– A jego wnuczki? – Lucius rozejrzał się odruchowo.

– One raczej wrócą nad ranem. Doceniam troskę i uważam, że jest nawet urocza, ale nie potrzebuję rycerza w lśniącej zbroi.

– To dobrze, bo zdecydowanie nie jestem rycerzem...

Amelia pochyliła się i pocałowała go w usta. Potem uśmiechnęła się, pogoniła konie.

– Wstąpię kiedyś po te książki – powiedziała, odjeżdżając.

*

Muzycy grali już spokojniej. Późna pora sprawiła, że dzieci i dorośli zaczęli opuszczać łąkę, zostawiając miejsce tym, którzy znajdowali jeszcze resztki sił. A nawet ci rozchodzili się ukradkiem, oddalając się co najwyżej parami.

– Zaskakująco udany wieczór – stwierdził Nathaniel, spoglądając na oddzieloną od niego stołem Clare.

– Zdecydowanie – odpowiedziała z uśmiechem. – Choć trzeba przyznać, że wieczór przerodził się w noc.

– Faktycznie. Może powinniśmy wrócić do komandorii i pomyśleć o jakimś przyjemnym zakończeniu?

– Cóż takiego możesz mieć na myśli, mój Książę? – spytała niewinnie.

– Jestem pewien, że znajdziemy sposób na umilenie sobie czasu przed snem.

– Opowiadanie historii?

– To niesamowite, jak niezwykle historie można opowiedzieć ustami. – Nachylił się nad stołem, zbliżając swoją twarz do jej.

– Drogi Nathanielu, to zabrzmiało niemal nieprzyzwoicie. – Powtórzyła jego ruch, dodatkowo uwydatniając swój dekolt.

– Zaraz się porzygam – stwierdziła siedząca obok Matyllda.

Cassandra ją uciszyła:

– Chcę zobaczyć, jak to się skończy.

– To jasne, jak się skończy, tylko nie wiem, po co tyle gadania o niczym.

– Najwyraźniej, droga Matylldo, nie rozumiesz idei flirtu – powiedziała Clara. – Nathanielu, kontynuuj. Co się stało? Czyżbyś nie radził sobie z występami przed publicznością?

– Zapewniam, pani, że radzę sobie w każdych warunkach.

– Deusie! Idźcie wreszcie w jakieś krzaki czy coś.

– Nie widzę, byś opędała się od mężczyzn. Ciekawi mnie, czemu? – powiedział Książę z irytacją.

– Jakbym chciała, mogłabym mieć dowolnego chłopca bez tych wszystkich ceregieli.

Matylda wstała i rozejrzała się. Wreszcie podeszła do większej grupy młodych osadników. Przez chwilę przyglądała się Manfreyowi, potężnie zbudowanemu dowódcy wiejskiej milicji.

– Ściągaj spodnie – nakazała wreszcie.

– Co?

– Nie będę kupować kota w worku. Ściągaj gacie.

– Ale o co...

– Gacie w dół! – Coś w głosie Matyldy sprawiło, że mężczyzna natychmiast opuścił spodnie na znak pełnej kapitulacji. Matylda przez chwilę przyglądała się badawczo. – Starczy – stwierdziła wreszcie. – Chodź się chędożyć.

– Ale... dobra. – Wciągając spodnie, Manfrey podążył za nią w ciemność.

Pozostali zgromadzeni przez chwilę przyglądali się temu z pewną dozą osłupienia.

– No dobrze, jestem na tyle męski, by przyznać, kiedy się myłę – stwierdził wreszcie Nathaniel. – Może też powinienem spróbować tak bezpośredniej metody?

– Tylko jeśli chcesz zostać spoliczkowany – ostrzegła z uśmiechem Clara. – A teraz, drogi Nathanielu, chyba czas, byś odprowadził damy na spoczynek, jak przystało na szlachetnego rycerza.

– Oczywiście. Choć obawiam się, że najpierw będziemy musieli szlachetnie wyciągnąć naszego dowódcę spod jakiegoś stołu.

*

Duncan pociągnął kolejny łyk samogonu, w ciszy przyglądając się, jak Nathaniel, Clara i Cassandra zmierzają do Kamiennej Sali. Słowa Olafa nadal odbijały mu się w głowie. Alkohol, wbrew nadziejom, nie pomógł. Patrząc na Clare, odruchowo pomyślał o dziewczynie, z którą spotykał się podczas ostatniego przydziału jego ojca, w Komandorii 34, gdzieś daleko na północy. Było tam cholernie zimno, ale tym łatwiej mógł przekonać ją, by ogrzewała go własnym ciałem. Kiedy wyjeżdżał, obiecał, że wróci. Ciekawe, czy nadal czekała? Ona i wszystkie inne.

– Hej, ty! – Jokov wyszedł spomiędzy chat. Jego krok był

chwiejny a mowa niewyraźna, ale nóż w dłoni dobitnie świadczył o niezbyt przyjaznych zamiarach. – Zniszczyłeś mi życie.

– To raczej zrobiłeś sobie sam – odpowiedział spokojnie Szary Strażnik.

– Przez ciebie muszę wziąć tę sukę!

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim się z nią przespałeś.

– Pierdol się, to nie mój bachor. Pół okolicy ją miało – chłopak podszedł na wyciągnięcie ręki.

– Ale to ty się z nią ożenisz, a teraz odejdz, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Jokov wrzasnął, rzucając się na mężczyznę. Dowódca rekrutów bez trudu uniknął ciosu. Złapał rękę napastnika i wykręcił ją, równocześnie wprawnym ruchem obalając chłopaka i przygważdżając do ziemi.

– A teraz słuchaj uważnie, kurwisynu. Powinienem ci złamać rękę za to, że podniosłeś ją na mnie, ale nie skażę twojej przyszłej żony na życie z kaleką. Za to, jeśli kiedykolwiek ją skrzywdzisz, obrazisz, zrobisz cokolwiek, czeka cię więcej tego. – Docisnął kolanem kończynę, aż chłop jęknął z bólu.

Po chwili dodał:

– Dla Poliny masz być jak święty, rozumiesz?

Rekrut puścił go.

– A teraz idź się przespać i wytrzeźwieć. Następnym razem pamiętaj, że ja całe życie ćwiczylem zabijanie ludzi, podczas gdy ty ćwiczyleś sadzenie rzepy. Rozumiesz?

Mężczyzna nie odpowiedział. Podniósł się z trudem, trzymając bolącą rękę. Jego wzrok tylko na moment zatrzymał się na leżącym obok nożu. Duncanowi tyle wystarczyło. Potężny kopniak trafił prosto w nos, łamiąc go z głośnym chrupnięciem. Jokov padł na plecy, łapiąc się za twarz. Najpierw wrzasnął, potem zaczął cicho prosić o litość, podczas gdy krew powoli spływała mu z twarzy na ziemię. Było to żalosne, tak absurdalnie żalosne. Jego przeciwnik, jakby już od niechcienia, dodał jeszcze kilka kopniaków w korpus.

– Leżeć, pies! I już nigdy więcej nie podnoś ręki na lepszych od siebie.

Odpowiedzią było tylko niewyraźne jęknięcie. Duncan splunął i

ruszył w kierunku Kamiennej Sali.

Kiedy wszedł do środka, w pomieszczeniu było niemal pusto. Ogień nadal rządził na palenisku, oświetlając niedobitki wśród trzeźwych i kilka ofiar zalegających pod ławami. Cass chodziła po jednym ze stołów, podczas gdy Clara próbowała ją przekonać, że nie tak zachowują się damy. Nathaniel siedział na ławie blisko drzwi, dopijając wino z jakiegoś kubka.

– Nasz nieustraszony przywódca! Najwyższa pora – stwierdził.
– Ktoś musi wyciągnąć Olafa spod stołu...

Adresat jego słów milcząco podszedł bliżej i kopniakiem obalił ławę. Księżę poleciał do tyłu, niezbyt wdzięcznie machając rękoma. Wylądował plecami na podłodze, ale zanim mógł się podnieść, napastnik postawił mu stopę na piersi.

– Ja jestem dowódcą rekrutów, koniec historii. Następnym razem, kiedy podważysz mój autorytet, każę cię publicznie wychłostać. I uwierz mi, nikt się temu nie sprzeciwi. Głównie dlatego, że tak naprawdę nikt cię tu nie lubi. A teraz wyciągnij Olafa spod stołu i wsadź na konia. Reszta może jeszcze zostać, ale ty masz rano patrol.

Przez chwilę wydawało się, że szlachcic jakoś odpowie, ale ostatecznie zrezygnował. Duncan uśmiechnął się triumfalnie. Dokładnie w tym momencie z zewnątrz dobiegły ich krzyki.

*

Lucius powoli wkroczył pomiędzy ogniska. Widział, jak Nathaniel, Clara i Cassandra odchodzą w kierunku Kamiennej Sali. Przez chwilę rozważał, czy nie podążyć za nimi, ale wreszcie wygrała w nim ta część, która chciała pochwalić się Edwinowi spotkaniem z Amelią. Podszedł więc bliżej miejsca, gdzie usadowiła się Straż. Magnus siedział na stole, z dwiema dziewczynami na kolanach. Jednej Mnich nie poznawał, druga była którąś z Nolanówien. Bard siedział obok, przygrywając na lutni. Ulgar, wyraźnie pijany, spoczywał na ziemi, szczerząc się do mijających go dziewczek.

– A oto nasz rumak wyścigowy – zażartował Nord na widok Luciusa.

Mnich dopiero teraz przypomniał sobie swoje wcześniejsze fiasko. Odruchowo rozejrzał się i zobaczył Briane, wtuloną w jakiegoś mężczyznę kilkanaście metrów dalej. Dziewczyna nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

– Nie słuchaj Ulgara, każdemu mogło się to zdarzyć – stwierdził Edwin, ruchem ręki zapraszając do zajęcia miejsca obok.

– Więc wam też? – spytał chłopak z nadzieją.

– Nie – usłyszał.

– Nigdy – kolejne zapewnienie.

Leżący wojownik po prostu wybuchnął śmiechem.

– Ale w sumie i tak żaden z nas by się do tego nie przyznał publicznie – zauważył Śmieszek. Lucius spuścił głowę w nadmiernie dramatycznym geście rezygnacji. Stracił już ochotę, by opowiadać o tajemniczej Amelii, która pachniała winem i kwiatami oraz wiedziała, co znaczy słowo sarkazm.

– Jest – stwierdził nagle Ulgar i z pewnym trudem dźwignął się na nogi. – Teraz patrzcie, jak to się robi!

Po czym zawołał głośno i ruszył w kierunku pary, która właśnie wkraczała w krąg światła, najwyraźniej wracając po wizycie w intymności mroku.

– To powinno być zabawne – stwierdził Edwin.

– Jest tak zalany, że nawet jakby chciał, to już raczej nie ma co pokazać – podsumował z rozbawieniem Magnus.

– Hej, ty... dziewczko. – Ulgar zagroził parze drogę. – Maliana, tak? To twój szczęśliwy dzień... noc...

– Nie, dzięki – odpowiedziała dziewczyna, próbując go ominąć.

– No co ty... Założyłem się. – Dosyć niezgrabnie złapał ją za rękę.

– Puszczaj!

– Hej, puść ją! – zareagował chłopak.

– Ty się nie wtrącaj...

– Twoja technika podrywu chyba trochę nie działa – zaśmiał się któryś z rekrutów.

– Ty się morda... A ty... chłopcze... – Syn Wulgara całkowicie zignorował fakt, że obydwaj byli w podobnym wieku. – Tobą się zajmę później.

Edwin i Magnus wybuchli śmiechem. Wiking wydawał się tego nie zauważać.

– No chodź, mała! – nalegał.

– Zostaw mnie! – Dziewczyna spoliczkowała go. Cios jakby na chwilę otrzeźwił wikinga. Rozejrzał się z zaskoczeniem dookoła, puszczając dziewczkę.

– Więc to tak – stwierdził. – Jasne, nie ma sprawy.

Cofnął się, sięgnął ręką do pasa, a potem z rozmachem wbił topór w głowę chłopaka. Ciało upadało na ziemię powoli, jakby w zwolnionym tempie. Ludzie dookoła zamarli, ale ci bardziej oddaleni nawet nie zauważyli, że coś się stało. Muzyka grała nadal jakąś ckliwą melodię. Ludzie tańczyli, śpiewali, śmiali się. Ale to było gdzieś daleko, dookoła zabójcy zapadła całkowita cisza.

Po chwili przerwał ją śmiech wikinga. Potężny Nord stał nad ofiarą i zanosił się rechotem, podczas gdy wszyscy dookoła tkwili w bezruchu. Wszyscy oprócz kobiety. Maliana opadła na kolana przy swoim mężczyźnie. Płakała, później krzyczała, wreszcie zerwała się i rzuciła na mordercę. Początkowo wyglądało to tak, jak gdyby po prostu odbiła się od jego torsu i wywróciła. Ale śmiech ustał. Potężny mężczyzna odwrócił się w kierunku swoich towarzyszy, z zaskoczeniem patrząc w dół. Z jego piersi wystawała rękojeść noża.

Chwilę później padł na ziemię.

I wtedy rozpętało się piekło. Nagle wszyscy stali i krzyczeli. Magnus i Edwin mieli w dłoniach miecze, chłopci dookoła łapali, co tylko się dało, przeklinali, wrzeszczeli, grozili. Lucius nie poruszył się nawet o centymetr, ale z pewnym trudem zdał sobie sprawę, że są otoczeni przez rozgniewany tłum. Z ciemności wypadła Matylda, całkowicie naga, ale za to z mieczem w dłoni. Jej krzyk przebijał się przez ryk tłumu.

– Spokój! – Usłyszeli donośny głos Wielkoluda. – Wszyscy spokój! Lucius, co z Ulgarem? Lucius!

Wywołany powoli podniósł się i chwiejnym krokiem podszedł do potężnego Norda. Ludzie dookoła zamarli w oczekiwaniu. Wszyscy stali z kijami, pochodniami lub krzesłami w dłoniach. Piątka Szarych Strażników otoczona była przez co najmniej

dwudziestu chłopów. Mnich dowlóknął się do rannego i padł przy nim na kolana. Ostrze tkwiło po lewej stronie, pomiędzy trzecim i czwartym zębem. Medyk powoli przyłożył ucho tuż obok rękojeści noża i nasłuchiwał przez chwilę.

– Nie... nie żyje... – stwierdził wreszcie, po czym zaczął wymiotować obok trupa.

Magnus przez chwilę w ciszy oceniał sytuację.

– Śmierć za śmierć – powiedział. – Jeden z waszych nie żyje, jeden z naszych za to zapłacił. Jak dla mnie, sprawiedliwości stało się zadość. Mamy teraz dwie możliwości. Nas jest tu czwórka, was dużo więcej. Jak zaczniemy walczyć, może nas położycie, ale możecie być pewni, że większość z was nie wróci tej nocy do matek. – Powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

Zaraz potem dodał:

– Weźcie swojego zmarłego, my weźmiemy swojego, dosyć krwi dzisiaj.

Powoli, jeden po drugim, ludzie zaczęli się rozchodzić. Kilka osób podniosło ciało chłopaka, ktoś inny pomógł wstać Malianie.

– Co tu się, kurwa, stało? – spytała Matylda.

– Pieprzony wiking – odpowiedział Edwin, po raz pierwszy tego wieczoru gubiąc gdzieś uśmiech. – Najwyraźniej nie zauważył, że już nie jest łupieżcą.

Lucius uniósł głowę. Potem dostrzegł, że ma ręce całe we krwi i znów zwymiotował. Matylda podeszła do trupa.

– Kurwa mać – stwierdziła. Magnus nie odzywał się, stał tylko i patrzył na ciało. Lucius znów uniósł głowę. Zauważył, że po raz pierwszy odkąd się poznali, Nord nie wyglądał groźnie. Leżąc tak bez ruchu z zabawnym wyrazem zdziwienia na twarzy, wydawał się niemal sympatyczny.

– Co tu się, kurwa, dzieje!?! – spytał Duncan, wbiegając w krąg światła.

– Wiking – odpowiedział Wielkolud bezbarwnym tonem.

*

Stos pogrzebowy płonął na polanie obok komandorii. Nie było drakkara, skarbów i płaczących niewolnic, o których Clara

czytała w dzieciństwie. Jedynie trochę drewna, wielki, martwy mężczyzna i paru młodych ludzi, którzy ledwo go znali. Duncan powiedział kilka słów, ale nikt tak naprawdę nie był zainteresowany tym, co ma do powiedzenia. Clara siedziała kawałek od stosu, na pniaku pomiędzy drzewami, i patrzyła na wszystko z bezpiecznej odległości. Nie znosiła pogrzebów.

– Tu leży Ulgar, syn Wulgara – stwierdził Edwin, podchodząc do niej. – Nord, wojownik, wiking, rekrut Szarej Straży, przyszły bohater. Zabity przez chłopkę, którą próbował zgwałcić... Chyba nie takiego epitafium się spodziewał.

– Wydaje mi się, że nie – odparła.

– Dwóch z każdej dziesiątki umiera. Miejmy nadzieję, że drugą ofiarą będzie ten dziesiąty, który wylądował w innej komandorii. Pewnie taka śmierć nie zapewni mu miejsca w rajcu... Co gorsza, nie umarł z bronią w ręku, więc do zaświatów swoich przodków chyba też nie trafi. Kiedyś przyznał mi się po pijaku, że nie brał udziału w żadnej wyprawie. Żadnych rabunków i gwałtów, a w bitwach, jeśli można tak nazwać te potyczki, uczestniczył tylko jako dzieciak, nosząc broń za ojcem i starszym rodzeństwem. Przed przybyciem tutaj nigdy nikogo nie zabił. To wszystko było tylko pozą. Sporo tu tego, nie sądzisz? Pijani starcy udający przywódców. Dzieciaki udające obrońców ludzkości.

– A kogo ty udajesz?

– Kogoś odpowiedzialnego? Barda? Kogoś inteligentnego i elokwentnego? Przyzwoitą istotę ludzką? Sam nie wiem, udaję tak dużo rzeczy.

Zadumał się, ale po chwili podjął na nowo:

– Cały nasz Zakon jest jedną wielką pozą. Paladyni, Żniwiarze, Kruki, tajne rytuały, symbole. Aż sam się dziwię, że ludzie nie dostrzegają, jak bardzo to jest idiotyczne. Ale nie Matylda – stwierdził. – Ona jest dokładnie tym, kim się wydaje. Ulgar w sumie też, przynajmniej od kilku godzin. Właściwie to rzadko spotyka się tak szczerą trupę jak on.

– Czy wszystko jest dla ciebie żartem?

– Nie wszystko... Choć wiele rzeczy. Życie jest zbyt krótkie, by się z niego nie śmiać.

*

Stos pogrzebowy płonął. Magnus i Matylda czekali, by pochować szczątki, kiedy już przygaśnie. Nathaniel stał gdzieś z boku. Clara i Edwin obserwowali to z odległości. Olaf przyglądał się wszystkiemu ze szczytu swojej wieży. Cassandry w ogóle nie było widać.

– W kronice napisz, że zginął na służbie, wypełniając obowiązki. Nic więcej, był tylko rekrutem, więc nikt nie będzie w to wnikał – nakazał Duncan stojącemu obok Luciusowi.

– To... mam kłamać? – zdziwił się Mnich.

– Chociaż na tyle sobie zasłużył. I napisz, że Prawo Odwetu nie zostało zastosowane. I tak nie działa ono w przypadku rekrutów, ale to zwyczajowa formuła.

Lucius zakaszłał, kiedy wiatr pchnął dym ze stosu w ich kierunku.

– Chyba i tak byśmy go nie zastosowali.

– Słucham?

– Prawa Odwetu. Biorąc pod uwagę okoliczności...

– Prawo Odwetu to najstarszy przywilej i obowiązek Zakonu, jeszcze starszy niż samo Imperium.

– Tak, ale powstało, by karać zabójców. Odstraszać od morderstw. W tej sytuacji...

– Sytuacja jest nieważna – stwierdził twardo dowódca rekrutów. – Ludzie muszą wiedzieć, że za podniesienie ręki na Szary Płaszcz czeka ich śmierć. Tym razem nic nie robimy, gdyż, jak wspomniałem, Prawo Odwetu nie obejmuje rekrutów. Powody tego są chyba oczywiste w świetle tego, co się wydarzyło.

– Tak, ale... Chcesz mi powiedzieć, że gdyby Ulgar był zaprzysiężonym Szarym Strażnikiem i sytuacja wyglądałaby tak samo, naprawdę nalegałbyś na wypełnienie Prawa Odwetu?

Duncan odwrócił się i spojrzał Luciusowi prosto w oczy.

– Nie sprawiłoby mi to przyjemności, ale Prawo Odwetu nie zna wyjątków. To nasz przywilej i obowiązek. A to oznacza, że gdyby Ulgar nosił Szary Płaszcz, osobiście odrąbałbym głowę dziewczce, która go zabiła i każdemu, kto stanąłby mi na drodze. I

tego samego oczekuję od każdego z was. Jeśli nie jesteś na to gotów, lepiej przemyśl, czy chcesz tu być, Luciusie. Bo uwierz mi, Szara Straż wymaga brudzenia sobie rąk. Od nas wszystkich i zdecydowanie częściej, niż byśmy chcieli.

Rozdział III

Skonsumowaliście już? – spytał Edwin ze znaczącym uśmiechem.

– Jedliśmy obiad tuż przed wyjechaniem na patrol – odpowiedział Lucius trochę zdezorientowany. – Byłeś przy tym.

– Myślę, że nie o taką konsumpcję mu chodzi – stwierdziła Amelia, poprawiając uchwyt na lejcach. Konie ciągnące jej wóz stąpały powoli po zasłanym liśćmi trakcie, gdy wracali doskonale znaną sobie drogą do domu.

– Więc o... Aha, no tak. – Przez chwilę wydawało się, że rumieńce Mnicha same zaczynają się rumienić.

– Po pierwsze, to nie twoja sprawa, po drugie, nie jesteśmy razem. Tylko pożyczam od niego książki – wyjaśniła.

Edwin mimo to uśmiechnął się drwiąco. Jechali z Lucyusem po dwóch stronach wozu. Teoretycznie był to patrol, choć w praktyce przypominał raczej eskortę.

– Oczywiście, że tylko pożyczasz książki, regularnie co tydzień. Od miesiąca. Niedługo skończą ci się preteksty, by wpadać z wizytą. Nie wmówisz mi, że jesteś w stanie przeczytać je wszystkie tak szybko. Gdyby to jeszcze była poezja, ale spójrz, tamto tomisko jest o grzybach. Grzybach!

– Bardzo szybko czytam.

– Jasne... Tak właściwie to jakim cudem w ogóle umiesz czytać?

– Już ci mówiłem... – pośpieszył z wyjaśnieniem Lucius.

– Nie. To, co mi mówiłeś, to słaba historyjka o ojcu skrybie, którą ona sprzedała tobie. Ja pytam o prawdę.

– Tak właściwie to czemu cię to interesuje? – spytała.

– Ponieważ Lucius jest dla mnie niczym młodszy, lekko opóźniony brat. Czuję imperatyw, by się nim opiekować i pilnować, by nikt nie wykorzystał jego naiwności.

– Szczerze mówiąc, z was dwóch to ty wydajesz się bardziej potrzebować opieki.

– Czy to propozycja? – Usta barda wykrzywiły się w obleśnym uśmiechu.

Żółtoczerwony liść spadł z pobliskiego drzewa, przez chwilę

tańcząc na wietrze, zanim wylądował z gracją na trakcie. Zaledwie kilka chwil później w tym samym miejscu ze znacznie mniejszą gracją wylądowała końska kupa. Lucius odkasznął.

– Panowie! Panowie! – Rozległo się wołanie. To Helier, jeden z łowców mieszkających w okolicy, pędził traktem w ich kierunku. Zatrzymał konia tuż przed wozem Amelii. – Jadę z Rubieżnicy. Znaleźliśmy jeźdźca. Był ranny, ledwo żywy. Wiózł na koniu chłopca.

– I?

– Miał też pierścień i szary płaszcz.

*

Duncan przyjrzał się żelaznemu pierścieniowi ozdobionemu herbem z wizerunkiem rosomaka.

– Nomad – stwierdził.

– Nie wiem, panie, nieprzytomny był, jak my go znaleźli, to się nie przedstawił – pośpieszył z wyjaśnieniem niski łowca, którego imienia dowódca rekrutów nie mógł zapamiętać.

– To nie imię, to przynależność – wyjaśnił Lucius. – Oznacza, że ten człowiek nie należał do żadnej komandorii.

Stali przed starą, rozpadającą się chatą, gdzieś na obrzeżach Rubieżnicy, najmniejszej osady na tym terenie. Prowadząca tu leśna dróżka była kręta i niezbyt zadbana. O tej porze roku zmieniała się miejscami w błotną pułapkę.

Po dotarciu do celu Szarych Strażników powitały ciekawskie spojrzenia. Patrole rzadko tu zaglądały. Właściwie mało kto tu kiedykolwiek docierał. Kilka mieszkających tu rodzin było samowystarczalnych, ludzie nie potrzebowali niczyjej pomocy. Najczęściej nawet otwarcie się jej sprzeciwiali. Sam Duncan wcześniej odwiedził to miejsce tylko raz, zaraz na początku, dzień po przybyciu do komandorii. Miejscowi poczęstowali jego i Olafa obiadem, uprzejmie porozmawiali, a potem dali do zrozumienia, by zostawić ich w spokoju.

Tak naprawdę jedynym, co Duncan zapamiętał z tamtej wizyty, był widok rozciągający się na wschód od osady. Rubieżnica leżała na skraju Wielkiej Puszczy, dawnej granicy

Imperium. Przed Upadkiem używano Legionów, by wypalać olbrzymie drzewa, krok po kroku przesuwając granicę cywilizacji. Nawet dziś, ponad stulecie później, gołym okiem dało się dostrzec, jak daleko wówczas dotarli ludzie. Zwykły las ustępował tam miejsca ścianie drzew monstrualnych rozmiarów.

– Chodźcie, panowie, jest w środku – stwierdził chłop. – Opatrzylimy go jako tako, zresztą już był opatrzony. Chyba sam to zrobił. Gorzej z chłopakiem, ten się w ogóle nie odzywa i nie daje się nawet dotknąć.

Duncan, Lucius, Edwin i Olaf ruszyli do środka, Magnus i Cassandra zostali z końmi i wozem.

– Znaleźlimy go na południe od wioski. Koń niósł jego i chłopca, ale on sam był nieprzytomny. Jego rzeczy położyliśmy tam na stole. – Gospodarz przez chwilę jakby się wahał, a później ściszył głos. – Panowie, to wyglądało trochę, jakby z Puszczy wyjechał.

– Z Puszczy? – zdziwił się Mnich.

– Ano, ze wschodu. Od diabłów, co tam żyją...

– Dziękuję za pomoc – przerwał dowódca rekrutów. – Opatrzmy go, załadujemy na wóz i zaraz nas nie będzie.

Chłop skłonił się i wyszedł.

– Od diabłów ze wschodu? – Muzyk wydawał się wyraźnie rozbawiony.

– Marcus – stwierdził Olaf, spoglądając na rannego.

Leżący na ziemi mężczyzna wyglądał na około trzydzieści lat. Jego skóra była niezwykle blada i pokryta absurdalną ilością owłosienia. Twarz praktycznie zniknęła pod gęstą brodą, a włosy sięgały połowy pleców.

– Marcus? Marcus Poszukiwacz? – Duncan nie mógł ukryć zdziwienia.

– Tak go też nazywają. Co z nim?

– Rana kłuta, chyba od strzały – stwierdził Lucius, przyglądając się obrażeniom Nomada. – Nie widzę śladów zakażenia, ale stracił sporo krwi. Jego serce ledwo bije. Będzie potrzebował leków i to szybko.

– Zawołaj Magnusa i przenieście go na wóz – nakazał przełożony. – Jest coś ciekawego w jego rzeczach?

Śmieszek wysypał zawartość skórzanej torby na stół.

– Osełka do miecza, igły i nici, trochę zapasów, przyprawy, zasuszone kawałki małych zwierząt. No i dziwnie wyglądające amulety z kości, ludzkie ucho... Czy ten facet na pewno jest po naszej stronie?

– Jakież papiery?

– Hmm, tu coś jest. – Bard rozwinął mały zwitek papieru. – Nie mam pojęcia, co to za alfabet. Wygląda jak jakieś runy albo...

Starzec wyrwał mu kartkę. Przez chwilę przyglądał się wiadomości, po czym przeniósł wzrok na wciśnięte w kąt pokoju dziecko. Chłopiec był wychudzony i bardzo niski, wyglądał na jakieś cztery, może pięć lat. Odkąd weszli do chaty, tkwił w bezruchu, najwyraźniej starając się pozostać niewidzialnym pod dużym, wielokrotnie łątanym płaszczem, zapewne należącym do Marcusa.

– Edwin, bierz dzieciaka i chodźmy – nakazał dowódca komandorii, wrzucając rzeczy Marcusa z powrotem do torby.

– Co to było za pismo?

– Nieważne. – Dowódca wcisnął papier za pazuchę i ruszył do wyjścia.

– Pewnie Runy Zakonu – wyjaśnił Duncan, podchodząc do chłopca. – To tajny język Straży. Tylko zaprzysiężeni zakonnicy nim władają. Chodź, mały, nic ci nie będzie.

Dzieciak cofnął się przed ręką dowódcy rekrutów i choć wydawało się to niemożliwe, jakimś sposobem zdołał jeszcze mocniej wcisnąć się w kąt pomieszczenia.

– Masz świetne podejście do dzieci – skomentował bard, podnosząc torbę Nomada. Magnus już wynosił ранego na zewnątrz.

Szary Strażnik złapał chłopca za rękę i przyciągnął do siebie. Kaptur zsunął się z głowy, ujawniając bladą skórę i śnieżnobiałe włosy. Albinos przez chwilę wpatrywał się w męczyznę zimnoniebieskimi oczami, a później ugryzł go w dłoń i rzucił się w kierunku drzwi.

– Auu, zatrzymaj go!

Było już za późno, niezwykle szybki i sprawny jak na swój wiek uciekinier minął Wielkoluda, wydostał się na zewnątrz,

uniknął Olafa i z impetem wpadł prosto na Cassandrę, dosłownie wtulając się w jej nogi.

Dziewczyna była całkowicie zaskoczona. Przez chwilę wpatrywała się w pozostałych rekrutów, jakby oczekując odpowiedzi. Wydawało się nawet, że odepchnie chłopca, ale zamiast tego powoli, ostrożnie, z wyraźnym ociąganiem schyliła się i objęła go rękoma.

– Już dobrze – szepnęła. – Teraz już jesteś bezpieczny.

*

W kominku palił się ogień, w pomieszczeniu ustawiono też kilka świeczek, mimo to Duncan miał wrażenie, że panuje tu półmrok. Wnętrze wieży zawsze napawało go niepokojem. Szara, pokryta mchem konstrukcja stała tu od stuleci. Kiedyś była to strażnica legionu, a po Upadku przechodziła z rąk do rąk, stając się siedzibą podrzędnych władcyków, terroryzujących okolice banitów i, jeśli wierzyć miejscowym legendom, duchów. Teraz znajdowała się tu sypialnia Olafa, zbrojownia, biblioteka, spiżarnia i coś na kształt pokoju narad. Tam właśnie teraz siedzieli, w okrągłym pomieszczeniu na parterze. Schody na wyższe piętra ciągnęły się wzdłuż ściany. Na kamiennej podłodze rozłożono stary, przeżarty przez mole dywan. Na nim ustawiono solidny dębowy stół i kilka prymitywnych krzeseł. Surowe kamienne ściany zdobił jedynie szary sztandar z herbem Zakonu, samotną wieżą, całkiem podobną zresztą do tej, w której się znajdowali.

Starzec siedział przy kominku, zwrócony plecami do stołu, przy którym rozsiedli się Duncan, Nathaniel, Edwin i Magnus. Lucius stał, gotowy wrócić do pacjenta, kiedy tylko skończy zdawać raport.

– Stracił dużo krwi. Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że udało mu się przeżyć. Po stanie rany wnioskuję, że minęło co najmniej kilka dni, zanim go znaleziono. Najwyraźniej sam opatrzył się i użył jakichś ziół, ale to i tak cud, że nie wdało się zakażenie...

– Kiedy się obudzi? – przerwał mu Olaf.

– Nie wiem. – Lucius bezradnie rozłożył ręce w geście, którego odwrócony plecami Olaf i tak nie mógł zobaczyć. – Może za godzinę, może za kilka dni. Tak czy inaczej, na pewno minie co najmniej kilka tygodni, zanim dojdzie do siebie po takiej ranie.

– Kiedy będzie mógł jeździć konno?

– Konno? To cud, że był w stanie utrzymać się na koniu do tej pory...

– Kiedy?

– Co najmniej dwa, może trzy tygodnie. I nawet wtedy dłuższa jazda będzie niewskazana.

– To wszystko, możesz do niego wrócić.

Mnich skłonił się i wyszedł. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, podczas gdy zwierzchnik po raz kolejny czytał wiadomość znaną w rzeczach Nomada.

– Duncan, wybierz cztery osoby – stwierdził wreszcie. – Odeskortują one chłopca do Komandorii 42.

– To dobre półtora tygodnia drogi w jedną stronę.

– Dlatego wezmą najlepsze konie. Tak czy inaczej, mają wyruszyć jutro o świcie. Dzieciak najwyraźniej jest oczekiwany na miejscu w ciągu tygodnia, więc już i tak się spóźnią.

Dowódca rekrutów wbił oczy w tył głowy przełożonego.

– Czy jest konkretny powód, dla którego mam odesłać połowę moich ludzi na prawie trzy tygodnie, by eskortowali jakieś dziecko?

– Tak. – Olaf wstał i odwrócił się. – Nazywa się on rozkaz. W tym konkretnym wypadku – rozkaz od samej Wielkiej Rady, który mówi, że chłopiec ma zostać dostarczony na miejsce w wyznaczonym terminie.

– Spodziewamy się kłopotów?

– Zawsze. Ostatnia osoba, która wypełniała to zadanie, dostała strzałę w plecy. Resztę możesz sobie chyba dopowiedzieć. Wyznacz cztery osoby, jutro mają być w drodze.

Wkroczenie na schody prowadzące do sypialni na piętrze oznaczało koniec spotkania.

– No to chyba zacznę przygotowywać się do drogi – stwierdził Nathaniel. – Kogo mi przydzielisz?

– Nikogo, bo ty nigdzie nie jedziesz – odparł Duncan. –

Dowództwo obejmie Magnus. Pojadą z nim Edwin, Matylda i Lucius.

– Chyba żartujesz. Powierzysz misję od samej Rady jemu? To oczywiste, że ja powinienem...

– Ciekawa sprawa – wtrącił się Edwin. – Wysyłasz akurat te cztery osoby, które były obecne przy śmierci Ulgara.

– Będziecie podróżować drogami wschodniej rubieży, odwiedzać gospody i wioski. Być może unikać pościgu. Czwórka zbrojnych z dzieckiem już i tak wystarczająco rzuca się w oczy. Jeśli będzie z nimi szlachcic z południa lub dama z zachodu, to możemy być pewni, że pościg błyskawicznie wpadnie na wasz ślad. Magnus jest stąd, łatwiej dogada się z miejscowymi i wtopi w tłum, podobnie Matylda. I wszyscy wiemy, że ty świetnie odnajdujesz się w każdym towarzystwie.

– Z tego samego powodu odsyłasz również niepotrafiącego się odnaleźć w żadnym towarzystwie Mnicha, który przy okazji jest jedyną tutaj osobą, która naprawdę potrafi zająć się rannym? – nie ustępował Edwin.

– Muszę wiedzieć, na co go stać. Lucius nigdy nie był w walce, nie zbliżył się do akcji. Czas, by...

– Czwarta będzie Cassandra – przerwał Magnus. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Chłopiec nie odstępował jej na krok, nie będzie chciał jechać z nikim innym spośród nas. A Lucius jest potrzebny tutaj. Jeszcze będzie okazja, by się sprawdził.

Duncan przez chwilę mierzył Wielkoluda wzrokiem. Wreszcie kiwnął głową, wyrażając zgodę.

*

Świt przyniósł ze sobą mgłę, chłód i mżawkę. Był to jeden z takich poranków, kiedy nie chce się nawet wstać z łóżka, a co dopiero wyruszać w daleką podróż. Matylda powoli założyła spodnie. Za jej plecami Manfrey ociężale zwlekał się z siennika, który ułożyli w małym składziku. Mamrotał coś pod nosem, jak zawsze, kiedy był niezadowolony.

– Co tym razem? – spytała, wciągając buty. – Znów będziesz narzekał, że nie pozwalam ci być na górze?

– Nie – zaprzeczył. – To znaczy, mogłabyś od czasu do czasu... Ale chodzi mi o ten wyjazd. Nie będzie cię przez dobry miesiąc i...

– Nie martw się. Jeśli przez ten czas znajdziesz sobie inną, nie pogniewam się. Nawet jeśli to nie będzie tylko twoja prawica. – Wcisnęła do lewego buta niewielki nóż.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. – W jego głosie dało się słyszeć wyrzut.

Matylda nie znosiła, kiedy to robił. Wybrała Manfreya, ponieważ był duży i silny. Syn sędziego Nowej Wioski i dowódca tamtejszej milicji chłopskiej. Mężczyzna nawykły do rozkazywania, a równocześnie całkowicie jej uległy. Nie ukrywała, że to ją podniecało, niemniej nie znosiła, kiedy stawał się emocjonalny, słaby i patrzył na nią wzrokiem małego szczeniaka.

– Więc o co chodzi? – odwróciła się, rozmyślnie zwlekając z założeniem koszuli.

– Po prostu pomyślałem, że moglibyśmy czasami... no wiesz, zrobić coś poza tym. – Wskazał na siennik.

– Nie lubisz się chędożyć?

– Lubię, ale chciałbym też od czasu do czasu posiedzieć razem, zjeść coś, może pójść na piknik czy coś...

– Nie mam czasu. Mam patrole i treningi...

– Mogę trenować z tobą. Wiem, że nie potrafię walczyć mieczem tak dobrze jak ty czy inni Strażnicy, ale coś tam potrafię. – Spojrzał na nią z nadzieją, niczym dziecko oczekujące na pochwałę.

Przez chwilę Matylda rozważała wyjście i zostawienie go z własną słabością. Niemniej Manfrey nadal pozostawał najlepszym mężczyzną w okolicy. I przez te tygodnie nabrała do niego dziwnej sympatii.

– Dobra – odpowiedziała, zakładając koszulę. – Jak wrócę, to trochę razem potrenujemy. I może pozwolę ci od czasu do czasu być na górze. – Uśmiechnęła się.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy towarzyszące przygotowaniom do podróży.

*

– Da sobie radę – stwierdził Duncan. – Matyllda ma większe doświadczenie i zrobiłaby to świetnie, gdybym jej rozkazał, ale ona nie ma serca, by dowodzić. Jest żołnierzem. Magnus to co innego, widziałem, jak rozmawia z prostymi ludźmi, niemal odruchowo przyjmuje pozycję lidera. Musi tylko nabrać pewności siebie. Poradzi sobie.

– Myślę – odparł Edwin – że twój nowy wizerunek twardego przywódcy robiłby lepsze wrażenie, gdybyś nie miał potrzeby usprawiedliwiania po fakcie każdej swojej decyzji.

– Przynajmniej usprawiedliwiam się... Co robisz?

– Czyszczę buty – odpowiedział Śmieszek, zdrapując ziemię z podeszwy. – Nie wyruszę w podróż w brudnych butach. Kurwidolek czy nie, jakichś zasad elegancji i higieny trzeba przestrzegać.

Duncan uśmiechnął się i przerzucił wzrok na Matylldę, która właśnie wychodziła ze składziku, poprawiając pas.

– Przynajmniej jedna miała udany poranek – stwierdził bard z rozbawieniem.

Dowódca rekrutów odruchowo spojrział w kierunku Clary, ale od razu złapał się na tym i postanowił zmienić temat.

– Uważajcie na siebie.

– Nie przejmuj się tak. Nawet tutejsi bandyci nie są tak głupi, by atakować czwórkę uzbrojonych podróżnych, pozbawionych jakichkolwiek śladów bogactwa. I zdecydowanie żadni bandyci nie zechcą atakować oddziału Szarych Strażników. A jeśli faktycznie pojawi się ktoś wyjątkowo pozbawiony inteligencji, to Matyllda odrąbie mu głowę. Czym tu się przejmować?

Jednak spokój nie przychodził.

– Po prostu uważajcie – stwierdził Duncan.

Ruszył przez dziedziniec, w kierunku zebranych pod bramą koni. Magnus i Matyllda kończyli już siodłać swoje. Clara przeglądała torby Cassandry, podczas gdy ta grała z chłopcem w papier, nożyce, kamień.

– Tu masz ciepłe ubranie na zmianę dla niego – powiedziała Dama, przekładając pakunki. Czująca jedynie kiwnęła głową,

nie odrywając oczu od dziecka. Obydwoje pokazali nożyce. – Pamiętaj, kogo słuchać i z kim rozmawiać.

Duncan pomyślał, że nie tylko on denerwuje się jak rodzic wysyłający dziecko w podróż.

– I w razie kłopotów trzymaj się blisko Matyldy. Umiesz rzucać nożem, to rzucaj – kontynuowała wywód Clara.

– Zawsze tak robię. – Cass przytaknęła sama sobie, podczas gdy w grze doszło do kolejnego remis.

– Mówił coś? – spytał dowódca rekrutów.

– Nie. – Tym razem papier. – Cały czas milczy.

Znów dwa razy papier.

– Ale chyba mnie lubi.

I ponownie kamień.

– Jak często pokazujecie to samo?

– Za każdym razem. Do tej pory pewnie setki setek razy.

– Na koń – zawołał Magnus, zanim Duncan zdążył zgłębić temat. Wszyscy zerwali się momentalnie. Edwin pospiesznie założył buty i wskoczył na swojego wierzchowca.

– Powodzenia! – zawołał zwierzchnik. – Do zobaczenia za miesiąc.

Jeden po drugim zanurzyli się w rozpościerającej się na trakcie mgle. Po chwili został po nich już tylko oddalający się odgłos stąpających koni. A i ten wreszcie zaniknął, pozostawiając jedynie ciszę.

*

Szeroki imperialny trakt prowadził ich na zachód. Kamienna droga liczyła sobie setki lat, a mimo to nadal utrzymywano ją w doskonałym stanie. Niestety, nie można było tego powiedzieć o pozostałej części Rubieży. Deszcz, mgła i pogorzelska zdawały się towarzyszyć podróżnym wszędzie. Jadąc mijali dawno opuszczone osady, zdewastowane strażnice i pokryte bluszczem rezydencje. Podczas Plagi wschód ucierpiał najbardziej. Ci, którzy nie umarli, masowo uciekali na zachód w daremnej nadziei, że znajdą tam lekarstwo. Ostatecznie po trzech latach Szarej Straży udało się powstrzymać zarazę, niemniej według

uczonych z każdej dziesiątki mieszkańców Imperium zginęło siedmiu. Sto lat później w samej stolicy, Smoczym Leżu, wciąż istniały dzielnice, których nie zasiedlono na nowo. Tu, na wschodzie, zdarzały się całe miasta duchów. Nie metropolie na miarę Wolnych Miast, ale miejsca z domami dla tysiąca ludzi, puste i porzucone, pochłonięte już niemal przez puszcze. Na ich ruinach budowano nowe osiedla, miściny, tworzyły się państwa. Księstwa potrafiły tu powstawać i upadać w ciągu miesięcy.

Pierwszego dnia podróży nie napotkali żadnych ludzi. Noc spędzili w resztkach świątyni Deusa. Stała one samotnie na wzgórzu, tuż przy trakcie. Cała pokryta zielenią wciskającą się w każde pęknięcie. Niemniej resztki sklepienia zapewniły im choć odrobinę ochrony przed deszczem.

Nazajutrz los przywitał ich pięknym porankiem, słonecznym i niemal ciepłym. Oczywiście, gdy tylko ruszyli w drogę, zaatakował ich wiatr, uderzając w twarze chłodem i różnobarwnymi liśćmi. Tego dnia minęli na trakcie kilku podróżnych, chociażby kupca jadącego na wozie wypełnionym przyprawami. Chroniła go banda wystraszonych wyrostków uzbrojonych w kije. Sądząc po podobieństwie, jego synów. Nikt z nich nie był zbyt rozmowny, ale wskazali drogę do zajazdu i ostrzegli przed stadem wygłodniałych wilków, które ponoć grasowały po okolicy.

Po południu wiatr ustał, ale dookoła znów zaczęła królować mgła. Na razie słaba, ledwo zasłaniająca widok.

– Świetną wybraliśmy sobie pogodę do wędrówki – stwierdził Edwin, odrywając się na chwilę od swojej lutni. Sztukę gry podczas jazdy opanował już niemal do perfekcji.

– Jesień jak jesień – odpowiedziała Matylda.

– Nie w Błękitnym Porcie. Tam o tej porze roku jest jeszcze przyjemnie i słonecznie. A kobiety...

– Nie jesteśmy w Błękitnym Porcie – uciął Magnus, trochę nerwowo.

– Domyśliłem się po braku ludzi. Kto by pomyślał, że jeszcze uznam nasz mały zakątek Rubieży za zatłoczony.

– Przecież musiałeś przejeżdżać tędy w drodze z zachodu – zauważyła wojowniczką.

– Tak, ale wtedy była wiosna, wszystko tętniło życiem, a z nami podróżowało dziesięciu innych rekrutów, którzy mieli pomóc przy budowie komandorii. I było wśród nich więcej takich, z którymi mogłem odbyć inteligentną, kulturalną dyskusję. – Reszta nie uznała za zasadne odpowiedzieć, więc muzyk kontynuował: – Matyldo, może chcesz porozmawiać o tym, dlaczego spośród wszystkich mężczyzn w okolicy wybrałaś akurat Manfreda?

– Ponieważ to nie twoja zasrana sprawa.

– Słuszna odpowiedź – podsumował Śmieszek, podczas gdy kolejny niesiony silnym wiatrem liść przeleciał mu nad głową. – Magnusie, jak czujesz się w roli przywódcy?

Wielkolud nie odpowiedział.

– To może ty, Cassandro – próbował dalej bard, chuchając na swoje dłonie. Nagle zrobiło się bardzo zimno. – Jak to jest choć raz nosić dopasowane ubrania?

Czująca spuściła wzrok na kubrak, koszulę i spodnie, które uszyła dla niej Clara. Zdawało się, że coś odpowie, ale zawahała się w ostatniej chwili. Z jej ust zaczęły unosić się obłoczki pary.

– Strasznie mroźno się robi – stwierdził bard.

– Wiatr – zauważył przywódca wyprawy z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Co z nim?

– Nie rozwiewa mgły – odpowiedziała Matylda, odruchowo chwytając za rękojeść miecza. – Cass?

– Coś tu jest. Coś nadchodzi...

– Szybko – krzyknął Magnus i poderwał konia w galop.

Początkowo pędzenie traktem nie stanowiło problemu, ale gęstniejąca mgła wkrótce zaczęła dawać im się we znaki. Otaczała ich ze wszystkich stron, zbliżała się z każdym krokiem. Śmieszek złapał kątem oka jakiś ruch. Po chwili był już pewny, że coś tam było. Czaiło się tuż za granicą szarości, w wielkiej, tajemniczej niewiadomej, tuż na wyciągnięcie ręki.

– Nie damy rady! – wrzasnął, przerażony jak nigdy. – Dorwaj nas!

Magnus nie zwolnił nawet na sekundę. Jadąca obok Cass mocno przytulała siedzącego przed nią chłopca. Konie wydawały

przerażone, nienaturalne piski. I do tego ten dźwięk, grajek dopiero po chwili zdał sobie z niego sprawę. Otaczający ich, niedający się zidentyfikować.

Zimny?

Nie.

Mroźny.

Jak dźwięk może być mroźny? – pomyślał trubadur. To wszystko sprawiało, że zaczynał się dusić. Dosłownie nie mógł oddychać z przerażenia. Poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy. Co to było? Co ich goniło? Czego chcieli?

Chłopca.

Najpewniej pragnęło właśnie chłopca.

Edwin wiedział, że nie wytrzyma długo. Nie obchodziło go już, co się stanie ani jaki los go spotka. Wolał nawet śmierć niż to uczucie... Nie znajdował nawet dla niego odpowiedniej nazwy. Pragnął tylko jednego – niech to się już skończy!

Nagle wszystko ustało. Mgła rozwiała się, dźwięk ucichł, powrócił spokój. Pędzili jeszcze przez chwilę, a potem Magnus kazał zwolnić. Bard momentalnie zatrzymał konia, zsunął się z niego i zaczął wymiotować.

– Co to, kurwa, było?! – spytał znad ziemi.

Matylda i Wielkolud wydawali się równie roztrzęsieni jak on.

– Pościg – stwierdziła Cassandra. Ciężko oddychała i mówienie zdawało się sprawiać jej trudność.

– Jaki pościg? Co to znaczy?!

– To. – Cass wzruszyła ramionami, nie siląc się na głębsze wyjaśnienia. Bładość powoli opuszczała jej policzki.

– Powinniśmy wracać – stwierdziła Matylda. – To, cokolwiek to było, znacznie nas przerasta. Potrzebujemy...

– Nie! – krzyknęła Cass. – Jest za nami. Jeśli wrócimy, odnajdzie nas. Dopadnie.

– Już nas dopadło – zauważył Magnus, który wyraźnie odzyskał spokój.

– Nie, tylko nas zauważyło. Ale uciekliśmy. Możemy mu uciec.

– Czująca przytakiwała sama sobie, podczas gdy chłopiec naśladował jej gesty.

– Jedziemy dalej – stwierdził po chwili Magnus. – Teraz. I nie

zatrzymujemy się aż do karczmy.

Edwin pokręcił głową z rezygnacją, ale wrócił na siodło. Strach już z niego ulatywał i po kilku minutach bard stwierdził, że nie pamięta nawet, czemu tak bardzo się bał. Przecież nic się nie stało, tylko trochę mgły i dziwny dźwięk. Cokolwiek to było, próbowało ich tylko wystraszyć. Gdyby mogło ich naprawdę skrzywdzić, już by to zrobiło.

*

Olaf uniósł głowę i z ociąganiem spojrział na drzwi do swojego pokoju.

– Czego? – spytał, nadal mocno zaspany.

– Odzyskał przytomność – poinformował Duncan typowym dla siebie tonem służbisty.

– Zaraz przyjdę – stwierdził pryncypał i z trudem zwałóknął się z łóżka. Korciło go, by zignorować sytuację i spać dalej, ale żołnierskie przyzwyczajenie wzięło górę. Wyuczonymi, niemal bezwiednymi ruchami zapalił świecę i założył szorstkie, zniszczone ubrania. Jak co rano sięgnął po miskę z wodą i brzytwę, po czym zdał sobie sprawę, że nadal jest środek nocy. Zwilżył więc jedynie twarz w nadziei, że to go ocuci. Nie pomogło.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś do picia, niestety podłogę zalegały jedynie puste gąsiorki po winie. Poza nimi całe wyposażenie pomieszczenia stanowiło prymitywne łóżko, stolik z krzesłem, skrzynia i futra rozwieszane na ścianach, by złagodzić przeciągi. Olaf nie potrzebował mebli, nie chciał też ozdób. Ozdabia się dom, a to był raczej czyściec, do którego go zesłano.

Na zewnątrz panował chłód. Czuł go w kościach. Jutro będzie padać – pomyślał, daremnie próbując rozmasować kolano.

Udał się do baraku rekrutów powoli, lekko kulejąc. Przed samymi drzwiami zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Wyprostował plecy i poprawił płaszcz, a następnie wkroczył do środka dziarskim, energicznym krokiem.

– No proszę, Marcus, a już myślałem, że wreszcie będziemy

– mogli cię pochować – burknął, podchodząc do łóżka rannego.

– Olaf, to ty? Już myślałem, że są tu same świeżaki. – Przybysz z trudem zdobył się na uśmiech.

– Na starość zesłali mnie tu, żebym ich niańczył. – Olaf usiadł obok, na łóżku, z trudem powstrzymując grymas ulgi.

Marcus przez chwilę zerkał podejrzliwie na rekrutów, wreszcie nachylił się do ich przywódcy.

– Gdzie dzieciak?

– Odesłałem go do Komandorii 42, zgodnie z rozkazami.

– Eskorta?

– Czwórka moich ludzi.

– Rekruci? – W głosie Nomada dało się słyszeć wyraźne zaniepokojenie.

– Nikogo innego tu nie mam.

– Muszę ruszać za nimi. – Ranny spróbował wstać, ale od razu opadł bez sił na posłanie.

– To raczej się nie stanie. I to przez jakiś czas – stwierdził dowódca komandorii. – Poza tym wyjechali dwa dni temu i wzięli nasze najlepsze konie. Już ich nie dogonisz.

– Nie rozumiesz. Zwykli rekruci sobie nie poradzą.

– Z czym? – wtrącił się Duncan. – Co ściga chłopca?

– Ciemność – odpowiedział Marcus.

– To wielce, kurwa, dramatycznie – przyznał Olaf. – A jakieś konkrety? Skąd ten dzieciak?

– Z Puszczy – odpowiedział ranny, a później przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się, od czego zacząć. – Od jakiegoś czasu słyszałem od dzikich plotki o dziwnym plemieniu zamieszkującym przy granicy. Kiedy wreszcie odnalazłem ten lud, okazało się, że oddają cześć dziecku. Uważali, że ich bóg przemawia przez chłopca.

Marcus zawahał się, jakby nie wiedząc, co może powiedzieć, a co lepiej byłoby przemilczeć, gdy do dyskusji włączył się Mnich:

– Prymitywne ludy często uznają czujących za wysłanników bogów, ponieważ widzą oni rzeczy, których nikt inny nie widzi. Jeśli chłopiec jest czującym...

– Oczywiście, że tak – przerwał mu dowódca. – Pytanie, czy dzikusy miały rację?

Marcus pokiwał głową.

– Czy lata w drodze sprawiły, że zapomniałeś, po czyjej jesteś stronie? – zaczął Olaf nad wyraz spokojnie, jednak w jego oczach widać było niezmiernie pokłady wściekłości. – Powinieneś być podejrzaną dzieciakowi gardło na miejscu. Ja powinienem podejrzaną gardło tobie za to, że tego nie zrobiłeś.

– Miałem rozkazy...

– Pierdolę twoje rozkazy. Czwórka moich ludzi jest teraz w terenie z Bramą.

– On nie jest Bramą. Zdołał to zwalczyć, wyrzucić istotę, która go opętała, zamknąć jej dostęp...

– Zwalczyć? – Starzec spojrział na swojego rozmówcę, jakby ten bredził. Dopiero teraz podniósł głos.

– Tego nie da się zwalczyć. Czujący, który raz zostanie opętany, już na zawsze pozostaje otwarty na istoty z tamtej strony. Przyciąga je jak latarnia. Dlatego zabijamy takich jak on na miejscu!

– Co grozi tym, którzy go eskortują? – zapytał Duncan.

Marcus ociągał się z odpowiedzią.

– Kultysty raczej nie podążą za nimi w większej grupie, za bardzo rzucaliby się w oczy. Jednak do plemienia należało kilka osób pochodzących z Imperium, dało się to zauważyć. Ci mogą spróbować pościgu. Ale to mniej istotne, gorszy jest byt, który opanował dzieciaka. Ten na pewno spróbuje ich dopaść.

Po chwili Nomad dokończył:

– Kiedy uciekałem z chłopcem, niewidzialna siła rzuciła w moim kierunku drzewem. Uznałbym, że to dosyć zdecydowana manifestacja mocy.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– To szaleństwo – stwierdził Książę. – Demony rzucające drzewami zdarzają się tylko w baśniach.

– A ponoć życie to nie bajka – stwierdził Olaf i powoli ruszył do wyjścia. – Odpoczywaj. Ta baśń jest już i tak poza naszym zasięgiem.

*

Dobra muzyka, gwar, nie najgorsze wino i dach nad głową zdecydowanie poprawiły Edwinowi humor. Zajazd, w którym zatrzymali się na noc, umiejscowiono w budynku stanowiącym zapewne przed Upadkiem rezydencję jakiegoś bogacza. Marmurową podłogę i ściany zdobiły fantazyjne, choć w większości wyblakłe i miejscami zniszczone już mozaiki. Na środku dużej sali znajdował się mały basenik, wypełniony obecnie śmieciami. Liczne dziury w dachu nowi właściciele załatali kiepsko ociosanymi deskami. Wśród gości byli ludzie, jakich zawsze można znaleźć w takim miejscu. Na szczęście grajkowi udało się napotkać, całkowitym przypadkiem, prawdziwie bratnią duszę.

Welin zagrał pierwsze akordy Ballady o Smutnym Kocie, zabawnej pieśni pochodzącej z Terytoriów Centralnych. Śmieszek po chwili dołączył. Utwór miał formę dialogu między sprytną myszą i przygnębionym kotem. Błyskawicznie znaleźli wspólny rytm i już w połowie piosenki zaczęli wplatać w tekst improwizowane fragmenty, odnoszące się do poszczególnych osób spośród publiczności. Minęło wiele czasu, odkąd Edwin ostatnio spotkał równie dobrego barda.

Reszta Szarych Strażników zajęła miejsca przy pięknie zdobionym, choć mocno już podniszczonym okrągłym stoliku z drewna wiśni. Magnus siedział na małym taborecie, Matylda na krzeselku z niskim oparciem, Cass i dzieciak zmieścili się we dwójkę na absurdalnie dużym drewnianym tronie, ozdobionym płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny o wyraźnie erotycznej naturze. Ku wielkiemu rozbawieniu muzyka oraz zniesmaczeniu Magnusa wszystkie przedstawione postacie były płci męskiej. Jedyne pocieszenie dla Wielkoluda stanowił fakt, że po stuleciach wizerunki na tyle się zatarły, że nikt nawet nie zauważył ich treści, dopóki nie zwróciły na nie uwagi wieczne czujne oczy Śmieszka.

Pieśń dobiegła końca wraz z zabawną, acz tragiczną puentą, w której mysz przekonuje kota do samobójczej śmierci, by następnie dobrać się do zalegającego w spiżarni sera. Tłum wybuchł śmiechem, a potem posypały się brawa. Trubadurzy wstali i skłonili się głęboko.

– Ciekawe, czy wiedzą, że w tej alegorii to oni są kotem, a szlachta myszą? – spytał cicho Welin.

– W Wolnych Miastach przyjęło się uważać, że mysz w tej historii jest symbolem duchowieństwa – odpowiedział Edwin, posyłając całusa jakiejś dziewczce. – Z moich doświadczeń wynika, że na północy myszami są sprzeciwiające się gwałtowi niewiasty.

Po czym pociągnął łyk wina, starając się nie porównywać smaku z tym, który pamiętał z Błękitnego Portu.

– Widzę, że miałeś dosyć niezwykle doświadczenia.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Co sprowadza cię tak daleko na wschód?

Mężczyzna przez chwilę rozważał odpowiedź.

– Chęć przygody – stwierdził wreszcie. – Potrzeba przestrzeni, poszukiwanie pieśni i straszliwe długi.

Odchrząknął.

– Choć muszę przyznać, że biorąc pod uwagę umiłowanie miejscowych do dobrej muzyki, niedługo mogę popaść w jeszcze większe – dokończył.

– Rozważałeś znalezienie prawdziwej pracy?

– Obawiam się, że niestety jestem zbyt pruderyjny do roli żigolo – odpowiedział drugi bard z zawadiackim uśmiechem. – Ale rozważałem karierę w legionie.

– Armia nie brzmi zbyt ponuro dla takich ludzi jak my?

– Może tak, ale wiesz, jak mówią. Za mundurem panny sznurem. – Uśmiechnął się. – Choć faktycznie, mundury noszone przez tutejszych legionistów wyglądają, jakby uszył je pijany ślepiec. Nie to, co mundury w Smoczym Leżu. Oficerowie gwardii pałacowej wyglądają lepiej niż niejedna dama dworu.

Edwin chciał coś odpowiedzieć, ale publika zażądała kolejnej pieśni. Tym razem padło na Dziewczyny o Tłustych Pośladkach, rubaszną balladę rodem z Błękitnego Portu. Opowiadała o perypetiach pewnego młynarza, próbującego wydać za mąż swoje cztery niezbyt urodziwe córki. Sądząc po fakcie, że co najmniej trzy osoby przypłaciły śmiech upadkiem z krzeseł, publika wydawała się w pełni ukontentowana występem.

– A co sprowadza ciebie na wschód? – spytał tym razem Welin, przepłukując gardło kolejnym kubkiem siarczystego wina. –

Raczej nie wyglądasz na kogoś, kto ciągnąłby do Zakonu. Nawet do takiego, który z faktycznym zakonem wspólną ma chyba tylko nazwę.

– Powiedzmy, że nie był to w pełni mój wybór. Skorzystałem z możliwości rekrutacji, by uniknąć karzącej ręki prawa.

– Więc jeśli nie dostaniesz Płaszczaka...?

– Odstawią mnie prosto do lochów, gdzie już czeka małodobry. Dokonałem wyjątkowo brutalnego morderstwa na pewnej kobiecie.

Dopiero po chwili na twarzy rekruta zagościł uśmiech:

– Żartuję. Tak naprawdę byłem szpiegiem.

– Szpiegiem? – Jego rozmówca wydawał się dosyć sceptyczny.

– Konkretnie to przyłapano mnie na próbie kradzieży kompromitujących dokumentów z sypialni pewnego szlachcica. Ale nie narzekam, są gorsze miejsca, w których mogłem wylądować. Na przykład w legionie.

– Poczekaj, aż zobaczysz mnie w mundurze – roześmiał się Welin.

Drzwi skrzypnęły głośno, kiedy okryty płaszczem podróżny wkroczył do środka, gdzie zastał wszystkich zgromadzonych wokół bardów. Cassandra zerwała się nagle z tronu i rzuciła sztyletem prosto w głowę stojącego pod ścianą przybysza.

Kilka osób wrzasnęło, kiedy postać zwała się na ziemię, lecz krzyki naprawdę eksplodowały, dopiero kiedy spod płaszcza wypadła istna horda szczurów. Edwin całkowicie odrzucił pozory odwagi, wskakując na stół. W jego ślady podążyła większość kobiet i zaskakująco dużo mężczyzn. Magnus i Matylda dobyli mieczy w oczekiwaniu na atak, ale szczury zdawały się być bardziej zainteresowane ucieczką przez wciąż otwarte drzwi, niż pożarciem zgromadzonych ludzi.

– Co do kurwy... – Wojowniczką była wyraźnie poruszona.

– Zwiadowca – odparła spokojnie Cass. – Już po wszystkim.

– Na pewno? – Śmieszek dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak idiotycznie wygląda, stojąc na stole z jedną stopą w misce gulaszu.

– Ludzie, uspokójcie się! – wrzasnął Wielkolud, wyjmując spod koszuli miedziany sygnet zawieszony na rzemieniu. – Jesteśmy

z Zakonu Szarej Straży! Sytuacja jest pod kontrolą!

– Ów szczurzy... upiór został pokonany. Tropiliśmy go od jakiegoś czasu i możecie być pewni, że nikomu już nie zagraża. Teraz to tylko zwykłe szczury. Wróćcie do swoich posiłków, nikomu już nic nie grozi. Karczma jest bezpieczna!

Kilka zagubionych szczurów biegało jeszcze tu i tam, ale ludzie zdawali się uspokojeni. Magnus odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Na pewno jesteśmy bezpieczni?

– Dopadłam go, zanim nas zauważył – odparła Cass, przytakując samej sobie. – Myślę, że mamy czas, do świtu, może dłużej.

– Karczmarzu! Zostaniemy na noc. W jednym pokoju, najlepiej gdzieś na uboczu – zdecydował Wielkolud.

*

– Co to, do cholery, było? – spytał Magnus z zaskakującym jak na okoliczności opanowaniem.

– Już mówiłam, zwiadowca – odpowiedziała spokojnie Cassandra, poprawiając posłanie.

– To nie jest wyjaśnienie – uparł się Edwin, nerwowo drepcząc w tę i z powrotem po małym pokoiku. – W jednej chwili stał tam człowiek, a gdy go trafiłaś, zmienił się w szczury!

– On się nie zmienił w szczury, on od początku był szczurami – poprawiła Cass, jak gdyby było to coś oczywistego.

– Więc czemu wyglądał jak człowiek?

– Nie wyglądał, przynajmniej nie dla nas.

Zarówno dziewczyna, jak i chłopiec przytaknęli.

– Skąd wiesz, co on widział? Przecież on nic nie mówi!

– Po prostu. – Cass wzruszyła ramionami.

Bard westchnął w geście rezygnacji.

– Najpierw to... coś na trakcie. Teraz człowiek-szczur. To nas przerasta. Takimi rzeczami powinni się zajmować doświadczeni Szarzy Strażnicy, my powinniśmy co najwyżej im pomagać i słuchać rozkazów.

– Zgadza się ze Śmieszkiem – poparła go Matylda. – Jak w

ogóle mamy z tym walczyć? Nie możemy mierzyć się z czymś, czego nie potrafimy zabić.

– Trochę na to za późno – przerwał Wielkolud. – Musimy dotrzeć do Komandorii 42. To jedyny sposób, by wyjść z tego cało. Chyba że sugerujecie porzucenie chłopca i ucieczkę, ale to raczej zakończy naszą karierę w Zakonie.

Nikt nie odpowiedział. Za oknem dało się słyszeć szum deszczu, a gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Mężczyzna kontynuował swoją przemowę, patrząc nie na towarzyszy, ale na pojedynczą świecę ustawioną na małym stoliku pomiędzy łózkami:

– To nie jest zwykły przeciwnik. To coś, czego nie spotykamy na co dzień, czego nikt z nas nie spotkał do tej pory...

Przerwał mu śmiech Cass, również na twarzy chłopca zagościł uśmiech.

– Powiedziałeś, że do tej pory nikt z was nie spotkał się z czymś takim. – Cassandra była wyraźnie rozbawiona. – Ale to nieprawda, cały czas się z tym spotykacie.

Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Płomień świecy przygasł nagle, jakby ukrył się za całunem cieni.

– Jest ciepło – stwierdziła nagle. – Szczęście. To wiosna, w powietrzu czuć życie, jest dzień jej ślubu. Niepokój. Przybyli jacyś nieznajomi. Źli. Groźni. Strach. Ból. Czynią ból. – W pomieszczeniu dało się odczuć lekki powiew wiatru, dochodzący jakby od dziewczyny. – Czemu? Nawet ich nie znała. Ból. Cierpienie. Nie rozumie. Nóż!

Otworzyła oczy i złapała się za gardło, ciężko łapiąc powietrze. Światło nagle wróciło do poprzedniego stanu.

– Co... kurwa... – Edwin zatrzymał się w miejscu, całkowicie zbity z tropu.

– Ona nie może odejść – stwierdziła Cassandra po chwili, a chłopiec jej przytaknął.

– Duch? – spytał Magnus. Maską stoicyzmu całkowicie zeszła z jego twarzy.

Potwierdziła.

– Są wszędzie. Cały czas się na nie natykacie. I na inne rzeczy. Lepsze i gorsze.

– I ty je widzisz?

– Nie. Ich nie da się zobaczyć, przecież nie mają ciał. – Ton Cassandry wskazywał, że tłumaczy coś oczywistego. – Ale ja je czuję. Czasami widzę części ich wspomnień. To strasznie dezorientujące. Teraz jest już lepiej, coraz częściej to rozróżniam. Ale kiedyś nie zawsze wiedziałam, które uczucia są moje.

Kiwnęła głową.

– Kiedy byłam dzieckiem, mieszkałam w wiosce, obok której wznosiło się wzgórze. Rosło na nim pojedyncze drzewo. Inne dzieci się tam bawiły, ale ja nie mogłam. Zawsze kiedy tam szłam, zaczynałam płakać. To miejsce było tak straszliwie smutne i pełne gniewu. Próbowałam im powiedzieć, ale nikt mnie nie słuchał. Podobnie, jak kiedy mówiłam im, że sołtys jest złym człowiekiem. Mama zawsze mnie biła, kiedy opowiadałam podobne dziwne rzeczy. A potem któregoś dnia na wzgórzu wykopano wielki dół i znaleziono trupy.

Spojrzała w podłogę i ciągnęła dalej:

– Powiedzieli, że nie da się rozpoznać ciał, ale ja wiedziałam, że to była rodzina, która zaginęła wiele lat wcześniej. Wszyscy powtarzali, że nie da się dojść, kto ich zabił i zakopał, ale ja wiedziałam. Mówiłam, że to banda zbirów wynajęta przez sołtysa. Ale wtedy zorientowano się, czym jestem i ludzie zaczęli na mnie wyklinać. Nawet kapłan przyjechał i mówił, że jestem zła. Więc mama powiedziała, że muszę wyjechać, bo inaczej mieszkańcy zrobią mi krzywdę. Spakowała moje rzeczy i kazała odejść. Ale ja wiedziałam. – Cass podniosła wzrok. – Ona się mnie bała. Przerażałam ją. Wiedziałam to, nawet zanim głosy mi to powiedziały. Więc uciekłam. – Pokiwała głową.

– Ile miałaś lat? – spytała Matylda.

Czująca przez chwilę patrzyła na swoje dłonie, po czym podniosła w górę siedem palców.

– To dosyć przygnębiająca historia – stwierdził Edwin.

– Wcale nie – zaprzeczyła czująca. – Dzięki temu później zmarli mogli odejść, bo ktoś poderżnął sołtysowi gardło.

– Nie ma szans, bym teraz zasnął – wyjaśnił Edwin. – Lepiej spożytkuję noc na dyskusję z kimś na moim poziomie. Kto wie, może nawet poznam jakieś nowe ballady. Co więcej, widziałem,

jak patrzyły na nas dziewczki, kiedy graliśmy. Niektóre z nich na pewno jeszcze tam są, więc pewnie wrócę późno.

Ruszył wąskim marmurowym korytarzem. Minał wyblakłe malowidła na ścianach i toporne, drewniane drzwi, całkowicie niepasujące do otoczenia, by wreszcie zniknąć w ciemności. W oddali dało się słyszeć głosy i śpiewy dochodzące z głównej izby, umiejscowionej w innym skrzydle starej rezydencji. Magnus usiadł na małym zydlu i oparł się o ścianę, dając znak, że obejmuje wartość.

*

Gród był brudny i cuchnący. Matylda wychowywała się właśnie w takich warunkach. Prymitywny ostrokół, upstrzony nielicznymi wieżami strażniczymi, otaczał zbiorowisko drewnianych chat. Przy bramie stało kilku wartowników. Równie nieprzyjemnych, jak miejsce, którego bronili. Trudno było nawet nazwać ich strażnikami, bo służba najwyraźniej ograniczała się do grania w kości i gwizdania na widok każdej mijającej bramy kobiety. Wojowniczką zignorowała ich reakcję, Cassandra zdawała się nawet jej nie zauważać. Wąskie uliczki pokrywała głęboka na kilka centymetrów warstwa błota. Ludzie starali się trzymać poukładanych w ścieżki desek, ale nie zawsze było to możliwe. W centrum grodu znajdował się niewielki kamienny zamek, pozostałość po czasach świetności i zapewne siedziba miejscowego władcy.

– Cywilizacja – stwierdził Edwin z uśmiechem, kiedy wjechali pomiędzy zabudowania. – A przynajmniej to, co tu za nią uchodzi.

Na ulicach było tłoczno. Musieli trafić na dzień targowy lub podobną okazję. Wszędzie dookoła biegały półnagie wyrostki, brodząc w błocie po kolana. Ponurzy chłopcy i nerwowo uśmiechający się kupcy tworzyli żywą rzekę, zmierzającą w kierunku centrum grodu. Ciemnoskóry kupiec z dalekiej krainy na południu, postawny rycerz w napierśniku ozdobionym herbem przedstawiającym nagą kobietę trzymającą miecz czy pokryta tatuażami dzikuska o zaostrzonych zębach wyróżniali się wśród

tłumu. Matylda bez trudu wychwyciła też kilku złodziejasków i zbirów szukających okazji. Na szczęście nikt nie chciał zadzierać z grupą uzbrojonych jeźdźców.

– Czy tamten człowiek ma obrożę? – spytał muzyk, wskazując kogoś w tłumie. – Trochę dziwna moda.

– To niewolnik – stwierdził Wielkolud.

– Niewolnik? Żartujesz. Przecież niewolnictwo zostało zakazane jeszcze przez Pierwszego Imperatora. Dobre tysiąc lat temu.

Nikt nie skomentował. Nie było zresztą czego komentować. Imperium potępiało niewolnictwo, zgodnie z nakazami Kościoła Deusa. Mimo to na Rubieży nigdy nie dało się go w pełni wykorzenić. Po Upadku stare zwyczaje powróciły, często wraz ze starymi bogami.

– Tam jest kolejny – zauważył. – I jeszcze jeden... Deusie, jest tu ich cała armia.

– To targowisko. – W głosie Magnusa dało się słyszeć wyraźne obrzydzenie.

– Co?

– W tym grodzie handlują niewolnikami – wyjaśniła Matylda. – I biorąc pod uwagę tłok, chyba niedawno mieli świeżą dostawę.

Podążając za tłumem, wreszcie dotarli na główny rynek. Miejsce było zatłoczone nie tylko ludźmi. Bydło, drób, owce, kozy, psy i koty – wszystko upchnięte w malutkich klatkach razem z przeznaczonymi na sprzedaż nieszczęśnikami.

– Skąd oni ich tylu biorą? – zdziwił się Edwin. Jego początkowe zaskoczenie zdawało się ustępować ciekawości.

– Przestępcy, dłużnicy, jeńcy wojenni. Czasami po prostu pechowcy porwani z traktu – wytłumaczył jego towarzysz. – Sam prawie wylądowałem w jednym z takich kojców, po tym, jak mój książę przegrał wojnę z sąsiadem. Cholera, znajdziemy jakieś schronienie na noc. Jutro z samego rana stąd odjedziemy.

W kilku miejscach na targu ustawiono podwyższenia z drewnianych skrzyń. Stojący na nich wystawiali ponad morze głów, wykrzykując i gestykułując z ożywieniem. Niektórzy opowiadali historie lub żonglowali, licząc na zyski. Kilku nawoływało do powrotu do dawnych bogów. Wzywali imienia

Donara, Chorsa, Sola, Wodana, Lugosa, Dagona i wielu innych, o których Matylda nigdy nie słyszała. Na skraju placu, tam gdzie tłok był nieporównywalnie mniejszy, trafili na kapłana Deusa. Przemawiał on przeciwko niewolnictwu, nie wywołując jednak zbyt dużego entuzjazmu wśród zgromadzonych.

– Matylda! – dobiegł ją głos z tłumu. Dopiero po chwili dostrzegła Brodacza.

Podstarzały najemnik był niski, zaokrąglony i wyposażony w najdłuższą brodę, z jaką kobieta kiedykolwiek się zetknęła.

– Widzę, że jeszcze żyjesz, ty stary pierniku! – zawołała, zeskakując z konia.

Mężczyzna z jowialnym uśmiechem rozłożył ręce i objął ją na powitanie. Niski wzrost sprawił, że jego twarz wtuliła się w biust Matyldy, podczas gdy nieproporcjonalnie wielkie łapska powędrowały prosto na jej pośladki.

– Nic się nie zmieniłeś – stwierdziła kobieta, odpychając go. – Stary zboczeniec.

– W moim wieku już i tak na więcej liczyć nie mogę. – Uśmiechnął się, celując w nią swoim wielkim, wiecznie czerwonym nochem. – Co cię sprowadza do tej cuchnącej dziury? Myślałem, że już skończyłaś z żywotem najemnika.

– Jestem przejazdem, z towarzyszami.

– Widzę. Dziwne towarzystwo jak na ciebie. – Pociągnął nosem. – Tego dużego to jeszcze rozumiem, bo zawsze wołałaś takich byczków. Ale ten elegancik i dziewczka? I dzieciak? Chyba nie twój, co?

Trzepnęła go otwartą dłonią w ucho.

– Jasne, że nie mój. Kiedy bym go miała urodzić, jak ostatnich kilka lat się z tobą po wojnach włóczyłam? A jak przy tym jesteśmy, co cię tu sprowadza? Łowcą niewolników na starość zostałeś?

– Ja? A gdzieżby! Ochroną kupca jestem. Wszystko przez ten cholerny Legion. – W jego głosie pojawił się gniew. – Jedna bitwa, kurwa ich mać, jedna bitwa i lata pracy trafia szlag. Więc teraz zamiast kwatermistrzować w kompanii, muszę chronić jakichś tłustych sukinsynów na traktach. I do tego te korzonki...

– Przynajmniej jeszcze żyjesz.

– Ale co to, kurwa, za życie? Ja najemnik jestem. Takim jak my ostrze w serce i mogiła, a nie starość. Czasami myślę, czy nie lepiej mi było iść z Kostką.

– Tym rzeźnikiem? Jeszcze go nie powiesili?

– A gdzie tam! Zebrał kilku i po traktach zaczęli grasować. Niedawno ich spotkałem, jak mojego kupca chcieli zarznąć. Na szczęście po starej znajomości udało nam się wykupić, nawet część towarów pozwolili zostawić. Kostka mi mówił wtedy, co bym z nimi odjechał, ale pomyślałem, że już za stary na zbójstwo jestem. W młodości to co innego – rozmarzył się. – Ale nie odpowiedziałas, co ty porabiasz.

– Szara Straż – odrzekła, wyciągając spod kolczugi zawieszony na szyi pierścień.

– Zabójczyni demonów, no, no. To chyba jeszcze głupsze zajęcie.

– Ale mam dach nad głową i stały żołąd.

– Tak. I wrogów, których nie da się zarębać mieczem. Ja już chyba wolę ochraniać tłustych kupców. My się nie nadajemy na bohaterów.

– Matyllda! – zawołał Magnus.

– Obowiązki wzywają.

– Ano widzę. Też pewnie powinienem wracać do swoich. Nie będę cię zanudzał narzekaniem starca.

Matyllda podjechała do pozostałych. Właśnie zbierali się z targu, razem z klechą.

– To jest ojciec Norbert – przedstawił mężczyznę Wielkolud. – Zatrzymamy się na noc u niego.

*

Świątynia, w której zamieszkiwał kapłan, była starym i mocno podniszczonym barakiem. Dziurawy dach przepuszczał jedną kroplę deszczu za drugą. Ściany, cechujące się podobnym poziomem solidności, gościnnie zapraszały chłód do wnętrza.

Magnus siedział na ławie, przyglądając się małemu, topornie wykonanemu ołtarzowi, ozdobionego krzyżem solarnym Deusa. Pozostali rekruci siedzieli w kącie, okryci kocami. Jakiś pijaczek

zalegał na sąsiedniej ławie z wyrazem przyjemnego błogostanu malującym się na twarzy.

– Nie robi wrażenia – przyznał ojciec Norbert, odrywając się od modlitwy.

– Zdarzyło mi się spać w gorszych miejscach – stwierdził Wielkolud. – Choć przyznaję, że świątynie Deusa zwykle wyglądają dostojnie.

Kapłan uśmiechnął się.

– Niestety, tutejsi nie są zbyt pozytywnie nastawieni do idei zbawienia swoich dusz. W każdym razie nie jeśli oznacza to brak zysków z handlu niewolnikami.

– Może powinien ojciec spróbować gdzie indziej? – zasugerował Edwin.

– Zawsze uczono mnie, że światło świecy najbardziej przydaje się w ciemnościach – odpowiedział kapłan.

– I nie myślał ojciec o wyjeździe? – wtrącił się Magnus. – Znam wiele osad, nawet niedaleko stąd, gdzie Deusa przyjęto by z otwartymi ramionami. Gdzie żadnego klechy nie widziano od dziesięcioleci, a ludzie mimo to nie wrócili do dawnych wierzeń.

– Jak już mówiłem, sądzę, że jestem bardziej potrzebny tutaj.

– Ci ludzie cię tutaj nie chcą. Mieszkańcy wiosek, o których mówię, wręcz przeciwnie. I oni też potrzebują kapłana. Zdecydowanie zasługują na niego bardziej niż to przeklęte miasto.

– No proszę, nasz Magnus okazał się dewotem – zaśmiał się Edwin. – Nolanówny się popłaczą.

– Nie mam pojęcia, co oznacza słowo „dewot” – stwierdził Wielkolud.

– To znaczy, że jesteś bardzo religijny – wyjaśnił ojciec Norbert. – Choć w ustach kogoś z Wolnych Miast jest to raczej używane jako obelga.

– No tak, po akcencie wnioskuje, że ojciec pochodzi ze Spornych Ziem. Wspaniałej krainy dzielnych rycerzy, cnych dziewic i płonących czarownic. – Bard powiedział to z wyraźnym rozbawieniem, dopiero po chwili dostrzegając wyraźny niepokój, który jego stwierdzenie wywołało u Cassandry.

– Obawiam się, że dzielnych rycerzy i cne dziewice mamy tylko

w balladach. A jeśli chodzi o wiedźmy, czy Szara Straż nie zajmuje się przypadkiem tropieniem i zabijaniem czarnoksiężników?

– Nie jestem dewotem – przerwał Magnus. – Ale Rubieże to nie Wolne Miasta. Wiara w Deusa to często jedyne, co ratuje tu ludzi przed zmienieniem się w zwierzęta podobne tym, które zamieszkują to miasto. Nie wiem, jak wy, ale osobiście wolę świątynię od targu niewolników. I zdecydowanie nikt nikogo nie będzie palił – zapewnił po chwili czującą.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, rozległo się głośne pukanie.

– Otwierać, tu straż grodu!

Pijacek jedynie przekręcił się drugi bok. Szarzy Strażnicy wstali, chwytając za broń.

– Spokojnie – powiedział ojciec Norbert, podchodząc do drzwi. – To dosyć regularni goście.

Do pomieszczenia wkroczyło pięciu zarośniętych, potężnie zbudowanych mężczyzn, uzbrojonych w ciężkie pałki.

– A to co, spotkanie modlitewne? – spytał z głupawym uśmiechem jeden z nich.

– Udzielam gościny zmęczonym podróżnym – wyjaśnił kapłan.

– Dobrze uzbrojeni ci podróżni. Chyba nie planuje klecha zbrojnie wyzwać naszych towarów, co?

– Nie po to tu przybyłem.

– Jasne, jasne. Wy tak zawsze mówicie, a potem zanim się człowiek spostrzeże, ma krucjatę wbijającą mu się w sam środek dupy.

– Nie przybyliśmy się w nic wbijać – zapewnił Magnus. – Ojciec Norbert mówi prawdę, jesteśmy tylko przejazdem. O świcie ruszamy dalej.

– Ano ruszycie, jak nic ruszycie. I podobnie klecha. Nasi bogowie już dosyć się nasłuchali jego bzdur.

– I wasi bogowie go wyrzucają? – spytał Edwin.

– Nie, nasi władcy. Były skargi, nikt cię tu nie chce, klecho. Nikt. Masz czas do końca tygodnia, później ta buda pójdzie z dymem. Niezależnie, czy nadal będziesz w środku. Rozumiemy się?

Ojciec Norbert pokiwał głową. Strażnicy jeszcze chwilę rozglądali się po pomieszczeniu z groźnymi minami, po czym ruszyli na zewnątrz, w ciemność i deszcz.

– Co ojciec robi teraz? – spytał Magnus.

– No cóż. Zostanę tu jeszcze tydzień, głosząc prawdę. A później najwyraźniej ruszę gdzie indziej. Zostało jeszcze wiele podobnych miejsc na Rubieżach.

– Za kilka dni będziemy tędy wracać – stwierdził Magnus.

– Słucham?

– Miejsce, z którego przybyliśmy, leży na uboczu, ale mają tam kilka wiosek, prawie tysiąc dusz i Komandorię Szarej Straży. Za to od dawna nikt nie widział tam kapłana.

– Proponujesz mi nowe miejsce zamieszkania?

– Jak mówiłem, niektóre miejsca potrzebują kapłana, ale inne po prostu na niego zasługują.

*

Polana leżała tuż obok traktu. Gęsta warstwa chmur zasłaniała księżyc, czyniąc jedynym źródłem światła ognisko. Szarzy Strażnicy siedzieli na kłodach, które ktoś pewnie już lata temu ułożył dookoła otoczonego kamieniami miejsca na palenisko. Konie stały niedaleko, przywiązane do kawałka drewnianego ogrodzenia.

Znajdowali się już tylko kilka godzin jazdy od Komandorii 42. Matylda domyślała się, że dotrą na miejsce przed południem. Następną noc spędzą bezpiecznie ukryci za kamiennymi murami. Edwin grał jakąś senną balladę, Cass i dzieciak wpatrywali się w ognisko. Panujący tu spokój i bliskość celu osłabiły ich czujność. Jej czujność. Jeźdźcy byli już blisko, kiedy wreszcie ich usłyszała. Zbyt blisko, by uciekać lub próbować ukryć swoją obecność.

Co najmniej dwunastu, jak oceniła po hałasie. Uzbrojeni. Bardzo uzbrojeni.

– Witam podróżnych! – wrzasnął przywódca bandy, zanim jeszcze wkroczyli w krąg światła. – Ja pierdolę, Matylda, to ty?!

Dziewczyna przeklęła pod nosem. Od razu poznała ten głos.

Nieprzyjemnie chropowaty i jakby obślizgły.

– Witaj, Kostka! – odpowiedziała.

Po czym szepnęła do Magnusa:

– Ja się tym zajmę.

Jeźdźcy wpadli na polanę. Sądząc po wyglądzie i zapachu, żaden z nich nie mył się od tygodni. Mimo to dało się wyczuć w powietrzu woń świeżej krwi.

– Jaki ten świat kurewsko mały – stwierdził mężczyzna, zeskakując z konia. Część jego ludzi podążyła w ślady swego dowódcy, lecz inni pozostali w siodłach, otaczając polanę.

– Faktycznie nieduży. Spotkałam wczoraj Brodacza. Wspominał, że grasujesz w okolicy.

– Tak, stary piernik ma szczęście, że trafił wtedy na mnie. Na rozsądnego człowieka.

Kostka był wysoki i upiornie chudy. Wyglądał jak chodzące, zasuszone zwłoki. Jego łysą głowę zdobiły liczne blizny i tatuaż na potylicy. Już od ich pierwszego spotkania, lata temu, Matylda miała ochotę wydłubać te gadzie oczy. Ta ochota powracała za każdym razem, gdy ich wzrok dotykał jej ciała.

– A co ciebie tu sprowadza? – spytał zbir, podczas gdy jego ludzie siadali na wolnych kłodach dookoła ogniska.

– Ja i moi towarzysze jesteśmy tu przejazdem.

– Nie jesteś dobrym człowiekiem – stwierdziła nagle Cass, wpatrując się w Kostka i wprawiając w osłupienie resztę kompanii.

– Jestem najgorszy, dziewczynko. – Mężczyzna wyszczerzył się, prezentując nienaturalnie wręcz duże kły. – Ciekawe masz tu towarzystwo, Matyldo.

Zrobił kilka kroków w kierunku czującej i wyciągnął do niej rękę. Magnus złapał go w ostatniej chwili.

– Spokojnie, olbrzymie – ostrzegł Kostka.

– Ona nie lubi, kiedy się jej dotyka – wyjaśnił Wielkolud, puszczając rękę zbója.

– Zabiłeś wielu ludzi – stwierdziła Cass, jak gdyby nigdy nic. Zarówno ona, jak i chłopiec nie odrywali wzroku od chudzielca.

– Ano zabiłem – przyznał banita. – Dołączyłaś do cyrku czy coś?

– Jesteśmy po prostu na trakcie i nie szukamy kłopotów – zapewniła Matylda. – Może ruszymy w swoją drogę i pozwolimy wam cieszyć się spokojem przy ognisku?

– Nie ma potrzeby – zapewnił herszt zbójców. – Miejsca jest sporo. I widzę, że grajka macie. Już dawno żeśmy z chłopakami porządnej muzyki nie słuchali, co?

Pomiędzy rozbójnikami rozszedł się pomruk zgody.

– Oni nadal tu są. – Znow przemówiła Cass. – Wszyscy, których zabiłeś... Są dookoła.

– O czym ona pierdoli?

– Nie jest do końca normalna – stwierdził Magnus.

– Tyle to ja widzę.

Zbójce trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, czekali tylko na rozkaz.

– Może lepiej ruszymy... – spróbowała Matylda.

– Spokojnie, tylko żartuję...

– Co zrobicie z dziewczyną? – spytała Cassandra.

– Cass, mówiłem, żebyś... Z dziewczyną? – Magnus spojrział na bandytów.

– Ach tak, niemal zapomniałem. Korvus, podaj nasz łup. Czas na zabawę, nie? Może nawet podzielimy się z naszymi nowymi przyjaciółmi.

Jeden z bandytów podszedł do swojego konia, ściągnął z niego duży worek i rzucił na ziemię. Dało się słyszeć jęk bólu, skwitowany śmiechem rabusiów. Po chwili inny zbior rozciął worek i wywłókł z niego nagą dziewczynę. Miała może czternaście lat, jej ciało pokrywała zaschnięta krew i liczne sińce. Leżała zwinięta w kłębek, trzęsąc się na ziemi.

– To nasza nowa zabawka – zaśmiał się Kostka.

Magnus zacisnął pięści, mięśnie na jego karku napięły się w widoczny sposób. Rozbójnik spojrział mu prosto w oczy, obydwaj wiedzieli, co się zaraz stanie.

– Ej, Korvus, może ty zaczniesz?

Jeden z degeneratów podszedł do dziewczyny i poderwał ją na kolana, ciągnąc za włosy.

– Nadchodzi – stwierdziła Cass. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Szary Strażnik wyrwał do przodu z zaskakującą szybkością.

Jego pięść wbiła się w twarz zbira, posyłając go na ziemię, lżejszego o kilka zębów. Reszta bandy chwyciła za broń.

– Stać! – krzyknęła Matylda. – Wiesz, jak dobrze walczę mieczem. Magnus jest nie gorszy. Jeśli dojdzie do walki, stracisz ludzi. Przebijemy się...

– Zdechniecie! – przerwał jej herszt. – Grajek i wariatka raczej nie stawią dużego oporu. Tym bardziej dzieciak. Więc dwójka przeciw czternastce. Zdechniecie tu jak psy!

– Nadszedł! – krzyknęła Cassandra.

Ogień nagle przygasł i zrobiło się bardzo zimno. Rozbójnicy wstrzymali się z atakiem, rozglądając niepewnie dookoła. Z otaczającego polanę mroku dobiegły dziwaczne, nieludzkie dźwięki.

– Co to ma... – Kostka nie dokończył. Ognisko całkowicie zgasło, tak jak jego głos.

Pozostały jedynie ciemność, szpony, kły i krzyki umierających.

*

Koń pędził przed siebie. Cassandra przytulała chłopca, z całych sił próbując utrzymać się w siodle. Za nią był hałas i śmierć. Nie mogła się odwrócić. Nie. Nigdy. Jeśliby się odwróciła, jeśli tylko spojrzełaby za siebie, jej świat by umarł.

Jeszcze na polanie Edwin coś do niej mówił, próbował przekrzyczeć hałas. Nie słuchała go. Musiała uciekać. Jak najdalej od koszmaru. Tymczasem głowa Kostki uderzyła o ziemię, ścięta mieczem Matyldy. Duchy radowały się, tłoczyły wokół trupa. Tylko raz zdarzyło jej się widzieć podobną sytuację. Pobudzone przez ciemność zjawy niemal zdołały przybrać realny kształt. Nie powinny tego robić, to było niewłaściwe. Nienaturalne. Wtedy wszyscy mogliby je zobaczyć i wszyscy zwariowaliby, tak jak ona. Magnus kazał jej wsiąść na konia i uciekać. Powiedział, że będą jechali za nią. Czy oni tam są? Musiałaby się odwrócić, by sprawdzić. Nie mogła się odwrócić. Jeśli tak by się stało, jej świat by umarł.

Koń przejechał po drewnianym mostku. Jak nigdy, przez krótki moment Cass modliła się w myślach do tego, którego

nazywają Deusem, by ciemność nie mogła przekroczyć rzeki. Nie odpowiedział, jak zwykle. Musiała jechać dalej, jak najdalej od krzyków. Uciekać. Nie słyszała już żadnego głosu. Nikogo z towarzyszy. Mieli ją chronić, Duncan obiecał jej, że będzie bezpieczna. Matylda i Magnus byli tak silni. Jej obrońcy.

Może byli tuż za nią? Może jeśli spojrzy... Ale nie mogła spojrzeć, a to oznaczało, że równie dobrze mogła być sama. Mała dziewczynka w wielkim ciemnym lesie. A ciemność mówiła do niej. Podpowiadała. Przekonywała.

Nie, to tylko jej umysł. To tylko głos w wyobraźni. To musi być to. Tak naprawdę niczego złego za nią nie ma. Nic jej nie ściga. Jest po prostu szalona.

Ale nadal nie mogła odwrócić głowy. Nadal płakała z przerażenia. A później koń się potknął.

Wraz z chłopcem wylecieli z siodła i uderzyli o ziemię. Ciało Cass zareagowało odruchowo. Przeturlała się po ziemi, trzymając dziecko. Jakiś ostry kamień zranił ją w udo. Ciemność była tuż za nią. Zerwała się, podnosząc dzieciaka. Ruszyła naprzód. Nie odwracała się.

Biegła przez bardzo długi czas, zanim dostrzegła ruiny chatki. Jej noga zdawała się krwawić coraz mocniej z każdym krokiem. Chłopiec oddychał ciężko, nie miał już sił. Z trudem dowlekli się do kamiennego budynku.

– Już dobrze – spróbowała skłamać Cass. Chłopiec nie dał się nabrać. Wiedziała jednak, że musi spróbować, że coś takiego powiedziałby Duncan, aby i sobie dodać otuchy.

Ciemność zbliżała się bez pośpiechu. Cass napawała się strachem. Nie chciała się bać. Nie chciała dać jej tej satysfakcji. Magnus i Matylda by się nie lękali. Oni niczego się nie obawiali, a przynajmniej ona z całych sił starała się w to wierzyć. Dla niej byli nieustraszeni. Musieli tacy być, by ją ochronić. Ale teraz została sama. Tym razem to ona musiała być odważna i silna.

– Obronię cię – znów skłamała. Dziecko znów nie uwierzyło.

Cała chata zaczęła się trząść. Dopiero po chwili Strażniczka zdała sobie sprawę, że to nieprawda. To malec się trząsnął. I ona również.

– Zatrzymam cię! – krzyknęła, ale odpowiedział jej tylko

śmiech.

Chata zaczęła znikać. Smutek został wykrecony, przeobrażony w gniew, w nienawiść. Pożarty przez ciemność. Teraz to miejsce chciało ją skrzywdzić. To nic, to miejsce już prawie nie istniało. Cass mimowolnie zacisnęła powieki i ścisnęła mocniej dłoń dziecka. Nieważne, co się stanie dalej, nie puści jej. Będzie tam do końca. Nikt nie powinien być sam w takim miejscu.

Poczuła ciepło w swojej dłoni. Coś, czego nigdy dotąd nie czuła. To chłopiec. Było w nim coś... coś przyjemnego, ciepłego i jasnego. Ale to znikало, ginęło zabite przez chłód mroku.

– Nie mogę się obronić – stwierdziła cicho. – Ale obronię jego.

Ciemność znów zaczęła się śmiać, ale to nie było istotne. Nic już nie było. Światło jej towarzysza gasło, było już prawie niewidoczne. Nie mogła pozwolić, by zniknęło na zawsze. Gdyby tylko mogła otworzyć oczy.

Zebrała całą siłę woli, jaką jeszcze mogła z siebie wykrzesać. Wiedziała, że światło jest tam, tuż za jej powiekami.

– Musimy to zrobić – powiedziała do chłopca. – Tylko ten jeden ostatni wysiłek i będziemy bezpieczni.

Ciemność wrzasnęła, ale było już za późno.

Cassandra wiedziała, co trzeba uczynić. Otworzyła oczy.

*

Magnus zeskoczył z konia i podbiegł do ruin, mijając wyrwane z korzeniami drzewa. Cała okolica wyglądała jak po przejściu huraganu. Ziemię znaczyły podłużne, dymiące bruzdy. Chatka na szczycie wzgórza przeobraziła się w stertę rozrzuconych kamieni. Niektóre fragmenty ścian można było znaleźć nawet kilkaset metrów dalej. Sterczały wbite w ziemię niczym pociski z katapuły.

– Widziałaś kiedyś coś takiego? – spytał Edwin.

Matylda jedynie pokręciła głową z niedowierzaniem. Wyglądała, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale była zbyt wyczerpana. Prowizoryczny opatrunek na jej nodze wyraźnie przeciekał.

Cassandra i chłopiec leżeli na szczycie wzgórza, a rumowisko

otaczało ich doskonałym kręgiem. Kiedy Wielkolud dotarł na miejsce, czująca powoli otworzyła oczy.

– Magnus! – krzyknęła radośnie, zrywając się na nogi. – Udało się nam!

Nagle zamilkła i z zaskoczeniem rozejrzała się dookoła.

– Co tu się stało?

– To raczej my powinniśmy o to spytać – odpowiedział Szary Strażnik. – Zgubiliśmy cię w nocy, kiedy ścigały nas te stworzenia. Cały ranek cię szukamy.

– Ciemność nas dogoniła – wyjaśniła Cass, z trudem sięgając myślami wstecz, do wydarzeń poprzedniej nocy. – Otworzyliśmy oczy i pokonaliśmy ją!

Chłopiec potwierdził jej słowa, kiwając energicznie głową.

Wielkolud rozejrzał się dookoła z niedowierzaniem.

– No cóż, cokolwiek zrobiliście, zdecydowanie zmieniło to krajobraz, ale teraz czas ruszać. Matylda została ranna podczas walki i musimy jak najszybciej zabrać ją do komandorii. Możesz chodzić?

– Tak – odpowiedziała Cass, wstając. – Chyba zgubiłam gdzieś konia.

– Nie szkodzi, zdobyliśmy kilka na bandytach. Cel już blisko.

*

Imperialny Trakt prowadzący do Komandorii 42 zdawał się świetnie utrzymany i zaskakująco tłoczny. Wioski były tu liczne i zamożne. Miejscowi nie spoglądali na przybyszów spode łba, jak to mieli w zwyczaju zwykli mieszkańcy wschodu. Nad wieloma osadami dumnie powiewały sztandary z Szarą Wieżą, co świadczyło, że jest to domena Zakonu. W jednej z mijanych osad znaleźli krewnych dziewczyny porwanej przez ludzi Kostki. Biedaczka nadal była w szoku, kiedy zostawiali ją z rodziną.

Sama Komandoria 42 okazała się potężną, prastarą twierdzą, pamiętającą jeszcze czasy sprzed przybycia Legionów Imperialnych. Chroniona głęboką fosą i grubym murem forteca górowała nad okolicą, będąc przypuszczalnie najlepiej ufortyfikowanym punktem na Rubieżach.

Już na trakcie natknęli się na patrol, który odeskortował ich na miejsce. Matyldę w towarzystwie Edwina zabrano natychmiast do medyka, podczas gdy Magnus i Cassandra zostali na dziedzińcu, czekając na kogoś, komu mogliby powierzyć chłopca. Dopiero po dłuższej chwili zszedł do nich skromnie ubrany starzec z niezwykle długą, siwą brodą. Cass natychmiast rozpoznała go jako człowieka, który polecił dołączyć jej do Szarej Straży. Jak się okazało, w istocie był to Morgan, Mistrz Bractwa Mędrców, zwany też Wielkim Krukiem. Mężczyzna był niezwykle uprzejmy, przemawiając do rekrutów tonem zaniepokojonego dziadka. Kiedy tylko usłyszał o problemach, jakie spotkały ich na szlaku, natychmiast wyjął jakąś księgę oraz przybory do pisania i zaczął wszystko spisywać już na dziedzińcu, obok stajni. Później nakazał przydzielić rekrutom pokoje do czasu, aż Matylda będzie gotowa do drogi.

*

Był jasny, choć chłodny poranek. Na dziedzińcu stały cztery konie pod siodło i jeden z zapasami na drogę. W wiecznie panującym harmidrze mało kto zwracał uwagę na czwórkę świeżaków z innej komandorii. Jedynie Morgan i chłopiec przyszli się pożegnać, choć Magnus miał wrażenie, że raczej z Cass niż z ogółem rekrutów.

– Wygląda na to, że miałem nosa, nakazując ci wstąpienie do Zakonu – uśmiechnął się starzec. – Choć nie spodziewałem się, że wylądujesz w tak odległym miejscu. Jeśli chcesz, mogę cię przenieść w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

– Nie trzeba – stwierdziła Cassandra. – Jestem bezpieczna z moimi... przyjaciółmi.

– I to jeszcze jak – powiedział Edwin. – Nie pozwolimy, by coś się stało naszej małej Wariatce. Choć jak już jesteśmy przy przeniesieniach, to...

– To nie będzie konieczne – przerwał mu dowódca wyprawy. – Jeszcze raz dziękujemy za gościnność. Ale na nas już pora.

– Naturalnie – zgodził się Wielki Kruk. – Chwileczkę, coś ja jeszcze miałem wam do przekazania. A tak, wczoraj przyszedł

list z Czarnej Skały adresowany do was.

Wyciągnął rękę z kartką papieru w kierunku Wielkoluda. Tan zawahał się przez chwilę, a bard natychmiast przechwycił wiadomość.

– Ja to wezmę. Jestem trochę jakby kronikarzem naszej dzielnej ekspedycji – stwierdził z uśmiechem.

– Oczywiście. – Morgan zdawał się nie dostrzegać zmieszania Magnusa. – Tak czy inaczej, uważajcie na siebie. Zwłaszcza ty, Cassandro. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Do widzenia – powiedział cicho chłopiec, ku zaskoczeniu wszystkich poza Cass i starcem.

– On mówi – zauważyła Matylda, kiedy przekroczyli już bramy zamku.

– No jasne – No jasne – odpowiedziała czująca. – Czemu nie miałyby?

– Brak dowodu nie jest dowodem braku – stwierdził sentencjonalnie Edwin, wczytując się w list. – Swoją drogą, nasz dzielny przywódco, jeśli masz prowadzić ludzi, to może powinienes nauczyć się czyta... Co do... Kurwa mać! No, to już jest chyba jakiś kiepski żart.

– Złe wieści? – spytała retorycznie Matylda.

Śmieszek przez chwilę wpatrywał się w kartkę papieru z niedowierzaniem.

– Pamiętacie to pudło, które wysłaliśmy do Czarnej Skały? – przemówił wreszcie. – Wiecie, to ze szczątkami Olbrzyma! No cóż, jak się okazuje, dotarło puste.

– Jak to puste? – zaniepokoił się Magnus.

– Normalnie. Puste. Otworzyli je i nic nie było w środku, nawet krzty popiołu.

– Może ktoś je opróżnił wcześniej – zauważyła najemniczka.

– Pieczęcie były nietknięte. Przewożący skrzynię ludzie twierdzili, że nikt się do niej nie zbliżał. Wygląda, jakby zawartość po prostu wyparowała.

– To co się stało ze resztkami tego potwora?

– Może wrócił do domu – stwierdziła Wariatka.

– A niby gdzie jest jego dom? – zapytał trubadur.

– Jeśli Deus będzie łaskawy, nigdy się tego nie dowiemy –

powiedziała wojowniczką.

– A wszyscy wiemy, że Deus słynie z łaskawości. – Śmieszek schował list do torby przy siodle.

– Tak czy inaczej, teraz nic na to nie poradzimy – przerwał dyskusję Magnus. – A przed nami długa droga do domu.

Rozdział IV

W powietrzu unosił się zapach krwi. Duncan znał to, wiele razy odczuwał go w podobnych miejscach. Miejscach przemocy i bólu. Dziś jednak nie było takie samo jak wcześniej. Widział zdumienie zmieszane ze strachem na twarzach ludzi dookoła, ale też swoich towarzyszy, sędziego Adriana, jego synów i łowcy Heliera.

– Hilda, Hattie i Holly – wymienił Adrian, wskazując kolejne kształty ułożone na łóżkach. – Najstarsza miała siedem lat, najmłodsza cztery.

Nikt nie skomentował. Panująca w chacie cisza wydawała się wręcz dławić zgromadzonych.

– A matka? – spytał Magnus.

– Jokunda – stwierdził Manfrey. Wszyscy odruchowo spojrzeli w kierunku wejścia do sąsiedniego pokoju. Przez otwarte drzwi widać było przesiąkniętą krwią pościel.

– Jest tu za duży tłum – powiedział Nathaniel. – Manfreyu, weź swoich ludzi i przeszukajcie teren dookoła chatki, może będą tam jakieś ślady? My i Helier przeszukamy wewnątrz domu, a później porozmawiamy z gospodarzem. To on znalazł ciała?

Sędzia Adrian potwierdził skinieniem głowy.

– Biedny Nikolaos jeszcze nie doszedł do siebie na tyle, by móc o tym opowiedzieć. Ledwo mógł z siebie cokolwiek wyksztusić...

– Więc damy mu trochę więcej czasu – przerwał Książę. – A teraz, czy moglibyście...?

Wskazał na drzwi. Zgromadzeni spojrzeli na dowódcę rekrutów i po jego potwierdzeniu ruszyli do wyjścia. W budynku pozostali tylko niezbędni strażnicy wraz z Helierem oraz cztery ciała.

– Zrobił to szybko – ocenił łowca, przyglądając się uważniej ciału Hildy. – Jeden płynny cios, od ucha do ucha. Kimkolwiek jest, potrafi używać noża.

– Nic niezwykłego w tej okolicy – zauważył Duncan. – Podsumujmy to, co już wiemy. Napastnik zjawił się w środku nocy. Zapewne podczas śnieżycy lub tuż przed. Sądząc po śladach krwi, dopadł Jokundę w sieni. Została wielokrotnie dźgnięta. Później ułożył jej ciało na łóżku, przyszedł do tego

pokoju i poderznięła gardła dziewczynkom. Jednej po drugiej?

– Były zbyt przerażone, by uciekać – domyślił się Helier.

– Albo mamy do czynienia z więcej niż jednym zabójcą – zauważył dowódca rekrutów. – W takim przypadku to mogą być znów ludzie ze wzgórz, sługusy Olbrzyma.

– Nie wyważyli drzwi – stwierdził Magnus. – Jeśli kobieta ich wpuściła, to pewnie ich znała. Czyli miejscowi.

– Nikt z miejscowych nie zrobiłby czegoś takiego – zapewnił tropiciel.

– Mogła się zlitować nad podróżnym złapanym przez śnieżycę.

– Nie ma żadnych śladów wskazujących na magię – zaobserwował Książę. – Żadnych świec, symboli, malunków krwią. To wygląda raczej na normalne morderstwo, sprawę dla miejscowych władz.

– Normalne? – zdziwił się jego przełożony. – To znaczy?

– Nie widzę nic nadnaturalnego. Nic wymagającego uwagi Szarej Straży. Jeśli chcesz, możemy sprowadzić Cass, żeby wyczuła, czy w sprawę była wmieszana magia, ale...

– Nie – przerwał mu Magnus. – W tym miejscu jest za dużo bólu, nawet dla zwykłych ludzi.

– Jaki jest sens posiadania w komandorii czującej, jeśli nie możemy jej użyć w takich sytuacjach?

– Nie. – W głosie Wielkoluda zabrzmiało rzadkie dla niego zdecydowanie. – Jej dar ma swoją cenę. I to ona ją płaci, nie my. Nie powinniśmy więc za lekko nim szafować.

Duncan przez chwilę przeglądał się swojemu podwładnemu.

– Magnus ma rację – zdecydował wreszcie. – Na razie poradzimy sobie sami. Cass sprowadzimy tylko jeśli uznam, że jest to konieczne.

Nathaniel wzruszył ramionami z typowym dla siebie grymasem lekceważenia.

– Może to faktycznie był ktoś miejscowy? – zastanawiał się Helier. – Schronił się tu przed śnieżycą. Może coś wypili, mężczyzna zrobił się nachalny? Jedno poprowadziło do drugiego i w końcu ją zgwałcił. A potem zamordował wraz z dziećmi, by go nie wydały.

– Została zgwałcona? – spytał Duncan.

Na twarzy łowcy pojawiło się zakłopotanie. Był doświadczonym zwiadowcą i do tego byłym legionistą, dzięki czemu świetnie współpracował ze Strażą. Zdarzało mu się jednak bywać zaskakująco pruderyjnym.

– Nie mamy lekarza, żeby to stwierdzić. To znaczy, jedynym lekarzem w okolicy jest Nikolaos. Ale kazać mężczyźnie samemu sprawdzać, czy ktoś nie zgwałcił jego żony przed zabiciem jej... Nie godzi się. Może ten wasz mnich mógłby...

– To brzmi jak jeszcze gorszy pomysł – wtrącił Nathaniel.

– Może stara Ilidia – zaproponował Helier. – Można by posłać do Starego Dębu...

– Na Deusa! – Duncan nie wytrzymał. Podszedł do ciała kobiety i bezceremonialnie podniósł zakrwawioną koszulę nocną.

– Nie ma siniaków ani żadnych innych śladów świadczących o gwałcie. Oczywiście, nadal nie możemy tego w pełni wykluczyć...

– Napastnikowi mogło nie chodzić o nią – zauważył Książę.

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku trzech kształtów na łóżkach. Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Magnus podszedł do małych ciał.

– Żadnych śladów – powiedział z mieszanką ulgi i obrzydzenia.

– Ubrania, jedzenie i biżuteria są na swoich miejscach. – Dowódca rekrutów wrócił do poprzedniej myśli: – Na razie założmy, że to nie był gwałt ani rabunek. Najbardziej oczywistym powodem wydaje się więc magia. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wydarzenia sprzed pół roku.

– Niekoniecznie – odezwał się Wielkolud. – Kiedy byłem młodszy, w mojej wiosce zabito pewną dziewczynę. Jakiś powsinoga ją udusił. Kiedy go pytano, czemu to zrobił, stwierdził, że życie jest pełne cierpień, a piękne kobiety nie powinny cierpieć. Niektórzy ludzie po prostu robią takie rzeczy bez wyraźnego powodu.

– Tak czy inaczej, tutaj już skończyliśmy – uciął dyskusję Duncan. – Ja, Nathaniel i sędzia Adrian pojedziemy porozmawiać z Nikolaosem. Wy weźcie jeszcze kilka osób i pojedźcie do Nowej Srebrnicy po kapłana. Niech zajmie się pogrzebem.

*

Był słoneczny, choć mroźny styczniowy poranek. Ziemię zalegała gruba warstwa śniegu, ukrywając wszelkie ślady niedawnych wydarzeń. Droga z osamotnionej chaty doktora Nikolaosa do Nowej Wioski zajęła kilkadziesiąt minut.

– Jest coś, co powinienem o nim wiedzieć, zanim tam wejdziemy? – spytał Nathaniel.

– To znaczy?

– Na przykład kim tak właściwie jest ten cały Nikolaos?

– Nie sądzisz, że po pół roku powinienes znać wszystkich miejscowych?

– Zapewne tak by było, gdybym miał jakąkolwiek ochotę ich poznać. Więc, wracając do naszego pana doktora, czy...?

Duncan z trudem powstrzymał się od komentarza. Nie zareagował również nikt z rzeczonych miejscowych.

– Przybył tu dziesięć lat temu z południa, z Terytoriów Centralnych. O ile pamiętam, uciekał przed wierzycielami.

– To musiały być naprawdę poważne długi, jeśli zagnały go aż tutaj – zauważył Książę.

– Krótko później ożenił się z Jokundą.

– To była radosna dziewczyna, pełna życia. Wszyscy jej zazdrościli Staremu Nikowi – wtrącił sędzia Adrian. – Znaczy wtedy, bo po urodzeniu pierwszej córki dopadła ją ta, jak to mówią, melancholia.

Mimo okoliczności starzec był najwyraźniej dumny ze znajomości trudnego słowa.

– Coś jeszcze?

– To chyba wszystko, co musisz wiedzieć – stwierdził dowódca rekrutów i mężczyźni wkroczyli do chaty sędziego.

Nikolaos siedział na krześle na środku głównej izby. Miał na sobie stary zabrudzony płaszcz. Płatana długich przetłuszczonych włosów otaczała jego pozbawione wyrazu oblicze. Ciemne puste oczy intensywnie wpatrywały się w podłogę. Z wysokiego czoła spływały kropelki potu, podróżując w dół przystojnej niegdyś twarzy. Lekarz miał niewiele ponad czterdzieści lat, ale wydawał się znacznie starszy.

– Nikolaosie – zaczął Szary Strażnik, dostawiając sobie krzesło i siadając naprzeciw medyka. – Wiem, że to dla ciebie trudne, ale musimy porozmawiać o twojej rodzinie.

Doktor jedynie kiwnął głową, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Rozumiem, że to ty znalazłeś...

– Była doskonała. – Głos Starego Nika był zachrypnięty, szorstki. – Pod każdym względem.

Wzrok mężczyzny dopiero teraz uniósł się i skierował na rozmówców.

– Poznałem ją krótko po przyjeździe tutaj. Była uczennicą zielarki. Tutejsi ludzie niezbyt ufali obcemu... moim metodom... prawdziwej medycynie. Czuli się lepiej, jeśli na miejscu był ktoś znajomy, by potwierdzać diagnozy. Nie ma i nie było tu zbyt wielu piśmiennych. Jedna kobieta domagała się, bym odebrał jej poród. Sądziła, że wtedy jej dziecko też będzie umiało czytać. – Uśmiechnął się lekko na wspomnienie przeszłości. Wyglądało na to, że podąży za pogodnymi wspomnieniami, ale szybko przywołał się do porządku. Uśmiech uciekł z jego twarzy, kiedy powrócił do tematu:

– Na początku była szczęśliwa, ale z czasem... dopadła ją melancholia. To było zaraz po narodzinach Hildy, naszej najstarszej... Myślałem, że to przejściowe, czasami zdarza się matkom. Ale nie. Taka już została, wiecznie spokojna, jakby trochę smutna, jakby... Może wiedziała, czuła, co nadchodzi. I nasze córki... Były jak ona. Zawsze patrzyły na mnie tymi wielkimi czarnymi oczami, jakby widziały na wskroś, przez moją duszę. – Głos zamarł mu w gardle. Wzrok opadł na trzęsące się dłonie.

– Wiem, co czujesz – skłamał przesłuchujący. – Wiem, że to trudne. Ale musisz nam powiedzieć, co się stało tej nocy.

– Oczywiście. Śledztwo... Czy to magia? To znaczy, fakt, że to wy...?

– Niczego nie wykluczamy – odpowiedział Nathaniel, widząc wahanie swojego towarzysza. – Ale jak dotąd nic na to nie wskazuje.

– Byłem z wizytą – zaczął po chwili Nikolaos. – U starego Nolana. Znowu dolegają mu korzonki. Miałem wrócić wcześniej,

ale postanowiłem przeczekać śnieżycę... Kiedy wreszcie dotarłem do domu, one były już... Zostałem drzwi otwarte. W środku była krew. Jokunda leżała na łóżku, a dziewczynki... Sam nie wiem, co było później, pobiegłem po pomoc. Biegłem przez las i krzychałem. A później byłem tutaj, sam nie wiem...

– Już dobrze – skłamał ponownie Duncan. – Już po wszystkim.

*

– To nie dało zbyt wiele – stwierdził Nathaniel, kiedy już wyszli na zewnątrz.

– Coś jednak dało. Jokunda była czująca, być może również jej córki – orzekł Duncan.

– Ponieważ ich oczy widziały przez jego duszę?

– Ponieważ była uczennicą zielarki.

– Ty i ja mamy chyba różne definicje słowa zielarka.

– To słowo, którego miejscowi używają przy nas i innych przybyszach z zachodu. Między sobą nie nazywają jej inaczej jak wiedźmą. Tu, na Rubieżach, wiedźmami zostają tylko czujące. Nikomu innemu nie zdradzają swoich tajemnic. Jokunda musiała więc być czująca. Możliwe, że jej córki też były.

– To jeszcze nie dowodzi udziału czynników nadnaturalnych. I z pewnością nie dowodzi, że Olbrzym w ogóle żyje czy w jakikolwiek inny sposób jest tu obecny.

– Nie dowodzi – przyznał Duncan, dosiadając konia. – Ale liczba poszlak ciągle rośnie.

– Wracamy do komandorii?

– Ty wracasz, ja mam jeszcze coś do załatwienia.

Na twarz Nathaniela wypełził brzydki uśmiech.

– Interes? – spytał.

– Spędzasz zdecydowanie za dużo czasu z Edwinem – odpowiedział dowódca rekrutów, wyraźnie zirytowany.

*

Polina miała jasne niebieskie oczy. Duncan skupiał się na nich, ignorując inne niedociągnięcia w jej urodzie – niezdrowo

wyglądającą cerę, zbyt długi nos, pokrzywione i niekompletne uzębienie. Do tego dochodziły obwisłe piersi i krótkie nogi. Polina nie była ładna, choć prawdę powiedziawszy nie była też jakoś szczególnie brzydka. Była przeciętna, tą bladą, nierobiącą żadnego wrażenia przeciętnością. Niemniej Duncan naprawdę lubił jej oczy i błysk, który pojawiał się w nich, gdy się kochali.

Dziewczyna jęknęła głośno, po czym opadła na pościel, ciężko dysząc. Ze stojącej na drugim końcu izby kołyski dobiegł płacz przebudzonego niemowlęcia. Polina nie zareagowała. Zamiast tego powiedziała coś, co zupełnie nie obchodziło dowódcy rekrutów. Nie przychodził do niej po szczerść, wręcz przeciwnie.

Przez chwilę rozkoszował się błogostanem, po prostu leżąc z kobietą u swego boku, nie musząc myśleć o wszystkim, co zostawił na zewnątrz. Jedynie piskliwy płacz dziecka przeszkadzał mu w odprężeniu się.

– Może powinnaś się nim zająć – wskazał na kołyskę.

– Nie ma potrzeby, tylko się przebudził, zaraz sam przestanie.

Duncan rozejrzał się po pomieszczeniu i zauważył krzyż solarny wiszący na ścianie. Przyglądał mu się przez chwilę, a później odwrócił wzrok z nagłym poczuciem wstydu.

– Nie powinniśmy tego robić – stwierdził, wstając i rozglądając się po podłodze za gaciami. Nie był to pierwszy raz, kiedy wypowiadał te słowa w tym łóżku.

– Nie byłam wystarczająco dobra? – W głosie dziewczyny dało się wyczuć nutkę strachu, być może nawet szczerego.

– Nie. Oczywiście... byłaś świetna. To po prostu nie jest właściwe. Twój mąż...

– Mój mąż się ciebie boi. Po tym jak złamałeś mu nos, to nawet jakby chciał, nie odważy się...

– Nie o to chodzi – przerwał jej. – Czy to naprawdę jest jego dziecko?

– A co to za różnica?

Żadna – pomyślał mężczyzna i poczuł się jeszcze gorzej. Ubrał się pośpiesznie i od niechcienia pocałował dziewczynę na pożegnanie. W tym momencie drzwi zaskrzypiały.

– Zrób coś z tym dzieciakiem, niech się tak nie... – Jokov

przerwał, dostrzegając gościa. W pierwszej chwili wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale ostatecznie zrezygnował. Tylko zwiesił głowę i wbił wzrok w buty.

Szary Strażnik poczuł wyraźne zakłopotanie sytuacją, jeszcze spotęgowane faktem, że Polina wydawała się czerpać przyjemność z upokorzenia męża. Dowódca rekrutów zebrał resztę swoich rzeczy i ruszył do wyjścia. Jokov strachliwie cofnął się, zaś jego przekrzywiony po złamaniu nos zaświszczał nerwowo. Choć sytuacja była niezręczna, Duncan pozwolił sobie na lekki uśmiech satysfakcji.

Dopiero w drodze do komandorii przypomniał sobie o wydarzeniach poranka, co znacząco popsuło mu humor. Jakby tego było mało, śnieg znów zaczął padać z niebios, zwiastując nadejście kolejnej zawieruchy. Z oddali dobiegało wycie wilków.

*

Matylda zerknęła w karty i od razu spasowała. Lucius miał minę zbitego psa, ewidentnie oznaczającą, że wylosował coś dobrego. Edwin przywołał na twarz pyszałkowaty uśmiech w wersji oznaczającej, że ma słabą rękę. Olaf pociągnął kolejny łyk piwa, tym razem dłuższy. Wahał się. Tylko Marcus pozostawał dla kobiety zagadką. Jego twarz wydawała się całkowicie pozbawiona mimiki, kiedy spoglądał w swoje karty.

Świat na zewnątrz wieży zniknął za niemal jednostajną zasłoną padającego śniegu, uniemożliwiając poranny patrol. Od kilku godzin Magnus czuwał na szczycie wieży, podczas gdy pozostali rekruci siedzieli na parterze wokół wielkiego dębowego stołu, grając w karty. Duncan i Cassandra siedzieli pod ścianą, przyglądając się rozgrywce. Cass miała zakaz gry, odkąd okazało się, że potrafi bezbłędnie odgadnąć, komu co rozdano. Nathaniel i Clara gdzieś zniknęli.

– Nieźle się tu urządziliście – stwierdził Poszukiwacz, kładąc na stole dwa miedziane grosiki. – W takie dni naprawdę zazdroszczę tym, którzy mogą się ukryć pod dachem komandorii.

– Zawsze możesz olać Nomadów i wrócić do... Och, no tak. Nie możesz – Olaf dorzucił dwie monety.

– Myślałem, że każdy może odejść z Bractwa Nomadów, kiedy tylko chce – powiedział Edwin, pasując.

– Nomadzi to nie bractwo – sprostował wędrowiec. – Te mają strukturę, władze i wymagania przy rekrutacji. Nomadem może zostać każdy przygłup, który stwierdzi, że zbrzydło mu wygodne życie w komandorii.

– Ale jeśli Nomadowie nie są jednym z bractw, to czemu wszystkie księgi mówią o czterech? – spytał Lucius, dorzucając dwie monety.

Olaf uśmiechnął się, jakby usłyszał jakiś stary żart.

– Bractwo Widzących. Nie słyszałeś o nim, co? Nawet w księgach tego nie wyczytasz. To wielka tajemnica. Najróżniejsze legendy o tym krążą. Głównie dlatego, że nikt do niego nie należał od czasów Upadku. A nawet wcześniej nigdy nie mieli więcej niż garstkę członków.

Edwin podrapał się po głowie.

– Ale w takim razie czym się zajmują?

– Nie wiadomo – odparł dowódca rekrutów, przyglądając się grze. – Tylko członkowie Rady są dopuszczani do tej wiedzy. Pozostali mogą się tylko domyślać. Choć krążą pogłoski.

– Tak, że siedzą w Komandorii 7 – zaśmiał się Marcus, podbijając stawkę.

– W czym? – zdziwił się Lucius, pasując.

– Nie słyszeliście o Komandorii 7? Czego ty ich tu uczysz, staruszku?

– Nie bzdurnych legend – odpowiedział Olaf, przebijając. – Po Zakonie krąży już i tak za dużo głupich opowieści.

Mężczyźni przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Tymczasem Duncan podjął wątek.

– Komandoria 7 nie istnieje – wyjaśnił. – Wszystkie inne numery są nadawane na nowo, kiedy noszące je placówki zostają zlikwidowane lub zniszczone. Na przykład poprzednia Komandoria 54 mieściła się daleko na północy, ale jakiejś czterdzieści lat temu zlikwidowano ją, bo okolica tak się wyludniła, że nie było kogo bronić. Ale numer siódmy nigdy nie jest nadawany. Nie istnieje żadna siódemka i żadne kroniki nie wspominają, by kiedykolwiek istniała.

– Czemu? – spytał wyraźnie zadowolony Lucius.

– Kto to wie? – wzruszył ramionami Marcus, pasując. – Niektórzy mówią, że to dlatego, że zniszczono ją w wyjątkowo okropny sposób, inni, że tak naprawdę nadal ona istnieje, tylko jest ukryta.

– Taa, to sekretny wychodek Wielkiego Mistrza – stwierdził Olaf, zbierając monety ze stołu. – Kiedyś, bardzo dawno temu, Zakon miał bardzo ważny powód, by ominąć liczbę 7, ale nikt już za cholere nie pamięta, o co chodziło. Dlatego nazywają to tradycją. Matyllda, tasujesz.

Drzwi do wieży otworzyły się i do środka, wraz z wiatrem i śniegiem, wparowali Nathaniel i Clara. Wyjątkowo pyszałkowaty uśmiech na twarzy Księcia wskazywał, że ma do ogłoszenia jakąś triumfalną wiadomość.

– Nasze problemy dobiegły końca!

Nikt ze zgromadzonych nie zareagował z oczekiwanym zapalem. Matyllda wzruszyła tylko ramionami i zaczęła rozdawać karty.

– Wczoraj dostałem list od mojego ojca. – Nathaniel nie dał się zbić z pantafelki pasywnością publiczności. – Udało mu się znaleźć bogatego kupca, zainteresowanego ponownym otwarciem kopalni na wzgórzach. Wraz z nadejściem wiosny na miejsce przybędą jego ludzie. A to oznacza, że nasza misja jest zakończona, cywilizacja wróciła na to zadupie.

– Nasza misja nie jest zakończona, dopóki Rada nie stwierdzi, że jest – powiedział twardo Olaf, ale jego twarz wyraźnie się rozpuściła. – Niemniej, miło choć raz usłyszeć jakieś dobre wieści.

– To nie wszystko. Do ochrony kopalni i transportów rudy przysłany zostanie Legion 41 – dodał Książę. – Wprawdzie to jednostka z Rubieży i co za tym idzie, Legion tylko z nazwy, ale liczy prawie setkę ludzi, a to brzmi jak odpowiednie siły, by nas tu zastąpić.

– Legion nie walczy z siłami nadnaturalnymi – wtrącił Duncan, starając się poskromić entuzjazm towarzyszy.

– I dobrze, bo takowych nie widziano w okolicy, odkąd zabiłem Olbrzyma. Bądźmy szczerzy, ostatnie pół roku chyba jasno

pokazało, że poza sprawdzeniem, kto z nas jest godny nosić Szary Płaszcz, nie ma żadnego powodu, by utrzymywać w tej okolicy komandorię. Ponadto...

Drzwi otworzyły się tuż za Nathanielem i do pomieszczenia wkroczyła przysypana grubą warstwą śniegu postać Manfrefya.

– Niestety – stwierdził, z trudem łapiąc oddech. – Wilcy, panowie, wilcy atakują!

*

W powietrzu unosił się zapach krwi. Rozerwane na strzępy kawałki mięcha, które jeszcze kilka godzin temu były ludźmi, wydawały się leżeć wszędzie w zasięgu wzroku. Przy ogrodzeniu, w stodole, w chacie, na zasłanych śniegiem grządkach przydomowego ogródka. Jakieś trudne do zidentyfikowania ciało rozwleczone zostało po pobliskim polu. Nawet poranna śnieżycą nie zdołała ukryć rozmiarów rzezi. Jakby sam śnieg zdecydował, by trzymać się z dala od przeklętego gospodarstwa.

W okolicy, tuż za obszarem usłanym ludzkimi bebechami, zebrało się kilkudziesięciu okolicznych mieszkańców. Stali zwartą, milczącą grupą. Łowcy i zwykli chłopci. Część przyprowadziła psy. Wszyscy byli uzbrojeni, gotowi do polowania. Każdy z nich słyszał, choćby z relacji, opowieść małej Ilki, która jako jedyna zdażyła wdrapać się na dach, skąd musiała patrzeć na to, co wilki zrobiły z jej krewnymi. Nikt nie miał zamiaru czekać, aż podobny los spotka jego rodzinę.

Pomiędzy zabudowaniami gospodarstwa krążyli członkowie Szarej Straży i przedstawiciele miejscowych władz. Byli tu sędzia Adrian z Nowej Wioski i Bors, starszy Nowej Srebrnicy. Był Manfrey i jego bracia oraz inni przedstawiciele chłopskiej milicji. Wszyscy oni przyszli też poprzedniego poranka do domu doktora Nikolaosa. Na ich twarzach malował się ten sam strach, nieumiejętnie ukryty za maską obojętności.

– Osiem trupów – podsumował Duncan. – Prawie cała rodzina. To w sumie dwanaście ofiar w dwie noce. Nadal sądzisz, że nie ma w tym nic nadnaturalnego?

– Jest zima – odparł Nathaniel bez przekonania. – Może wilki zgłodniały?

– Gdzie tam, panie – powiedział sędzia Adrian. – Lasy pełne zwierzyny są przecie. Poza tym, wilcy nigdy nie napadliby gospodarstwa. Samotnego podróżnego w lesie to może, jakby bestie bardzo głodne były. Ale całe gospodarstwo...

– Nic nie zjadły – wtrącił się Marcus. – Rozszarpały ludzi na strzępy. Przeciągnęły ich trupy po całym podwórzu, ale nie wygląda, by faktycznie coś zjadły.

– Może to wścieklizna? – zastanowił się Lucius.

– Nie – zaprzeczyła twardo Cassandra, kręcąc głową. Charakter sytuacji sprawił, że tym razem Duncan okazał się nieugięty w kwestii przyprowadzenia jej. – Coś je prowadziło. Coś nimi władało. Nienawiść i ciemność. Mroczna wola.

Zgromadzeni spojrzeli na dziewczynę z zaniepokojeniem.

– Czy ona właśnie powiedziała, że mamy do czynienia z opętanymi wilkami? – spytał Edwin, nawet nie próbując kryć strachu.

– Opętane czy nie, i tak trzeba się ich pozbyć – oznajmił Helier. – Śnieżycą może ukryła ślady, ale psy sobie poradzą. Im szybciej ruszymy, tym wcześniej będziemy bezpieczni.

Duncan przez chwilę przyglądał się trupom. Spomiędzy zgromadzonych mężczyzn wyszedł ojciec Norbert. Na widok krwawej jatki odruchowo zrobił znak krzyża solarnego.

– Lucius i Clara, wracacie do komandorii – zdecydował dowódca rekrutów. – Znajdźcie wszystko, co możecie, na temat tego, co mogło opętać te wilki. Przede wszystkim: jak się tego pozbyć. Sędzio, wyznaczcie kilku ludzi, by pomogli kapłanowi z ciałami. Dla pozostałych czas na łowy.

*

Szczekanie psów niosło się przez las. Ponad setka ludzi podążała w grupach za odgłosem. Tłum najeżony kosami, widłami i łukami. Mimo starań Heliera i Duncana nie udało się zaprowadzić wśród łowców odpowiedniej organizacji, co jednak nie przeszkadzało w polowaniu. W ciągu ostatnich godzin

trupem padło kilka zwierząt ewidentnie niebędących wilkami, w tym jeden z tropiących psów, przebity ośmioma strzałami przez wystraszonych chłopów. Niestety, były też wypadki wśród ludzi. Jedna z grup weszła w sidła zastawione przez inną. Na szczęście nikt nie został poważnie ranny, ale dwie osoby trzeba było odnieść w bezpieczne miejsce. Magnus, Edwin i Nathaniel sami zaplątali się w sieci rozwieszane pomiędzy drzewami i dopiero sprawne ciosy zadane mieczem Matyldy zdołały ich uwolnić.

– Jesteśmy już blisko – stwierdził Marcus, przyglądając się śladom.

– Mam nadzieję, bo nie zostało nam już wiele światła słonecznego – odpowiedział Duncan.

Dwaj najlepsi tropiciele Straży szli przodem, kilkaset metrów przed resztą oddziału.

– Co konkretnie planujesz, jak już dopadniemy stado? – spytał Nomad.

– Istoty opętujące zwierzęta zwykle są na tyle słabe, że po zabiciu nosiciela nie mogą utrzymać się w naszym świecie – odpowiedział dowódca rekrutów tonem kogoś, kto właśnie stara się zdać jakiegoś rodzaju egzamin.

– Zwykle.

– Jeśli ten jest silniejszy, to zabicie wilków nadal powinno kupić nam dosyć czasu, by Lucius i Clara znaleźli bardziej trwałe rozwiązanie. Poza tym... Miałem nadzieję, że twoja obecność też pomoże.

Poszukiwacz uśmiechnął się.

– Zauważyłem.

– Kiedy graliście w karty, Olaf powiedział, że nie mógłbyś zrezygnować z bycia Nomadem, nawet gdybyś chciał.

– Istotnie.

– Mogę spytać, czemu?

– Ponieważ nie wybrałem sobie tej roli.

– Słyszałem, że kiedyś byłeś w Bractwie Paladynów, że powszechnie uważano cię za dobrego kandydata na kolejnego Wielkiego Mistrza. Niektórzy mówią, że to on wysłał cię na tę całą misję, bo czuł się zagrożony.

– Takie plotki krążą po naszym ukochanym Zakonie? – Marcus

wydawał się rozbawiony.

– Nie tylko takie. Niektórzy mówią, że to była kara, za... za... przewinienie.

– Za magię, co? To bzdura. Dostałem tę misję, bo ktoś musiał to zrobić, a ja najlepiej się nadawałem. Kiedy ją przyjmowałem, wiedziałem, że to koniec wygodnego życia w komandorii i szans na miejsce w Radzie. Ale nie po to zakładałem Płaszcz, by robić karierę.

– No cóż, tak czy inaczej, wydajesz się bardziej kompetentny niż... – Duncan zawahał się przez chwilę.

– Niż Olaf? Faktycznie, nie da się ukryć, że jego ogień zdecydowanie przygasł.

– Właśnie dlatego pomyślałem, że teraz, kiedy twoja misja dobiegła końca...

– Chwila – powstrzymał go Marcus. – Kto powiedział, że moja misja dobiegła końca?

– Odnalazłeś chłopca, dostarczono go do Rady. Myślałem, że...

– Źle myślałeś.

Przez chwilę panowała między nimi cisza. Z gałęzi pobliskiego drzewa spadło trochę śniegu, zrzuconego przez przebiegającą wiewiórkę.

– Ten chłopiec – spróbował z innej strony Duncan. – On nie był zwykłym czującym.

– Nie.

– Kim więc?

– Kimś, kogo nie widziano od stulecia. Kogo miałem nadzieję nigdy nie odnaleźć. Bo fakt, że pojawił się jeden taki jak on, oznacza, że będzie ich więcej. Że już jest ich więcej. A to oznacza, że moja misja jest daleka od ukończenia. Powiedziałbym raczej, że dopiero teraz się rozpoczęła. I doskonale wiesz, że nie mogę w tej kwestii powiedzieć nic więcej.

Marcus zatrzymał się i zaczął przyglądać symbolowi wyciętemu na pobliskim drzewie. Szczekanie psów zdawało się dobiegać z bliższej odległości.

– To symbol łowców, prawda? Pewnie któregoś z miejscowych...

– Nie – zaprzeczył Nomad. – To znaki Sklavian, dzikich z Puszczy – wyjaśnił. – Konkretnie znaki zwiadowców, pewnie

zostawili je poprzedniego lata.

– To znaczy, że mogą nas zaatakować?

– Może. A może nie znaleźli nic na tyle godnego uwagi, by atakować tak dużą populację jak ta miejscowa. Zależy od tego, kim byli.

– Właśnie powiedziałeś, że to byli dzicy.

– Sklavianie to nie jest jedna społeczność. Raczej setki różnych plemion, rozrzuconych na obszarze o rozmiarach podobnych do Imperium. Przy samej granicy Puszczy mieszka kilkadziesiąt mniejszych i większych grup, mówiących kilkoma różnymi językami. Tylko ludziom tu, w Imperium, wydaje się, że za tą ścianą drzew mieszka monolit dzikusów.

– Sklavianie to nazwa, którą sami się określają?

– Niektórzy z nich. Raczej rzadko zdarza się, by dwa plemiona zgadzały się w większości kwestii, nawet tak prostych, jak nazewnictwo.

– Spędziłeś wśród nich sporo czasu, prawda?

– W sumie ponad trzy lata.

– Ja nigdy nie spotkałem nikogo z tamtej strony. Znam tylko historie. Ponoć otwarcie używają magii i składają ofiary z ludzi.

– Niektórzy – stwierdził Marcus, ruszając w dalszą drogę. – Musisz zrozumieć, że podstawą do zrozumienia Sklavian jest właśnie to, że są zróżnicowani jak żaden lud w Imperium. W głębi Puszczy można znaleźć duże grody utrzymujące się z handlu z krainami, o których tu nie słyszano. Z drugiej strony równie łatwo trafić na odciętą od świata osadę kanibali czczących duchy zwierząt. Są wspólnoty, w których powszechnie odprawia się proste rytuały i są takie, gdzie wolno to robić tylko kapłanowi. Możesz trafić na ludzi, którzy całkowicie odmawiają stosowania przemocy i takich, którzy zabiją cię dla samej przyjemności walki.

– Ale muszą być jakieś reguły, jakieś wspólne elementy, które łączą te ludy. Jak Deus czy Imperator dla nas.

– No cóż, zdecydowanie nie ma u nich Deusa. Pewnie znalazłoby się kilka plemion, które przyjęły jego misjonarzy, ale w większości morduje się ich na miejscu i to w dosyć brutalny sposób.

– Czemu? To znaczy... słyszałem, że ich bogowie bywają krwiożerczy...

– Tu nie chodzi o bogów, a o jednego konkretnego boga. Widzisz, mimo że czczą różne byty i mają różne legendy, w zaskakujący sposób większość z nich zgadza się w kwestii początków świata. Wyjaśnił mi to Vladimir, szaman służący na dworze króla Grakha, przywódcy jednego z większych grodów. Według ich wierzeń świat został stworzony przez Pierwszego Smoka. Konkretnie wykluł się z jego jaja. Dopiero później powstał bogowie, ludzie, demony i inne smoki.

– To pewnie nie nastawia ich zbyt pozytywnie do naszej legendy o Pierwszym Imperatorze, zabijającym smoka i czyniącym z niego swój symbol?

– Obawiam się, że jest znacznie gorzej. Widzisz, wiele społeczności, zwłaszcza tych, które żyją przy granicy, więc miały większy kontakt z nami, uważa, że Imperator zabił nie jakiegoś tam smoka, a właśnie Pierwszego Smoka.

– Co? – Duncan zatrzymał się. – Chcesz powiedzieć, że oni uważają, że założyciel naszej cywilizacji zabił twórcę świata? Czemu mieliby...?

– Vladimir sądził, że to wina naszych misjonarzy. Tak czy inaczej, przez stulecia upowszechniło się u Sklavian przekonanie, że osiągnęliśmy taką potęgę, bo nasi władcy i ich Deus zawłaszczyli sobie moc stwórcy. Że to dlatego jego dzieci zdziczały i zaczęły pożerać owce i księżniczki. Co gorsza, ludzie pozbawieni jego ochrony stali się zabawkami w rękach bogów. Cierpienie, głód, choroby oraz śmierć zapanowały nad ziemią i jedyny sposób, by wszystko naprawić, to zniszczyć Imperium, wymordować wszystkich potomków Pierwszego Imperatora i spalić wszystkie świątynie Deusa...

– Chwila! Mówisz mi, że oni sądzą, że zabiliśmy ich boga! Że... Chyba potrzebuję chwili, by to przetrwać.

– Zareagowałem podobnie, kiedy pierwszy raz o tym usłyszałem – zapewnił Marcus. – I faktycznie nie jest tak źle, jak to brzmi. Choć historia o zabiciu Pierwszego Smoka jest dosyć popularna, wnioski dotyczące konieczności spalenia wszystkiego na zachód od granicy Puszczy już tak powszechne

nie są. Większość Sklavian nigdy nie spotkała nikogo, kto faktycznie byłby stąd. Prawdę powiedziawszy, większość z nich ma jeszcze mniejsze pojęcie o naszym świecie, niż my o ich, i na pewno nie mają ochoty przyjść tutaj i z nami walczyć.

Marcus ruszył w dalszą drogę. Szczekanie psów znów wydało się głośniejsze. Duncan spojrzął za siebie, na drzewo ozdobione symbolem sklaviańskich zwiadowców.

– Jeśli ludzie, którzy zostawili znak na drzewie tu wrócą, czy będą mieli ze sobą magów?

– Wątpię. Może jakiegoś odurzonego grzybami szamana, twierdzącego, że ma wizje od bogów. Ale nic poważniejszego. Na pewno nie musicie się obawiać deszczu ognia lub czegoś podobnego. Magia wcale nie jest u nich tak powszechna. I zdecydowanie nie jest bezpieczniejsza w użyciu.

– A więdźmy?

– Te faktycznie są, ale większość z nich to po prostu zielarki, mądre kobiety, czasami czujące z dziwacznymi wizjami. Rzadko należy się ich obawiać. Więdźmy, więdmy, ragany, cioty, wróżki, szamanki. Różnie je zwał, najczęściej są bardzo szanowane, podobnie jak w tej okolicy. I słusznie, bo ta wasza więdźma, Ilidia, ma sporą więdzę.

– Nigdy jej nie spotkałem – wyznał Duncan. – Olaf stwierdził, że miejscowi za bardzo jej ufają, byśmy mogli się jej pozbyć. Ale lepiej, żebyśmy trzymali się od niej z daleka.

– Szkoda, wiele mógłbyś się od niej nauczyć.

– O magii?

– Też. Dopóki nie spróbujesz przekuć tej więdzy na praktykę.

– Sporo więdz o magii, prawda?

– Zawsze zadajesz tyle pytań? Bo zaczynasz się zachowywać jak pewien pasterz, którego kiedyś znałem.

– W tej okolicy zwykle nie ma zbyt wielu ludzi, którym mógłbym zadawać pytania. Jeśli ci to przeszkadza...

– Nie. Po prostu nie przywykłem do rozmów z ludźmi. A raczej odwykłem od tego. Co chcesz więdzieć o magii?

– Słyszałem, że jej używałeś. By walczyć z ciemnością.

– Zgadza się. Zdecydowanie nie jest to coś, co polecam.

– Ale działało. Właśnie tak pokonałeś demona, który

terroryzował Wysoki Port.

– Tak, i prawie przyplącałem to życiem, że nie wspomnę o groźbie wyrzucenia z Zakonu. Słuchaj, łatwo jest pomyśleć, że zwalczanie ognia ogniem to dobry pomysł, ale na dłuższą metę sprawia, że stajesz się tym, z czym walczysz. Najpierw używasz zaklęć do szczytnych celów, ale potęga uzależnia. Z czasem zaczynasz ich używać, bo możesz. Bo chcesz. Bo nie jesteś w stanie przestać. Sięgasz coraz dalej, próbujesz coraz trudniejszych i potężniejszych rytuałów, i wreszcie za którymś razem powinie ci się noga, coś pójdzie nie tak jak planowałeś i ludzie dookoła będą musieli zapłacić cenę. Ja na szczęście zdołałem się zatrzymać zanim do tego doszło, ale wielu Zakonnikom się to nie udaje.

– Wybacz, ale widziałem zawartość twojej torby. Zasuszone zwierzęta, dziwne amulety, kawałki ciał. To wyglądało jak zapas jakiegoś guślarza, a nie Szarego Strażnika.

– Sztuczki – zapewnił mężczyzna. – Proste i bezpieczne. Uwierz mi, na bezdrożach wszystko, co daje ci choć odrobinę przewagi, jest dozwolone. Tak długo, dopóki nie przekroczysz granicy.

– I ty wiesz, gdzie leży ta granica?

Nomad sięgnął pod futro i wyjął jeden z zawieszonych na szyi amuletów. Wykonana z kości figurka przypominała wróbla.

– Dostałem to od pewnej szamanki, mieszkającej daleko w głębi Puszczy. Według niej w amulecie zamknięty jest mały duch powietrza.

Łowca zamknął przedmiot w klatce dłoni i dmuchnął do środka. Kiedy rozłożył ręce, wróbel stanął na jego prawej dłoni i kręcił się przez chwilę, by wreszcie wycelować dziobem w jednym kierunku. Duncan cofnął się odruchowo.

– Wskazuje północ – wyjaśnił Poszukiwacz. – Niby nic, ale nieraz ratowało mi to tyłek. To i podobne sztuczki.

– Jesteś całkowicie pewny, że to bezpieczne?

– No cóż, staruszka twierdziła, że każdym dmuchnięciem odpłacam ducha jedną chwilą swojego życia, więc wolę tego nie nadużywać. Jeśli jej wierzyć, przez ostatni rok i tak oddałem temu cholerstwu za dużo – uśmiechnął się. – Mam też jeden

medalion, który ponoć żywi się pamięcią. Co wyjaśnia, czemu nigdy nie pamiętam, gdzie go położyłem.

– To nie jest zabawne.

– Trochę jest. To znaczy, jeśli wiesz, gdzie leży granica. Ja prawie umarłem, ucząc się tego. Coś, czego raczej nie polecam. Niemniej...

– Duncan! – doszło ich wołanie Magnusa. – Duncan! – Mężczyzna po chwili wyłonił się spośród drzew. – Szybko! To Olbrzym!

*

Szczekanie psów niosło się przez las. Były już blisko, łowy zbliżały się do końca.

– Jesteś pewny, że to był on? – spytał dowódca rekrutów.

– No przecie mówię, panie. Wielki jak dwóch ludzi, łysy i cały prawie goły, mimo że zima. Tam stał i się patrzył – powtórzył Adrian Młodszy. – A jak krzyknąłem, to wszedł za drzewo i zniknął.

– I nie zostawił żadnych śladów?

– A bo ja, panie, wiem? Przecie on jak nic magiczny, to może śladów nie zostawia.

– Przywidziało mu się – stwierdził Nathaniel.

– Wiem, panie, com widział. Tam stał i się łypał jak po lesie łązimy.

– No to chyba coś się wyjaśniło – podsumował Duncan. – Olbrzym faktycznie powrócił i to on odpowiada za wydarzenia ostatnich dni. Czyli śmierć rodziny Nikolaosa i atak wilków.

– Chwila, wiemy tylko, że był tu teraz – zauważył Księżę. – Może po prostu chciał zobaczyć, czemu robimy tyle hałasu?

Spomiędzy drzew wyłoniło się kilku chłopów ze Starego Dębu.

– Panie Duncan – przemówił jeden z przybyszów – szczęście, żeśmy pana znaleźli. Ilidia nas wysłała z wiadomością, coby pan natychmiast do niej przybył.

– Zielarka Ilidia? – zdziwił się dowódca rekrutów. Lecz zanim chłop zdążył odpowiedzieć, odgłos rogu dał znać, że pościg dobiegł końca. Stado było blisko.

*

Szczekanie psów niosło się przez las. Łowcy zebrali się na skraju polany, jedni podekscytowani, inni przerażeni. Stado liczyło ponad dwadzieścia zwierząt. Przewodził im wielki czarny wilk o krwistoczerwonych oczach. Mierzący prawie metr wysokości w kłębie potwór stał spokojnie na środku polany, otoczony swoimi żołnierzami. Obserwował.

Wódz ze swoją armią – pomyślał Nathaniel. Jako członek rodziny książęcej wielokrotnie brał udział w polowaniach, ale nigdy nie widział, by zwierzyna zachowywała się w ten sposób. To stado nie uciekało, ono szykowało się do bitwy.

– Musimy sformować szyk – stwierdził.

– Co? – zdziwił się Duncan.

– Szyk bitewny...

Wielki wilk zawył głośno. Stado jak na rozkaz zerwało się na nogi i zwróciło przeciw ludziom. A potem wilki ruszyły do szarży.

Wśród łowców wybuchła panika. W kierunku watahy poleciało kilka niecelnych strzał, niektórzy spośród chłopów zwyczajnie rzucili się do ucieczki. Duncan wahał się za długo o kilka uderzeń serca. Nathaniel nie popełnił tego błędu.

– Ustawić się w szereg! Szereg, kurwa! Widły i kosy do przodu! Łucznicy, razem! Naciągaj! Naciągaj, kurwa! Strzelaj!

Na zwierzęta spadł deszcz pocisków. Kilka padło. Reszta nawet nie zwolniła.

– Naciągaj! Strzał! Spuścić psy!

Pod jego dowództwem na tych kilka chwil banda przypadkowych chłopów zmieniła się w oddział. Kolejna salwa zmiotła kilka zwierząt. Psy ruszyły naprzód, dopadając kolejnych. Zaledwie sześć wilków dotarło do ludzi.

– Trzymać szereg! Trzymać szereg!

Wilki z impetem wbiły się w najeżoną ostrzami żywą ścianę. Większość umarła na drzewcach. Dwa ominęły długie, metalowe szpony i dopadły do żywej tkanki ludzkiego muru. Tylko przywódca stada zdołał przebić się na drugą stronę. Z nienaturalną siłą obalił kilku mężczyzn i ruszył prosto na

Cassandrę. W biegu trafił go bełt z kuszy Edwina i kilka noży rzuconych przez Cass. Zdawał się nawet tego nie dostrzegać.

Matylda dopadła potwora w ostatniej chwili, jej cios spadł na kark bestii, niemal odrąbując jej głowę. Truchło zaryło w śnieg tuż przed wystraszoną Wariatką.

Everson rozejrzał się dookoła i z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że całe starcie trwało zaledwie kilka chwil. Paru ludzi było rannych, ale nikt nie zginął. Dumny z siebie Księżę podszedł do Duncana.

– Wygląda na to, że musisz popracować nad refleksem – stwierdził, zadowolony z poniżenia rywala. – Całe szczęście, że byłem tu, by znów ocalić ci tyłek.

Dowódca rekrutów przez chwilę szukał odpowiedniej riposty, ale ostatecznie zrezygnował, jeszcze zwiększając satysfakcję podwładnego.

– Tak czy inaczej, chyba powinieneś już iść. Jeśli dobrze rozumiem, masz randkę ze starą wiedźmą. Nie martw się, twoje dowództwo nadal nie będzie tu potrzebne. Myślę, że jakoś poradzimy sobie ze sprzątaniami i wiesz... z uczcą zwycięzców.

*

Stary Dąb leżał na południowy zachód od Komandorii 54. Drewniane chaty ułożone były wzdłuż drogi, otoczone potężnymi drzewami, od których osada zaczerpnęła swą nazwę. W przeciwieństwie do Nowej Srebnicy i Nowej Wioski, ta miejscowość nigdy nie została opuszczona. W wiekowych domach mieszkali wciąż te same rodziny, co przed Upadkiem. To sprawiało, że miejscowi uważali się za prawdziwych gospodarzy tej okolicy. Tłumaczyło to również ich przywiązanie do bardziej odległych tradycji, takich jak dawanie schronienia wiedźmie. Na zachodzie coś takiego było nie do pomyślenia, ale w Starym Dębie ludzie zdawali się bliżsi Sklavianom, o których opowiadał Marcus, niż wiernym Deusowi obywatelom Imperium.

Chatka wiedźmy stała w pewnej odległości od innych zabudowań i wyglądała dokładnie tak, jak Duncan to sobie wyobrażał. Przypominała ruinę, a wewnątrz obwieszona była

osobliwymi amuletami i szkieletami zwierząt. Otaczały ją dziwne odgłosy i jeszcze dziwniejsze zapachy. Młody rekrut miał wrażenie, jakby wszedł do jakiejś starej opowieści o Szarych Strażnikach. Z tym że w tych historiach Zakonnicy przychodzili z pochodniami i mieczami, by ratować porwane dzieci przed pożarciem.

Ostatnie promienie słońca dodały mu odwagi, kiedy otwierał obdarte, skrzypiące drzwi. Z wnętrza uderzyło go ciepło i różnokolorowy dym.

– Nie bój się, młodzieńcze. – Głos Ilidii był spokojny i pełen ciepła. – Rozgość się. Długo kazałeś na siebie czekać.

– Przepraszam – odpowiedział niepewnie Szary Strażnik, podchodząc bliżej.

Izba była dosyć obszerna. Z rozciągniętych pod sufitem sznurków zwisały uschnięte rośliny i zioła, zarówno znane, jak też całkowicie Duncanowi obce. Martwe zwierzątka i szkielety ptaków. Mieszanka zapachów była dezorientująca i upajająca. Na środku pokoju w kamiennej podłodze wykuto małą jamę, wewnątrz której umieszczono palenisko. Płomienie otaczały kociołek, z którego unosiła się wielokolorowa mgiełka, częściowo przesłaniająca drobną, zakapturzoną postać siedzącą po drugiej stronie.

– Droga chwilę mi zajęła, niemniej wyruszyłem, gdy tylko...

– Nie o tym mówiłam. Czekam już pół roku.

– Nie wiedziałem, że miałem się stawić – usiadł powoli.

– Twój przyjaciel, Marcus, zjawił się u mnie bardzo szybko. Ktoś, kto chce obronić to miejsce przed ciemnością, powinien znaleźć tu drogę równie prędko.

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że ty służysz ciemności.

– Głupcy. – Spod szaty kobiety wyłoniła się drobna, pomarszczona dłoń, złapała za drewnianą chochlę i zaczęła mieszać w kociołku. Dymu jeszcze przybyło. – Ignorują wiedzę.

– Jaką wiedzę?

– Mogę ci na przykład powiedzieć, jak zginiesz.

– Nawet magia nie pozwala tego wiedzieć – stwierdził twardo Duncan.

– Nie „kiedy”, ale „jak”, to zupełnie inna kwestia. Chcesz

wiedzieć, „jak”?

– Nie – odpowiedział twardo. – Tak czy inaczej, jestem tu teraz. Wezwałaś mnie i przybyłem. Powiesz, czemu?

– Ponieważ potrzebujesz mojej pomocy. By powstrzymać ducha mordu.

– Więc wiesz, z czym mamy do czynienia?

– Wiedziałaś od początku.

– Mogłaś więc wezwać mnie wcześniej...

– Po co? – Dłoń znów zniknęła pod czarnymi fałdami ubrań. – Moi ludzie nie byli zagrożeni. Inni mają cię i tego nowego kapłana. Niech Deus ich chroni.

– Więc czemu teraz? – spytał zniecierpliwiony Duncan, ale natychmiast sam sobie odpowiedział: – Ponieważ teraz twoi ludzie też są zagrożeni. Ale przecież zabiliśmy wilka.

W powietrzu pojawił się śmiech, szyderczy, a mimo to przyjacielski. Urwał się tak nagle, jak się zaczął. Duncan sam nie był pewny, czy faktycznie to usłyszał, czy tylko mu się wydawało. Czuł zapach cynamonu.

– To demon mordu i przemocy. Śmierć go nie zatrzyma. Czyni go silniejszym. Na tyle silnym, by dosiąść bardziej skomplikowanego umysłu.

– Opęta człowieka?

– Opętał.

– Gdzie zaatakuje?

– Tam, gdzie najwięcej ofiar, przemocy i strachu.

– Uczta! – Duncan zerwał się nogi i ruszył do wyjścia. Wiedźma cierpliwie poczekała, aż sam się zorientuje, o czym zapomniał.

– Jak go zatrzymać? – spytał, będąc już przy drzwiach.

– Jak wszystkie inne. Za cenę. Bestia żywi się strachem, nienawiścią i brutalnością. Jednak miecz ci się tu nie zda, jedynie wzmocni potwora.

– Więc? Mam go poprosić, by się poddał?

– Musisz być odważny i spokojny. I, co najważniejsze, potrzebujesz poświęcenia.

Duncan przez chwilę rozważał słowa staruszki. Potem wrócił do paleniska i usiadł.

– Więc jednak zamierzasz spytać – powiedziała Ilidia bez emocji.

– Słucham.

– Musisz spytać. Musisz to powiedzieć na głos.

– Jak zginę? – Słowa opuściły jego usta jakby same, pchane jakąś inną wolą.

– Szybko. Cios w serce. Będziesz martwy, jeszcze zanim twoje ciało uderzy o ziemię.

– To nie taka zła śmierć.

– Lepsza niż ta, która czeka niektórych z twoich towarzyszy.

Tłusty czarny kot wyłonił się zza paleniska. Otarł się o nogę mężczyzny, ociężale obszedł kocioł i usiadł obok wiedźmy.

– Na mnie już czas – stwierdził Szary Strażnik, wstając. – Mam jeszcze jedno pytanie. Olbrzym, czy on naprawdę powrócił?

– Nigdy nie odszedł.

– Widziałem, jak umiera. Spaliliśmy jego truchło.

– Kto jak kto, ale Szary Strażnik powinien wiedzieć, że dla niektórych istot ciało jest niczym ubranie. Mogą je zostawić za sobą i uszyć nowe. A teraz ruszaj. Do Nowej Srebrnicy daleka droga, a na zewnątrz zapada już ciemność.

Duncan pokiwał głową, otworzył drzwi i wkroczył w noc.

*

Ucztę urządzono pośród ruin otaczających karczmę w Nowej Srebrnicy. Prastare ściany, kolumny i kawałki dachów zapewniały ochronę przed wiatrem. Wielkie i licznie rozpalone dookoła ogniska dawały ciepło i światło. Na roznach piekły się sarny, przypadkowe ofiary polowania. Większość zwierząt zakopano w śniegu, by obrobić je w ciągu następnych dni. W okolicy niosło się echo wesołych rozmów i okazjonalnych śpiewów. Część ludzi tańczyła dookoła ognisk. Na tę jedną styczniową noc mróz zimy ustąpił miejsca uldze i radości ze zwycięstwa.

Szarzy Strażnicy jako honorowi goście siedzieli przy jednym z głównych ognisk, w ozdobionym niewyraźnymi mozaikami zagłębieniu, które kiedyś zapewne było basenem miejskiej łaźni.

Mogło się tam zmieścić ponad trzydzieści osób, więc obsada komandorii siedziała tam razem z gromadką miejscowych. Edwin opowiadał grupce młodych kobiet mocno przesadzoną wersję walki z wilkami. Nathaniel siedział obok, starając się nie okazywać, jaką przyjemność sprawia mu zachwyty maluczkich. Matylda, wtulona w Manfrefya, poprawiała barda, kiedy jego opisy stawały się zbyt barwne. Magnus zajął miejsce na skraju dawnego zbiornika wody, jak zawsze mając jedną z wnuczek Nolana na kolanach. Obserwował, jak Cass krąży pomiędzy ruinami, co jakiś czas zwinnie omijając pijanych ludzi.

– Widzę, że dobrze się bawicie. – Dobięł ich szorstki, zmęczony głos Olafa.

Dowódca Komandorii 54 z ociąganiem wskoczył do jamy basenu. Za nim podążyli Marcus, Clara i Lucius. Mnich trzymał pod pachą potężne tomisko.

– Poszukiwacz powiedział mi, co zaszło w lesie – przemówił Olaf. – Dobra robota, żołnierze. Zwłaszcza tobie należy się pochwała, Książę. Zorganizowanie tej zbieraniny nie mogło być łatwe. Choć pewnie pomaga, jeśli uczono cię tego od urodzenia. Tak czy inaczej, na pewno wspomnę o tym w zbliżającej się półrocznej ocenie. A teraz kontynuujcie. Ja muszę porozmawiać ze starszym Borsesem. – Stwierdziwszy to, ruszył w kierunku ustawionej nieopodal beczki piwa.

– I ślęczenie nad książkami na nic się nie zdało. Jak się okazało, zabicie potwora wymagało tylko brutalnej siły – zauważył Nathaniel, robiąc miejsce dla Clary.

– Dowiedzieliście się chociaż, co to było? – spytał Magnus.

– Jest kilka możliwości. – Lucius stał, rozglądając się za Amelią. – Zdziwilibyście się, ile demonów ma w zwyczaju opętywanie zwierząt. Na szczęście większość odchodzi po śmierci nosiciela. Choć jeśli ataki będą się powtarzać, następnym razem możecie rozważyć nakarmienie opętanego zwierzęcia jemiolą.

– A niby jak mamy tego dokonać? – zdziwił się Edwin.

– Nie wiem, ja jestem od zdobywania wiedzy, to wy ją stosujecie w praktyce. Przy okazji, nie widzieliście gdzieś Amelii?

– Została w gospodarstwie – odpowiedziała siedząca na

kolanach Magnusa Nolanówna, chyba Tatria lub Arita. Nikt ze zgromadzonych nie był pewny.

– Tak czy inaczej, już po wszystkim? – upewniła się Matylda.

– Chyba, że to Rzeźnik – powiedziała jakby od niechcienia Clara.

– Rzeźnik? Jest w tych książkach coś o nazwie Rzeźnik? – Magnus nie dowierzał.

– Konkretnie mówiąc, Rzeźnik z Młyńskiego Schronienia – sprecyzował Lucius, siadając. – Zwany też Demonem Krwawego Szaleństwa lub Klątwą Lottie. Jest o nim napisane tutaj.

Otworzył książkę i wskazał towarzyszeni odpowiedni fragment. Dopiero po chwili zorientował się, jaki popełnił błąd.

– Przepraszam, zapomniałem. Wiesz, jeśli chcesz, mogę cię nauczyć...

– Co tam pisze? – przerwał mu Wielkolud.

– Jest napisane – wtrącił Edwin z głupawym uśmiechem. Zdecydowana większość zebranych nie zrozumiała żartu.

– Więc, Rzeźnik – Mnich wrócił do pierwotnego tematu – znany jest głównie z opowieści. Szarzy Strażnicy faktycznie napotkali to stworzenie tylko dwukrotnie. W pozostałych przypadkach badali sprawę już po odejściu istoty.

– I co jest takiego strasznego w tym Rzeźniku? – dopytywał się Nathaniel.

– Według raportów Straży zwykle zaczyna on od opętania zwierząt. Niemniej, bestia żywi się strachem i przemocą, więc zabicie zwierzaka tylko czyni go silniejszym. Później przenosi się na ludzi i, no cóż, kontynuuje rzeź.

– I jak go zatrzymać?

– W tym tkwi problem. Nie wiadomo. Zwykle po prostu morduje ludzi, aż się napasie i wtedy odchodzi. W tych dwóch przypadkach, kiedy Straż się z nim zmierzyła, raz, po stracie czterech Zakonników, dowódca komandorii postanowił się wycofać i przeczekać. Ostatecznie zginęło prawie pięćdziesiąt osób, zanim demon odszedł. W drugim przypadku jeden z Szarych Płaszczy użył rytuału magicznego, by przegnać stwora. Później ustalono, że od jakiegoś czasu praktykował on magię i jego eksperymenty kosztowały życie kilku osób, w tym dwóch

Zakonników. Oczywiście karą była egzekucja, wykonana przez członków Bractwa Egzekutorów. Ale, jak wspomniałem, są dziesiątki demonów opętujących zwierzęta. Szanse, że to Rzeźnik, są minimalne.

– Więc czemu o tym w ogóle opowiadasz? – Edwin, podobnie jak reszta zgromadzonych, nie podzielał optymizmu Luciusa.

– Są pewne podobieństwa. To znaczy... w czterech zbadanych przypadkach udało się ustalić, że demon został przyciągnięty wyjątkowo okrutnym mordem. Co więcej, trzy razy ofiarami byli czujący. Ostatnim razem nie udało się tego ustalić.

– Chwila – przerwała mu Matylda. – Chcesz powiedzieć, że jak zabijesz czującego, to morderstwo przyzwie demona?

– Nie. Korelacja nie oznacza... To znaczy... nie. Nie zawsze kiedy ginie czujący, przyciąga to demona. Ale tego konkretnego demona zdaje się przyciągać tylko to. A Duncan miał tę teorię, że zabita kobieta i jej córki były czującymi, więc zwróciło to moją...

– Czyli pierwszego zabójstwa nie dokonuje demon? – upewnił się Magnus.

– Nie. W dwóch przypadkach, kiedy udało się to ustalić, zabójca był w pełni świadomy swoich czynów. Ale, jak wspomniałem, to najgorsza możliwość. I bardzo nieprawdopodobna.

– Mamy przejebane – ocenił Edwin.

Magnus zerwał się na nogi, zrzucając Nolanównę. Edwin podążył za jego wzrokiem i dostrzegł Cass. Dziewczyna trzęsła się ze strachu.

– Jest tutaj! – krzyknęła, wskazując na karczmę.

Dobiegające z wnętrza śpiewy nagle przerodziły się w krzyki bólu i przerażenia.

*

Jeszcze przed chwilą w pomieszczeniu panowała przyjemna atmosfera. Ludzie bawili się, śmiali, śpiewali, pili i jedli. Teraz było inaczej. Radość zmieniła się w przerażenie. Pieśni w krzyki. Jedynie śmiech pozostał na miejscu, lecz był to zupełnie inny

rodzaj śmiechu.

Czerwonooki potwór, niedawno Jontek, syn rzeźnika, siał dookoła śmierć i zniszczenie. Pierwszą ofiarą był karczmarz. Jego głowa odpadła od ciała pod wprawnymi ciosami rzeźnickiego tasaka. Jeden z chłopskich milicjantów rzucił się na ratunek biedakowi, ale wkrótce stracił dłoń, a później życie. W tym momencie wybuchła prawdziwa panika. Tłum próbował uciekać, ale drzwi były zbyt wąskie, a przerażonych owieczek zbyt wiele. Potwór wbił się w żywą tkankę zbiegowiska, rąbiąc na prawo i lewo.

– Jestem wyzwoleniem! – krzyczał pomiędzy wybuchami śmiechu. – Radujcie się!

Później jego szaleństwo zwróciło się przeciw tym, którzy pozostali wewnątrz przybytku. Porwał nóż z jednego ze stolików i wprawnie umieścił go w oczodole córki karczmarza. Prawie niewidocznym ruchem poderżnął gardło młodemu Kafreyowi, a następnie zagłębił tasak w głowie jego ojca, rozłupując ją na dwie części.

– Stój! – wrzasnął Nathaniel. On, Magnus i Matylda otaczali napastnika z mieczami w dłoniach. Marcus był tuż za nimi.

Poszukiwacz wysunął się do przodu i wprawnym ruchem wybił nóż z ręki napastnika. Nathaniel podążył za nim, wznosząc miecz do ciosu.

– Stać! – Przez panujący w karczmie hałas przebił się głos Duncana. – Cofnijcie się. Ja się tym zajmę.

Dowódca rekrutów podszedł bliżej. Był spocony i ciężko oddychał po biegu. Nie dobył miecza.

– Jesteś pewny, że wiesz, co robisz? – spytała Matylda.

– Kończę to – odpowiedział.

– Nie możesz tego skończyć, chłopcze – stwierdziło ciało Jontka. – Nawet ja nie mogę tego skończyć. To wymaga wolnej woli, a ja mam tylko głód.

– Ja mam wolną wolę. I to moja decyzja. Bez strachu i gniewu. – Duncan rozłożył ręce i zamknął oczy.

Demon zaśmiał się, umykającym wzrokowi ruchem podniósł ze stołu kolejny nóż i wbił go prosto w serce dowódcy rekrutów.

*

Nóż opadł na ziemię. Jontek zatoczył się i z zaskoczeniem rozejrzał dookoła brązowymi oczami. W tym samym momencie Magnus dopadł do niego i obalił na ziemię. W pomieszczeniu zapadła cisza, dziwnie kontrastująca z panującym jeszcze chwilę temu zamieszaniem.

Duncan stał na swoim miejscu. Jego dłonie spoczywały na piersi, w miejscu, gdzie ostrze przebiło ubranie i zatrzymało się na skórze. Jego serce pędziło niczym koń wyścigowy.

– Żyjesz? – spytał z przejęciem Nathaniel.

– Tak... Jestem cały – w głosie dowódcy rekrutów dało się słyszeć zaskoczenie.

– To koniec? – spytała Matylda.

Marcus podszedł do syna rzeźnika i przyjrzał się jego oczom. Później rozejrzał się po pomieszczeniu. Podłogę zaścielało siedem trupów, kolejnych kilka osób było rannych.

– To koniec – stwierdził.

*

Olaf stał na szczycie wieży i spoglądał na zamarznięte jezioro. Był przyjemny, choć mroźny poranek. W dole część załogi szykowała się do patrolu. Cały świat wydawał się wracać na swoje miejsce po tragicznych wydarzeniach ostatnich dwóch dni.

– Niezły widok – stwierdził Marcus, podchodząc.

– Widzę go codziennie – odpowiedział zmęczonym głosem Olaf.

– Zaleta bycia przypisanym do komandorii.

Poszukiwacz pociągnął nosem.

– Czy mi się zdaje, czy postanowiłeś pozbyć się standardowego zapachu alkoholu?

– Wyobraź sobie, że czasami zdarza mi się być trzeźwym... – Przez chwilę spoglądał przed siebie w zamyśleniu. – Prawie go straciłem – stwierdził wreszcie.

– Ryzyko zawodowe – zauważył Marcus. – I ostatecznie dzieciak ocalił nam tyłki.

– Tak. A co bym zrobił, gdyby mu nie wyszło? Kto zająłby się

prowadzeniem tego cholernego burdelu? Kurwa, nie nadaję się do tego... W życiu bym nie wpadł na to, żeby dać się dźgnąć cholernemu demonowi. Prędzej kazałbym zarządzać tego całego Jontka, a później spierdalać, zanim opęta następną osobę.

– On w sumie też na to nie wpadł. Podpowiedziała mu Ilidia.

– Taa, wiedźma. Na to, żeby pogadać z nią, też bym nie wpadł. Ty pewnie popędziłeś tam, jak tylko się dowiedziałeś, że jest w tej okolicy.

– Wiedźmy to bardzo mądre kobiety. I wbrew powszechnej opinii większość z nich nie ma wiele wspólnego z faktyczną magią.

– I o tym właśnie mówię. Nie nadaję się do tego. Mówiłem to cholernemu Wielkiemu Mistrzowi. Jestem żołnierzem, prostym tępem. Mogę ich szkolić, zaprowadzić dyscyplinę, nawet poprowadzić przeciw konkretnemu celowi. Ale dowodzić całą cholerną komandorią? To jakiś kiepski żart.

– Jeśli cię to pocieszy, to ja pomyślałem to samo, kiedy mi kazali założyć żelazny pierścień i ruszyć na poszukiwanie jakiegoś dzieciaka.

Lucius zamknął bramę za odjeżdżającym patrolem. Olaf zauważył, że trójka jeźdźców ruszyła w niewłaściwym kierunku, ale zignorował to. Po wczorajszych wydarzeniach mieli prawo do odrobiny swobody.

– Na wiosnę nas opuścisz? – spytał, by podtrzymać rozmowę.

– Jak tylko drogi będą przejezdne. Najpierw ruszam na Sporne Ziemie, do Czarnej Skały, by zdać raport i zobaczyć, co z dzieciakiem. A potem w dalszą drogę. Nadal szukać.

– Czasami ci tego zazdrozczę. Móc jechać, gdzie tylko zechcesz. Ale potem jem porządny posiłek, kładę się do wygodnego łóżka i mi przechodzi.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Jak już będę jechał, mogę zabrać twoje półroczne oceny – zaproponował Marcus.

– Tak, te cholerstwa. Zabierałem się, by je napisać... A jak ty ich oceniasz?

– Znam ich od niedawna. Za krótko, by wyrobić sobie...

– Pierdolisz, znam cię. Jak ich oceniasz?

Poszukiwacz przez chwilę zbierał myśli.

– Duncan się nadaje. Poszczyściło ci się z nim. Jest urodzonym Strażnikiem, jak jego ojciec.

– I równie szalonym – wtrącił Olaf. – Wiesz, że ma młodszego brata? Poznałem go kilka lat temu, kiedy służyłem z ich ojcem. Dzieciak ma na imię Adrikarus czy jakoś tak, wołali go Adrik. Mówię ci, obraz tatusia. Obydwaj synowie wydawali się przekonani, że czeka ich kariera w Zakonie. Mam nadzieję, że ten młodszy jest bardziej normalny, inaczej nie wróżę tej rodzinie długiego trwania.

– Nathaniel, choć przykro mi to mówić, jest nie tylko aroganckim dupkiem, ale też dobrym przywódcą. Paladyni przyjmą go z otwartymi ramionami. Inni są bardziej problematyczni.

– Tu się w pełni zgadzamy.

– Magnus ma potencjał, ale przed nim jeszcze daleka droga. Clara wydaje się rozpuszczoną, słodką księżniczką, ale to poza. Problem w tym, że na tyle skutecznie podtrzymywana, że trudno ocenić, co jest pod nią. Lucius świetnie radzi sobie z książkami, ale gorzej w terenie, a niestety nawet Kruki muszą czasami ruszyć tyłek. Matylda jest dobrym żołnierzem i sprawia wrażenie, jakby miała więcej zdrowego rozsądku niż cała reszta razem wzięta. Ale, jak już ustaliliśmy, zdrowy rozsądek nie zawsze popłaca w tej pracy. A dobrzy żołnierze nie zawsze są dobrymi Zakonnikami. Edwin jest tutaj tylko po to, by uniknąć lochu, i to widać. Szczerze mówiąc, jeszcze kilka takich dni jak wczorajszy i nie zdziwię się, jeśli sam zdecyduje, że woli jednak wygodną celę w Błękitnym Porcie.

– W jego przypadku to będzie kat w lochach Błękitnego Portu.

– Nadal może uznać, że to lepszy pomysł. I tak dochodzimy do Cassandry.

– Otóż to. Wariatki.

– Jest zdecydowanie jednym z najbardziej wyczulonych czujących, jakich kiedykolwiek spotkałem. I muszę przyznać, że jest zaskakująco stabilna jak na posiadaczkę tak silnego daru. Ale wciąż zbyt niestabilna, by można ją było wysłać samą, nawet z najprostszą misją.

– Miałem nadzieję, że w Czarnej Skale mogą jej pomóc. Nauczyć, jak to kontrolować.

– Może. Choć prawdopodobnie nie. Co więcej, nie wiadomo, na ile da się cofnąć zniszczenia, które to już wywołało w jej umyśle. To prowadzi nas do głównego problemu. Charakteru naszej pracy. Rzeczy, z którymi się spotykamy, miejsca, które odwiedzamy. Dobrze wiesz, że to może doprowadzić do szaleństwa dużo słabszych czujących niż ona. Cholera, może doprowadzić do szaleństwa zwykłych ludzi. A w jej przypadku wszystko to będzie dziesiątki razy intensywniejsze. Na tym etapie powiedziałbym, że danie jej Szarego Płaszczka byłoby po prostu okrucieństwem. Choć oczywiście to nie moja decyzja.

– Taa. Kurwa. Nigdy nie lubiłem tej części szkolenia świeżaków.

– Masz jeszcze czas. Ta misja potrwa co najmniej kolejne pół roku. W najgorszym przypadku są na półmetku. Wiele może się wydarzyć w ciągu pół roku, ludzie mogą się zmienić. Zwłaszcza tutaj.

– Tak. Ludzie mogą się zmienić... albo zginąć.

*

W powietrzu unosił się zapach krwi. Na łózkach wciąż leżała przesiąknięta czerwoną cieczą pościel. Dziewczynki już zabrano i pochowano, ale mimo to nie opuściły tego miejsca. Unosiły się gdzieś w pustce, smutnym wzrokiem spoglądając na tych, którzy zakłócali ich spokój.

– To złe miejsce – stwierdziła Cassandra.

– I równie zły pomysł – dodała Matylda.

– Wiem – odpowiedział Magnus. – Ale zabójca wciąż jest na wolności i jeśli go nie znajdziemy, może skrzywdzić więcej ludzi.

– Jeśli to zrobię, skrzywdzi mnie – zauważyła Cass.

– Wiem. Ale nie ma innej możliwości. Poza tym ja i Matylda będziemy tutaj. Tuż obok. Obronimy cię.

– Nie przed tym, co będzie w mojej głowie.

– To nie będzie prawdziwe.

– Będzie dla mnie. Zawsze jest.

– To zły pomysł – powtórzyła Matylda.

– One tu są, prawda? – spytał Wielkolud. – Hilda, Hattie i Holly. I ich matka Jokunda. Nie mogą odejść. A ich zabójca nadal jest wolny. Człowiek, który ściągnął na nas tego demona. Odpowiada za tak wiele bólu i śmierci. I mimo to odejdzie wolny. A one nigdy nie zaznają spokoju...

– Nie musisz tego robić – przerwała mu Matylda. – Duncan znajdzie jakiś inny sposób, by wytropić zabójcę.

– Kiedy? Za tydzień, za dwa? Ile osób zdąży ucierpieć? Jak daleko zdąży uciec morderca? Wiem, że to trudne, ale to jedyna możliwość.

Czująca pokiwała głową. Bała się. Powoli zamknęła oczy i pozwoliła duchom mówić.

– Był tu – przemówiła po chwili. Jej głos brzmiał dziwnie, jakby składał się z kilku głosów. – Czarny diabeł z wielkim nożem. I krew... Wiedziały... Wiedziały od dawna, że nadejdzie. Podobnie jak ich matka. Mimo to się bały... bólu, śmierci, tego, co musiało nadejść po niej. Od dawna widziały to w snach. Widziały swoją ostatnią noc, przesiąkniętą krwią. I oczy szaleńca. Ostrzegły je szczeniaki. Wszedł do pokoju, jego ręce we krwi. Głodny nóż w jego dłoni. Podszedł najpierw do Hildy i ciął. Ciął! CIAŁ!

Cass złapała się za szyję. Zaczęła się dławić.

– Nie mogły uciekać. Wiedziały, że nie ma wyjścia. Że to koniec. – Opadła na kolana i zaczęła kaszleć. Magnus próbował jej pomóc, ale jego dotyk parzył skórę. Dotyk zawsze tak działał. Dotyk był zły. Wyrwała mu się i wstała z trudem. W oczach swoich towarzyszy dostrzegła strach. Podniosła do twarzy dłonie i zauważyła krew. – Wydaje mi się, że... Czy to naprawdę krew?

– Wychodzimy – zarządził Magnus. – Teraz.

– Ale...? – Ruszyła do wyjścia. Kaszlała krwią. To już się zdarzało, szczególnie przy wyjątkowo silnych wizjach.

Nagle poczuła uderzenie w klatkę piersiową. Zaskoczona spojrzała w dół, jej koszulę nocną znaczyła czerwień. Posypały się kolejne ciosy. Nóż bez trudu przebijał skórę. Złapała się za brzuch, starając się powstrzymać życiodajną ciecz przed ucieczką, próbując pochwycić własną duszę, zanim ta też opuści

jej ciało. Przed sobą widziała jedynie oczy zawieszane pośrodku czarnego zarysu twarzy napastnika. Złe, zimne, beznamienne. Ale nie było w nich gniewu. I dopiero kiedy ostatni oddech opuścił jej ciało, w jego oczach pojawiło się spełnienie.

Cassandra wyszła z chaty, zataczając się. Padła na śnieg. Z trudem łapała oddech. Wszystko ją bolało. Krew znaczyła jej usta.

– Cass?! Cass?! – W głosach Matyldy i Magnusa dało się słyszeć przerażenie.

– Już... już dobrze – wymamrotała z trudem. – Odeszły.

Przewróciła się na plecy, nadal leżąc w śniegu.

– Przepraszam – powiedział Magnus, siadając obok niej. – To było okrutne...

– Mówiłam – wytknęła mu Matylda. – Lepiej się stąd zabierajmy. Przyprawdę konie, a ty lepiej pomyśl, jak to wynagrodzisz biedaczce.

– On jest naprawdę zły – stwierdziła Cassandra. – Nie jak demony i duchy. One nie są ludźmi, nie traktują nas jak... Robią to, do czego zostały stworzone. Ale on, on wiedział, co robi. Wiedział, jak bardzo cierpią. Po prostu... nie obchodziło go to.

Matylda przyprawdziła konie i Cass z trudem wspięła się na swojego wierzchowca. Jej oddech wrócił już do normy, ale nadal czuła miejsce i to, co się w nim wydarzyło. I coś jeszcze. Coś tu, na zewnątrz.

– Szkoda zwierząt – stwierdziła.

– Co?

– Są zakopane za domem. Dużo zwierząt.

Magnus rozejrzył się dookoła i ruszył w kierunku stodoły.

– Wracajcie do komandorii – nakazał. – Ja muszę tu jeszcze coś załatwić.

*

Nikolaos zjawił się około południa. Przywiązał konia obok chaty i wszedł do środka. Magnus odczekał chwilę, a później wyszedł ze stodoły, niosąc ze sobą łopatę i worek wypełniony kośćmi. Usiadł na pieńku, naprzeciwko drzwi wejściowych domu,

i czekał. Czuł się niczym bohater jednej z ballad Edwina i może dlatego pozwolił sobie na przesadny dramatyzm. Efekt jednak był w pełni zadowalający. Wychodzący z budynku Nikolaos stanął jak zamurowany na widok rekruta.

– Witaj, Stary Niku. Gdzieś się wybierasz?

W pierwszym odruchu lekarz próbował ukryć za plecami skórzaną torbę, zawierającą większość jego dobytku, ale szybko zrozumiał bezcelowość tego gestu.

– Jak najdalej stąd – odpowiedział. – Niby czemu miałbym tu zostawać, po tym wszystkim?

– Jest zima. Trakty niezbyt przejezdne.

– Poradzę sobie.

– Nie, nie poradzisz. – Magnus wstał. – Kiedy byłem w wojskach książęcych, mieliśmy dziesiętnika, który kiedy kogoś opierdalał, miał w zwyczaju opowiadać najpierw historyjkę ze swojego życia. By wytłumaczyć, czemu akurat na tę osobę spada opierdół.

– Masz zamiar mnie, jak to ująłeś, opierdolić?

– Mam zamiar opowiedzieć ci historię. – Wielkolud podszedł bliżej, ustawiając się między Nikolaosem a jego koniem. – To było ze cztery lata temu, jeszcze zanim opuściłem rodzinną wioskę. Podkochiwałem się w pewnej dziewczce z mojej wioski. Nazywała się Mariam i była córką bogatego kupca. Zawsze wystrojona, czysta, pachnąca różami. Wszystkie chłopaki w okolicy za nią biegały. Ale ona nie zwracała uwagi na takich jak my, była przeznaczona dla jakiegoś szlachcica albo innego bogacza, który mógłby zapewnić jej życie, do jakiego przywykła. Przynajmniej do czasu, aż pojawił się Rikard. Wędrowny bard, jak się przedstawiał, ale jak dla mnie to on był zwykły powsinoga. Jednak dziewczki za nim latały. Śpiewał im pieśni o miłości, opowiadał o dalekich ziemiach i wielkich miastach. Pomyślałem wtedy, że baby to są głupie stworzenia, bo ten cały Rikard to o odległych ziemiach wiedział tyle, co sam usłyszał w pieśniach. Ale odchodzę od tematu.

Przestąpił z nogi na nogę i podjął:

– Widzisz, pewnego dnia Mariam zaginęła. Wszyscy się tym bardzo zmartwili, bo – jak mówiłem – dziewczka była ładna i

miała powodzenie. Więc wszyscy ruszyli jej szukać. Ja byłem tym pechowcem, któremu udało się znaleźć. Była w jeziorze. Leżała tam, w sukni, otoczona kwiatami. Czerwone włosy unosiły się na wodzie niczym aureola dookoła głowy. Była piękna. I martwa. Uduszona, jak się okazało. Od razu wiedziałem, że to ten skurwysyn, Rikard. Dopadłem go. Głupiec nawet nie uciekł daleko. Jakby nie widział nic złego w tym, co zrobił. Jak się okazało, Mariam i Rikard mieli romans. Biedna idiotka nawet chciała z nim uciec. Kiedy spytałem go, czemu to zrobił, odpowiedział, że z powodu jej piękna. Takie piękno nie zasługuje na doczesne cierpienia, ale na coś więcej. Więc skrócił jej cierpienia, ocalił. Powiedz mi, Nikolaos, czy ty też chciałeś ocalić swoją rodzinę?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz.

– To jakiś absurd. Nie wiem, o co mnie oskarżasz... To znaczy, domyślam się na podstawie tej historyjki. Ale uwierz mi, to jakaś okropna pomyłka. Nikogo nie zabiłem.

– Wiesz, dlaczego od razu się domyśliłem, że to ten skurwiel Rikard? Przyłapaliśmy go kilka dni wcześniej na zabijaniu zwierząt. Ptaków, myszy, psów. Łapał je i zabijał. Nożem, kamieniami, gołymi rękoma. Kiedy go przyłapaliśmy, dostał niezłe lanie. Jak się okazało, widok posiniaczonej twarzy ukochanego był tym, co ostatecznie przekonało Mariam do wspólnej ucieczki.

Magnus otworzył worek i wysypał na ziemię kości zwierząt.

– Zgadnij, co znalazłem zakopane za twoim domem.

– To żaden dowód. Kto w tej okolicy nie ma kości zwierząt? Zostają po posiłkach...

– Jadłeś szczeniaki?

– Chowałem je, jak umarły.

– Na kościach są ślady noża. Musiałeś ciąć naprawdę głęboko, kiedy je szlachtowałeś.

– To żadne dowody.

– Mnie wystarczą.

– I? Nie jesteś sędzią! Ale dobrze, zabierz mnie do Adriana albo do Duncana. Możemy nawet zebrać trybunał z...

– Nie. Nie będzie żadnego sądu. Tylko ty i ja.

Nikolaos rozejrzał się dookoła. Oceniał swoją sytuację, szukał drogi ucieczki.

– Możesz spróbować uciec, ale założę się, że jestem w lepszej formie niż ty. I na pewno nie zdołasz mnie pokonać w walce. Ale nie dokończyłem swojej historii – zwrócił uwagę Magnus. – Nie powiedziałem ci, co stało się z Rikardem.

– Co?

– Rozjebałem mu czaszkę siekierą i zostawiłem ciało w lesie. Później wziąłem trochę jedzenia z domu i ruszyłem zaciągnąć się do księżęcej armii. I oto jestem tutaj.

– I co? Moją głowę też rozjebiesz siekierą?

– Nie mam siekiery – odpowiedział Magnus i rzucił mężczyźnie łopatę.

Nikolaos roześmiał się.

– Mam wykopać swój własny grób? Niby czemu miałbym to zrobić? Bo w przeciwnym wypadku mnie zabijesz? I tak to zrobisz.

– Ponieważ w przeciwnym wypadku zabiorę cię na wzgórze, przywiążę do drzewa, otworzę brzuch, wywalę bebechy na zewnątrz i zostawię cię tam, konającego. Prędzej czy później coś cię zeżre. Jest zima, o karmę trudno, może nawet sarenki się skuszą?

– Więc to mój wybór? Wykopanie własnego grobu lub bycie pożartym przez zwierzęta? A co powiesz innym?

– Nic. Nikolaos nie mógł znieść tego, co spotkało jego rodzinę, więc wyjechał. Koniec historii.

– Pozwolisz im wierzyć, że zabójca nadal jest na wolności?

– Początkowo będą się bać. Pilnować drzwi, wystawiać warty, nosić broń. Ale z czasem zapomną, wrócą do normalności. Uznają, że zabójstwa dokonał ktoś z zewnątrz, może jakiś Dziki. To lepsze niż świadomość, że zrobił to miejscowy. Że potwór żył wśród nich, leczył ich, przyjmował porody i odsyłał na tamten świat. Zastanawia mnie, ile osób zabiłeś pod pozorem leczenia?

Lekarz wzruszył ramionami. Strach zniknął z jego twarzy, zastąpiony rozbawieniem.

– Nie tak wiele, jak powinienem – roześmiał się. – Więc gdzie

mam kopać?

– Za domem. Tam, gdzie były kości zwierząt. Ucieszysz się, że już odwaliłem część roboty, wykopując je.

– Miło z twojej strony. Chcesz wiedzieć, czemu to zrobiłem?

– Bo jesteś szalony?

– O tym dziewczyny wiedziały od dawna. Może to dlatego były takie smutne. Tak denerwująco ciche. Zawsze patrzyły na mnie tymi wielkimi oczami. Wszyscy wiedzieliśmy, jak to się skończy. No, przynajmniej ja wiedziałem. Minęło sporo czasu, od kiedy zabójstwo tak na mnie podziałało.

– Chcesz mnie sprowokować, żebym zabił cię szybko?

– Jesteś sprytniejszy, niż wyglądasz. Choć wyglądasz jak wielki, tępy prostak, więc to chyba nietrudne.

– Kop.

Rytmiczne ruchy łopaty trwały przez dłuższy czas. Nikolaos był w kiepskiej formie, a ziemia była zmarznięta. Ale wreszcie mu się udało. Stał we własnym grobie, spocony i zasapany. Pokryte pęcherzami ręce opierał na łopacie.

– Gotowe – stwierdził.

– Widzę. Jakies ostatnie słowa?

– Jesteś pewien, że potrafisz to zrobić? Zabić człowieka?

– Zabijałem już.

– Tak. Rikarda w gniewie i kolejnych w walce. To co innego. Jesteś spokojny, opanowany, mieliśmy czas pogadać, patrzyłeś, jak kopię grób. A teraz będziesz patrzył, jak życie opuszcza moje ciało. Nie martw się, dasz radę. Może nawet ci się spodoba.

– Wątpię.

– Nie mów...

Ostrze miecza uderzyło Nikolaosa w kark, niemal odrąbując głowę. Ciało lekarza upadło do grobu. Obłeśny uśmiech nie opuścił twarzy Starego Nika nawet w takiej chwili.

*

Magnus podniósł łopate.

– Możesz już wyjść – powiedział.

Zza chaty wyłonił się Nathaniel.

- Od dawna wiesz, że tu jestem?
 - Nie umiesz się skradać. Kolczuga i śnieg nie pomagają.
 - No tak. Duncan był ciekawy, czemu tak długo nie wracasz. Zgłosiłem się, by sprawdzić.
 - Zgłosiłeś się? Czemu?
 - Nikolaos był lekarzem z Terytoriów Centralnych, wprawnym w używaniu noża. I coś zmusiło go, by uciekł aż tutaj. Za daleko jak na umykanie przed wierzycielami. I od początku czułem, że coś z nim jest nie tak. Zakopane za domem zwierzęta tylko dopełniły obrazu. Duncan za bardzo skupił się na nadnaturalnym, by dostrzec ludzką winę.
 - Powiesz mu?
 - Nie. Miałeś rację, nie ma powodu niepokoić tutejszych mieszkańców. Znalazłeś problem i usunąłeś go. Nie szukając poklasku i sławy. Właśnie takich ludzi potrzebuje Straż.
 - W stodole jest jeszcze jedna łopata. Skoro już tu jesteś, możesz mi pomóc.
 - Książę i chłop kopiący ramię w ramię?
 - Nie jesteś księciem, a ja nie jestem chłopem. Już nie.
 - Widzę, że ciągle gadanie Duncana o równości w Zakonie przyniosło skutek.
 - Miałeś kiedyś w rękach łopatę?
 - Oczywiście, że nie. Tak czy inaczej, sądzę, że zasłużyłeś na bycie w czwórce tych, którzy dostaną swój pierścień. Ja i Duncan jesteśmy właściwie pewniakami. Do tego Clara i teraz ty. Do tej pory obstawiałem, że będzie to Lucius, ale właśnie zmieniłeś moją opinię.
 - Naprawdę chcesz o tym rozmawiać przy zakopywaniu trupa?
 - Przy grzebaniu potwora, przed którym ocaliłeś niezliczonych niewinnych. Czym również dowiodłeś, że zasługujesz na bycie w czwórce. I ja mogę ci w tym pomóc. Więc czas zadać sobie pytanie, czy naprawdę chcesz być Szarym Strażnikiem?
- Magnus spojrzał na wystającą z ziemi twarz Nikolaosa, a później pomyślał o tym, że właśnie ukrywa ślady zbrodni w towarzystwie prawdziwego księcia z odległej krainy. Podniósł wzrok i po raz pierwszy popatrzył Nathanielowi prosto w oczy.
- Tak. Chcę być Szarym Strażnikiem.

Rozdział V

Mężczyzna był brudny i posiniaczony. Rozwścieczony tłum rzucał w niego błotem i kamieniami, podczas gdy Manfrey i pozostali milicjanci niezbyt ochoczo próbowali rozgonić zbiegowisko, równocześnie ciągnąc więźnia przez wioskę.

– Co tu się dzieje? – spytał Duncan pierwszego napotkanego chłopca.

– Złapali go, panie. Złapali tego, co zabił Jokundę.

– Następnego. – Edwin wydawał się szczerze rozbawiony. – To już trzeci w ciągu dwóch miesięcy.

– Tym razem to na pewno ten – zarzekął się ktoś z tłumu. – Świadek jest.

Nathaniel spojrział porozumiewawczo na Magnusa. Wielkolud jedynie spuścił głowę. Przez maskę stoicyzmu, którą próbował przywołać na twarz, wyraźnie przebijało zdenerwowanie.

– Ludzie! Uspokójcie się! – wrzasnął Duncan, wjeżdżając konno w środek tłumu. Pozostali trzej rekruci podążyli za nim. – Spokój! Kogo tu macie?

– To Jakab, jeden z miejscowych łowców – wyjaśnił sędzia Adrian. – Widziała go córka Arasa Cieśli, Mała Hajna, jak tamtej nocy wracał zakrwawiony.

– Ja żem nic nie zrobił – przysięgał mężczyzna, padając na kolana przed koniem Duncana. – Błagam, ja żem niewinny.

– Sędzio, zabierzcie go do Kamiennej Sali. – Dowódca rekrutów wskazał centralny budynek wioski. – I przyprowadźcie tam córkę tego cieśli.

– Nie masz tu władzy, młody – zauważył starzec.

– Zabójstwa nie dokonano w Nowej Wiosce. Jakab też tu nie mieszka. Sądzić go może tylko rada złożona z mieszkańców wszystkich osad. A jego tu zaraz zlinczują i nie będzie nawet kogo sądzić.

Adrian niechętnie kiwnął głową. Jego synowie, z Manfreyem na czele, zaczęli ciągnąć więźnia na wzgórze. Szarzy Strażnicy podążyli za nimi.

– To na pewno znów jakaś bzdura – stwierdził Magnus. – Głupi

spór sąsiedzki, jak ostatnio.

– Ktoś jednak musiał tego morderstwa dokonać – orzekł Edwin. – Prędzej czy później może uda im się trafić.

*

– To było w tamtą noc, po śnieżycy – powiedziała dziewczynka, patrząc na Szarych Strażników wielkimi brązowymi oczami. – Rano, jeszcze przed świtem, wyszłam pobawić się z psami i wtedy zobaczyłam jego.

Dziecięce ręce nerwowo miętoszyły kraniec sukienki. Wyraźnie starała się nie odwracać w kierunku siedzącego po drugiej stronie Kamiennej Sali Jakaba.

– Wracał z lasu, z tego kierunku, w którym jest... była chata pana doktora. I jego ubranie było we krwi. I niósł nóż. Taki duży i też we krwi.

– Czemu dopiero teraz o tym mówisz? – spytał dowódca rekrutów. – Czemu nie zaraz tamtego dnia?

Hajna spuściła wzrok.

– Mała jest – pośpieszył z wyjaśnieniami jej ojciec. – Osiem lat nawet nie ma, to się i bała. Dopiero jak ten skurwiel do nas przyszedł po nowe krzesło, cobym mu zrobił, to mała w płacz i mi wszystko opowiedziała. Ale to prawda jest, panie. W takiej sprawie by nie skłamała. Wie, że tak bym jej tyłek sprął, że by do dwunastych urodzin nie zdołała usiąść.

– Co ty na to? – Duncan zwrócił się do oskarżonego.

– No, prawdę mówi. To znaczy mogła mnie wtedy widzieć, ale nikogo nie zabiłem. – Oskarżony zaczął się tłumaczyć, nie podnosząc wzroku. – Sprawdzalem wieczorem wnyki i śnieżycą mnie dopadła. Się schronilem w ruinach. Tych, co na północ od domu doktora leżą. Zdołałem przeczekać i przed świtem do domu wracałem.

– A krew i nóż? – dopytywał się sędzia.

– No mówię, że wnyki sprawdzałem. I sarna wpadła, właśnie ją znalazłem już po śnieżycy, jak wracałem do domu. No to dobiłem ją, ale była za duża, żeby sam zdołał przenieść. Dlatego poszedłem po rzeźnika, Herkusa. Sami go spytajcie, potwierdzi,

że pomógł mi zwierzynę do siebie zanieść.

Adrian niechętnie pokiwał głową.

– Herkus potwierdził, żeś rano przyszedł pokryty krwią i on pomógł ci przenieść sarnę. Ale co całą noc robiłeś? Gdzie spędziłeś śnieżycę? Ile na tobie było krwi zwierzęcej, a ile innej? Tego to on już nam nie potwierdzi.

– To obłąd jaki, panowie. Przecie ja nic nie zrobiłem! – Mężczyzna nawet na chwilę nie oderwał spojrzenia od podłogi.

– Sędzio, możemy porozmawiać na boku? – Zakonnik odszedł na drugi koniec Kamiennej Sali. Zanim podążyli Adrian, Nathaniel i Magnus.

– Nie widzę tu zbyt silnych dowodów winy – stwierdził dowódca rekrutów. – Zgodzę się, że tym razem mamy podejrzanego bez wyraźnego alibi, ale to nadal trochę mało.

– Bo wy, panowie zakonnicy, nie znacie tego całego Jakaba. To dziwak jest, samotnik. Do tego już kilka lat temu próbował jedną dziewczkę zgwałcić. Się tłumaczył wtedy, że go prowokowała, że próbowała z niego zakpić czy coś w tym stylu. W każdym razie spuściliśmy mu wtedy łomot, ale taki porządny, że kilka dni w ogóle chodzić nie mógł. No i się uspokoił po tym. Ale kto go tam wie, co takiemu we łbie siedzi, jak to całe dnie sam w tej chacie przesiaduje?

– Mógłbyś nam dać chwilę, sędzio? – poprosił Magnus. Odczekał aż starzec odejdzie, po czym zwrócił się do przełożonego. – Jest niewinny.

– Skąd ta pewność?

Wielkolud przez chwilę się wahał, próbując nie patrzeć w kierunku Nathaniela. Wreszcie odpowiedział:

– Bo wiem, kto jest zabójcą.

– Co?

– Lepiej porozmawiajmy o tym w komandorii. Z dala od ciekawskich uszu – zaproponował stojący obok Księżę, wymownie zerkając na zebranych w pomieszczeniu ludzi.

– Więc ty też wiesz?

– Skłamałbym mówiąc, że nie.

Duncan wrócił na środek sali i przemówił do tłumu.

– Zabierzemy Jakaba ze sobą do komandorii. Tam, w celi, pod

naszą wieżą, będzie mógł poczekać na porządny proces. W międzyczasie przyjrzymy się dokładnie sprawie i spotkamy ponownie, kiedy wszyscy ochłoną. Co wy na to?

Wszystkie oczy zwróciły się na sędziego Adriana.

– Trzy dni – odpowiedział po chwili. – Chcę, żebyśmy mieli to za sobą przed obchodami nowego roku, rozumiemy się?

Dowódca rekrutów potwierdził skinieniem głowy.

*

Magnus odkaszlnął i wbił wzrok w dębowy stół, jakby spodziewał się dostrzec na nim coś ciekawego. W pomieszczeniu na parterze wieży był tylko on, Nathaniel i Duncan.

– Więc? – ponaglił dowódca rekrutów.

– Zabójcą był Nikolaos.

– A wiesz to, ponieważ...?

– Domyśliłem się. Później z nim porozmawiałem i się przyznał.

– Tak po prostu się przyznał?

– Mniej więcej.

– I gdzie jest teraz?

– Zakopany za swoją chatą. – Magnus powiedział to bardzo cicho, jak dziecko przyznające się do jakiejś przewiny.

– Powiedz mi, że przynajmniej zabiłeś go w samoobronie?

Wielkolud wzruszył ramionami, ale podniósł wzrok i odpowiedział już z większym zdecydowaniem:

– Zabiłem go za to, co zrobił. Za wszystkie zbrodnie, których dokonał i do których doprowadził.

Duncan przeniósł spojrzenie na Nathaniela.

– A ty wiesz o tym, ponieważ...?

– Byłem przy tym. To znaczy obserwowałem z pewnej odległości. Niemniej słyszałem ich rozmowę i potwierdzam, że Nikolaos się przyznał... I pomogłem też zakopać ciało.

– Pomogłeś zakopać. Jak miło, widzę, że wreszcie postanowiłeś być pomocny dla towarzyszy. Kurwa, ja pierdołę! Czy was już kompletnie pojebało!? To nie jest cholerna Puszcza, a my nie jesteśmy pieprzonymi dzikusami! Przysłano nas tu po części dlatego, byśmy zabezpieczyli na tych terenach cywilizację. Kilka

miesiący zajęło mi przekonanie miejscowych, by powołali porządny sąd, a moi zastępcy od razu całkowicie go zignorowali i kogoś zabili! Czy wy w ogóle rozumiecie, co zrobiliście?!

– Znaleźliśmy problem i rozwiązaliśmy go – wtrącił Książę.

– Nie chcesz tego robić – ostrzegł Duncan. – Nie ze mną, nie teraz!

– No cóż, wygląda na to, że muszę!

– Zamordowaliście człowieka! Nieważne, kim był i co zrobił. Według każdego prawa obowiązującego w granicach Imperium powinniście zawisnąć!

– I właśnie w tym tkwi problem. To nie jest Imperium. To totalne, odcięte od świata zadupie z tysiącem rozbitków! Powiedz mi, jak sobie to wyobrażasz? Ten proces? Nikolaos był lekarzem, od dekady leczył tych ludzi. Pomagał im, kiedy byli w największej potrzebie. I nagle dowiadują się, że był potworem, który zamordował własną rodzinę, sprowadził na nas demona i przy okazji zabił przez te lata Deus jeden wie ilu ze swoich pacjentów? Że nie wspomnę o zbrodniach, które przegnały go aż tutaj. A co, jeśli by się nie przyznał? Pozwoliłbyś mu odejść wolno? A inni ludzie? Przy całym bólu i przerażeniu, które wszyscy w tej okolicy odczuwali po tamtych dwóch koszmarnych dniach? Nie mam pojęcia, jak skończyłby się ten proces, ale na pewno niczym dobrym. I gdybyś choć przez chwilę spojrział na to wszystko pragmatycznie, dostrzegłbyś, że prawda nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem!

– Powiedz to temu biedakowi, którego trzymamy w lochu. – Duncan wskazał na podłogę.

Nathaniel chciał coś odpowiedzieć, ale przeszkodziło mu skrzypnięcie drzwi wejściowych. Lucius wcisnął do środka głowę z wyjątkowo przeproszającą miną.

– Wybaczcie, że... To znaczy nie chcę przerywać wam kłótni, ale...

– Co się dzieje?

– Jeźdźcy... nadjeżdżają. Dwójka, w sensie... mają Szare Płaszcze.

– Zawołaj Olafa – rozkazał dowódca rekrutów, ruchem głowy wskazując schody prowadzące na wyższe piętra wieży. – A wy

macie trzy dni, żeby to naprawić. Bo Deus mi świadkiem, prędzej wypierdolę was z tej komandorii na zbity pysk, niż pozwolę, by ktoś niewinny zapłacił życiem za wasze błędy.

Duncan wyszedł na zewnątrz. Lucius, wyraźnie przestraszony, pobiegł na górę. Magnus jeszcze przez chwilę wpatrywał się w stół, po czym razem z Księciem ruszyli na dziedziniec. Było ciepło i słoneczne popołudnie. Po styczniowych śnieżycach zima całkowicie straciła wolę walki. Mimo że była dopiero końcówka marca, śnieg zniknął już kilka tygodni temu, a w powietrzu wyraźnie dało się czuć zapach wiosny.

Jeźdźcy przybyli na potężnych czarnych rumakach. Były to największe i najgroźniej wyglądające wierzchowce, jakie Wielkolud widział w swoim życiu. Dlatego zajęło mu moment, zanim zwrócił uwagę na okrytych płaszczami przybyszów.

Pierwszy jechał wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Miał czarne, krótko obcięte włosy oraz twarz pokrytą kilkudniowym zarostem i licznymi bliznami. Na lewym oku nosił przepaskę wykonaną ze srebrnej monety ozdobionej wizerunkiem Anioła Śmierci. Magnus przypomniał sobie, że widział kiedyś, jak podobne monety położono na oczach zmarłego dyplomaty z Imperium, zanim kapłan Deusa podłożył ogień pod jego stosem pogrzebowym.

Drugim jeźdźcą była wysoka, ale raczej chudawa dziewczyna. Jej kruczoczarne włosy sterczały we wszystkich kierunkach, a młoda, niezbyt ładna twarz wyrażała całkowitą obojętność.

– Witam w Komandorii 54. Nazywam się Duncan i jestem tu dowódcą rekrutów.

– Gdzie jest Olaf? – Głos przybysza był szorstki i nieprzyjemny. Magnus dopiero teraz zwrócił uwagę na pierścienie zdobiące dłonie jeźdźców. Srebrne i ozdobione wizerunkiem Kostuchy.

– Wulf, ty stara pierdoło. – Od strony wieży dobiegł głos naczelnika komandorii. – Jakie pierdolone cholerstwo sprowadza tu ciebie i tę twoją szczeniarkę?

– Płaszczobójca.

– Kurwa, tak też myślałem. Ledwo Marcus wyjechał i już pojawiają się kolejne Płaszczce, przywożąc swoje problemy. Nikt

z was nigdy nie przyjeżdża tylko z wizytą. Żeby was zaraza. Chodźcie. Wielkolud, Książę, zajmijcie się tymi cholernymi rumakami. Duncan, ty też chodź. – Olaf odwrócił się i wrócił do wieży.

Dziewczyna sprawnie zeskokczyła ze swojego wierzchowca i rzuciła lejce Magnusowi. Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że mężczyzna odruchowo się cofnął.

– Ona jest niebezpieczna – stwierdziła Cass, pojawiając się tuż obok niego, kiedy tylko przybysze zniknęli w budynku. – I prawie tak szalona jak ja.

– Ale nie tak uroczo szalona – powiedział Edwin, również podchodząc bliżej. – I wygląda na młodszą od nas. Jakim sposobem już zdobyła Płaszcz? Że nie wspomnę o miejscu w Bractwie.

– To Ria – odpowiedział Nathaniel, jakby to wyjaśniało wszystko. – Czerwona Ria. Jedyna osoba, która pobierała nauki u samego Jednookiego Wulfa.

– Czy Wulf to ten, którego nazywali Krwawym Pielgrzymem? – spytał Wielkolud, odprowadzając konia do stajni.

– Nie, to był Ulm, mistrz Wulfa – wyjaśnił Książę.

– Aha – westchnął Edwin. – Żniwiarze i ich cudowne przywiązanie do budowania wokół siebie mitów. Godne podziwu, ale szczegóły powinni zostawić zawodowcom. I obiecujemy sobie już teraz, że jak zostaniemy sławni, to będziemy mieli lepsze przydomki.

– Nawet u mnie w klasztorze mnisi opowiadali historie o Ulmie i Wulfie. To jak... żywe współczesne legendy. Myślicie, że ich przyjazd oznacza kłopoty?

– Oczywiście, że nie – uśmiechnął się Bard. – Całkowicie nie rozumiem, czemu przyjazd dwójki najsłynniejszych zabójców Zakonu do najbardziej oddalonej komandorii w Imperium miałby oznaczać kłopoty?

*

– Mamy kłopoty – stwierdził z kamienną twarzą Olaf. – I to takie, na które wasza zgraja nie jest jeszcze gotowa. Na

szczęście, niczym w bajce, zły wilk i niewinna dziewczynka przybyli nam na ratunek. Co byłoby bardziej radosne, gdyby nie fakt, że sami przywieźli te kłopoty ze sobą. Ale pozwolę im wytłumaczyć.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Zgromadzeni przy dębowym stole rekruci zwrócili swoje spojrzenia na Żniwiarzy. Wulf wstał powoli i całkowicie ignorując niezbyt przychylny wstęp Olafa, przeszedł od razu do rzeczy.

– Jestem Wulf, a to Ria. Przybyliśmy to w pogoni za człowiekiem znanym jako Estilius. Dziesięć lat temu zamordował on zaprzysiężonego członka Szarej Straży. Od tamtej pory unikał schwytania, wykazując się zaradnością i popełniając przy okazji kolejne zbrodnie. Między innymi sprzymierzał się ze ściganymi czarnoksiężnikami i udzielał im pomocy. Dotychczasowe polowanie na Estiliusa kosztowało życie jednego rekruta i czterech kolejnych Zakonników, w tym dwóch Egzekutorów, co czyni Estiliusa najgroźniejszym płaszczobójcą, z jakim mieliśmy do czynienia od kilku dekad. Na razie wszystko jest jasne? Świetnie. Ostatni raz widziano go niecałe pięć lat temu. Potem zniknął i wiele wskazywało, że uda mu się uciec przed sprawiedliwością. Do czasu. Jeden z naszych bardziej doświadczonych w podobnych działaniach Zakonników infiltrował kilka miesięcy temu siatkę magów na Spornych Ziemiach. Okazało się, że kilku z nich korzystało z usług Estiliusa, który niejako wyspecjalizował się w pomaganiu zbrodniarzom wymykać się z rąk Straży. W zamian za swoje usługi zażądał on magicznej zmiany wyglądu. Sztuczkę tą powtórzył co najmniej kilka razy u kilku różnych czarnoksiężników, więc wszelkie fizyczne opisy możemy wyrzucić na gnojowisko. Według znających się na tym zagadnieniu Kruków nie możemy nawet być pewni, jakiej płci jest Estilius. Niemniej udało nam się odkryć, że planuje on ucieczkę tam, gdzie nie zdołamy już go doścignąć. Na drugą stronę Puszczy, do dzikusów. W tym momencie zbliża się do nas grupa najemników, którzy mają ochraniać go w drodze. Stąd wiemy, że jest on, lub wkrótce będzie, w tej okolicy. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że nie wiemy, od kiedy ukrywa się na

Rubieży. Być może przybędzie za kilka dni, a może mieszka w jednej z tutejszych wiosek od jakiegoś czasu. Od trzech, może nawet czterech lat. Jadąc tutaj, wychodziłem z założenia, że znalezienie kogoś obcego na takim zadupiu nie będzie problemem. Jak się okazuje, myliłem się. Chłopcze. – Wskazał Duncana.

Dowódca rekrutów wstał i podniósł leżącą przed nim kartkę.

– W ciągu ostatnich czterech lat w tę okolicę przybyło sześć osób. Nie licząc ostatnich dwóch tygodni, kiedy to liczba ta zwiększyła się o kupca Bolita i dwudziestkę ludzi, którzy przybyli z nim, by wznowić wydobycie w kopalni na wzgórzu, centuriona Agreviusa i prawie setkę jego ludzi, ochraniających wspomnianą kopalnię i wychodzące z niej transporty rudy oraz bliżej niesprecyzowaną liczbę górników, mających przybyć w ciągu kolejnych dwóch miesięcy.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Nathaniela.

– Jesteśmy tu, by sprowadzić cywilizację, nie moja wina, że nagle nie jest to na rękę Zakonowi – bronił się Książę.

– Więc jak mamy złapać w takiej masie jednego człowieka, o którym nie wiemy nawet, czy jest chłopem, czy babą? – spytała Matyllda.

– Nie macie – odpowiedział krótko Wulf. – I nie zrobicie tego. Kluczem są najemnicy. Oni nie wtopią się w otoczenie, a Estilius nie jest na tyle głupi, by próbować samotnej wędrówki przez terytorium dzikusów. Dlatego też waszym zadaniem jest odwrócenie uwagi i zwiększenie temperatury. Jutro od świtu chcę was mieć w terenie, szukających, zadających pytania i płodzących plotki. Estilius ma czuć się ścigany, zaszczuty. I to w momencie, kiedy cel jest na wyciągnięcie ręki. Mówiąc prościej, macie sprawić, by popełnił błąd. Resztą zajmiemy się my. Jakies pytania?

– Jeśli jest taki magiczny, to czy Cass nie powinna go wyczuć? – spytał Edwin.

– Nie. Magii użyto wcześniej, zmiany zostały dokonane. Być może przez kilka dni dałoby się coś wyczuć, ale nie po takim czasie.

Lucius podniósł nieśmiało rękę.

– Słucham?

– Czy... To znaczy, tak sobie pomyślałem... Jeśli on przybył tu w ciągu ostatnich trzech lat i nie wiadomo, jak wygląda, to czy... To znaczy my wszyscy przybyliśmy tu w ciągu ostatnich sześciu do dziewięciu miesięcy, więc... Czy nie powinniśmy być podejrzani?

– Spostrzegawczy, to dobrze – stwierdził Jednooki. – Masz rację. Niemniej zgłaszając się do Straży nikt z was nie wiedział, że wyląduje akurat tutaj. Tymczasem mamy pewność, że Estilius planował uciec na Rubieże od co najmniej dwóch lat. To byłby kiepski plan, zdawać się na szczęście w taki sposób. Jeśli to wszystko, to odpocznijcie dzisiaj, jutro ruszacie z samego rana. Dwójkami.

*

Kupiec Bolit zajął na swoją siedzibę zrujnowaną rezydencję, leżącą niedaleko Nowej Srebrnicy. Podczas gdy jego ludzie zatykali dziury w ścianach i suficie deskami, ich pan zamieszkał w jednym z niewielu dobrze zachowanych pokoi, zmieniając go w ociekający przepychem gabinet. Sam Bolit był tłusty, brzydki i pokryty krostami. Matylda pomyślała, że Estilius musiałby być wyjątkowo zdesperowany, aby przyjąć podobną postać.

– W czym mogę służyć Szarej Straży? – powiedział grubas, nie próbując nawet ukrywać, że gapi się na biust kobiety.

– Chcieliśmy porozmawiać. Dowiedzieć się więcej o kimś, kto zaczyna odgrywać w okolicy tak dużą rolę.

– Oczywiście. Choć myślę, że ksiązę Everson wie wszystko, co powinien. Od lat robię interesy z jego rodziną. I jej członkowie zawsze byli zadowoleni z wyników...

– Pochodzisz z Terytoriów Centralnych? – przerwała mu niezbyt uprzejmie Matylda.

– Tak – w głosie kupca pojawiła się irytacja. – Z Terylu, gdzie, jak mówiłem...

– Twoi ludzie też?

– Czy to jakieś przesłuchanie?

– Jedynie towarzyska rozmowa. Jak mówiłam, chcemy

wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

– Dziwne, bo wygląda to jak przesłuchanie i... Co ona robi?

– Nic istotnego, nie przejmuj się. – Matylda nawet nie spojrzała w kierunku Cassandry, która od początku rozmowy krążyła po pokoju, robiąc głupie miny do ozdabiających ściany portretów. – Wracając do mojego pytania. Twój ludzie, skąd pochodzą?

– Z Terylu, tak jak ja. Nie mam zbyt dużego zaufania do miejscowych... z całym szacunkiem. Czy z nią jest wszystko w porządku?

– A dlaczego miałyby nie być?

– Bo wygląda na trochę szaloną. Miałem kiedyś taką służącą, cały czas gadała do siebie. No ale w końcu miała piękne te usteczka. – Zaśmiał się rubasznie.

– Masz jakąś listę pracowników? – Matylda przerwała twardo. – Najlepiej z pochodzeniem i... Czy mam się rozebrać?

– Słucham?

– Gapisz się na moje cycki, jakbyś chciał przewiercić ubranie wzrokiem. Może jeśli zdejmę koszulę i pozwolę ci przyjrzeć się moim sutkom, wreszcie skupisz się na tym, co mówię?

Na twarzy kupca pojawiło się zakłopotanie, jednak jego wzrok tylko na chwilę poderwał się do góry.

– Może chciałbyś je przy okazji pomacać? Albo powiedzieć coś o moich usteczkach?

– Ja... Nie wiem, o co ci chodzi, kobieto, ale to... nieprzyzwoite.

– Ostatnie słowo wypowiedział z trudem, jakby wbrew sobie.

– A potem może pozwolę ci się ze mną zabawić. – Matylda wstała i obeszła biurko, stając tuż przy grubasie. – Tu, w tym biurze. Zawsze podniecali mnie tłuści, brzydzy, obleśni bogacze.

– Naprawdę? – Mężczyzna zdawał się być całkowicie zbity z tropu. – Chwila, jak mnie nazwałaś?

– Obleśnym tłuściochem, który wkrótce zostanie wykastrowany, jeśli nie nauczy się rozróżniać dziwek i Szarych Strażniczek. Te drugie opanowały inną sztukę niż pierwsze. Spędzają bowiem większość czasu ćwicząc się w zabijaniu ludzi.

– Jak śmiesz! Moi ludzie...

Twarz kupca uderzyła o blat stołu.

– Twoi ludzie zrobią w gacie, jak odrąbię któremuś łeb. A teraz słuchaj uważnie. Przygotujesz mi tę listę i zrobisz to szybko. Listę swoich pracowników. I od teraz, rozmawiając ze mną, będziesz się gapił na własne stopy albo na moją twarz, bo inaczej oberwiesz. Rozumiemy się? I przeproś moją przyjaciółkę.

– Za co?

– Za to, że jesteś skurwielem.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi – odpowiedziała Cass. – To pewnie dlatego, że nikt nigdy cię nie kochał, a twoja żona wydaje większość pieniędzy na przystojnych, dobrze zbudowanych kochanków.

Mężczyzna nie odpowiedział, jedynie patrzył się na Cassandrę z otwartymi ustami.

– Więc moja lista – ponagliła Matylda.

*

– Skąd wiedziałaś, że żona go zdradza? – spytała Matylda, gdy wyszły na zewnątrz.

– Nie wiedziałam – wzruszyła ramionami Cass. – Ale wyglądał na kogoś, kto bardzo by się tego obawiał.

Kobiety roześmiały się. Jakiś przechodzący obok robotnik zagwizdał na ich widok.

– Jego też pobijesz?

– A gdzie tam. Niech se patrzy, mam duże cycki, to faceci się gapią. Przywykłam.

– Ale tego kupca...?

– Znam takich jak on. Myślą, że wszystko im wolno. Nie zaszkodzi, jak od czasu do czasu ktoś takiego ściągnie na ziemię. Poza tym ten cały Wulf mówił, żebyśmy robili dym. No to robię. Teraz pogadamy sobie z ludźmi Bolita.

– Matyldo... Mam pytanie.

– Tak?

– Bo ty jesteś silna. To znaczy – mogłabyś pewnie pokonać tych wszystkich mężczyzn, co tu pracują. I Magnus, i Duncan, i Nathaniel też są silni.

– No.

- Ale ta Ria jest jeszcze silniejsza?
- Może. Nie widziałam jej w boju. Ale o tym Wulfie i tym, co jego uczył, Ulmie, to krążą legendy. I zdarzało mi się słyszeć od naprawdę dobrych wojów, co widzieli Wulfa i Ulma w akcji, że lepszych w robieniu mieczem to nie ma. Jeśli ten Wulf ją uczy, to ona pewnie też musi mieć do tego talent.
- W niej jest coś dziwnego. Nie mogę tego rozgryźć, ale to... coś... fascynującego.
- Uwierz mi, mała, od takich jak ona to lepiej się trzymać z daleka. A teraz chodźmy, mamy trochę facetów do zastraszenia. Może poza tym, on jest całkiem niczego sobie. Ale tamtego to chyba doprowadzę do płaczu. Zobacysz, będzie świetna zabawa.

*

Legion rozłożył się obozem na północ od Nowej Srebrnicy, niedaleko kopalni. Prymitywny ostrokół otaczał kilkadziesiąt kolorowych namiotów, ustawionych w tutejszym odpowiedniku zorganizowanego obozu wojskowego. Nad drewnianą bramą powiewał czerwony sztandar z dzikiem i napisem Legion XLI. Kiedy Edwin i Lucius zbliżyli się, przywitała ich znajoma twarz.

– Proszę, proszę, legionista Welin. Widzę, że życie barda faktycznie ci zbrzydło – przywitał się Śmieszek.

– Cóż mogę powiedzieć, nie możemy wszyscy być herosami z Zakonu – odpowiedział wartownik, kłaniając się.

– Lucius, to jest Welin, przypuszczalnie drugi najlepszy bard, jaki kiedykolwiek odwiedził te tereny. I jak widzę, obecnie dzielny legionista.

Mnich skłonił głowę.

– Też jesteś z Wolnych Miast?

– O nie, ja, drogi chłopcze, pochodzę z samego serca cywilizacji. Wspaniałego, wielkiego...

– ...w większości opuszczonego i rozpadającego się... – wtrącił Edwin.

– ...Smoczego Leża. Siedziby samego Imperatora. A my znamy się z pewnej karczmy, tu, na Rubieżach.

– Tak, karczmy z poważnymi szczerzymi problemami.

- Zawsze chciałem zobaczyć stolicę.
- Nie ma tam nic ciekawego – zapewnił Edwin. – Stare mury, rozpadające się pałace i wszechobecne katedry. Nie to, co Wolne Miasta Zachodu.
- Naprawdę masz zamiar obrażać stolicę Imperium, stojąc przed bramą obozu Legionu Imperialnego?
- Jakby w tej zbieraninie, poza tobą, był jeszcze ktoś, kto faktycznie widział Terytoria Centralne.
- Jest... nasz centurion – odpowiedział po chwili wahania Welin. – Wprawdzie pochodzi z Samnii, a to prawie Sporne Ziemie, ale wciąż jeszcze Imperium. Zgaduję, że przyjechaliście tu pogadać z nim.
- Widzę, że wojskowa dyscyplina nie stępiła twojej inteligencji. Ale nie martw się, dla ciebie też znajdę czas. Dają wam tu jakieś przepustki, prawda? Bo miejscowym naprawdę potrzeba lekcji prawdziwej muzyki.
- Myślę, że dla kolegi z branży na pewno znajdę czas. – Rozmówca uśmiechnął się i zawołał stojącego w pobliżu żołnierza, by ten zaprowadził gości do namiotu dowódcy.

*

- Centurion Agrevius Eritus – przedstawił się postawny mężczyzna z przepisowo krótkimi włosami, zwyczajowo złamanym nosem i miną świadczącą o tym, że nigdy nie uśmiecha się na służbie.
- Ja jestem Edwin, a to Lucius. Przychodzimy z tutejszej komandorii Szarej Straży.
- Tak, wasz dowódca, Olaf, opisał mi swoich podwładnych. Co was sprowadza?
- Prawdę powiedziawszy, mamy kilka pytań dotyczących pańskich ludzi. Nic niezwykłego, po prostu chcemy wiedzieć, kto wkroczył na nasz teren.
- Teren Imperium – poprawił legionista. – Usiądźcie. O co konkretnie chcecie spytać?
- Zajęli małe, drewniane taborety, zaś Lucius wyjął z torby przybory do pisania i zaczął notować.

- Zaczniemy od tego, ilu z pana ludzi pochodzi z Rubieży?
- Osiemdziesięciu sześciu spośród dziewięćdziesięciu dwóch, jakimi dysponuję. Niemniej wszyscy poza mną zostali przyjęci w szeregi, tu, na Rubieży.
- I według pana wiedzy żaden z nich nie miał wcześniej do czynienia z magią?
- Według mojej wiedzy. Choć wątpię, by któryś z nich chciał się chwalić czymś takim. Czy podejrzewacie, że w moim oddziale są czarnoksiężnicy?
- Oczywiście, że nie. To tylko standardowe pytania – uspokoił Edwin. – Na czym to stanęliśmy? Aha, tak. Czy któryś z nich zgłosił się do przydziału w tę okolicę?
- Jeden. Ma na imię Welin.
- Ha, ciekawe. Widać tęsknił bardziej, niż sądziłem.
- Słucham?
- Nic, głośna myśl. Czy irytuje pana, kiedy ludzie myślą na głos?
- Irytuje mnie ta rozmowa. I jestem pewny, że rekruci Szarej Straży nie mają żadnej jurysdykcji nad centurionami Legionu Imperialnego. Więc, chłopcze, albo teraz powiesz mi, czego chcecie, albo każę wykopać was z mojego obozu.
- Chłopcze? Wypraszam sobie, jestem najstarszym wiekowo członkiem Zakonu na tych terenach... To znaczy, nie licząc faktycznych zaprzysiężonych członków Zakonu. Rozumiałbym, gdyby nazwał pan chłopcem jego – wskazał Luciusa – albo Duncana czy... Przepraszam, znowu zboczyłem z tematu. Moja wina. Więc, czy słyszał pan o Jednookim Wulfie? Ma też inne przydomki, jak Czerwony Wilk albo Jednooki Wilk. Ogólnie dużo rzeczy z wilkiem...
- Oczywiście, że słyszałem. Każdy słyszał.
- Świetnie, to ułatwi sprawę. Otóż sprawa wygląda następująco. Może pan rozmawiać ze mną i czuć pewną irytację lub rozmawiać z nim i czuć coś znacznie gorszego. Rozumiemy się?
- Nie mam w zwyczaju bać się karczemnych bająn – stwierdził twardo Agrevius, ale mina wyraźnie mu zrzędała. – Niemniej obecność podobnej... osoby mogłaby źle wpłynąć na morale

moich ludzi. Dlatego wysłucham waszych pytań, ale miejmy jasność. Nie lubię cię, nie lubiłem cię już od momentu, kiedy opowiedział mi o tobie Olaf. Jesteś zarozumiałym fircykiem z Wolnych Miast, który uważa się za lepszego od wszystkich dookoła, mimo że nigdy nie spędził nawet dnia na uczciwej pracy. Może twoi towarzysze dają się nabrać na tę pozę i uważają cię za zabawnego, ale według mnie masz tyle uroku, co kupa łajna. Rozumiemy się?

– Jasno i wyraźnie. Choć muszę przyznać, że ludziom zwykle zajmuje więcej czasu, zanim tak perfekcyjnie przejrzą moją prawdziwą naturę. Widać, że pan oficer zna się na ludziach jak mało kto.

– Gdybyś był moim podwładnym, szybko zmieniłbyś śpiewkę.

– Możliwe. Tak jak zapewne nie mógłbym usiąść na tyłku przez tydzień od całej tej żołnierskiej, męskiej przyjaźni.

Zęby legionisty zgrzytnęły słyszalnie.

– Zadaj swoje pytania, dostaniesz odpowiedzi, a potem wypierdalaj z mojego obozu.

– Według pańskiej fachowej oceny, który z pana ludzi jest najbardziej prawdopodobnym płaszczobójcą?

*

Świątynia Deusa była jednym z niewielu budynków w Nowej Srebrnicy, które przetrwały w niemal nienaruszonym stanie od czasów świetności Imperium. Szare granitowe ściany wznosiły się na wysokość kilku metrów, zanim napotkały zwieńczenie w postaci strzelistego dachu. Wysoko położone, okrągłe okna wypełniały kolorowe mozaiki, przedstawiające krzyż solarny. Potężne dębowe drzwi okuto żelazem, sprawiając, że świątynia była faktycznie najlepiej chronionym punktem w osadzie.

Magnus i Nathaniel przywiązali konie nieopodal budynku.

– Myślisz, że powinniśmy poprosić go o radę? – zapytał Wielkolud.

– Deusa?

– Ojca Norberta.

– Kapłana? Nie. Zdecydowanie nie.

- Jest godny zaufania.
- Mój brat jest wysoko postawionym kapłanem w hierarchii kościoła Deusa... Uwierz mi, oni nie są godni zaufania.
- Może u was, na Terytoriach Centralnych. Ale ojciec Norbert...
- Może być poszukiwanym płaszczobójcą. Czy może wyleciał ci z głowy powód, dla którego tu przybyliśmy?
- Chyba w to nie wierzysz?
- A czemu nie? Wszystko pasuje. Co więcej, kapłan Deusa to świetne przebranie dla uciekiniera. Nawet tu, na Rubieżach, wzbudza on zaufanie i mało kto odważy się podnieść na niego rękę.
- Kiedy go spotkałem, właśnie wyganiano go z miasta.
- Otóż to, wyganiano. Z tego, co opowiadałeś, to było miejsce, które utrzymywało się z handlu niewolnikami. On spędzał swój czas, krzycząc na placu i przeszkadzając im w interesach, a mimo to miejscowi tolerowali go przez tygodnie, a potem po prostu kazali wyjechać. Gdyby nie był kapłanem, to już pierwszego dnia sam znalazłby się w jednej z tych klatek na niewolników.
- Dobrze, więc nie poprosimy go o radę. Masz jakiś lepszy pomysł?
- Lepszy niż przyznanie się nieznajomemu do zabójstwa? Zapewne.
- Słucham więc.
- Nie powiedziałem, że już go mam. To znaczy, daj mi czas. Od kiedy to ja jestem tym od planowania?
- Cały czas powtarzasz, że jesteś tym inteligentniejszym.
- Lepiej wykształconym. I nie bój się, mamy jeszcze dwa dni. W najgorszym wypadku powiemy, że Nikolaos był magiem. Biorąc pod uwagę konsekwencje jego czynów, ludzie w to uwierzą, a ty, jako Szary Strażnik, miałeś pełne prawo dokonać egzekucji na niebezpiecznym czarnoksiężniku.
- Więc zamiast ukryć przed ludźmi, że przez lata powierzali swoje zdrowie potworowi, powiemy im, że powierzali swoje zdrowie potwornemu czarnoksiężnikowi?
- Jak wspomniałem, mamy jeszcze dwa dni, coś wymyślę. To

nazwijmy planem awaryjnym, na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. A teraz chyba mamy kapłana do przesłuchania.

Nathaniel uchylił drzwi i wkroczył do świątyni, Magnus podążył za nim. Ojciec Norbert oderwał się od modłów przed ołtarzem i spojrzał w kierunku przybyszów.

– Witam. – Wstał i podszedł, mijając rząd wysokich kolumn, oddzielający boczną nawę świątyni. – Co sprowadza was do domu Deusa?

– Pytania – odpowiedział Magnus. – Pojawiły się pewne okoliczności, o których musimy z ojcem porozmawiać.

– Brzmi to poważnie. Usiądźcie. – Wskazał drewniane ławki. – Słucham.

Nathaniel zaczął:

– Od dawna ojciec podróżuje po Rubieżach?

– Od kilku lat.

– Ale pochodzi ojciec ze Spornych Ziem?

– Tak, z księstwa Kalet.

– I przybył stamtąd jakieś... cztery lata temu?

– Mniej więcej.

Książę spojrzał wymownie na swego towarzysza.

– A co ojca sprowadziło na Rubieże? – przejął rozmowę Magnus.

– Powołanie. Sporne Ziemie mają swój zapas kapłanów, ale tu, na wschodzie, no cóż, sam najlepiej wiesz, Magnusie, jak bardzo brakuje bogobojnych sług. Pogaństwo i ciemnota szerzą się niemiłosiernie. Prawdę powiedziawszy, jest pewna sprawa, z którą sam planowałem do was przyjść. To znaczy, nie chcę przerywać waszego przesłuchania...

– Nie ma problemu, nasza sprawa nie jest nagląca – zapewnił Nathaniel. – To jedynie formalność.

– No cóż, w takim razie... Do tej pory starałem się to ignorować jako część tutejszych zwyczajów, ale... Chodzi mi o tę zielarkę, Ilidię. Od czasu kiedy rozeszło się, że to ona podpowiedziała, jak powstrzymać tego demona, ludzie zaczęli się do niej częściej zwracać po pomoc. I to nie tylko ludzie ze Starego Dębu, ale z całej okolicy.

– Zgaduję, że brak innego lekarza też się do tego przyczynia –

zauważył Księżę.

– Istotnie, choć o tym już rozmawiałem z tym kupcem, Bolitem, i zapewnił mnie, że prawdziwy medyk przybędzie, by pomagać w kopalni i będzie też do dyspozycji miejscowych. Niemniej, wracając do tej Ilidii... Dochodzą mnie wieści, że przemawia ona przeciwko mnie i odciąga ludzi od Deusa.

– Nie za bardzo wiem, co my moglibyśmy z tym zrobić – stwierdził Magnus.

– Czy Szara Straż nie zajmuje się tropieniem wiedźm? Przecież wszyscy wiemy, kim naprawdę jest ta niby zielarka. I Deus jeden wie, jakich sztuczek używa, by przyciągać do siebie ludzi.

– Ojciec Norbercie – westchnienie Nathaniela rozeszło się po świątyni – obawiam się, że nie ma dowodów na to, by Ilidia faktycznie używała magii. Co więcej, jak ojciec powiedział, miejscowi jej ufają. Nie możemy wystąpić przeciwko niej bez twardych dowodów na to, że zrobiła coś złego.

– Rozumiem to, niemniej w najbliższym czasie planuję zaatakować ją w moich kazaniach. Mam obowiązek wobec moich wiernych, by ostrzec ich, kiedy dostrzegam zagrożenie. Mogłoby pomóc, gdyby Szara Straż poparła mnie w tym. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że większe zaufanie do wiedźmy zostało wywołane działaniami waszego dowódcy rekrutów.

– Na pewno o tym porozmawiamy, choć Duncan może nie być zbyt przychylny podobnym działaniom. Może powinien ojciec pójść z tym prosto do Olafa. Oczywiście ja i Magnus nie chcemy podkopywać autorytetu naszego bezpośredniego przełożonego. Choć zapewne obydwaj dzielimy wątpliwości ojca. Prawda?

Wielkolud przez chwilę rozważał słowa towarzysza, wreszcie pokiwał głową, zgadzając się.

– Świetnie. A teraz, wracając do waszych pytań. Zdaje się, że interesowało was moje przybycie na Rubieże. Pamiętam to dokładnie...

*

Clara udawała, że przygląda się staremu drzewu rosnącemu w centrum osady. W rzeczywistości jej wzrok skupiał się na

stojącej na uboczu chacie. Budynek był brzydki, było w nim coś, co przywodziło na myśl słowa takie jak „pomarszczony” czy „przygarbiony”. Kruki i koty zasiedlające podwórze i dach domu jeszcze pogłębiały skojarzenie ze starymi bajkami, opowiadanymi przez nianię z Wielkiego Portu.

– Myślę, że to nie ten, którego szukamy – stwierdził Duncan, podchodząc z końmi. – Dopiero co urodziło mu się dziecko, wątpię, by chciał uciekać przez Puszcę z noworodkiem.

– Chyba że zostawi rodzinę – zauważyła Clara.

– Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby to zrobić.

– Może po prostu jest świetnym aktorem.

– No cóż, tak czy inaczej, nasze zadanie tu jest skończone. Jeśli Brion jest płaszczobójcą, to wie, że go ścigamy. Jeśli nie, to i tak cała okolica będzie o tym gadać. Gotowa do drogi?

– Prawie. Myślałam o tej wiedźmie. – Wskazała chatkę. – Mówiłeś, że przewidziała twoją śmierć.

– Sposób, w jaki umrę. Ale widocznie się nie spełniło.

– Być może jeszcze nie. Sam mówiłeś, że nie podała ci daty.

– Tak. Oto radosna myśl na przyszłość.

– Miejscowi regularnie chodzą do niej po radę. Od początku mnie to dziwiło, w Wolnych Miastach opowiadano tylko takie historie, w których wiedźmy porywały małe dzieci, a potem same padały ofiarami kogoś z pradawnych herosów, których pomniki tak szczerze zasiedlają miejskie place. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by prosić którąś o radę.

– Miejscowi zdają się nie narzekać. I pomogła nam z tym demonem.

– Może miejscowi są pod kontrolą jej czarów?

– Myślę, że gdyby rzuciła urok na całą okolicę, Cass już by to wyczuła. Ale jeśli masz jakiś problem, możesz porozmawiać ze mną – spróbował Duncan. – Jako twój przełożony...

Clara jednym spojrzeniem ugasiła wszelki zapal rodzący się w jej dowódcy. Później wróciła do obserwowania chaty.

– Ruszaj już – zdecydowała wreszcie. – Ja chyba pójdę porozmawiać z Ilidią.

– Jesteś pewna? Mogę poczekać. Samotne podróżowanie, kiedy po okolicy może krążyć płaszczobójca...

– Z tego, co wiemy, możliwe, że krąży tu już od lat. A może boisz się, że to ja nim jestem i skorzystam z okazji, by ci uciec?

– Nie, oczywiście, że nie. Choć chciałbym zobaczyć minę Nathaniela, gdyby to okazało się prawdą.

– Zostaw tu mojego konia i ruszaj – powiedziała i poszła w kierunku domu zielarki.

Przed drzwiami zatrzymała się i poprawiła wierzchnie okrycie. Zdjęła kaptur, by przeczesać ręką długie czarne włosy. Gorsecik przy sukni nagle wydał jej się denerwująco ciasny. Wzięła kilka głębszych wdechów i wkroczyła do środka. W powietrzu unosił się zapach świeżego chleba i pieczonych ryb, przywodzący na myśl kuchnie pałacowe, w których miała zwyczaj ukrywać się w dzieciństwie. Z dala od nauczycieli, obowiązków i innych dzieciaków. Tu jednak, zamiast radosnych, wiecznie zabieganych kucharek, zastała jedynie pomarszczoną staruszkę, siedzącą na skrzypiącym bujanym fotelu.

– Witaj, Claro – powiedziała Ilidia, podczas gdy wyjątkowo gruby kot zeskoczył z jej kolan i z trudem podszedł do nowoprzybyłej. – Czekałam na ciebie.

– Doprawdy? Oczywiście nie mam żadnego sposobu, by to sprawdzić. Czy mówisz to wszystkim, którzy tu wchodzą?

– Nie, tylko tym, którzy rozważali przyjsie tu od dłuższego czasu.

– Aha. Już sam fakt, że się tu pojawiłam, może świadczyć o tym, że jakiś czas to rozważałam.

– Czy twoje pytanie tak bardzo cię przeraża, że chcesz zawczasu podważyć prawdziwość moich słów?

Clara przez chwilę stała na środku pomieszczenia, wpatrując się w tłustego kociaka, który z całkowicie nietypowym dla swojego gatunku brakiem gracji ocierał się o jej nogi. Choć właściwsze byłoby raczej stwierdzenie, że się z nimi zderzał.

– Mam kilka pytań.

– Tak, i wszystkie cię przerażają, ponieważ wszystkie wymagają szczerości. Szczerość to przerażająca rzecz.

– I na ogół zbędna. – Przez chwilę udało jej się przywołać z powrotem maskę obojętności. Staruszka nie dała się zwieść.

– Zacznijmy od tego pytania, którego boisz się najmniej. Choć

od razu ostrzegę, że odpowiedź ci się nie spodoba.

– Szczere odpowiedzi nigdy mi się nie podobają – powiedziała śmiało Clara, ale mimo to potrzebowała kilku oddechów, by zdobyć się na odwagę. – Jak zginę?

Ilidia pozwoliła sobie na grymas współczucia, a później odpowiedziała.

*

Clara stała na szczycie wieży, wpatrując się w jezioro. Zimny wiatr rozwiewał jej włosy we wszystkich kierunkach, ale mimo to nie założyła kaptura. Z wnętrza wieży dochodziła radosna melodia grana przez Edwina. Wizyta w obozie legionistów wprawiła go w dobry nastrój, cały wieczór przechwalał się efektami dyskusji z centurionem. Clara domyślała się, że za tą wesołością kryło się coś jeszcze. Normalnie wykorzystałaby sytuację, by wpleść w dyskusję kilka sugestii zrozumiałych tylko dla ich dwójki, ale nie dzisiaj. Dzisiaj chciała jedynie stać tu, patrzeć na jezioro i pozwalać, by wiatr chłostał ją jej własnymi włosami.

– Przeszkadzam? – dobiegł ją głos Nathaniela.

– Nie – odpowiedziała radosnym tonem, ukradkiem ocierając łzy. Ukrywanie oznak smutku to jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczono ją jeszcze w dzieciństwie. Zawsze była w tym świetna, a mimo to Książę coś zauważył.

– Czy coś się stało? Odkąd wróciłaś, nie jesteś sobą.

– Doprawdy? To chyba po prostu ten czas miesiąca. – Wiedziała, że to wytłumaczenie zakończy dyskusję. Nathaniel, jak większość mężczyzn, traktował pewne aspekty kobiecego ciała z niemal zabobonnym zakłopotaniem.

– Tak, oczywiście. Wiesz, gdybyś chciała o czymś porozmawiać... Jestem tutaj. – W jego głos wkradła się nietypowa czułość.

– Czyżby Książę się o mnie martwił? – Spróbowała flirtu. Bez sukcesu.

– Czy to coś, co powiedziała ta wiedźma?

– Skąd wiesz...?

– Zmusiłem Duncana, żeby mi powiedział.

– Zmusiłeś?

– No cóż. Przekonałem... Oczywiście w normalnych okolicznościach nie naruszałbym twojej prywatności, ale... widziałem, że coś cię niepokoi i... martwiłem się. – Ostatnie słowa przyszły mu z trudem.

– Nie ma potrzeby. Choć doceniam to. – Teraz ona poczuła się niezręcznie. Każdego innego dnia ucieszyłaby się, że zyskała wyraźną przewagę w ich grze. Ale nie dzisiaj. – Jak mówiłam, po prostu źle się czuję. Porozmawiamy jutro.

– Czy wiedźma powiedziała coś...?

– O innych nie zamartwiasz się tak bardzo – zaatakowała. Rozmowa stawała się męcząca.

– Nie jesteś innymi.

– Bo jestem szlachetnie urodzona?

– Nie... To znaczy, to też, ale... jesteś... inna. Niż oni, niż ludzie z Terylu, damy dworu i szlachcianki, które spotkałem... Jesteś lepsza...

Na jego twarzy pojawił się rumieniec. Gdyby Clara wiedziała, że kilka kiepsko skrytych łez tak łatwo przebije jego pancerz, upozorowałaby podobną sytuację już kilka tygodni wcześniej.

– Spytałam ją, jak umrę – powiedziała, pozwalając mu spojrzeć przynajmniej na jedną z tajemnic.

– To nic nie znaczy – zdecydował od razu. – Babka na straganie może ci przepowiedzieć podobną rzecz za złamanego miedziaka. Stara wiedźma pewnie po prostu chciała cię przestraszyć.

– Nie. Potrafię rozpoznać kłamcę... Ale to nic – dodała szybko.

– Nawet jeśli Ilidia ma rację, to i tak nie wie, kiedy się to stanie. To głupie martwić się na zapas.

– Otóż to... Poza tym nie pozwolę, by coś ci się stało. I to jest książęca przysięga. A teraz chodźmy. Kiedy wychodziłem, Magnus był o krok od wyzwania Wulfa na pojedynek w siłowaniu się na rękę. A Cassandra i ta nowa psychopatka od dobrej godziny toczą pojedynek na spojrzenia. I dam głowę, że żadna z nich jeszcze nie mrugnęła.

– Zaraz zejść – zapewniła. – Chcę jeszcze tylko chwilę pobyc

sama.

– Oczywiście – stwierdził po chwili wahania. – Będę czekał.

Mężczyzna odszedł, a Clara spojrzała w dal i westchnęła. Mimowolnie uśmiechnęła się do siebie i zaczęła bębnić palcami o kamienie.

– Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha. – Zza pleców dobiegł ją głos barda.

– Chcesz czegoś? – spytała rozdrażniona.

– Pokoju na świecie, fontanny alkoholu, powrotu do cywilizacji i tak dalej. To dosyć długa lista. Ale na ten moment jestem gotów zadowolić się czymś, co chociaż przypomina rozmowę na poziomie.

– Biedny, znudzony Edwin. To dlatego to robisz, prawda? Manipulujesz ludźmi, stawiasz ich w niekomfortowych sytuacjach, szczujesz na siebie. Bo jesteś znudzony?

– Och, rozgryzaś mnie. Robię to wszystko, bo się tak cholernie nudzę. – Muzyk przytaknął, symulując gest Cassandry. – A już myślałem, że jestem tak wspaniałą enigmą. Znasz słowo enigma, prawda? Pochodzi z pewnej starej legendy... Ach, no tak. Na pewno je znasz, zostałaś przecież dobrze wykształcona jako... – Zawiesił głos z wymownym uśmiechem.

– To aż tak oczywiste? – spytała bez śladu emocji.

– Dla mnie tak – odpowiedział. – Pewnie nie dla innych, ale ja wystarczająco wiele czasu spędziłem wśród arystokracji Wolnych Miast, by zauważać szczegóły. – W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta dumy. – Swoją drogą mógłbym zagrozić, że coś mi się wymysknie, jeśli nie przestaniesz karmić Duncana fałszywymi nadziejami. Początkowo było to zabawne, ale teraz robi się męczące. To jednak mój przyjaciel, a to oznacza, że tylko mnie wolno z nim pogrywać.

– Skąd pomysł, że to fałszywe nadzieje? – Clara wydawała się całkowicie zaskoczona podobnym pomysłem.

– To oczywiste. Duncan jest jakimś kimś skądś. A Nathaniel tymczasem... Wyobrażam sobie, jak to było przez te wszystkie lata. Te wszystkie przyjęcia i okazje, ci wszyscy szlachetni i przystojni młodzi arystokraci. Mogłaś patrzeć, mogłaś rozmawiać, flirtować, ale nie dotykać. Jak słodcze widziane

przez szybkę. A żaden z nich nigdy nie mógł się nawet równać z księciem Terylu. I oto jesteś w samym środku. Nigdzie żadnych zasad, żadnej starej niani, wiecznie zerkającej przez ramię, i przede wszystkim – żadnej konkurencji. I on, prawdziwy książę z bajki... To byłoby straszne, gdyby poznał prawdę, nie sądzisz?

– Tak, to bardzo ciekawa historyjka. Choć jeszcze ciekawsza może być dla naszych towarzyszy odpowiedź na pytanie, z kim spędzałeś ów czas wśród arystokracji Wolnych Miast... – powiedziała to ot tak, jakby dzieliła się jakąś ciekawostką. – Jestem pewna, że nasi towarzysze uznaliby to za ciekawe, nie sądzisz?

Uśmiech nawet przez chwilę nie zniknął z twarzy Edwina.

– Więc chyba osiągnęliśmy impas. Ja widziałem twoje, ty widziałaś moje. Co dalej?

Clara podniosła się i zbliżyła do niego z zalotnym uśmiechem.

– Ja nie zdradzę twojego sekretu, ty nie zdradzisz mojego. Mało tego, nie będę przeszkadzała ci w twoich gierkach, a ty nie będziesz mi przeszkadzać w moich. I nawet dam spokój Duncanowi. I tak wydaje mi się, że stracił ochotę na tę grę. Zgoda?

– Interesy z tobą to czysta rozkosz – stwierdził Edwin.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała Clara.

*

– Zajęli opuszczoną farmę, tutaj. – Ria wskazała punkt na mapie.

– To gospodarstwo, które zaatakowały wilki – wyjaśnił Duncan. – Miejscowi obchodzą to miejsce z daleka. To znaczy, że Estilius musiał niedawno mieć kontakt ze swoimi ludźmi.

– Jest ich dziesięciu – dodała dziewczyna. – Wybrali dobre miejsce, trudno będzie się zakraść.

– Czyli liczbowo szanse są w miarę wyrównane.

– Nie – zaprzeczył Wulf. – Potrzebuję dwójki dobrych wojowników i dwie osoby radzące sobie z łukami, w tym jedną, która potrafi zachowywać się cicho. Ria podkradnie się i zdejmie przeciwników po kolei. Jeden strzelec będzie ją ubezpieczał.

Reszta będzie czekać na sygnał. Pozostali z twoich ludzi mają robić to, co wczoraj. Czyli jeździć po okolicy i zadawać pytania. Nie chcemy ostrzec tych ptaszków za wcześnie.

Duncan rozejrzał się po pomieszczeniu. Było wciąż przed świtem i większość zgromadzonych przy dębowym stole rekrutów wyglądała na mocno niewyspanych. Olaf zdawał się wręcz przysypiać.

– Ja i Nathaniel najlepiej radzimy sobie z mieczami. Edwin jest dobry z kuszą, choć niezbyt cichy...

– Ja się nadaję – stwierdziła Cass, machając ręką w powietrzu. – Potrafię trafić śliwkę nożem z dwudziestu kroków, mając zamknięte oczy. – Zaczęła kiwać głową.

– Faktycznie, widziałem, jak to robiła – przyznał niechętnie dowódca rekrutów.

– Czy ona nie jest szalona? Nie zacznie nagle krzyczeć w trakcie podejścia albo mówić do siebie na głos?

– Jestem szalona, nie głupia. Zanim tu przyjechałam, przez lata mieszkałam sama na ulicach miast Terytoriów Centralnych. Musiałam zabierać ludziom rzeczy, których potrzebowałam i nikt z nich nigdy mnie nie zauważył. Więc potrafię być cicha jak kot. – Podczas całej przemowy jej głowa energicznie podskakiwała.

– To twój wybór, dzieciaku. Sądzisz, że ona sobie poradzi?

Duncan nie był pewny. Niemniej nigdy wcześniej nie widział, by Cassandra wykazała się inicjatywą. I faktycznie, potrafiła być cicha jak kot.

– Da sobie radę – zdecydował wreszcie.

– Świetnie, więc ty, Nathaniel, Edwin i wariatka. Przygotujcie się, bo ruszamy za pół godziny. Jakies pytania?

– Ja mam jedno – odezwał się Edwin. – Czy nasz plan naprawdę zakłada, że ona zabije dziesięciu doświadczonych najemników? Wiem, że to świetnie pasuje do waszej legendy i w ogóle, ale to nie jest legenda, więc...

– Nasz plan zakłada, że dziesięć razy zabije jednego przeciwnika naraz, używając zaskoczenia. Jeśli coś pójdzie nie tak, wasza wariatka będzie tam, by osłaniać jej odwrót, podczas którego my wykorzystamy zamieszanie, by uderzyć od drugiej

strony. Oczywiście w późniejszych opowieściach wszyscy zgodnie będziemy twierdzić, że wparowała tam i zaszlachtowała wszystkich naraz, by było bardziej legendarnie. Czy to odpowiada na twoje pytanie? Swoją drogą, Ria, nie zabijaj wszystkich dziesięciu. Żeby zastawić zasadzkę na Estiliusa, będziemy potrzebować co najmniej jednego żywego. A reszta niech się nie boi, nie mam w zwyczaju wdawać się w bitwy, których nie mogę wygrać. To psuje reputację. Zbierajmy się.

Żniwiarze wstali od stołu i ruszyli na piętro do zbrojowni.

– Mój nauczyciel taktyki zwykł mówić coś podobnego – stwierdził Nathaniel, kiedy wszyscy zaczęli się rozchodzić.

– Miałeś nauczyciela taktyki? – zdziwiła się Matylda.

– Oczywiście, że miałem nauczyciela taktyki. I oddział legionistów, by ćwiczyć wydawanie rozkazów, ale mniejsza z tym. W każdym razie zawsze zwykł powtarzać, że bycie niezwyciężonym to sztuka odpowiedniego doboru bitew. Ostatecznie umarł na atak serca podczas igraszek z dwiema dziewczkami naraz.

– Widać sam nie posłuchał swojej rady – powiedział z zadumą Edwin. – Mam nadzieję, że nie idziemy właśnie w jego ślady... To znaczy, jeśli chodzi o przecenienie swoich sił, nie o konkretne okoliczności.

– Będzie dobrze – zapewnił Duncan. – Ostatecznie przecież idziemy do boju u boku żywych legend.

*

Cass zdjęła buty i zawiesiła je na gałązce, poprawiła uchwyty noży zamocowanych na oplatających jej ciało pasach i po raz kolejny upewniła się, że na jej ubraniu nie pozostał żaden z błazeńskich dzwoneczków. Kiedy uznała, że jest gotowa, kiwnęła głową do towarzyszki. Ria miała na sobie skórzany napierśnik i dwa krótkie miecze skrzyżowane na plecach. Czarną chustę, którą zwykle nosiła na szyi, założyła na głowę. Na odkrytym karku dało się dostrzec blizny.

– Już prawie – szepnęła dziewczyna, patrząc jak najbliższy z wartowników podchodzi do wychodka. – Bądź kilka kroków za

mną. Teraz.

Żniwiarka klepnęła Cass po ramieniu i zeskoczyła z drzewa, w kilku susach dopadła ogrodzenia i sprawnie je przeskoczyła. W kilka uderzeń serca dobiegła do drewnianej budki, dobyła miecze i chwyciła je ostrzami w dół. Przez chwilę nasłuchiwała, a kiedy tylko drzwi się uchyliły, wpadła do środka. Mężczyzna nie zdążył nawet się odezwać.

Ria ruszyła dalej, dotarła do stodoły i na palcach przebiegła wzdłuż ściany. Cass dogoniła ją i podążyła kilka kroków w tyle. Odgłos rozmowy dochodził zza zakrętu. Dwóch mężczyzn, przed drzwiami budynku. Opowiadali sprośne żarty. Szara Strażniczka wzięła głęboki oddech i odczekała, aż puenta historii wywołała wybuch śmiechu. Ruszyła. Płynnie przeszła między najemnikami, podryznając im gardła. Zanim upadli na ziemię, już stała w pozycji obronnej, zwrócona w kierunku chaty.

Nic. Żadnej reakcji.

Ruszyła dalej, obok domu, kierując się na podwórze przed wejściem do budynku. Była w połowie drogi, gdy zza zakrętu wyłonił się kolejny przeciwnik. Zbyt daleko, by zdążyła dobiec, zanim krzyknie. Cass nie zawahała się, jej nóż trafił go prosto między oczy. Ria znalazła się przy ciele chwilę później, pośpiesznie przyciągnęła trupa, by zabrać go z widoku ludzi przed domem. Później zerknęła szybko, by sprawdzić, co dalej. Cass dołączyła do niej. Pomyślała, że pierwszy etap za nimi. Zostało jeszcze sześciu ludzi do zabicia.

– Przed domem jest dwóch – szepnęła Żniwiarka. – Dopadnę tego przy drzwiach, ty musisz zdjąć tego przy studni.

Rekrutka kiwnęła głową. Ria podniosła do góry trzy palce. Dwa. Jeden.

Cassandra wyskoczyła zza zakrętu, błyskawicznie zlokalizowała studnię i stojącego przy niej najemnika. Mężczyzna właśnie się odwracał. Pierwsze ostrze trafiło go w kark. Zanim ciało uderzyło o ziemię, drugi nóż zagłębił się w oczodole. Równocześnie dało się słyszeć agonalny jęk wojownika przy drzwiach.

– Ej, słyszycie mnie... – Jeden z ludzi miał pecha wyjść z domu prosto na zabójczynię. Szybki cios posłał go na tamten świat, a

Ria, nie zwlekając dłużej, wpadła do środka. Cass podążyła za nią.

W korytarzu natknęła się na kolejne ciało. Niestety, ostatni dwaj najemnicy nie dali się zaskoczyć. Z mieczami w dłoniach ruszyli na napastniczkę, błyskawicznie zyskując przewagę. Jeden z nich zdołał trafić Żniwiarkę w ramię. Cassandra zareagowała odruchowo, posyłając ostrze tuż obok głowy egzekutorki i odcinając ucho jednego z napastników. Drugi nóż wbił się mężczyźnie w brzuch.

Wykorzystując sytuację, Ria przeszła do kontrataku, uwięziła miecz ostatniego przeciwnika między swoimi i wbiła kolano w krocze mężczyzny. Kiedy żołnierz się zachwiał, uderzyła go ręką w twarz i poprawiła kilkoma kopniakami, kiedy był już na ziemi.

Całe starcie wydawało się trwać zaledwie kilka uderzeń serca, mimo to Wulf wpadł do chaty niemal natychmiast, zostawiając rekrutów w tyle.

– Dwóch żywych – stwierdziła beznamiętnie Ria. – Choć ten z nożem w brzuchu nie ma przed sobą długiej przyszłości.

– Dałaś się trafić.

Zdawało się, że dziewczyna dopiero teraz zauważyła ranę.

– To nic, kilka szwów. Sama mogę się tym zająć.

– Zaatakowałaś sama budynek z trzema przeciwnikami w środku. To było głupie.

– Chciałam wykorzystać efekt zaskoczenia – wyjaśniła Ria, wbijając wzrok w ziemię.

– Na tym etapie mieliśmy już przewagę liczebną, mogliśmy ich zmusić do poddania się. Zadziałałaś głupio i impulsywnie! Jeszcze wiele musisz się nauczyć.

– Nie była sama – wtrąciła Cass. – Osłaniałam ją.

– Widzę. Jak oceniasz Wariatkę?

Ria przez chwilę przyglądała się towarzyszce. Było w tym wzroku coś drapieżnego, sprawiającego, że Cassandra poczuła się jak sarenka spoglądająca w oczy wilka.

– Bez zarzutu – zdecydowała wreszcie Żniwiarka. W jej spojrzeniu pojawił się cień szacunku.

– No proszę. Może jeszcze będą z ciebie ludzie.

Ciężko dysząc, do chaty dobiegli pozostali rekruci.

– I jak, panie bard, wystarczająco legendarnie? – spytał Wulf bezbarwnym tonem.

Edwin nie odpowiedział, ale na jego twarzy odmalowywała się mieszanka zaskoczenia i strachu. Jednooki wyraźnie był zadowolony z wrażenia, jakie wywarł. Odwrócił się do schwytanych najemników i przywołał na twarz wyjątkowo szkaradny uśmiech.

– Świetnie, to teraz zacznij układać balladę, a ja utnę sobie pogawędkę z tymi panami. Mam wrażenie, że niedługo będą się wręcz palić do rozmowy.

*

Lucius ziewnął głośno. Sprawdzili tego ranka już dwie osoby, w obydwu przypadkach z równie mizernym efektem. Było po południu i walka na farmie zapewne dobiegła końca. Wszystko zostało wyjaśnione, a winny ukarany. Z tego, co wiedział, może było już po wszystkim, a on i Clara jedynie marnowali czas. Zamiast tego mógł być gdzie indziej. Na patrolu niedaleko gospodarstwa starego Nolana. Blisko Amelii.

– Jesteśmy – wyrwał go z zamyślenia głos Clary.

Faktycznie, dotarli na miejsce. Do chaty łowcy Heliera. Lucius zsiadł z konia i podążył za swoją towarzyszką. Przez cały dzień starał się nie wchodzić jej w drogę. Było w Clarze coś, co całkowicie go onieśmielało. Z drugiej strony – wołał być na patrolu z nią niż z Matyldą, bo Matyldy najnormalniej w świecie się bał.

– Helier? – Szara Strażniczka zapukała do drzwi, te same się uchyliły. – Wybacz, że przeszkadzamy, ale musimy zadać kilka pytań.

– Oczywiście – rozległ się głos z głębi domu.

– Wejdźcie.

Lucius nigdy nie był u Heliera. Chata leżała na uboczu, z dala od zwykłych tras patroli Straży. Był to skromny, choć solidny budynek. W głównej izbie znajdowało się kilka krzeseł, stolik, łóżko i skromna kuchnia. Sam gospodarz najwyraźniej zajęty był

czymś w spiżarni. Lucius już ruszał w jej kierunku, kiedy Clara pociągnęła go za ubranie. Dziewczyna wskazała ruchem głowy na leżące w rogu skórzane torby. Wyglądało na to, że Helier pakował się do wyjazdu. Dama odwróciła się do drzwi i cicho ruszyła do wyjścia, Mnich podążył za nią, niestety nie dotarli daleko.

– Już wychodzicie? Skąd ten pośpiech? – Dobiegł ich głos z wejścia do spiżarni.

– To nic takiego, po prostu... – Clara urwała, dostrzegając w rękach rozmówcy naładowaną kuszę.

– Po tym, że po prostu tu weszliście, wnioskuję, że was zaskoczyłem. To dobrze, to oznacza, że macie szansę wyjść z tego żywi. Luciusie, jak radzisz sobie z linami?

– Ja... Klasztor był na wyspie, więc dużo łowiliśmy z łodzi, takiej z żaglem i linami... więc ja...

– Dobrze. – Głos Heliera brzmiał inaczej niż zwykle. Nie był przyjacielski i uprzejmy. Teraz brzmiała w nim groźba. – Claro, usiądź wygodnie. Luciusie, przywiążesz ją do krzesła. Nogi do nóg, ręce z tyłu, za oparciem. Tylko bez wygłupów, będę się przyglądał. Ja też wiem co nieco o linach.

Kobieta nie opierała się, posłusznie usiadła na wskazanym miejscu. Mnich początkowo próbował sobie przypomnieć sztuczkę, której nauczył go jeden z zakonników. Węzeł, który wygląda na solidny, ale przy mocniejszym szarpnięciu sam się rozwiązuje. Niestety, w zdenerwowaniu pamięć odmówiła mu posłuszeństwa, a w głowie pozostał jedynie najmocniejszy węzeł, jakiego go nauczono.

– Nie za ciasno – ostrzegł Estilius. – Obawiam się, że spędzicie trochę czasu z tymi sznurami na rękach. Raczej nie chcielibyście stracić dopływu krwi do kończyn. O, tak lepiej. Świetnie, teraz usiądź obok i przywiąż swoje nogi. Bardzo dobrze, chłopcze. No proszę, może faktycznie wszyscy wyjdziemy stąd żywi. Ręce za siebie.

Mężczyzna odłożył kuszę i związał ręce więźnia. Później zaczął zbierać swoje bagaże.

Lucius poczuł nagłą falę paniki, wywołaną niemożnością poruszania się. Próbował się uspokoić modlitwą, ale nagle

pomyślał, że jeśli zostaną tak uwięzieni przed długi czas, być może będzie musiał iść do wychodka. Ta myśl sprawiła, że poczuł ciężar w pęcherzu, co jeszcze pogorszyło sprawę. Zaczął ciężko oddychać.

– Spokojnie, najgorsze już za wami – uspokoił Estilius, wychodząc na zewnątrz. – Za kilka godzin ktoś zapewne przyjedzie, by sprawdzić, czemu nie wracacie i... – Zatrzymał się w drzwiach, przez chwilę nasłuchiwał.

Szepnął:

– Kurwa.

A po chwili zamknął drzwi i krzyknął:

– Mam zakładników!

Uśmiechnął się, ściskając mocniej kuszę.

– Jednak dotrzymam wam towarzystwa dłużej – stwierdził zaskakująco spokojnie, po czym zaczął zasłaniać okna poduszkami, torbami i wszystkim innym, co wpadło mu w ręce.

– Jeśli Żniwiarze tu są, to znaczy, że twoi najemnicy cię wydali – odezwała się wreszcie Clara. – To koniec, nie masz dokąd uciekać. Lepiej poddaj się teraz i zaoszczędź sobie...

– Nie – przerwał jej. – Zaszedłem już za daleko.

– Nie wyjdiesz stąd żywy.

– Lepiej, żebyś się myliła, mała, bo jednego możecie być pewni. Jeśli dziś zginę, to nie będę sam.

*

Książę Terylu uważał się za cierpliwego człowieka, przynajmniej do tego popołudnia. Teraz chodził nerwowo w kółko, nie mogąc zebrać myśli. Pozostali rekruci wydawali mu się zdecydowanie bardziej zdyscyplinowani, co jeszcze mocniej go denerwowało. Matylda zszywała ramię Rii, podczas gdy Cass przyglądała się temu z fascynacją. Magnus i Edwin ukrywali się w krzakach po drugiej stronie chaty Heliera. Szare Płaszcz w towarzystwie Nathaniela od jakiegoś czasu sprzeczały się nad odręcznym planem chaty.

– Nie, dopóki on ma dwójkę moich ludzi – stwierdził twardo Olaf. – Otoczyliśmy go, nigdzie nie pójdzie.

– Co jeśli użyje zakładników jako tarczy, by stąd odjechać? – spytał Wulf.

– Odjechać dokąd? Nie zdoła przetrwać w Puszczy sam, a co dopiero ciągnąć ze sobą Mnicha lub Damę. Przecież nie jest idiotą, wie, że to koniec.

– Nie lekceważ go, wydostawał się już z gorszych tarapatów.

– Może to ty go przeceniasz. Mieszka tu spokojnie od prawie czterech lat. To dużo czasu, by stracić czujność. Może wcześniej zawsze miał asa w rękawie, ale teraz jest już stary i zmęczony. Wiem coś o tym.

– Może tak, może nie. Ale jedno powiedzmy sobie od razu, jeśli przyjdzie co do czego, prędzej poświęcę całą tę cholerną komandorię, niż pozwolę temu skurwielowi uciec.

– W takim razie to dobrze, że jako dowódca tej cholernej Komandorii mam jurysdykcję nad tym terenem i nie zrobisz niczego bez mojej zgody. Rozumiemy się?

– Jasno i wyraźnie. Ale i tak sędzę, że powinniśmy zaatakować. Im dłużej to trwa, tym większa szansa, że jednak znajdzie jakiegoś asa w rękawie.

– Zgadzam się z Wulfem – odezwał się Duncan. – Powinniśmy uderzyć po zapadnięciu ciemności. Doprowadzić do sytuacji, w której Cass będzie miała Estiliusa na widoku. Wtedy...

– Zwariowałaś? – wtrącił się Nathaniel. – Jeśli uderzymy, on może zabić Clarę i Luciusa.

– Podobnie jeśli nie uderzymy. Wulf ma rację, im dłużej to trwa, tym większe ryzyko, że stanie się coś nieprzewidzianego. Ten człowiek zabił już pięciu Szarych Strażników i jednego rekruta. Jest zbyt niebezpieczny, by...

– By co? Pozwolić mu uciec do Puszczy i nigdy więcej nie zabić żadnego Szarego Strażnika? Wliczając dwójkę twoich podwładnych, których ma w tej chacie?

– Nie możemy pozwolić mu odejść i doskonale o tym wiesz. Jeśli na chwilę powstrzymasz swoje osobiste uczucia, dostrzeżesz, że to jedyna...

– Pozwolisz im zginąć!

– Próbuję ich ocalić!

– Nie mówimy teraz o jakiejś idei! Mówimy o Clarze!

– Clara wiedziała, co robi, kiedy zapisywała się do służby tutaj. Podobnie Lucius. Zakon ma swoje prawa.

– Pierdolić Zakon! Nie pozwolę ci jej zabić!

– Morda, szczeniaki! – wrzasnął Olaf. – Czy wam się, kurwa, wydaje, że to jakieś pierdolone targowisko? Że ten, co głośniej krzyczy, ma rację? Książę, żywot Szarego Strażnika jest niebezpieczny i często kończy się tragiczną śmiercią. Nie podoba się, to ściągaj pierścień i wypierdalaj z mojej komandorii. Rozumiemy się?

Nathaniel spuścił wzrok, zawstydzony swoim własnym wybuchem. Wymamrotał potwierdzenie.

– Głośniej.

– Tak, rozumiemy się.

– Świetnie. A teraz słuchajcie uważnie. Nie będzie żadnego szturmu, żadnego ryzykowania życiem zakładników. Przynajmniej do czasu, aż ja podejmę inną decyzję. Teraz pozwolimy Helierowi posiedzieć i podenerwować się. Posłucha żalostnego panikowania Mnicha i Deus jeden wie jakiej gierki, w którą spróbuje z nim zagrać Dama. A tuż przed zachodem ja pójdę z nim pogadać. Wyjaśnić kilka rzeczy. A potem podejmę decyzję. Wszyscy rozumieją? Świetnie. Teraz Książę, Duncan, marsz na przeciwległe końce tej polany. I jak ktoś jeszcze podniesie głos, to mu tak skopię dupę, że jeszcze jego wnuki nie będą w stanie usiąść.

Nathaniel z ociąganiem ruszył we wskazanym kierunku, czując się jak dziecko wysłane do kąta. Odchodząc, usłyszał jeszcze za sobą głos Wulfa:

– Więc teraz najtrudniejsza część. Czekanie.

*

Clara po raz kolejny spróbowała oswobodzić się z więzów. Niestety, Lucius okazał się zaskakująco kompetentny w ich wiązaniu.

– Poszczyściło ci się – zwróciła się do siedzącego w kącie pomieszczenia Heliera.

– Doprawdy?

– Złapałeś dwójkę najmniej niebezpiecznych rekrutów w okolicy. Oczywiście to oznacza, że wszyscy naprawdę niebezpieczni zostali za tymi drzwiami. Że nie wspomnę o Żniwiarzach. Wulf i Ria. Być może o nich nie słyszałeś, siedząc tutaj....

– Wiem o nich więcej niż ty. Przez ostatnie lata wiedza na temat Bractwa Egzekutorów stała się dla mnie podstawą przeżycia. Jednooki Wulf, wiek trzydzieści cztery lata – wyrecytował z pamięci. – Syn słynnego nauczyciela szermierki z Tonącego Portu. Ponoć oko stracił w czasie treningu z ojcem. Rekrutem został w wieku piętnastu lat, po roku otrzymał płaszcz, już wtedy mając reputację świetnego wojownika. Dwa lata później wyzwiał na pojedynek samego Ulma, Krwawego Pielgrzyma. Przegrał, ale zrobił na tyle duże wrażenie, że po kilku tygodniach przyjęto go do Bractwa Egzekutorów. Wtedy również został uczniem Ulma. Zarówno w śledztwie, jak i w walce jest cierpliwy, metodyczny i nieustępliwy. Dokonał szesnastu oficjalnych egzekucji na płaszczobójcach. W sumie liczbę jego ofiar szacuje się na pół setki. Choć ostatnio sama jego legenda wystarcza, by rozwiązywać problemy. Ria jest bardziej problematyczna. Wiek piętnaście, prawie szesnaście. Rekrutem została w wieku lat dwunastu, na osobiste życzenie Wulfa. Niektórzy spekulują, że jest jego córką lub kochanką, ale obydwie teorie wydają się równie mało prawdopodobne. Jej wcześniejsze losy nie są znane, ale wiadomo, że kiedy założyła pierścień, miała już zaskakujące jak na swój wiek umiejętności. Osobiście sądzę, że Wulf po prostu dostrzegł w niej pokrewną duszę, urodzonego mordercę. Tak czy inaczej, płaszcz uzyskała w wieku lat trzynastu i od razu przyjęto ją do Bractwa Egzekutorów. Od tamtej pory była jego podopieczną. Ilość ofiar trudna do oszacowania, bo specjalizuje się w skrytobójstwie. W otwartej walce nieporównywalnie mniej groźna, ale od otwartej walki jest Wulf. Tyle wystarczy czy mam opowiedzieć też o pozostałych dwudziestu dziewięciu osobach, noszących obecnie srebrne pierścienie z kosiarzem?

– Widzę, że naprawdę znasz temat.

– Zdziwiłabyś się, ilu ludzi utrzymuje się z handlu podobnymi

informacjami. Straż świetnie strzeże swoich sekretów, ale rynek na nie jest dosyć spory i nie mówię tylko o płaszczobójcach i magach. Tak czy inaczej, wiem, co jest za tymi drzwiami, uciekałem przed tym od dziesięciu lat.

Clara przez chwilę mierzyła mężczyznę wzrokiem. Groźby ewidentnie prowadziły donikąd. Czas na zmianę taktyki.

– Luciusie, wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział jej towarzysz, dysząc mocno. Po jego czerwonej twarzy spływały wielkie krople potu.

– Nie martw się, jeszcze spotkasz Amelię.

– Oczywiście, ja... O Deusie, nawet o tym nie pomyślałem... Ja... Jeśli zginę, to już jej nie spotkam! Nigdy... I nie będziemy mieć dzieci... Nie myślałem o tym nawet, ale... O Deusie, ja chcę mieć z nią dzieci, założyć rodzinę, dom, wnuki... – Jego oddech stał się jeszcze bardziej urywany. – Duszę się, duszę się.

– Uspokój się, dzieciaku – Helier wstał i podszedł bliżej.

– Już... już mi lepiej... Ja ją kocham! O Deusie, ja ją kocham... Zaraz zwymiotuję...

– Podstawić ci miskę? – W głosie płaszczobójcy pojawiła się nutka troski. Clara pomyślała, że to działa nawet lepiej, niż sądziła.

– Nie trzeba, już mi lepiej. Po prostu... ten pokój nagle wydaje się strasznie ciasny. I nie mogę przestać myśleć o Amelii. I o tym, jak... Chwila, przecież to ty dałeś mi prezent, który wręczyłem jej na urodziny, tę bransoletkę. Za to, że leczyłem cię, jak zachorowałaś zimą. O Deusie, ja cię wyleczyłem. Pomogłem płaszczobójcy! I... i jadłeś przy naszym stole w komandorii. Pomagałeś nam.

– Uspokój się. Musiałem się trzymać blisko was. Jak w powiedzeniu: „przyjaciół blisko, wrogów bliżej”. To nic osobistego. Ostatecznie to nie ja was ścigam, tylko wy mnie. I uspokój się. Jeszcze zobaczysz Amelię.

– Chyba że nas zabijesz – wtrąciła Clara.

– Nie zabiję was... Chyba że nie będę miał wyboru – dodał po chwili. – Ale wątpię, by do tego doszło. Tam dowodzi Olaf, a mimo wszystkich swoich wad jest on dosyć rozsądny, zwłaszcza kiedy nie pije.

Helier wrócił na swoje miejsce w kącie.

– To musiało być ciężkie, udawać kogoś, kim nie jesteś – zagadnęła dziewczyna.

– Przyzwyczailem się.

– Nieprawda, do tego nie można się przyzwycząić.

– A co ty o tym wiesz?

Clara po raz kolejny zmierzyła Estiliusa wzrokiem. Kolejny etap wymagał zaufania z jego strony. Rozważała różne ckliwe historyjki, ale ostatecznie postanowiła, że tu będzie konieczna prawda. Cała prawda.

– Wiem o tym wszystko.

– Doprawdy, pani szlachetnie urodzona? Pewnie całe życie musiałaś udawać, że lubisz przepych i ładne ubrania.

– Nie. Lubię przepych i ładne ubrania. Ale nie jestem szlachetnie urodzona. Moja matka była służącą. Nikt nie wie, kim był mój ojciec. Może szlachcicem, a może stajennym. Z tego, co się orientuję, wybór potencjalnych podejrzanych jest dosyć duży.

– Gówno prawda. Bękarty służących nie są tak dobrze wykształcone, jak ty.

– Słyszałeś kiedyś o służącym-towarzyszu? Pewnie nie, to stary zwyczaj z Wolnych Miast. Dziś już tylko najstarsze rody go praktykują. Kiedy dziecko z takiego rodu jest jeszcze małe, ma cztery czy pięć lat, dobiera mu się małego służącego. Dzieciaka tej samej płci, o podobnych cechach fizycznych. Wychowują się razem, uczą tego samego, jedzą to samo, chodzą na te same przyjęcia. Służący-towarzysz to przyzwoitka, ochroniarz i najlepszy przyjaciel w jednym. I tym właśnie jestem, a raczej byłam. Cieniem dziewczyny, która nazywała się Muriel Denen. Według arystokratów bycie towarzyszem to wielki zaszczyt. Niektórzy z nas nawet trafili do legendy. Zwłaszcza ci, którzy oddali życie za swego pana lub zabili się, bo nie zdołali go ocalić. Tak, tych naprawdę się ceni. No i jest Irmin, który zasłynął tym, że popełnił samobójstwo, gdy jego sława jako wojownika zaczęła przyćmiewać sławę jego pana. Oto prawdziwy wzorzec do naśladowania, ma nawet pomnik na jednym z mniejszych placyków Wielkiego Portu.

– To jest twój powód do narzekań? Żyłas w luksusie mimo niskiego pochodzenia. Faktycznie straszne, rozumiem twój ból.

– Myślisz, że to łatwe? Być wiecznie osobą z zewnątrz? Życ pośród tych ludzi, ze świadomością, że wszyscy oni patrzą na ciebie z góry? Tolerują cię tylko z powodu jakiejś starej tradycji. Pomagać mojej najbliższej przyjaciółce w schadzках, mając świadomość, że jeśli nas przyłapią, jej karą będzie krzywe spojrzenie ojca, moją w najlepszym wypadku chłosta? Szybko musiałam się nauczyć, jak przetrwać wśród nich. Udawać to, co chcą widzieć. Brzmi znajomo?

– Próbujesz mnie wzruszyć, mała?

– Jedynie opowiadam swoją historię.

– Więc jak wylądowałaś tutaj?

– Muriel umarła. To nie było nic spektakularnego. Pewnego dnia po prostu poczuła się źle. Następnego czuła się gorzej, a trzeciego była martwa. To było dziwne uczucie, moja najbliższa przyjaciółka, niemal siostra, leżała tam nieżywa, a ja mogłam myśleć tylko o tym, że wreszcie jestem wolna. Jej rodzina już mnie nie potrzebowała, pozwolili mi zachować suknie, dali trochę grosza na drogę i wystawili za drzwi. Tak po prostu, jak niepotrzebny przedmiot. Muriel zawsze uwielbiała historie o Straży, marzyła o przygodach. Ja marzyłam o przystojnym, młodym szlachcicu, który nie traktowałby mnie jak łatwą do przelecenia dziewczynę, która wygląda niemal tak, jak dziewczyna, w której się zakochał. No cóż, jej marzenie wydawało się łatwiejsze do spełnienia.

– I doprowadziło do spełnienia się twojego. Niezły przypadek.

– Myślę, że los był mi coś winny. Poza tym moje się spełnia tylko tak długo, dopóki udaję, że jestem Muriel. Kiedy sprawa się wyda... No cóż, Eversonowie nie tolerują mezaliansów. Choć to chyba nieistotne, ostatecznie i tak nie wyjdziemy stąd żywi.

– Jesteś straszną pesymistką.

– Umrzesz tu. I to smutne, bo naprawdę lubiłam cię jako Heliera i nie sądzę, byś zasługiwał na ten los. Ale taka jest prawda i czas się z tym pogodzić. Wulf i Ria nie pozwolą ci wyjść stąd żywym, a gdybyś miał asa w rękawie, już byś go użył, zamiast słuchać mojej ckliwej historyjki. Więc zginiesz, a jak

mówiłeś, nie zamierzasz umierać samotnie. Więc to jest koniec. Dla nas wszystkich.

Lucius znów zaczął oddychać z trudem. Estilius nie odpowiedział, jedynie wpatrywał się w jakiś tylko sobie znany punkt na ścianie. Długie promienie słońca, wpadające przez szpary pomiędzy poduszkami, jasno wskazywały, że zbliżał się wieczór.

*

Nathaniel siedział na starym pniaku i wpatrywał się w chatę Heliera, co jakiś czas mimowolnie zerkając w kierunku słońca. Zbliżał się zachód. W powietrzu wyraźnie dało się czuć oczekiwanie, a przynajmniej takie wrażenie odnosił Książę.

– Słyszałem, że nakrzyczałeś na Duncana – stwierdził Edwin, podchodząc bliżej. – Mam wrażenie, że zawsze przegapiam najzabawniejsze sytuacje.

– Odejdź.

– Daj spokój, potrzebujesz z kimś pogadać. Takie siedzenie samemu jak człowiek się denerwuje jest niezdrowe.

– Idź sobie.

– Widziałeś kiedyś którąś z mitycznych sztuk z Wolnych Miast? – Bard całkowicie zignorował towarzysza i usiadł obok na pieńku. – To jedna z tych rzeczy, których najbardziej mi brakuje. Kobiety odgrywające pradawne heroiny zawsze mają na sobie najbardziej absurdalne kostiumy. Zbroje, które odsłaniają więcej, niż zakrywają i z całą pewnością nie ochronią nikogo przed ciosem. Zdecydowanie ograniczające ruchy, dziwacznie skonstruowane gorsety. Tego typu rzeczy. I do tego aktorki wciskające się w te wdzianka zawsze mają poważnych rozmiarów biusty. Naprawdę, płaska aktorka nigdy nie będzie mogła zagrać Mordony Smokobójczyni, Lamrii Wyzwolicielki, Xenati Walecznej czy nawet Olweny Miłosiernej. Może czasami Tegan Melodyjną lub Sarę Skrytą, ale...

– Odejdź. – Tym razem brzmiało to bardziej jak prośba.

– Chwila, opowiadam coś. Odwracam twoją uwagę od przyczyny zdenerwowania. Więc, na czym to stanąłem. Aha, w

każdym razie wszystkie te bohaterki żyły setki lat temu, większość jeszcze przed czasami Imperium. Na przykład Lamria Wyzwolicielka dowodziła w ostatnim powstaniu Wolnych Miast przeciw Imperatorowi jakieś trzysta lat przed Upadkiem. Ostatecznie została zdradzona przez własnych generałów, którzy woleli prehandlować wolność za częściową niezależność i dużo złota. W sumie komu ja to opowiadam, pewnie jakiś twój przodek był jednym z tych, którzy to złoto zapewnili?

– Konkretnie mówiąc, jeden z nich był pomysłodawcą całego układu.

– No właśnie. W każdym razie Lamria skończyła porąbana na kawałki na arenie, a dziś we wszystkich Wolnych Miastach stoją jej półnagie pomniki.

– Czy to była puenta?

– Nie. Daj mi chwilę. Nie można poganiać dobrej opowieści.

– Dobrej...

– W każdym razie kiedyś widziałem portrety Lamrii, wykonane jeszcze za jej życia. Na większości wygląda jak zwykła, skromna szlachcianka, ubrana zgodnie z ówczesną modą w suknię zakrywającą wszystko od szyi do kostek. Na jednym, jedynym portrecie przedstawiającą ją w rynsztunku bojowym nosi zwykłą zbroję, wzorowaną na legionowej, i hełm. Trudno w ogóle rozpoznać, że obraz przedstawia kobietę. Wynika to głównie z tego, że Lamria nie była wojowniczką. Była politykiem i organizatorem. Wynegocjowała sojusz pomiędzy Miastami, porywała ludzi swoimi mowami i organizowała zaplecze dla armii. Tylko dwa razy faktycznie dowodziła w boju i mimo zwycięstw ówcześni wojskowi uważali, że popełniała straszne błędy. A dziś pamiętamy ją jako potężną wojowniczkę, która wyrывała wrogom serca gołymi rękami i publicznie biegała w stroju mogącym wywołać rumieńce na twarzy doświadczonej prostytutki. Swoją drogą, z dobrych źródeł wiem, że niejedna prostytutka w Wolnych Miastach ma w szafie kostium wzorowany na tym, który Lamria ponoć nosiła jako niewolnica Imperatora. Wiesz, tym złotym...

– Ta historia tak naprawdę nie ma żadnej puenty, prawda?

– Oczywiście, że ma. Po prostu zmierzam do niej okrężną

drogą, trochę się gubiąc na własne życzenie. W każdym razie kobiety z Wolnych Miast potrafią o siebie zadbać. A ich siła nie wynika z tego, że potrafią wrywać serca gołymi rękoma, jak Matylda... Swoją drogą, Matylda byłaby świetna do roli Mordony Smokobójczynie...

– Edwin...

– Tak... Chcę tylko powiedzieć, że Clara sobie poradzi.

– I uznałeś, że nie możesz tego zrobić bez opowiedzenia całej tej historii?

– No cóż. Kiedy się denerwuję, to gadam. To taka reakcja na stres. Swoją drogą, jak już przy tym jesteśmy, czemu ty i Clara jeszcze się ze sobą nie przespaliście?

– Zaraz cię uderzę.

– To było trochę zbyt osobiste, prawda? Przepraszam. I rozumiem, że w zwykłych okolicznościach nie byłoby w tym nic dziwnego. Pewnie do dzisiaj nie mógłbyś się nawet zbliżyć do Clary bez obecności przyzwoitki. Ale wiesz, tu nie ma przyzwoitek. No, może poza Cass, ale nawet ona nie płacze się obok Clary przez cały czas.

– Czego dokładnie nie zrozumiałeś w stwierdzeniu, że cię uderzę?

– Co więcej – Edwin podniósł palec wskazujący do twarzy – jestem pewny, że w normalnych okolicznościach umiliłbyś sobie oczekiwanie, zabawiając się z jakąś służką lub kurtyzaną. I bądźmy szczerzy, w okolicy nie brakuje panien, które chętnie rozłożyłyby nogi przed prawdziwym księciem, nawet jeśli żadna z nich nie ma nawet pojęcia, gdzie leży Teryl. Więc fakt, że tak długo czekasz, prowadzi mnie do stwierdzenia, że Clara całkowicie owinęła sobie ciebie wokół palca. I, w rezultacie, że ją kochasz.

– Oczywiście, że ją kocham. Jeśli spodziewałeś się, że zaprzeczę i będziesz mógł drażnić temat, to obawiam się, że cię rozczaruję.

– No cóż, sądziłem, że będziesz zaprzeczał, ale nie to było moim celem. Być może tego nie wiesz, ale nie jesteś moim ulubionym towarzyszem. Nie powiem, że cię nie lubię, ale zdecydowanie spośród rekrutów lubię cię najmniej.

– O ile się orientuję, to dosyć powszechne odczucie w naszej komandorii.

– No właśnie. Mimo to jednak trochę cię lubię. I widzę, że się zmieniasz. To znaczy – normalnie rozmawiasz z Magnusem, nie dokuczasz Cass, tolerujesz tę rozmowę.

– Ledwo.

– Po prostu chciałem cię ostrzec.

– Przed?

– Przed Clarą. Ona jest... kłamcą. Jednym z najlepszych, jakich spotkałem. A znam się na nich. I co gorsza, jej też zależy na tobie. Myślę, że prędzej czy później to skłoni ją do szczerości. I... po prostu chciałem powiedzieć, że kiedy to się stanie... Nie skrzywdź jej.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiem. Mimo to czułem, że muszę to powiedzieć...

– Ruszył. – Nathaniel zerwał się na nogi i z trudem powstrzymał od pobiegnięcia przed siebie. Zamiast tego w ciszy przyglądał się, jak Olaf wolnym krokiem podchodzi do chaty.

*

Clara i Lucius słuchali w ciszy. Helier, oparty o drzwi, rozmawiał z głosem dobiegającym z drugiej strony.

– Mogę zająć ich miejsce – zaproponował Olaf.

– Nie, dziękuję. Mam przecucie, że tylko ty powstrzymujesz Wulfa przed spaleniem tego domu.

– Być może, ale nie zdołam powstrzymać go na zawsze.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Niestety.

– No cóż, więc to chyba odpowiedni moment, by spytać, czy masz jakiś plan, czy po prostu będziesz tam siedział zamknięty z moimi ludźmi?

– Oczywiście, że mam plan, staruszku.

– Taki, który nie zawiera dużej ilości trupów?

Estilius nie odpowiedział.

– Tak myślałem. Dam ci jeszcze chwilę, Helier, bo byłeś dobrym kompanem od kielicha. Ale nie przeżyjesz tej nocy. Ja to wiem i ty to wiesz. Pomódl się do Deusa, pożegnaj ze światem i

wyjdź. Wtedy mogę ci zapewnić szybką śmierć. Jeśli Wulf i jego szczeniara będą zmuszeni po ciebie przyjść... wtedy nie będzie szybko. Rozumiesz to?

– Tak.

– Teraz wróć do nich. Masz czas do namysłu, ale niewiele.

Z zewnątrz dobiegł odgłos oddalających się kroków.

– To najlepsza oferta, jaką dostaniesz – powiedziała cicho Clara.

– Wiem – odparł mężczyzna, nie ruszając się. – Nie chciałem go zabijać. Tego pierwszego. W sumie żadnego z nich. To był wypadek, zwykła burda w karczmie. Następnego dnia nawet nie pamiętałem, że to zrobiłem. Obudziłem się na przepustce ze straszliwym kacem i cały we krwi. Sądziłem, że pewnie wdałem się w jakąś ostrą bójkę. Dopiero po południu dowiedziałem się, że jestem ścigany. Szarak, który po mnie przyjechał, myślał, że jestem płotką. Nawet nie wyjął miecza, kiedy mówił mi, że ma zamiar mnie zabić. Później już nie miał okazji, wbiłem mu nóż w oko, zabrałem konia i zacząłem uciekać. Po prostu nie chciałem umierać. Nie tak, nie za coś, czego nawet nie pamiętałem. Potem było jeszcze trzech, nie, czterech. Wliczając tego rekruta. Głupi smarkacz chyba pomyślał, że będzie bohaterem, wbiegł mi prosto na miecz. Jeszcze przy tym krzyczał, chyba by dodać sobie odwagi.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Zareagowałem odruchowo, szczeniak był martwy, zanim zorientowałem się, z kim walczę. A reszta... Wulf myśli, że jestem jakimś cholernym geniuszem, prawda? Inaczej by go tu nie było. A to wszystko był głupi fart – uśmiechnął się smutno. – Raz miałem akurat pod ręką kilku najemników, oni zranili Żniwiarza, a ja go dobiłem. Inny z tych, co mnie tropili, wszedł w głupią pułapkę. Zapadnia w podłodze, jak w jakiejś wiejskiej balladzie. W tamtym czasie miałem obsesję na punkcie pułapek. Zaprojektowałem i zbudowałem ich dziesiątki, a on wszedł w tę najbardziej banalną i skrzył sobie kark, spadając jedno piętro w dół. I był jeszcze ten ostatni. Dopadł mnie, kiedy miałem ściągnięte spodnie, dosłownie. W jakimś małym burdeliku. Próbowałem wyskoczyć przez okno, ale złapał mnie za nogę i

zaczął wciągać do środka. I wtedy prostytutka, z którą byłem, sądząc, że to jakiś bandyta, zaszła go od tyłu i dźgnęła nożem. W sumie to nie ja go zabiłem, ale skoro już i tak mnie ścigaliście, kazałem biedaczce opowiadać, że to też moja sprawka. I oto proszę, Estilius Płaszczobójca, zagrożenie godne samego Jednookiego Wulfa. Prawdziwe życie jest żałosne, nie sądzicie?

– Nie chcę umierać – odpowiedziała Clara.

– Problem w tym, że ja też nie.

– Ile jeszcze osób zginie z tego powodu?

– Nikt, jeśli dacie mi spokój. To wszystko, czego chcę. Spokoju. Jestem tym już zmęczony.

– Możesz mieć spokój. To proste. Musisz tylko nas uwolnić i wyjść. I tyle, to będzie koniec, spokój. Żadnych więcej trupów, żadnych ucieczek.

– Mieszasz mi w głowie – zauważył.

– Próbuję przeżyć. Sam zrobiłbyś to samo. Jedyna różnica jest taka, że ja nikogo nie zabiłam.

– Chcesz zabić mnie.

– Ty już nie żyjesz. Musisz tylko puścić i mnie rozwiązać. I tyle, nikt więcej nie zginie. To będzie koniec. Lucius wróci do Amelii i będą mieli dzieci. Może nazwą jedno po tobie. Przecież nie chcesz ich rozdzielać. Tak jak nie chciałeś zabić żadnego z tych Zakonników. Walczyłeś, uciekałeś, próbowałeś przeżyć i to było dobre. To było właściwe. Ale to koniec. Nie wyjdiesz stąd żywy. Teraz jedyne, co możesz zrobić, to zdecydować, ile osób umrze z tobą.

Wstał ociężale. Odłożył kuszę i podszedł do niej.

– Oni będą mnie zabijać powoli. Boleśnie. Nieważne, co powiedział Olaf. Muszą najpierw wydobyć ze mnie wszystkie informacje. Kaza mi cierpieć.

– Mogę to zrobić szybko – powiedziała Clara smutnym głosem.

– Bezboleśnie. Musisz mnie tylko rozwiązać. Będę przy tobie do końca. To lepsza śmierć niż to, co czeka za drzwiami.

– To chyba najlepsza oferta, jaką dziś dostałem

– stwierdził z czymś na kształt uśmiechu. Podszedł i rozwiązał jej rękę. Później podał jej nóż.

Clara rozmasowała dłonie. Rozciąła więzy Luciusa, a później

powoli podeszła do płaszczobójcy. Delikatnie pocałowała go w czoło, a później uderzyła rękojeścią noża w kark. Kiedy mężczyzna padł na ziemię, poprawiła jeszcze kilkoma kopniakami w brzuch i głowę.

– Zwiąż go – nakazała twardo. – Szybko, zanim odzyska przytomność.

Mnich ostrożnie podszedł do mężczyzny i wykonał nakaz.

– Obiecałaś, że go zabijesz.

– Skłamałam.

– Ale...

– Sam słyszałeś, Żniwiarze chcą go przesłuchać. To znaczy, że dostarczenie go żywego zapewni nam lepszą rekomendację od nich. Poza tym ten skurwieli nas uwięził. Użył nas do swoich celów. Nie ma powodu, byśmy nie zrobili tego samego. To on wziął nas na zakładników, zabiłby bez wahania, gdyby było mu to na rękę. Tak jak zabił tych wszystkich przed nami. To zły człowiek i my właśnie go złapaliśmy.

– Tak... chyba.

– W takim razie jeszcze jedna sprawa. To, co mówiłam, o mojej przeszłości. Jeśli komuś to powtórzysz, zamienię twoje życie w piekło. Zrozumiałeś?

– Tak, ale...

– Świetnie. – Clara poprawiła na sobie ubranie i przeczesła włosy. Przywołała na twarz najbardziej uroczy uśmiech i ruszyła do drzwi.

– Już po wszystkim! – krzyknęła. – Wybaczcie, że tyle to zajęło, ale Estilius już czeka, związany, gotowy do przesłuchania.

– Sama go pokonałaś? – spytał Wulf, podchodząc bliżej, podczas gdy Ria popędziła do środka, by sprawdzić sytuację.

– Lucius pomógł.

– Najbardziej poszukiwany płaszczobójca dekady i złapała go dwójka dzieciaków. Ciekawi mnie, jak tego dokonaliście.

– Starą, sprawdzoną metodą. Powiedziałam mu to, co chciał usłyszeć. Liczę, że wspomnisz o naszym sukcesie w swoim raporcie dla Rady. A teraz wybaczcie, ale od śniadania nie miałam nic w ustach. Nathanielu, będziesz mi towarzyszył w

drodze do komandorii.

– Oczywiście, pani – odpowiedział spokojnie Księżę, choć dało się dostrzec, że z trudem powstrzymuje się przed wzięciem jej w ramiona.

– To przesłuchanie – spytała jeszcze, odchodząc. – Czy będzie bolesne?

– Zwykle jest – stwierdził Wulf.

– To dobrze – odpowiedziała i ruszyła w swoją stronę. Usłyszała za sobą głos Duncana:

– Kiedy z nim skończycie, jest jeszcze pewien sposób, w jaki może się nam przysłużyć. Coś, do czego będzie się musiał przyznać w czasie przesłuchania. Dla dobra Straży.

*

Lucius z zaciekawieniem patrzył, jak kukły reprezentujące stary rok po kolei lądowały na wielkim stosie. Płomienie wesoło wybijały w górę za każdym razem, kiedy kolejny drewniany staruszek kończył w nich swój żywot. Pomysł obchodzenia Nowego Roku w marcu początkowo wydawał mu się dziwaczny, ale później dostrzegł jego zalety. Mieszkańcy Rubieży, zamiast w środku mrocznej zimy, witali nowy początek wraz z nadejściem wiosny. Kiedy świat budził się do życia i naprawdę można było odnieść wrażenie, że zaczyna się coś nowego. Narodziny.

Wszyscy mieszkańcy okolicy zebrali się z tej okazji pośród ruin otaczających Nową Srebrnicę. Byli tu nawet ludzie z Głębinówki i Rubieżnicy, którzy zwykle zachowywali dystans wobec innych osad. Oczywiście brakowało tych z Dalekiej Osady, lecz oni nigdy nie schodzili ze wzgórz. Kobiety tańczyły radośnie wokół ognisk, podczas gdy ich mężowie i ojcowie nieufnie spoglądali na kręcących się dookoła legionistów. Edwin i Welin wygrywali wesołe melodie, śpiewając pieśni z odległych krain. Matylda, Cass i Magnus płasali z werwą pośród innych tańczących. Cały strach i zdenerwowanie z poprzedniego dnia gdzieś zniknęło. Choć nie dla wszystkich.

Lucius powoli podszedł do siedzącej na uboczu Clary. Nie za bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę, więc przez chwilę po

prostu stał obok niej. Później przestraszył się, że wygląda idiotycznie, więc powiedział pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy:

– Wczoraj byłaś bardzo odważna.

– Nieprawda – odpowiedziała uprzejmie, nie patrząc na niego.

– Naprawdę. Ja całkowicie spanikowałem, myślałem tylko o tym, żeby opanować pęcherz, żeby zachować choć trochę godności. Ale ty cały czas miałaś sytuację pod kontrolą. To było...

– Pamiętasz naszą umowę? Nikomu ani słowa – powiedziała ostro, po raz pierwszy na niego spoglądając.

– Spokojnie. Nie powiem nikomu. Chciałem tylko... Gdybyś chciała z kimś o tym porozmawiać. Czy...

– Nie ma potrzeby – przerwała mu. Po chwili jednak dodała łagodniejszym tonem: – Byłeś tam.

– Co?

– Dlatego się nie bałam. Bo nie byłam sama. Ty siedziałeś obok. I wiedziałam, że za ścianą są wszyscy inni.

– No cóż... Mimo to byłem przerażony.

– Poza tym on nie był mordercą. Gdyby uznał, że nie ma innego wyboru, zabiłby nas, ale zrobiłby to szybko, zadając nam jak najmniej cierpienia. Nie taka śmierć mnie czeka – stwierdziła wyjątkowo smutno. – Twoja ukochana tu jest – dodała.

Powiedziała to szybko, zanim zdążył cokolwiek zrobić.

Lucius odwrócił się i zobaczył podbiegającą do niego Amelię. Chciał mimo wszystko kontynuować rozmowę, ale Clara wstała i odeszła szybkim krokiem. Zanim zdążył za nią podążyć, znalazł się w ramionach ukochanej.

– Właśnie o wszystkim usłyszałam. Nic ci nie jest? – Troska w jej głosie napełniła go dziwną radością.

– Nie. Nie było tak źle.

– Byłeś trzymany jako zakładnik przez płaszczobójcę.

– No cóż, być może nie wyglądało to najlepiej, ale... – Zastanowił się, co w tej sytuacji powiedziałby Edwin. – Wiesz, prowadzę niebezpieczne życie. Będziesz musiała się z tym pogodzić, jeśli...

– Jeśli?

– Amelio, przez cały ten czas, kiedy byłem tam związany, jedyne, o czym mogłem myśleć... – zawahał się, przypominając sobie, o czym myślał wtedy naprawdę. – Myślałem o tym, że już nigdy cię nie zobaczę. I ja nie chcę już nigdy więcej cię nie zobaczyć. To znaczy ja chcę już zawsze cię widzieć... To nie wyszło dobrze.

– Więc to ty jesteś tym inteligentnym w komandorii. – Uśmiechnęła się, a później go pocałowała i był to najwspanialszy moment w dotychczasowym, szesnastoletnim życiu Luciusa. – Ja też nie chcę już nigdy więcej cię nie zobaczyć. Więc chyba będziemy musieli coś z tym zrobić. Jak na przykład... już zawsze się widzieć.

Stali tak przez chwilę, a później Lucius zdobył się na odwagę i pocałował ją. Świat był piękny tej nocy. Zaczynało się coś nowego.

– Ludzie, ludzie! – Dobiegł ich głos Duncana. – Zgromadźcie się!

Tłum powoli ruszył w kierunku największego ogniska. Lucius i Amelia podążyli za nim, wtuleni w siebie.

– Zebraliśmy się tutaj – zaczął dowódca rekrutów – by zgodnie z tradycją Rubieży pożegnać poprzedni rok i rozpocząć nowy, sto trzeci od zakończenia Plagi.

Noc eksplodowała oklaskami i radosnymi krzykami. Duncan odczekał, aż znów zapanuje cisza.

– Był to ciężki rok dla nas wszystkich. Wiele się wydarzyło, wiele złego. Ale przetrwaliśmy to. Razem. A teraz nasze wysiłki przynoszą efekty. W ostatnich tygodniach pan Bolit przybył tu, by wznowić wydobywanie w tutejszych kopalniach. Jest też z nami oddział Legionu Imperialnego, by wspomóc ochronę tych terenów. Cywilizacja wraca na Rubieże i wierzę, że za rok o tej porze będziemy świętować jeszcze większe sukcesy. Niestety, są też mniej przyjemne rzeczy. Część z was już wie, że w ciągu ostatnich dni Szara Straż poszukiwała w okolicy pewnego zbrodniarza. Człowieka odpowiedzialnego za śmierć kilku Zakonników i pomaganie czarnoksiężnikom. Człowieka, który podstępnie ukrywał się pośród was. Niemniej, nikt nie uniknie sprawiedliwości Straży. Dwoje członków Bractwa Egzekutorów

przybyło tu, wytropiło go i pochwyciło. Człowiekiem tym okazał się znany wam łowca Helier. Ale to nie wszystko. Podczas przesłuchania Estilius, bo tak brzmiało jego prawdziwe imię, przyznał się do jeszcze jednej zbrodni. To on zamordował Jokundę i jej dzieci, sprowadzając na nas straszliwą klątwę, która kosztowała życie tak wielu. Zbrodnie tego człowieka dotknęły zarówno Straż, jak i was, miejscowych. Niemniej, możemy już odetchnąć i zacząć ten rok ze świadomością, że zapłacił on za swe czyny i wszyscy jesteśmy już bezpieczni. To wszystko, co miałem wam do powiedzenia dzisiaj. Szczęśliwego Nowego Roku!

– Szczęśliwego Nowego Roku! – odpowiedział tłum.

Lucius złapał się na tym, że naprawdę wierzy tym życzeniom. Bo czemu nie. Rozejrzał się dookoła. Edwin i Welin zaczęli kolejną piosenkę. Matylda zniknęła gdzieś z Manfreyem. Magnus opowiadał jakąś historię, jak zawsze otoczony wianuszkami kobiet. Nathaniel i Clara stali nieopodal, trzymając się za ręce i szepcząc coś do siebie. Ria, oparta o jedną ze zrujnowanych ścian, patrzyła na tłum niby beznamiętnie, a jednak z grymasem do złudzenia przypominającym uśmiech. Cass okupowała miejsce dogodne do wpatrywania się w tłum z góry. Nawet Olaf i Wulf wydawali się weseli, wznosząc kolejne toasty przy stoliku starszyny. Po raz pierwszy od przybycia tutaj Lucius czuł, że to wszystko naprawdę może się dobrze skończyć.

*

Jaromir zobaczył już wszystko, co chciał zobaczyć. Mimo to został na swoim miejscu chwilę dłużej, przyglądając się bogato ubranej brunetce, szepczącej z jakimś wojem. Dziewczyna mu się spodobała. Będzie musiał o niej pamiętać, kiedy wróci tu, prowadząc pozostałych łupieżców. Oczywiście obecność legionu trochę komplikowała sprawę, ale ich plemię od dawna oczekiwało na godnego przeciwnika. Sklavianin ostrożnie wycofał się do lasu, uważając szczególnie na jakąś dziewczkę, stojącą na jednym ze zrujnowanych murów. Kiedy był już

bezpieczny pośród drzew, wstał i ruszył w kierunku obozu. Wódz Lutoszał będzie zadowolony z wieści. Pięć bogatych osad, jakaś setka legionistów i garstka szaraków. Jaromir jeszcze nigdy nie walczył z szarakami, ale słyszał o nich wiele. Głównie idiotyczne mity. Nieważne, nie zdołają przeciwstawić się Synom Węża. Jeszcze tylko kilka tygodni i, dzięki łasce Peruna, to miejsce stanie w płomieniach.

Rozdział VI

- M**atylda z dezaprobatą przyjrzała się sukience leżącej na łóżku.
- Nie – stwierdziła kategorycznie.
 - Tylko na tę jedną noc – zapewniła Clara. – Uszyłam ją specjalnie dla ciebie. Będzie pasować jak ulał.
 - Nie – powtórzyła Matylda. – Nie założę tego.
 - To bardzo ładna sukienka – powiedziała Cass, przysłuchując się rozmowie ze swojego łóżka.
 - Nie mówię, że nie jest ładna. Te rękawy są trochę dziwne, choć kolor mi się podoba.
 - Pasuje do twoich niebieskich oczu – zapewniła Dama. – Uwierz mi, Manfrey będzie zachwycony.
 - A co jemu do tego?
 - Myślę, że ucieszyłby się, gdybyś raz na jakiś czas, na przykład raz do roku, w najkrótszą noc, najważniejsze święto w tej okolicy, ubrała się bardziej... kobieco.
 - Pomyślałby kto... A może to, że z nim sypiam, wystarczająco go cieszy?
 - W związku czasami trzeba iść na kompromis...
 - Kto mówi o związku?
 - Och, daj spokój, Matyldo! Chyba dla wszystkich jest oczywiste, że już dawno zaczęliście spędzać więcej czasu w ubraniach niż bez. To o czymś świadczy.
 - Jesteśmy przyjaciółmi.
 - Aha. – Ton Clary jednoznacznie wskazywał na dogłębną wątpliwość.
 - Poza tym nawet gdybyśmy byli czymś innym, czym nie jesteśmy, to nadal nie byłby powód, by zakładać tę sukienkę.
 - Całkowicie nie rozumiem twojego oporu przed ubraniem się w coś ładnego i wygodnego.
 - Po prostu nie lubię sukienek. Trudno w nich walczyć czy biegać po lesie, nie pasują zbyt do zbroi i w ogóle są bezużyteczne na polu walki.
 - Na szczęście nie idziemy na pole walki. Idziemy świętować przesilenie letnie, czy jak tam nazywają tę noc w tej okolicy. Nie

będzie tam walki, za to będzie twój ukochany, nie zaprzeczaj mi, i jestem pewna, że nie obrazi się, jeśli zrobisz dla niego coś tak miłego jak to, by pozwolić mu być choć przez chwilę mężczyzną w tym związku. Nieważne, ile razy będziesz zaprzeczać, nikogo nie oszukasz. Zależy ci na Manfreyu. A kiedy nam na kimś zależy, idziemy na kompromisy. Poza tym mężczyźni są bardzo wrażliwi w tej kwestii, musisz uważać na ich ego.

– Co to jest ego?

– Ich... pewność siebie, wiara we własną męskość. I uwierz mi, ego Manfrey'a raczej nie jest w najlepszym stanie po całym roku z tobą. Ten jeden raz możesz pozwolić mu być mężczyzną.

– No dobra... – Matylda wreszcie uległa. – Ale nie będę wzdychać i śmiać się z nieśmiesznych żartów i robić tych innych rzeczy, które ty robisz przy Nathanielu.

– Nie każę ci. Po prostu załóż wygodną sukienkę... A potem zrobimy coś z tymi włosami... I może odrobinę makijażu.

– Hej!

– Daj spokój, to tylko jedna noc. Jedyna taka noc w roku.

*

Jaromir powoli obgryzał udo kurczaka, ciesząc się ciepłem ogniska. Zauważył, że wielu z jego towarzyszy nie tknęło nawet jedzenia.

Młokosy – pomyślał. Pierwszy raz idą do boju i mają pełne gacie ze strachu. Więcej dla nas.

– Dziś Palinocka – stwierdził Miłowit, przysiadając się. – Chciałoby się poświętować. Potańczyć, pośpiewać. Może jakąś dziewczkę pochędożyć.

– Kto powiedział, że się nie uda? – spytał Jaromir i obydwaj się roześmiali.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Będą dziś świętować, pić, to najlepsza pora. Obserwowałem tę okolicę przez długi czas. Wiem, co robię. Kiedy Lutoszał przybędzie tu z resztą Synów Węża, przywitamy ich z łupami.

Sklavianin rozejrzał się po obozie. Jego ludzie byli nieliczni i w większości zieloni jak wiosenna trawa, ale tej nocy to się nie

liczyło. Uderzą z zaskoczenia na pijanych i odurzonych zabawą chłopów. Niezbyt chwalebna walka, ale zwycięstwo to zwycięstwo, a on już od dawna szukał okazji, by udowodnić swoją wartość.

Nie byli tak dobrze uzbrojeni jak ludzie z zachodu. Skórzane zbroje nie równały się z żelaznymi kolczugami. Trzydziestka wojowników podniosła się, biorąc łuki, miecze i siekiery. Sam Jaromir miał drewnianą tarczę i zdobyczny hełm legionisty. Zmówił modlitwę do Peruna i Welesa, trzymając ręce na medalionie, który dostał od żercy po złożeniu ofiary za udaną wyprawę. W swoich modłach nie zapomniał też o duchach zwierząt, a szczególnie o wężu, który opiekował się ich plemieniem.

– Ruszamy – rozkazał wreszcie. – Chwała i łupy czekają. A jeśli traficie na ładną, bogato ubraną czarnulkę, to pamiętajcie, że ja biorę ją pierwszy.

*

Cassandra nie lubiła ruin otaczających Nową Srebrnicę. Na co dzień były zbyt smutne, pogrążone w rozpacz za tym, co odeszło. Władały tu wiatr i duchy, czasami tylko zagłuszane przez dźwięki dochodzące z pobliskiej osady. Niemniej było w roku kilka takich nocy, kiedy to się zmieniał. Kiedy w ruiny wkraczało życie, muzyka i wino. Szczęśliwi ludzie tańczyli wokół ognisk, a duchy tańczyły z ich cieniami, rzucanymi na otaczające wszystko szkielety domów. Mimo to, nawet pędząc w radosnym korowodzie z ludźmi i potępionymi duszami, Cass nie była w stanie zapomnieć o koszmarach czających się tej nocy tuż za granicą światła. Tak, szczególnie tej nocy, kiedy zasłona oddzielająca światy stawała się nieprzyjemnie cienka. Kruki wydawały się większe, koty bardziej pobudzone, duchy niemal przybierały materialną formę, a potępińcze wrzaski ze starej kamiennej studni na środku komandorii docierały aż do okolicznych wiosek. Ale to wszystko było nieistotne, nie teraz, nie tutaj. Nie, kiedy Cass miała tak blisko swoich obrońców i przyjaciół.

– Hej, mała – powiedział ktoś i złapał jej dłoń. Wybiło ją to z rytmu i pozbawiło równowagi, jednak zanim upadła, mężczyzna złapał ją i przyciągnął do siebie. Pachniał winem i potem. Zanim Cassandra zdążyła zareagować, na miejscu była już Matylda.

– Łapy przy sobie! – wrzasnęła i odepchnęła natręta. Chyba jednego z legionistów.

– Spokojnie, kobieto...

– Mam ci nos rozkwasić? Bo zaraz ci go rozkwaszę.

– Spokojnie! Co za ludzie... – Mężczyzna odwrócił się i odszedł.

– Nic ci nie jest?

– Nie. – Cass wpatrywała się we własną dłoń. Nadal czuła na niej jego dotyk. Szorstki, wilgotny, nieprzyjemny. Od kiedy pamiętała, jakikolwiek dotyk wywoływał u niej przerażenie. Niemniej... – Wszystko w porządku. Dziękuję.

Widząc, jak Manfrey podnosi się z ziemi, dodała:

– Oderwałam cię od tańca.

– Chyba stracił równowagę, jak go puściłam. Przeżyje.

– Wylądowałem prosto na tej kości – stwierdził mężczyzna, trzymając się za tyłek. – Mogłaś przynajmniej ostrzec.

– Przepraszam. Dziwnie się czuję w tej sukni, to coś cały czas mi ściska brzuch, rękaw jest zdecydowanie za długi i jeszcze te bufy na ramionach...

– Ale wyglądasz pięknie – przerwał jej Manfrey. – Tak, że ledwo cię poznałem... To znaczy normalnie też świetnie wyglądasz i to jak... Wszystkie chłopcy w okolicy mi zazdroszczą, żeś mnie wybrała. Bo drugiej takiej jak ty to nie ma.

– Nie podoba mi się, dokąd to zmierza.

– Ba ja żem pomyślał, że... – Mężczyzna wziął głęboki oddech i opadł na jedno kolano. – Wyjdź za mnie!

– Wiedziałam, że ta suknia to zły pomysł. Wstawaj, no już. Oświadczyn mu się zachciało. Co myślisz, że ci będę gotować i dzieciaki rodzić? Chodź lepiej, znajdziemy jakieś ustronne miejsce i...

– Nie powiedziałaś „nie” – wtrąciła Cass.

– Faktycznie, nie powiedziałaś!

– „Tak” też nie powiedziałam.

– To znaczy, że...?

Matylda przez chwilę wodziła wzrokiem po niebie.

– Może – zdecydowała wreszcie. – Nie wiem, zastanowię się... I co się tak szczerzycie obydwójce, głuptasy. Chodź, Manfrey, znajdziemy lepsze zastosowanie dla tego twojego jęzora.

Po chwili odeszli w ciemność, znikając pomiędzy ruinami. Cassandra odprowadziła ich wzrokiem, po czym ruszyła przed siebie, w środek weselącego się tłumu. Dostrzegła Luciusa i Amelię, siedzących na uboczu, z dala od muzyków.

– I wtedy cesarz Albus VIII wypowiedział im wojnę – opowiadał Mnich.

– Albus VII – poprawiła go dziewczyna.

– Albus VIII.

– Nie, to było w tej książce, którą mi pożyczyłeś. Albus VII zwany Łowczym.

– Albus VIII zwany Łowczym, pamiętam to wyraźnie...

– Jestem tego całkowicie pewna, a to znaczy, że ty się mylisz. Albusa VIII zwano Rozpustnym.

– Nie, to był... Było całkiem sporo imperatorów z takim przydomkiem...

– Mam rację. Wiesz, że mam rację. Przyznaj to.

– Kocham cię. Wspominałem już o tym?

– Tak łatwo się nie wywiniesz. Przyznaj, że mam rację.

– Nie mogę. Bycie tym, który ma rację w kwestii podobnych rzeczy to trochę moja rola w komandorii. Jeśli mi ją zabierzesz, to nie jestem pewny, co mi zostanie.

– No cóż, według mnie masz też całkiem niezły tyłeczek – uśmiechnęła się Amelia i pocałowała go.

Cass ruszyła dalej, trzymając się za ramię, którego dotknął tamten człowiek. Gdzieś w oddali zauważyła Nathaniela oraz Clarę, odchodzących w ciemność. Podeszła do podniszczonego, marmurowego podwyższenia, na którym ustawili się grajkowie. Edwin i Welin wiedli prym, wygrywając coraz to nowe melodie, reszta muzyków nadażała jedynie dzięki próbom, które przeprowadzali przez ostatnie dwa tygodnie. W powietrzu rozbrzmiewały pieśni pisane z myślą o tym święcie, pochodzące z każdego zakątka Imperium. Opowiadające o miłości, ogniu i schronieniu przed ciemnością. O smutku i radości, stracie lub

zysku. O duchach lub ludziach, życiu i śmierci. Wszystkie zlewały się ze sobą w tę jedną noc. Ludzie przeskakiwali nad ogniskami, a wielkie stosy jaśniały jeszcze wyraźniej, ujawniając kolejne pary znikające pomiędzy ruinami. Kiedy tu jechali, Olaf zażartował, że sporo dzieci urodzi się za dziewięć miesięcy, krótko przed nadejściem kolejnej wiosny, kolejnego roku tu na Rubieży.

Magnus oderwał się od tańca z jedną z wnuczek Nolana i podszedł do Cass.

– Mogę prosić do tańca? – spytał, kłaniając się szarmancko.

Cass uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Ja nie...

Magnus chwycił za długie rękawy jej zielonej sukni.

– Wreszcie rozgryzłem, do czego one służą. – Uśmiechnął się szelmowsko i pociągnął ją do siebie.

Cassandra nigdy wcześniej nie tańczyła z mężczyzną. Właściwie to nigdy nie tańczyła z nikim oprócz duchów. Pozwoliła, by on prowadził, sama dając się porwać muzyce, zgubić w rytmie, odpłynąć.

– Dziękuję – stwierdziła po kilku kolejnych pieśniach, widząc jak jej partner z trudem łapie oddech.

– Do usług. Tylko chwilę odpocznę i możemy to powtórzyć.

– Nie trzeba, Nolanówny już i tak próbują zabić mnie wzrokiem. Poza tym nie wiem, czy te rękawy wytrzymają kolejny raz. Niemniej dziękuję, miło było... poczuć się normalnie.

– Jesteś normalna – zapewnił Magnus. – Tylko w trochę nienormalny sposób.

Cass uśmiechnęła się i pozwoliła Wielkoludowi wrócić do zniecierpliwionych niewiast. Sama ruszyła dalej. Mimowolnie znów położyła dłoń na ramieniu. Jej myśli błądziły gdzieś daleko. Na skraju światła zauważyła Duncana. Stał tam samotnie, wpatrując się w mrok.

– Przegapiasz święto – zagadnęła.

– Już dosyć świętowałem – odpowiedział, wyrwany z zamyślenia. – Ale widziałem, że ty załapałaś się na harce.

– Owszem – uśmiechnęła się, wskazując na długi rękaw. – Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

- Taniec?
 - Taniec, ludzie... rodzina. Nigdy wcześniej nie czułam się jak część rodziny. A teraz mam wrażenie, jakbym miała dwie starsze siostry i pięciu starszych braci.
 - To w dalszym ciągu bardzo dziwaczna rodzina.
 - Ale przynajmniej jestem bezpieczna.
 - Pomijając to, że regularnie ryzykujemy życiem, walcząc z demonami, czarownikami i mordercami.
 - To robiłam od zawsze – uśmiechnęła się. – Widzę, że nastrój święta ci się nie udziela.
 - Wszyscy się odprężyli – stwierdził dowódca rekrutów. – Jakby najgorsze było już za nami. To sprawia, że czuję się nieswojo. Jakby miało się stać coś złego. Może po prostu jestem przewrażliwiony. Całe życie uczono mnie czujności i...
 - Chyba zasłużyliśmy, by na jeden wieczór opuścić gardę.
 - Tak. – Duncan zwrócił głowę w kierunku mroku.
 - Tam nic nie ma – zapewniła Cass.
 - Jest. Gdzieś tam jest Olbrzym i jego słudzy. W tym miesiącu widziano go już cztery razy. Krąży dookoła i obserwuje nas, przygotowuje się, a my nadal nie wiemy, czym on jest.
 - Dziś się nie dowiemy. Ale myślę, że te rękawy wytrzymają jeszcze jeden taniec – zaproponowała.
- Duncan początkowo się zawahał, ale wreszcie uległ. Ruszyli z powrotem w kierunku światła i muzyki. I wtedy to nadeszło. Cassandra nagle poczuła, że się dusi. Jej ręce zaczęły drżeć, zrobiło jej się zimno. Chciała uciekać, jak najdalej, jak najszybciej, z dala od tego uczucia. Nie mogła, zamiast tego zwróciła się na wschód i wbiła oczy w ciemność.
- Zaczęło się – szepnęła, a później horyzont zapłonął.

*

Nathaniel Everson, książę Terylu, był ukontentowany. Leżał na kocu w środku zrujnowanego domu i przez dziurę w dachu spoglądał na pełne gwiazd niebo. W miastach nieboskłon nigdy nie wydawał się równie jasny i pełen cudów.

- Jestem szczęśliwy – stwierdził.

– Mam nadzieję – odpowiedziała Clara, opierając brodę na jego klatce piersiowej. – Trochę się nagimnastykowałam.

– Tak. Jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś wyginał ciało pod takimi kątami. Nie jestem pewny, czy istoty ludzkie powinny być do tego zdolne.

– Jestem giętka i to tylko jedna z moich zalet.

– Jesteś również inteligentna, olśniewająco piękna...

– Mów dalej.

– I... nie sądziłem, że ktoś może mnie uczynić tak szczęśliwym.

– Zamilkł na chwilę, wpatrując w jej oczy. – Że ktoś kiedykolwiek... A już z pewnością nie tutaj. Sądziłem, że będę musiał przecierpieć na tym pustkowiu, do czasu, aż zdobęde płaszcz i będę mógł wrócić do życia. A później pojawiłaś się ty i... chyba nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak w tym momencie.

– Nawet kilka minut temu? – spytała zalotnie.

– No, może kilka minut temu... Kocham cię.

– Wiem – uśmiechnęła się. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co potrafię zrobić.

Nathaniel spojrzał na gwiazdy.

– Wiesz, może mam kiepską pamięć, ale wydaje mi się, że z naszej dwójki jestem jedyną osobą, która to mówi.

– Mówi co?

– Kocham cię.

– Wiem. Chciałam, żebyś to powtórzył.

– Zdaję sobie z tego sprawę i nadal czekam na odpowiedź, która nie jest potwierdzeniem, że mnie rozumiesz.

Clara wstała z koca i zaczęła się ubierać.

– Nie takiej reakcji się spodziewałem.

– Wiem, przepraszam. Po prostu muszę ci coś powiedzieć i... czuję, że powinnam być ubrana, mówiąc to.

– Czemu?

– Nie wiem, chyba mogę wytrzymać bycie nagą tylko na jeden sposób.

– To nie ma sensu.

– Wiem.

Clara wciągnęła przez głowę suknię. Nathaniel, nie wiedząc, co

ze sobą zrobić, sam też zaczął zakładać ubrania. Dopiero kiedy wszystkie wróciły na swoje miejsce, kobieta znów spojrzała mu w oczy.

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz – powiedziała powoli.

– Słucham?

– Nie jestem szlachcianką. Jestem służącą-towarzyszką.

– O czym ty mówisz?

– Służąca-towarzyszka to...

– Wiem, czym są służący-towarzysze! Ale przecież ty... Ty jesteś...

– Córką służącej i nieznanego ojca. Służącą-towarzyszką Muriel Denen z Wielkiego Portu. Faktycznie kiedyś się spotkaliśmy, trzy lata temu, kiedy odwiedzałeś posiadłość Denenów. Cały wieczór flirtowałeś z Muriel i chyba nawet nie zauważyłeś, że tam byłam. Nie dziwię ci się...

– Zamknij się...! Nie mów... Okłamałaś mnie.

– Tak właściwie to nigdy nie powiedziałam, że jestem szlachetnie urodzona. Wszyscy to założyliście, ponieważ...

– Nie! Oszukałaś mnie. Świadomie. To była gra, tak? Jakaś lekcja dla mnie za to, że cię zignorowałem?

– Co? Nie, oczywiście, że nie. Początkowo to była gra, dla nas obojga, ale teraz... Chciałam, żebyś wiedział, ponieważ... Ponieważ też cię kocham.

– Nie. Nie masz prawa mi tego mówić i... Potrzebuję... Muszę wyjść... – Zerwał się, by odejść. Clara złapała go za rękę.

Odepchnął ją, trochę mocniej, niż miał zamiar – tak, że się wywróciła. Przez chwilę chciał pomóc jej wstać, ale nie mógł.

– Nie... Nie dotykaj mnie... Ty... Kochałem cię... – Odszedł. Nie wiedział, co robi, co mówi. Po prostu uciekł.

Wkroczył w krąg światła dookoła ognisk, za późno orientując się, że ludzie i skoczna muzyka to ostatnie, czego pragnie. Odwrócił się, by pobiec dalej, ale coś przykuło jego uwagę. Horyzont rozświetliła czerwona luna.

– Pożar! – krzyknął ktoś z tłumu. – Rubieżnica płonie!

*

Popiół opadał z nieba niczym śnieg. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Duncan zakrywał usta chustką i z przerażeniem spoglądał na ogrom zniszczeń, ujawnionych przez wschodzące słońce. Z Rubieżnicy pozostały jedynie wypalone szczątki domów i zmasakrowane ciała mieszkańców.

– Mamy szczęście, że las się nie zajął – stwierdził centurion Agrevius Eritus.

– Tak, szczęście – odpowiedział dowódca rekrutów. Z miejsca, w którym stał dało się dostrzec trzy ciała nabite na pale i kilka kolejnych powieszonych na drzewach.

– Jakie zwierzęta mogły dokonać czegoś takiego? – spytał sędziego Adrian.

– Najgorszy ich rodzaj – ocenił Nathaniel. – Ludzie.

– Ja osobiście raczej nie poczuwałbym się do wspólnoty gatunkowej z tymi dzikusami – odpowiedział Edwin.

Twarz barda była tak blada, że wydawała się całkowicie pozbawiona krwi.

– W sumie czterdzieści ofiar – zameldował jeden z legionistów.

– Według tych, co przeżyli, napastnicy zabrali ze sobą część kobiet i dzieci.

– W niewolę – domyśliła się Matylda.

– Musimy ruszać za nimi – powiedział Magnus.

– Ruszać dokąd? Do Puszczy? – dopytywał się Olaf.

– Jeśli trzeba...

– Nigdzie nie idziemy. To rozkaz. Włazenie do tej puszczy bez kilkutyśięcnej armii to samobójstwo. I jestem pewny, że nasz pan centurion nie chce skończyć jak niesławny generał Warus.

– Zdecydowanie nie – potwierdził żołnierz. – Napastnicy uderzyli w nocy, podczas święta. Mieszkańcy byli zaskoczeni, często pijani. Zniszczenia są okropne, ale faktycznie wygląda na to, że mamy raczej do czynienia z małą grupą. Dorwali swoje łupy i w tej chwili są już w drodze do domu. Pewnie więcej ich nie zobaczymy.

– Chyba że to była kolejna grupa zwiadowców – zauważył Duncan. – Wtedy za kilka tygodni może spaść na nas nawet silniejszy cios.

– Nie ośmielą się zaatakować okolicy chronionej przez moich

legionistów. Małą, oddaloną osadę leżącą na skraju Puszczy – tak. Ale nie coś rozmiarów Nowej Srebrnicy czy Nowej Wioski. To byłoby samobójstwo.

– Tak czy inaczej, musimy się przygotować – zdecydował Olaf, z grymasem bólu masując kolana. – Nawet jeśli nie odważą się zaatakować osad, w okolicy jest dosyć samotnych gospodarstw. Musimy podwoić patrole, zarówno w terenie, jak i dookoła ludzkich siedzib. Na jakiś czas ludzie powinni powstrzymać się od łążenia po lesie. Ci z samotnych gospodarstw mogą rozważyć przeniesienie się na jakiś czas do krewnych zamieszkujących w mniej odludnych miejscach.

– Jak przekonać ludzi, by porzucili dorobek życia? – spytał starszy Bors.

– Powiedz im, że to lepsze, niż porzucić życie – zaproponował Książę.

Duncan zauważył pośród popiołów drewniany mieczyk. Schylił się, by go podnieść i z przerażeniem dostrzegł, że na rękojeści zabawki wciąż spoczywa odcięta dłoń jakiegoś dziecka. Szary Strażnik cofnął się gwałtownie, ledwo utrzymując równowagę.

– Zapłacą za to – usłyszał głos Magnusa. Kiedy się obejrzał, dostrzegł na twarzy towarzysza determinację. – Wszyscy. Zapłacą.

*

Chowanie ciał zajęło cały dzień. Kiedy wreszcie dobiegło końca, wszyscy byli wyczerpani brakiem snu i otaczającą ich śmiercią. Jednak nikt aż tak jak Cassandra. Dla pozostałych umarli byli tylko i wyłącznie ciałami. Dla niej były smutkiem, bólem i wściekłością. Po wszystkim nie mogła zasnąć. Rzucała się w swoim łóżku przez pół nocy, aż wreszcie ukradkiem wyszła na zewnątrz. Edwin pełnił wartę na szczycie wieży, ale wyraźnie przysypiał. Była sama na dziedzińcu, przynajmniej jeśli chodziło o żywych. Powoli podeszła do studni, usiadła na zamykającej ją kratce i słuchała. Wciąż nie potrafiła rozróżnić pojedynczych słów, miała też wrażenie, że wypowiedano je w innym języku. Rozumiała ich smutek i cierpienie, czasami przechodzące w

agonalne wrzaski. Słowa setek, a może nawet tysięcy tych, którzy byli tu przed nimi. Nie było to jedyne takie miejsce na świecie. Wręcz przeciwnie, duże pobożowiska, opuszczone miasta, stare nekropolie, a nawet niektóre dzielnice w Smoczym Leżu – punkty, gdzie śmierci nagromadziło się tak dużo, że rzeczywistość wylewała ją na wierzch. Gdzie duchy nie mogły nawet marzyć o spokoju. Przynajmniej tak sobie to tłumaczyła. Zapewne w księgach Luciusa znalazłoby się inne, bardziej uczone wyjaśnienie, ale nie była zainteresowana poszukiwaniem go. To było jej miejsce, jej głosy.

W podobnych strefach zawsze czuła się mniej samotna. Jej problemy wydawały się mniejsze, nieistotne. Bo jak ważne mogły być w obliczu stuleci cierpienia i smutku? Czasami powtarzała sobie, że jeśli zrozumie głosy, będzie mogła im pomóc, dokonać tego jednego aktu heroizmu, który na zawsze zmieni jej życie. Wiedziała, że to naiwna i głupia myśl, ale zawsze poprawiała jej humor. Tak naprawdę nic nie mogło pomóc biedakom uwięzionym pod komandorią. Jakikolwiek zbrodnie popełnili w swoim życiu, ich kara będzie trwać do końca świata.

Słońce zastało ją zwiniętą na kracie, wciąż słuchającą głosów ze studni. Przeciągnęła się niczym kot i ruszyła na poszukiwanie śniadania. Tego dnia patrol miała dopiero wieczorem, więc pozostawał cały dzień, by zająć czymś myśli. Cassandra popluskala się w jeziorze, poćwiczyła rzucanie nożami i skradanie się. Spędziła chwilę, wpatrując się w białego kruka siedzącego na dachu wieży. Wreszcie około południa dostrzegła Luciusa i Amelię, siedzących na ławie obok zabudowań. Szeptali do siebie, trzymając się za ręce. Cass przysiadła na studni, ignorując dobiegające z niej szepty, i mimowolnie dotknęła swojego ramienia. Przyglądała się parze przez dłuższą chwilę, wyobrażała sobie, że mogłaby być taka jak oni. Złapała własną dłoń i powoli zaczęła ją pieścić, wyobrażając sobie, że to dłoń kogoś innego. Że to dłoń...

– To już trochę chore – rozległ się głos Nathaniela. Zagubiona w fantazjach Cass nie zauważyła, jak podszedł. Odruchowo przeturlała się po kracie i wylądowała po drugiej stronie studni.

– Dotykać swojej dłoni, patrząc na innych ludzi. Nawet jak na ciebie to nienormalne.

– Ja nie... To nie twoja sprawa. – Kiwnęła głową.

– Oczywiście, że nie. – W jego głosie było coś innego. Nieprzyjemnego. Mimo to nie cofnęła się, kiedy podszedł bliżej.

– Niemniej zastanawia mnie, czy te pieszczoty kończą się na dłoni – powiedział.

– Nie twoja sprawa. – Próbowała się cofnąć, ale on chwycił ją za rękę. Chciała go ugryźć, był zbyt szybki, złapał ją za szyję i przyciągnął do siebie.

– Jeśli marzysz o dotyku, mogę ci pomóc.

– Puść...

– Wiedziałaś o tym, prawda? Oczywiście, że wiedziałaś, spędzacie razem tyle czasu. Pewnie nie raz zanosiliście się śmiechem, rozmawiając o tym, jaki jestem głupi, jak łatwo mną manipulować, co ?

– Proszę – wyszeptała, czując, jak łzy napływają jej do oczu. Jego dotyk zdawał się parzyć.

– Świetnie, wreszcie ktoś potrafiący zwracać się do lepszych od siebie – stwierdził z uśmiechem i puścił ją. Natychmiast odskoczyła o kilka kroków, po czym dobyła jednego z noży.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął Magnus, podbiegając do studni.

– Nic – odpowiedział Nathaniel. – Jedynie drobne nieporozumienie, prawda?

Cass nie odpowiedziała. Wciąż trzymała w ręce nóż. Głosy ze studni zamilkły w oczekiwaniu.

– Nie wyglądało mi na drobne nieporozumienie. Nie wiem, co się z tobą dzieje, Natha...

– Panie.

– Co?

– Co się z tobą dzieje, panie. Tak zwykłeś się do mnie zwracać jeszcze kilka miesięcy temu, nieprawdaż? Co prawda w naszej sytuacji to tylko formalność, ale lubiłem tę formalność, a mimo to pozwoliłem tobie i całej reszcie ją odrzucić. To dziwne, prawda? Dlaczego miałbym zrobić coś takiego?

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale jeśli jeszcze raz dotkniesz Cass, to rozwalę ci nos, panie.

– Cass nie jest dzieckiem. Wbrew temu, w co wszyscy tutaj zdają się wierzyć. Widziałem na własne oczy, jak bez wahania posłała noże w dwóch najemników i jestem pewny, że gdyby chciała, już byłbym martwy. Tylko na nią spójrz, gotowa do ataku i całkowicie szalona. Kolejny żaloszny dodatek do Szarej Straży.

– Magnus! – Duncan wjechał na konno dziedziniec. Właśnie wracał z Clarą z patrolu. – Mam dla ciebie zadanie.

Cassandra schowała nóż i oddaliła się ukradkiem, na tyle, by zniknąć z oczu, ale nadal śledzić sytuację. Wciąż czuła dotyk Nathaniela na szyi.

– Co się dzieje?

– Ojciec Norbert uznał, że to świetna okazja, żeby wystąpić przeciw Ilidii.

– Może ma rację – wtrącił Książę.

– Tak czy inaczej, jest teraz z tłumem wyznawców w Starym Dębie i tamtejsi ludzie raczej nie patrzą na to przychylnie. Ostatnie, czego nam teraz brakuje, to zamieszki. Dlatego weźmiesz Matyldę i zajmiecie się tym. Przekonaj kapłana, żeby wziął swoich ludzi i wrócił do domu. Mnie pewnie uznałby za sługusa więdźmy.

– Ojciec Norbert to rozsądny człowiek, jeśli posłuchasz...

– Nie teraz. Kiedy nie będzie nam groził atak Sklavian, chętnie usiądę z nim i Ilidią i spróbujemy zażegnać ten konflikt, ale teraz potrzebuję spokoju.

– Zajmę się tym.

– Pojadę z nimi – zaproponował Nathaniel. – I tak miałem zamiar odwiedzić Stary Dąb, a jeśli zrobi się nieprzyjemnie, kolejny miecz w pogotowiu może sprawić, że co niektórzy zastanowią się dwa razy.

– Dobrze, tylko załatwcie to szybko i wracajcie. Magnusie, wiem, że możesz zgadzać się z ojcem Norbertem w kwestii Ilidii, ale to w tej chwili nieistotne. Jesteś tam z mojego rozkazu i masz sprawić, by sytuacja się uspokoiła. Na rozwiązanie problemu Ilidii i Norberta będzie czas w przyszłości.

*

Ludzie stali w dwóch grupach naprzeciwko siebie i przekrzykiwali się. Zapalone pochodnie, trzymane w pogotowiu kosy i widły świadczyły, że niewiele już brakuje, by słowa przeszły w czyny.

– Ludzie, uspokójcie się! – wrzasnął Magnus, wjeżdżając pomiędzy dwie kilkudziesięcioosobowe grupy.

– Nie oddamy Ilidii!

– Wiedźma was opętała!

– Spokój! Spokój! Ojcie Norbercie, uspokójcie ich!

– Spokojnie, ludzie! – Kapłan posłuchał rozkazu. – Szara Straż przybyła. Zobaczmy, co oni powiedzą.

– Nie damy tknąć Ilidii – zaznaczył starszy Starego Dębu. – Ani wam, ani im!

– Spokój, ludzie! Nie będzie tu żadnej walki. – Wielkolud zeskoczył z konia i podszedł do sługi Deusa. Matylda i Nathaniel, z mieczami w rękach, zajęli pozycje między skłóconymi stronami.

– Dobrze, że jesteś, Magnusie. To zaczynało się wymykać spod kontroli.

– Co ojciec wyprawia? To nie jest czas na coś takiego.

– To jest najlepszy czas. Teraz, kiedy wiedźma przyzwała swoje dzikie sługusy. Musimy się jej pozbyć, zanim sprowadzi więcej nieszczęść.

– Nie ma żadnych dowodów, że ona ma z tym cokolwiek wspólnego.

– Może nie bezpośrednio, ale jest jakiś powód, dla którego Deus zesłał na nas te nieszczęścia. Daje nam znak, byśmy się oczyścili lub zostaniemy zniszczeni. A ona jest nieczysta, wszyscy tu o tym wiemy. Ale niektórzy z nas postanowili przymknąć oczy, bo magia im służy. Czy nie z tym powinni walczyć Szarzy Strażnicy?

– Ojciec dobrze wie, że nie ma dowodów, by Ilidia używała magii. Z tego, co wiemy...

– Sam w to nie wierzysz, chłopcze. Ona jest złem. Być może nie wygląda jak potwór, ale to czyni ją tylko jeszcze bardziej niebezpieczną. Naszeptła już w ucho twojemu Duncanowi i okręciła sobie wokół palca miejscowych. Manipuluje nami

wszystkimi. I jeśli nic nie zrobimy...

– Nie tobie o tym decydować, ojciec. Weź swoich ludzi i wracajcie do domów. Rozwiążemy tę kwestię, kiedy minie niebezpieczeństwo ze strony dzikich.

– Ona nas dzieli.

– Nie, ojciec. – W głosie Magnusa zabrzmiało nieznoszące sprzeciwu zdecydowanie. – Teraz to wy dzielcie ludzi. A oni są potrzebni zjednoczeni. Dla dobra tej społeczności i na moją odpowiedzialność, ustąpcie. Na razie. Aż przyjdzie czas, żeby tę kwestię rozstrzygnąć. I macie moje słowo, że sprawa będzie rozwiązana, nie pozwolę Duncanowi jej odkładać.

– A jeśli ona w międzyczasie wyrządzi zło?

– Wezmę to na swoje sumienie. Wy zrobiliście, co w waszej mocy.

Kapłan wahał się przez chwilę. Wreszcie podjął decyzję i zawrócił swoich ludzi, obiecując im, że to jeszcze nie koniec.

– Na twoje sumienie – podkreślił, odchodząc.

– Dziękuję, Magnusie, dobrze, żeście ich przegonili – powiedział starszy Starego Dębu, kiedy jego ludzie zaczęli rozchodzić się do domów.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie. To zła pora na podobne zachowania.

– Zła, zła jak nic. Ale Ilidii oni i tak nie dostaną. Chroniła naszą osadę, odkąd pamiętam. To dobra kobieta jest.

Szary Strażnik nie odpowiedział. Pożegnał się tylko skinieniem głowy i dosiadł konia.

– Poszło łatwiej, niż sądziłam – stwierdziła Matylda.

– Bo to jeszcze nie koniec. Tylko zyskałam na czasie. Wracajmy, Duncan będzie chciał o tym usłyszeć.

– Jedźcie więc, ja muszę tu jeszcze coś załatwić – poinformował ich Nathaniel.

– Coś konkretnego?

– Tak. Zamierzam sprawdzić, o co tyle hałasu z tą całą wiedźmą.

*

Wiedźma nie była taka, jak Nathaniel sobie wyobrażał. Siedząca na bujanym fotelu pulchna staruszka przypominała raczej dobrotliwą nianię. W powietrzu rozchodził się zapach cynamonu.

– Jestem rozczarowany – stwierdził arystokrata. – Spodziewałem się czegoś bardziej... wiedźmowego.

– Wybacz – odpowiedziała kobieta. – Tłum z pochodniami już sobie poszedł?

– Chwilowo, choć prędzej czy później pewnie wrócą.

– A ty co, przyszedłeś po maść na potencję? A może po moją słynną nalewkę? Rozgrzewa, rozluźnia i nie zostawia kaca ani wspomnień.

– Nie skorzystam. – Mężczyzna podszedł bliżej i spojrzał starowince prosto w oczy. – Co powiedziałaś Clarze?

– To, co chciała wiedzieć. Jak umrze. A szczegóły to już sprawa między mną a nią. Ale obydwójce wiemy, że nie to pytanie cię tu sprowadziło, więc przejdź do rzeczy. W moim wieku nie ma czasu na rozmowy o niczym.

Młodzieniec zawahał się. Dwukrotnie otwierał i zamykał usta, zanim wreszcie wypluł z siebie słowa:

– Jak zginę?

– Sam wybierzesz swoją śmierć. I stawisz jej czoła z mieczem w dłoni.

– Oczywiście. Nawet kostucha nie odważy się przybyć bez mojej zgody. Zaprawdę, muszę być kimś wyjątkowym. – W głosie Księcia dało się słyszeć gorycz. – To dobry koniec.

– Lepszy niż ten, który czeka niektórych spośród twoich przyjaciół.

– Towarzyszy – poprawił. – Eversonowie mają za przyjaciela tylko wielkość. Mój ojciec zwykł to powtarzać. Przynajmniej on będzie dumny z takiego finału.

– A ty?

– Ja? – Przez chwilę się zastanawiał. – Ja kupię od ciebie dzban tej nalewki.

*

Słońce zbliżało się do zenitu, podczas gdy łodzie rybaków z Głębinówki leniwie sunęły po jeziorze. Clara przyglądała się temu, siedząc na drewnianym pomoście przy komandorii. Cieszyła się spokojem i dobrą pogodą, próbując ignorować zbierające się na horyzoncie chmury burzowe.

– Wszystko w porządku? – spytał Edwin, podchodząc.

– Najwyraźniej nie, biorąc pod uwagę zatroskanie w twoim głosie.

– No cóż. Nocna warta i poranna drzemka może trochę przytłumiły moje zmysły, ale mimo to zdołałem zauważyć, że ty i Nathaniel nie spędzacie ze sobą czasu. Co więcej, wczoraj przez cały dzień się do siebie nie odzywaliście. Oczywiście może to wynikać z tego, że byliśmy zajęci chowaniem prawie pół setki ofiar barbarzyńskiego ataku...

– Widzę, że twoja dedukcja nie ma sobie równych.

– Prawdę powiedziawszy, zwróciłem na to uwagę, dopiero kiedy usłyszałem, że nasz Książę był wyjątkowo nieuprzejmy wobec Cass. Wnioskuje po zmianie w jego zachowaniu, że poznał wreszcie prawdę.

– Całą prawdę. I wbrew temu, co mówią święte księgi, chyba nie poczuł się przez nią wyzwolony.

– A ty?

– Dwa dni temu byłam szlachcianką z zachodu i miałam własnego księcia. Dziś nie mam nic, więc to chyba zależy od tego, jak definiuje się wolność. Jeśli to tylko kolejne określenie sytuacji, w której nie masz już nic do stracenia, to jestem jak najbardziej wolna.

– Nie dramatyzuj, nadal masz przyjaciół, potencjalną karierę w Straży, wspaniałą kolekcję sukni i ponadprzeciętną urodę. To zdecydowanie więcej niż ma większość ludzi. Poza tym to jeszcze nie koniec. Nathaniel pokrzyczy na ludzi, pozachowuje się jak arystokratyczny dupek, zrobi kilka głupot, ale kiedy już się wyżyje, zrozumie najważniejszy element tego wszystkiego. Prawdę o tym, że się kochacie i jesteście dla siebie stworzeni.

– Skłamałam.

– Technicznie rzecz ujmując – raczej nie powiedziałaś prawdy.

– Skłamałam. Wyssałam z palca całą historię. Bo chciałam, by

był mój, by był przy mnie. Nathaniel zarzucił mi, że zrobiłam to, by się na nim odegrać i myślę, że miał trochę racji. Zrobiłam to, by odegrać się na nich wszystkich. Bogatych arystokratów o błękitnej krwi, którzy zawsze mówili, że mogę patrzeć, ale nie dotykać. Być wśród nich, ale nie być jedną z nich.

– I co w tym złego? To jedna wielka banda nadętych skurwieli.

– Brzmisz jak jakiś rewolucjonista.

– O nie. Rewolucje są zbyt krwawe i ponure jak na mój gust. I do tego tacy ludzie jak ja za łatwo mogą stracić w nich głowę. Niemniej, wracając do twojego problemu, nadal sądzę, że nie zrobiłaś nic złego. Skłamałaś, bo chciałaś być szczęśliwa. I twoje kłamstwo tego też uczyniło szczęśliwym. Co w tym złego?

– Dobrze wiesz, że to kłamstwo nie mogło trwać. Prędzej czy później...

– Prędzej czy później będziemy martwi. Prędzej czy później Deus znudzi się tym światem i wszystko pójdzie w cholerę. Kogo obchodzi prędzej czy później? Byliście szczęśliwi i zakochani. To jedyne, co się liczy.

– Nie podejrzewałam, że jesteś takim romantykiem.

– Oczywiście, że jestem. To właśnie z powodu miłości wylądowałam tutaj. To smutna i tragiczna opowieść na inną okazję. Ale najważniejsze w niej jest to, że ludzie pod wpływem uczuć robią głupie rzeczy, na przykład wybaczą sobie kłamstwa.

– Jest różnica między wybaczeniem a ponownym zaufaniem. Zwłaszcza że nie mogę mu obiecać, że nie skłamię więcej. Robiłam to od tak dawna... Odkąd pamiętam. Czasami sama gubię się w tych kłamstwach. Wiesz, przez te miesiące chwilami naprawdę zapominałam, że nie jestem nią, Muriel... Moją panią. Naprawdę miło było czuć się nią i nawet myślałam sobie, że jestem w tym lepsza... Że jestem lepszą wersją jej. Jeśli teraz zacznę mówić prawdę, to sama już nie wiem, kim wtedy będę.

– Myślę, że jesteś tym, kim się czujesz. Wiesz, sam też mam pewną wprawę w kłamstwach. Ale tak długo, jak ty sama znasz prawdę... Wiesz co, to bez sensu. Nieważne, kim jesteś. Nieważne, co myślą inni. Ważne, że go kochasz. To jest prawda, to jedyne, co się liczy.

– To wyjątkowo naiwna myśl.

Clara wstała i odwróciła się w stronę komandorii.

– Ostateczna prawda jest taka, że on jest Eversonem. W jego rodzinie nie ma mezaliansów i skandali. Niezależnie od pełnionej funkcji. Łatwo o tym zapomnieć tutaj, na końcu świata, ale prędzej czy później będziemy musieli wrócić. Być może mogłabym zostać jego kochanką, ale to mi nie wystarczy. Już nie. A on nie sprzeciwi się rodzinie, nie odrzuci nazwiska i obowiązków z tym związanych. Ostatecznie wszystko sprowadza się do tego, że on jest Eversonem, ja jestem służącą, a to nie jest jedna z twoich ballad.

*

Lucius podniósł skrzynkę i z trudem przeniósł ją z wozu do stodoły.

– Można by pomyśleć, że ktoś powinien nam pomóc – stwierdził, próbując opanować oddech.

– Wszyscy są zajęci przygotowywaniem umocnień – przypomniała mu Amelia.

– Nie nazwałbym tego ogrodzenia umocnieniami. Jeśli Sklavianie się pojawią, to wątpię, by to ich powstrzymało.

– Nolan jest dosyć pewny siebie.

– Nolan jest szalony. Zamierza zostać tu sam, tylko starzec i kobiety... Powinniście się na jakiś czas przeprowadzić.

– Wiesz, że Nolan nie porzuci swojego majątku. Jest staromodny.

– Raczej uparty. Poza tym... Nawet jeśli nie chce odjechać, to nie znaczy, że ty też musisz tu zostać. Duncan na pewno się zgodzi, żebyś na jakiś czas zamieszkała w komandorii.

– Na jaki czas?

– Do czasu, aż będzie bezpiecznie, albo... Mogłabyś zostać na stałe.

– Luciusie...

– Wiem, że Nolan przygarnął cię po śmierci twojego ojca, ale nie jesteś mu nic winna. Odpracowałaś już swój dług, a ja... Jeśli zostanę Szarym Strażnikiem, to będziesz mogła zamieszkać ze

mną. Dostaniemy pokój w komandorii, a może nawet dom, jeśli trafię do większej placówki. W Czarnej Skale mają kilka wiosek pod kontrolą Zakonu i podobnie jest w wielu dużych ośrodkach. A nawet jeśli się nie załapię, to tu, na Rubieżach i na Spornych Ziemiach zawsze znajdzie się praca dla kogoś, kto umie czytać i pisać. Więc będę mógł utrzymać ciebie oraz... – zawahał się – wiesz, rodzinę.

– Czy masz zamiar iść w ślady Manfrey'a?

– Nie... To znaczy, nie teraz. Ale myślałem o tym i... kiedyś, może, wiesz...

– To urocze – stwierdził Nathaniel. Lucius dopiero teraz zauważył go podchodzącego od strony głównego traktu.

– Nathaniel, co cię sprowadza?

– Przyszedłem odwiedzić Nolanówny. – Głos Księcia był lekko bełkotliwy, a chód nierówny. W ręce ścisnął dzban, z którego co jakiś czas popijał. – Pomyślałem sobie, gdzie tu można znaleźć ładne dziewczki, które docenią to, że prawdziwy książę jest gotów zaszczyścić ich kobiecość swoją szlachecką męskością i one pierwsze przysły mi do głowy.

Uśmiechnął się do siebie.

– Jesteś pijany – stwierdziła Amelia.

– Ładna i spostrzegawcza, może jednak wezmę ciebie?

– Myślę, że powinieneś wracać do komandorii i wytrzeźwieć – stwierdziła dziewczyna. – Jeśli Nolan złapie cię tutaj w takim stanie, to prędzej poznasz intymnie jego widły niż jego wnuczki.

– Co jest nie tak z tymi ludźmi? Czy nikt tu nie szanuje szlactwa? Jestem cholernym księciem, w Terylu żadnej chłopce nie przysłoby do głowy, by tak do mnie mówić. To wszystko przez nią, prawda? Ta suka wszystkim już powiedziała. Pewnie zanosicie się ze śmiechu na samą myśl, co?

Lucius podszedł do towarzysza i próbował położyć mu rękę na ramieniu w geście pocieszenia i uspokojenia. Nie przewidział, że Nathaniel zareaguje potężnym ciosem w brzuch. Zwijając się z bólu na ziemi, Mnich dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Książę nadal do niego mówi.

– ...lepiej. Otóż to. Wygląda na to, że ty, Magnus i cała reszta hołoty o tym zapomnieliście. Ale ja wam przypomnę. Przypomnę

wam wszystkim.

– Zostaw go! – krzyknęła dziewczyna.

– Nie martw się, o tobie nadal pamiętam – zapewnił Nathaniel.

Lucius z trudem dźwignął się z ziemi. Książę złapał Amelię za rękę, próbował powstrzymać ją przed podrapaniem jego twarzy. Mnich zbliżył się, wciąż zgięty wpół z bólu i uderzył go w plecy. Celował w nerki, ale cios najwyraźniej był za słaby. Zdołał jedynie zwrócić uwagę napastnika. Nathaniel wypuścił dziewczynę i uderzył przeciwnika pięścią w twarz.

Raz i drugi.

Świat dookoła rozświetliły gwiazdy, a później głowa Szarego Strażnika zderzyła się z ziemią. Mimo to ciosy nie ustały. Kolejne fale przeszywającego bólu docierały z różnych punktów kopanego ciała.

– Zrobię to – dobiegł go głos Amelii. – Tylko przestań go bić.

Odpowiedź nie nadeszła, ale ciosy ustały. Leżąc z twarzą wtuloną w ziemię, Lucius usłyszał oddalające się kroki. Poszli do stodoły. Ból był okropny, całkowicie paralizujący. Przez chwilę myślał, że straci przytomność. To wydawało się nawet dobrym pomysłem. Zasnąć. Ale nie mógł. Amelia nadal tam była. Musiał jej pomóc.

Z trudem, dużo większym niż poprzednio, dźwignął się z ziemi. Najpierw na kolana. Później wstał. Przypomniawszy sobie o nożu i to dodało mu otuchy. Zrobił jeden krok, później kolejny, prawie upadł przy trzecim. I wtedy dostrzegł mężczyznę. Młody arystokrata wyszedł ze stodoły szybkim krokiem. Na twarzy miał szerokie zadrapanie. Lucius uniósł drżącą rękę ze sztyletem. Książę po prostu podszedł i zabrał mu broń, jak zabawkę dziecku, a później ruszył w swoją stronę. Amelia wybiegła za nim i zbliżyła się do Luciusa. Miała siniak pod lewym okiem.

– Czy on...? – Mnich mówił z trudem.

– Nic nie zrobił. Podrapałam go i wtedy mnie uderzył, później tylko stał tam i patrzył. A potem wyszedł.

Lucius dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego nogi nie są w stanie dłużej utrzymać reszty ciała.

– Deusie, potrzebujesz pomocy.

– To nic... Nie mogłem cię obronić...

Amelia złapała jego dłoń.

– Nie potrzebuję obrońcy. Ale ty zdecydowanie potrzebujesz opatrunków.

*

Napastnik zaatakował z potężnym zamachem. Błąd, zamach trwał zbyt długo. Matylda wyskoczyła do przodu i uderzyła go własnym ciałem, a kiedy się zachwiał, poprawiła rękojeścią miecza w twarz.

– Zbyt wolno – stwierdziła, podczas gdy Manfrey gramolił się z ziemi, masując własną szczękę. – Jeszcze raz.

Tym razem zaczął krążyć dookoła niej. Wodził bronią w powietrzu, próbując ją zmylić. Podpatrzył tę technikę u Nathaniela. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że ma ona sens tylko wtedy, kiedy przeciwnik sądzi, że faktycznie szykujesz jakiś atak. Problem Manfreya polegał na tym, że za dużo myślał. Próbował przypomnieć sobie wszystkie rady, udzielone mu przez Duncana. Walka nie była ćwiczeniem intelektu, a instynktu. Matylda znów wyskoczyła do przodu, Manfrey cofnął się, natychmiast zapominając o wszystkich naukach. Sparował kilka pierwszych ataków, ale nawet nie próbował odzyskać inicjatywy. Po prostu bronił się, aż stało się nieuniknione. Jego drewniany miecz poszybował w powietrze i wylądował obok starej studni.

– Co się z tobą dziś dzieje? Nawet Cass walczy lepiej.

Siedząca na studni dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– To nic, jestem trochę rozkojarzony. Wiesz, nadchodząca armia dzikusów i tym podobne rzeczy.

– Tym bardziej musisz się skupić. To nie czas na głupoty.

– Dobrze – podniósł miecz i wrócił na swoje miejsce.

– Co znowu?

– Nic.

– Przecież widzę, że jakiś naburmuszony jesteś. Chodzi znów o te oświadczenia?

– Nie... Tak – przyznał niechętnie.

– O Deusie.

– No bo nie rozumiem, czemu się nie zgodzisz? Przecież Szarym Strażnikom wolno brać ślub, pytałem o to Luciusa. A jak się nie załapiesz na płaszcz, to zawsze możemy zamieszkać tutaj i...

– I co? Będę pracować, gotować i cerować ci gacie? – przeszła do ataku.

– Nie, przecież próbowałem twojej kuchni. Ale za to ja świetnie gotuję. A z cerowaniem, jak ci tak to przeszkadza, to...

– Nie chodzi o to, że mi przeszkadza. Ja... nie umiem – przyznała lekko zawstydzona.

– Co?

– Nie umiem. Cerować, gotować, pracować i co tam jeszcze żony robią. Ja nie umiem. Potrafię tylko bić ludzi.

– I?

– Co, i? I co to za żona ze mnie będzie? A jak dostanę płaszcz, to jeszcze gorzej. Nawet nie wiem, gdzie wyląduję, może na drugim końcu świata. I co, pojedziesz za mną?

– Choćby do piekła – zadeklarował twardo.

– Głupis więc. Teraz tak gadasz, bo ci uczucia w głowie mieszają. Ale minie kilka lat i pomyślisz, że lepiej byłoby jakąś chłopkę złapać, taką, co coś potrafi na gospodarstwie zrobić, a nie tylko...

Ze zdenerwowaniem poczuła, że oczy zachodzą jej łzami. Podjęła niechętnie:

– Słuchaj, zawsze tak było. Ja potrafię tylko ranić ludzi, dosłownie. Odkąd pamiętam, zawsze byłam duża, silna i dobra w biciu innych. Miałam czterech braci i żaden z nich nie mógł się ze mną równać. Jak moje siostry uczyły się gotować i szyć, to ja biegałam z drewnianym mieczem i tłukłam okolicznych wieśniaków. Taka jestem i to robię. Jak miałam czternaście lat, to dołączyłam do najemników. Przechodzili przez naszą wioskę i kilku próbowało się dobierać do miejscowych dziewczek. To skopałam im tyłki. Dowódcy się to spodobało i mnie przyjął. A później była tylko walka i krew i... To ja, to wszystko, czym jestem. I nie chcesz tego.

Przez chwilę, wydającą się wiecznością, stali w milczeniu. A

później Manfrey przemówił i tym razem wypowiedział wszystkie właściwe słowa.

– Głupiaś. Mówisz mi tu o cerowaniu i gotowaniu, jakby to miało znaczenie. W rzyci to mam. Jakbym chciał jakąś chłopkę, co umie pracować, to bym się jakąś znalazł. Bez problemu. Ale ja chcę ciebie. I nie obchodzi mnie to, kim byłaś i co o sobie myślisz. Bo jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu i... I jesteś, kurwa, doskonała. Taka jaka jesteś i taką cię chcę. Takie z nas prostytutki. Pasujemy do siebie. I ty chyba chcesz być ze mną. I jeśli tak, to ja nie wiem, co jeszcze się liczy tutaj. Bo... bo ja cię, kurwa, kocham.

Matylda wypuściła z rąk miecz, a później podeszła do Manfrefa i pocałowała go. I był to najbardziej szczery pocałunek w jej życiu.

- To nadal nie oznacza tak – podkreśliła.
- Ale nie oznacza też nie.
- Zdecydowanie nie oznacza też nie.

*

Nathaniel był pijany. Nie miał w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Ostatecznie jak inaczej mógłby wytłumaczyć fakt, że idzie środkiem traktu, z zamkniętymi oczami, głośno śpiewając wyjątkowo wulgarną przyśpiewkę o mężczyźnie wyglądającym jak kobieta.

– Kto idzie? – krzyknął ktoś, brutalnie przerywając kolejną zwrotkę. Trudno zresztą określić, którą.

– Książę Terylu – odpowiedział Nathaniel, otwierając oczy. Stało przed nim dwóch wyjątkowo nędznie wyglądających legionistów.

– Jasne, a może od razu sam Imperator? – Jeden z mężczyzn pozostawał wyraźnie sceptyczny.

– Czekać, Ziutek, przecież to ten Szary Strażnik. Ten, który faktycznie jest księciem – zauważył drugi.

– Gdzie tam, Flavius? Jaki z niego książę, pijaczyna to tak... Choć, może. W sumie ma pierścień na palcu.

– Mówię ci, Ziutek, to on. Jak Deusa kocham. To ty jesteś,

prawda?

– Nathaniel Everson, księżę Terylu. – Skłonił się Szary Strażnik i pociągnął kolejny łyk z dzbana.

– Ja jestem Flavius, a to Ziutek. Jesteśmy legionistami, na patrolu.

– Czy wszystko w porządku? – spytał Ziutek, podchodząc bliżej.

– Jestem pijany, na środku całkowitego zadupia i robi się ciemno, a ja rozmawiam z wami... I pobiłem swojego przyjaciela, przynajmniej wydaje mi się, że nim był. Trudno powiedzieć, bo nigdy wcześniej żadnego nie miałem. A potem prawie zrobiłem coś gorszego. Naprawdę miałem zamiar zrobić coś znacznie gorszego.

– Co ci się stało w twarz?

– Nieważne. O czym to ja mówiłem?

– Zrobiłeś coś złego.

– Otóż to. I prawie zrobiłem coś gorszego.

– Może powinniśmy odprowadzić cię do komandorii? Niedługo będzie ciemno.

– O nie. Nie wracam tam. Może zaciągnę się do legionu. Jak wy trafiliście do legionu?

– No cóż. Byliśmy w straży miejskiej, w jednym grodzie – zaczął wyjaśniać Ziutek.

– To był bardzo dobry gród, taki spokojny.

– Otóż to. Ale potem taki jeden rycerz zabił masę ludzi i myśmy uciekli. I potrzebowaliśmy nowej roboty.

– I ten idiota zaproponował legion.

– Cisza – wtrącił się Nathaniel. – Słyszycie? Ktoś nadjeżdża. To konie. Dwa... trzy konie. O, i nawet ich widać.

– To chyba Szarzy Strażnicy – orzekł Flavius. – Poznają tego dużego i kobietę, tę cycatą. Wyglądają na wkurzonych.

– Spokojnie, bardziej bałbym się tego, co jedzie pierwszy. To Duncan, mój dzielny przywódca. Z jakiegoś powodu, mam wrażenie, od dawna chciał mnie uderzyć. I chyba już kiedyś to zrobił. Ale to nic, rozmawiałem z wiedźmą i wiem, że tak długo, dopóki nie dobędę miecza, nic mi nie grozi.

Duncan zatrzymał swojego rumaka tuż przed Księciem. Płynnym ruchem zeskoczył z siodła i uderzył. Potem znowu i

jeszcze. Nathaniel nawet się nie bronił, jego ciało początkowo podjęło próbę utrzymania równowagi, ale szybko zrezygnowało z tego pomysłu i runęło na ziemię. W tym momencie pięści zmieniły się w kopniaki, ale tylko na chwilę. Everson podniósł głowę i zauważył, że Matylda odciąga Duncana na bok.

– Ma już dosyć – stwierdziła kobieta. – Wystarczy.

– Jesteś cały? – spytał Magnus, nachylając się nad towarzyszem.

– Chyba tak, alkohol złagodził ból...

– To dobrze – powiedział Wielkolud, a później z rozmachem kopnął Nathaniela prosto w nos. Coś wyraźnie chrupnęło a głowa arystokraty odleciała do tyłu niczym szmaciana piłka. Tym razem alkohol okazał się niewystarczający, bo Księżę z pewnym zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że wrzeszczy z bólu.

– Teraz już na pewno ma dosyć – orzekł Flavius tonem znawcy.

– Widzisz, a ty chciałeś dołączać do Straży. W legionie takie rzeczy się nie zdarzają – zapewnił Ziutek. – Jak już biją, to przepisowo, w myśl regulaminu. A nie tak na środku traktu.

– Wy dwaj – przemówił Duncan, wreszcie puszczonej przez Matyldę. – Wracajcie do swoich zajęć. Magnus, załaduj naszego szlachcica na konia. Jutro rano czeka go długi patrol.

*

Nathaniel marzył o śmierci. Mimo zapewnień więdźmy, nalewka zostawiła po sobie dosyć potężnego kaca i bardzo wyraźne wspomnienia z poprzedniego wieczora. Matylda wprawdzie nastawiła mu nos, niemniej ból w żaden sposób się nie zmniejszył. Paliło go wszystko, zaś twarz spuchła mu tak, że rano nie mógł się rozpoznać w lustrze. Przy każdym ruchu odkrywał nowe siniaki na każdej części ciała. Jeszcze gorszy wydawał się kac moralny, choć Nathaniel nie był gotowy się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. Powtarzał, że to przez alkohol, normalnie nie posunąłby się do czegoś takiego. Choć czemu nie? Był księciem, Eversonem z Terylu. Czemu jakakolwiek kobieta miałaby mu odmówić?

– Jak się trzymasz? – spytał Edwin z prześmiewczym

uśmiechem.

Cholerny bard czerpał z tego patrolu zdecydowanie zbyt dużo przyjemności. Choć pewnie lepsze to niż nieprzejednane milczenie Magnusa, jadącego po drugiej stronie. I milczenie pozostałych, zanim wyjechali. Od rana wszyscy traktowali go jak powietrze. Co najwyżej rzucali potępiające spojrzenia. Poza Clarą. W jej oczach widział współczucie. Czy naprawdę stał się aż tak żaloszny, że współczuł mu byle kto?

To wszystko jej wina, dał się jej podejść, zmanipulować, niemal zapomniał, kim jest. Czuł, że pozwalał im na zbyt wiele przez te wszystkie miesiące.

Nachylił się i zwymiotował. Na siebie i na konia. Chciał coś z tym zrobić, ale był zbyt zmęczony i obolały.

– Mam wrażenie, że uderzyliście go w głowę o jeden raz za dużo – powiedział Edwin.

– Słyszycie? – przerwał mu Magnus. – Odgłosy walki.

Nathaniel podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Hałas faktycznie brzmiał jak walka. Rzecz musiała dziać się niedaleko. Pewnie na jednej z bocznych dróg, odchodzących od głównego traktu.

Ostrożnie ruszyli naprzód, ale nie ujechali daleko. Po zaledwie kilku metrach spomiędzy drzew wybiegła dwójka legionistów.

– Ratunku! Mordują! – wrzasnął Welin na widok Strażników. – Zasadzka!

– Uspokójcie się! Co się tam dzieje? – spytał Magnus.

– Zasadzka. Z lasu wyskoczyli, na nasz patrol. Ledwo zdołaliśmy uciec.

– Ilu?

– Co najmniej dziesięciu. Pewnie więcej. Może piętnastu czy dwudziestu...

Nathaniel miał dosyć tego gadania. Głowa bolała go niemiłosiernie i czuł, że zaraz znów zwymiotuje. Dobył miecza i ruszył w kierunku, z którego dobiegały odgłosy walki.

– A ty dokąd? – spytał Edwin.

– Jak to dokąd? Pomóc. Czy nie po to tu jesteśmy, by pomagać małuczkiem?

– Niezbyt im pomożesz, dając się zabić.

Ale za to pomogę wszystkim w tej cholernej komandorii – pomyślał Nathaniel.

– Chwała lub śmierć! – wrzasnął i ruszył przed siebie. Jego towarzysze zawahali się, ale ostatecznie ruszyli za nim. Nie obchodziło go to, nie potrzebował ich, nie potrzebował nikogo.

Wypadł z za zakrętu i dostrzegł grupkę dzikusów, zdzierających broje z martwych legionistów. Na jego widok rzucili się między drzewa. Nie mógł szarżować za nimi w zarośla, więc po prostu zatrzymał się na środku drogi.

– Wyłazić, tchórze! – wrzasnął, podczas gdy obok ucha przemknęła mu strzała. Próbował zeskoczyć z konia, ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa i zamiast tego spadł, uderzając dosyć mocno o ziemię. Miecz z herbem rodu Eversonów na głowni odleciał gdzieś na bok. Magnus i Edwin ruszyli na ratunek, ale grad strzał zmusił ich do wycofania się. Nathaniel usiłował się podnieść i dosięgnąć broni. Potrzebował miecza, bo wiedźma powiedziała, że nie zginie bezbronny. Nie zdążył. Potężnie zbudowany dzikus w hełmie legionisty podbiegł do Księcia i ciosem pałki sprowadził na niego ciemność.

*

Duncan siedział na cembrowinie starej kamiennej studni i rozmyślał. Konkretniej mówiąc, szukał sposobu, jakiegoś kruczka w regulaminie, który pozwoliłby mu ostatecznie pozbyć się Nathaniela z tej komandorii. Niestety, jak się okazało, niełatwo skreślić z listy rekrutów księcia Terylu.

– Nie powinieneś siedzieć na studni – stwierdziła Cass, podchodząc bliżej.

– A czemu?

– Bo to zła studnia. Wielu ludzi w niej zginęło.

– Pewnie dlatego ma kratę, żeby nikt tam nie wpadł.

– Nie, głuptasie. Krata jest po to, żeby umarli nie mogli wyjść – powiedziała tonem, który zwykle przybierają ludzie tłumaczący coś oczywistego. – Myślisz o Nathanielu?

– Teraz czytasz w myślach?

– Nie, po prostu masz tę minę. Zawsze ją masz, kiedy o nim

myślisz. Wyglądasz wtedy, jakbyś wachał coś śmierdzącego.

– Jak Clara sobie radzi?

– Jest smutna. I nadal nie chce powiedzieć, czemu Nathaniel jest taki zdenerwowany. A jest bardzo zdenerwowany.

– Wczoraj cię złapał, prawda?

– To nic, trochę się go bałam, ale nic mi nie zrobił.

– Bo Magnus mu przeszkodził.

– Myślę, że i tak nic by zrobił.

– Doprawdy? – Duncan wymownie spojrzał w kierunku Luciusa, który siedział na ławeczce pod wieżą i przesadnie głośno jęczał, podczas gdy Amelia nakładała maść leczniczą na jego siniaki.

– Myślę, że on jest zagubiony – powiedziała Cass. – Chyba wszyscy jesteśmy, no, poza tobą... i może Matyldą. Ale reszta? Wcześniej byliśmy inni, w pewien sposób niewinni, dzicy. Lucius mieszkał na wyspie z książkami i łysymi starcami, Magnus służył innym, Edwin i Clara mieszkali w wielkich miastach, a Nathaniel miał wielu służących, olbrzymi pałac i wszyscy go słuchali. Każdy pracował tylko na siebie. Wszyscy byliśmy niewinni, oprócz mnie. Kiedyś zgubiłam się w pałacu Eversonów. To było straszne, bo się tam włamałam, a włamanie to nie jest dobry moment, żeby się zgubić.

– Włamałaś się do pałacu władcy Terylu?

– Tylko raz. I tylko dlatego, że pewien starzec obiecał, że da mi jedzenie, jeśli przyniosę medalion, który kiedyś należał do niego. Ale kiedy to zrobiłam, okazało się, że starzec wcale nie istniał. Był chyba duchem albo głosem w mojej głowie, trudno powiedzieć.

– Co się stało z medalionem?

– Oddałam go. To znaczy rzuciłam go z powrotem przez mur wokół pałacu.

– Kiedyś musimy poważnie porozmawiać o tym, co jeszcze robiłaś, zanim tu przyjechałaś.

– Hej! – wrzasnęła Matylda ze szczytu wieży. – Patrol wraca! Tylko dwóch i nieźle pędzą!

Zaledwie kilka chwil później Magnus i Edwin wpadli na dziedziniec komandorii. Dopiero tutaj zwolnili i wreszcie

zatrzymali się przed studnią.

– Mają Nathaniela! – krzyknął Edwin.

– Kto ma? – spytał Duncan.

– Dzicy.

– Co?

– Trafiliśmy na zasadzkę dzikusów – zameldował spokojnie Magnus. – Rozbili patrol legionu. Nathaniel postanowił zaatakować.

– Sam?

– Podążyliśmy za nim, ale tamtych było zbyt wielu i mieli za dużo łuków.

– A Nathaniel? – spytała Clara, podbiegając.

– Spadł z konia. Potem któryś go ogłuszył. Pewnie wzięli go ze sobą. To było niedaleko stąd. Raczej nie mieli koni, więc możemy jeszcze ich dogonić, zanim schronią się w Puszczy.

– I co wtedy? – Duncan był sceptyczny.

– Jak to co? Odbijemy go. Napastników było dziesięciu, może kilku więcej. Możemy to zrobić.

– Chyba że po drodze przyłączy się do nich inny oddział, albo zastawią na nas zasadzkę. Jest tu zbyt wiele niewiadomych.

– Będzie więcej, jeśli ich nie dogonimy – włączyła się do rozmowy Matylda. – Wtedy Nathaniel zniknie w krainie Sklavian i już nigdy go nie odnajdziemy.

– Nie możemy zostawić go na pastwę dzikusów – stwierdził Magnus.

– Z tego, co mówicie, sam wybrał sobie taki los, atakując samotnie cały oddział.

– Mimo to nie możemy zostawić go na łaskę tych zwierząt. Nathaniel nadal jest jednym z nas.

– To zbyt ryzykowne. Weszlibyśmy w paszczę lwa, nie wiedząc, co jest przed nami. Wszyscy możemy tam zginąć. I dla kogo?

– Olaf... – spróbował Magnus.

– Olafa tu nie ma. Udał się na naradę ze starszymi wiosek, więc w tym momencie jest już zapewne bardzo nietrzeźwy. Możemy pojechać do obozu legionu i poprosić ich o...

– Będzie za późno – powiedziała Clara. – Wiem, że go nie znosisz i chcesz, żeby spotkała go kara za to, co zrobił Luciusowi,

ale on nadal jest jednym z nas. Nie możemy po prostu go zostawić.

– Sam zgotował sobie ten los. I do tego jeszcze naraził Magnusa i Edwina. Nathaniel jest poza kontrolą. Może to lepiej, że...

– Nie mogę uwierzyć, że to mówisz – stwierdziła Dama. – Wiesz co? Mam tego dość. Jadę mu pomóc. Nie wiem, jak wy.

Magnus i Matylida bez słowa ruszyli za nią.

– Przepraszam, nie chcę się później użerać z jego duchem – zapowiedziała Cass i też podążyła w kierunku stajni.

Edwin dołączył do niej. Duncan uśmiechnął się krzywo i wtedy usłyszał głos Luciusa:

– Jadę z nimi.

– Chyba żartujesz, nawet ty? Po tym, co zrobił? – uniósł się dowódca rekrutów.

– Nathaniel zasługuje na karę i nie wiem, czy mogę mu wybaczyć, ale jest jednym z nas i nie zasługuje na taki los. Poza tym jestem pewny, że już rozplanowałeś karę dla niego na kilka kolejnych miesięcy. Szkoda, żeby ją przegapił.

Duncan przeklął pod nosem.

– Po pierwsze, ty nie jesteś w odpowiednim stanie, by iść gdziekolwiek i pomagać komukolwiek. Po drugie, w waszym heroicznym porywie serca nawet nie wzięliście odpowiedniego ekwipunku. Magnus, Matylida i Edwin! Idźcie do zbrojowni. Potrzebujemy zbroi, łuków, kusz i dużo pocisków. Cass, biegnij po swoje noże, wszystkie. Clara i ja przygotujemy konie.

– Więc jedziesz z nami. – Edwin odetchnął z ulgą.

– Nie robię tego dla niego. Ale ktoś musi sprowadzić was żywych z powrotem. Jeśli przy okazji ocalimy tego dupka, moja strata.

*

Jaromir był zadowolony z siebie. Nie tylko udało mu się zdobyć dla swoich ludzi lepsze wyposażenie, ale także więźnia. I to szaraka! Ryzyko się opłaciło, choć Lutoszał pewnie nie pochwaliby takiego działania. Z wiekiem Wódz Synów Węża

stał się zbyt ostrożny, mimo że do dziś opowiadano historie o tym, jak śmiałe były jego wczesne rajdy. Ale to nic, czasy się zmieniały i teraz przyszła kolej, by to Jaromir zdobył sławę.

Maszerowali lasem w kierunku granicy Puszczy. Jeniec z trudem nadażał i ludzie bali się, że za bardzo ich spowalnia. Głupcy, czuli zabobonny strach przed szarakiem. To tylko człowiek, kolejny panicz z zachodu. Idiota, który sam wpadł w ich ręce. I do tego ktoś już mocno go poturbował. Sklavianina ciekawiło, kto i dlaczego, ale do tej pory powstrzymywał pytania. Nie chciał zdradzić się z tym, że rozumie przekłety język smokobójców. Nie można przesłuchać kogoś, kto nie rozumie pytań.

Jednak mężczyzna rozumiał. Języka nauczył go stary kapłan ichniejszego Deusa, którego ojciec trzymał jako niewolnika. A teraz, kiedy bezpieczne schronienie było już blisko, dowódca wyprawy poczuł się na tyle pewnie, że zdecydował się na rozmowę.

– Ty być szarak – zagadnął jeńca z uśmiechem. Tamten wyraźnie się zdziwił, ale odpowiedział.

– Szary Strażnik. Tak jakby. Jestem rekrutem.

– Czym?

– Rekrutem, to znaczy, że jeszcze nie zasłużyłem na płaszcz. Że dopiero muszę udowodnić swoją wartość. – Mężczyzna uśmiechnął się, jakby ubawiony tym stwierdzeniem.

– W takim razie ty robisz gówna praca.

– Zdecydowanie nie jest to mój najlepszy moment.

– Będzie gorszy. Ty teraz będziesz niewolnik.

– Prędzej zginę, niż będę służył takim zwierzętom jak wy.

W głosie więźnia dało się słyszeć butę. Jaromir się tym nie przejął, słyszał już gorsze obietnice, wypowiedane bardziej zdecydowanym tonem. W większości były to słowa rzucone na wiatr.

– To ty zginąć. Żercy zawsze potrzebować dobrych ofiar. Dla bogów. My mieć dużo bogów, to potrzebować dużo ofiar.

– Tak, słyszałem o waszych bogach, raczej nieśpieszno mi ich poznać.

– Ty być bogaty?

- Co?
- Ty mieć dobre ubrania. Świetne buty. – Jaromir wskazał na swoje stopy. – I miecz, taki z rysunkiem na ostrzu.
- Ma wygrawerowany herb mojego rodu.
- Właśnie, to znaczy, że ty bogaty.
- Mój ojciec.
- Bardzo bogaty?
- Zapewne bardziej niż ktokolwiek, kogo spotkałeś.
- Lutoszał ma dużą chatę i złote obręcze, i łańcuchy, i tron. A raz byłem w grodzie u Grakha, on ma całą osadę swoją. I dziesięć dziesiątek wojów, co tylko mu służą. Twój ojciec ma więcej?
- To twój przywódca?
- Lutoszał? Ano, to nasz wódz. Wkrótce dotrzeć tu z głównymi siłami. Trzy, może nawet cztery dziesiątki dziesiątek.
- Czterystu ludzi?
- Wojów, łupieżców. Syny Wąsza.
- Wąsza?
- Wąsza – potwierdził Sklavianin, podwijając rękaw i pokazując uświęcony tatuaż węża, który przed wyprawą zrobił mu jeden z żerców.
- Aha, tego Wąsza.
- Ano, Syny Wąsza są najlepsi łupieżcy. Perun nam sprzyja. A ja, Jaromir, poprowadzić natarcie. To być mój zwycięstwo.
- Jestem pewny, że miejscowi to docenią. Niemniej, jeśli mnie posłuchasz...

W powietrzu rozszedł się odgłos bliżej niesprecyzowanego zwierzęcia, świadczący, że straż tylna na coś trafiła. Woje momentalnie dobyli broni i zbiegli ze ścieżki. Jaromir pchnął więźnia w ręce Racibora, a sam ruszył na tyły. Już po kilku krokach usłyszał nadjeżdżającego konia. Gestem kazał towarzyszom przygotować łuki. Kilka chwil później spomiędzy drzew wyłoniło się zwierzę bez jeźdźca. Jeden z wojowników podbiegł do wierzchowca i złapał za cugle.

– Sam jest – zdążył jeszcze powiedzieć, zanim strzała przebiła mu gardło.

Nagle pociski zaczęły wylatywać z różnych kierunków,

trafiając kolejnych wojów. Dopiero teraz Jaromir zdał sobie sprawę, że weszli w zasadzkę. Było już jednak za późno, wojownicy rozbiegli się we wszystkich kierunkach, niektórzy walcząc, inni uciekając.

Jaromir zdecydował się podążyć za jeńcem, ale biegnąc pomiędzy drzewami dostrzegł lepszy cel. Była tam czarnulka, którą obserwował kilka miesięcy temu lub jakaś wystarczająco do niej podobna. Szła za groźnie wyglądającym wielkoludem, uzbrojona tylko w idiotycznie wąski miecz. Łatwa zdobycz. Bitwa mogła być przegrana, ale łupieżca nie miał zamiaru wracać do Puszczy z pustymi rękoma.

Zabawka dla baby – pomyślał i wskoczył w zarośla, próbując ominąć olbrzyma. Z tej odległości mógł już wyraźnie przyjrzeć się dziewczce. Zamiast sukni miała na sobie kolczugę i spodnie, ale to na pewno była ta sama. Kiedy kobieta się zbliżyła, Jaromir wyskoczył z krzaków i uderzył na nią z wrzaskiem. Nie spodziewał się oporu, więc naprawdę zaskoczyło go, kiedy brunetka, zamiast uciekać z krzykiem, ruszyła do ataku. Wojownik sparował jeden cios i drugi. Próbował przejąć inicjatywę, ale była za szybka. Przyparła go do drzewa, uderzyła jeszcze kilka razy i wreszcie minęła gardę. Ostrze jej śmiesznego, babskiego mieczyka uderzyło Jaromira w twarz.

Mężczyzna padł na ziemię, trzymając się za zranioną głowę. Nic nie widział, a krew obficie przeciekała mu przez palce. Odturlał się kawałek i z trudem otworzył jedno oko. Drugie uparcie odmawiało posłuszeństwa. Rozejrzał się dookoła. Walka wydawała się zbliżać do końca, brunetka gdzieś zniknęła.

– Żyjesz? – spytał Miłowit, wybiegając spomiędzy zarośli. – Ale nam dali łupnia.

– Moja twarz.

– Pokaż. O kurwa! Chyba, chyba oka brakuje... Ale nam uciekać, Jaromir. Większość ludzi już uciekła. Reszta nie żyje.

– Prowadź – rozkazał i podniósł się z trudem. Perun dał mu dziś lekcję, nie zapomni jej prędko.

*

Nathaniel uderzył z dużą siłą o drzewo. Nie był to najgorszy cios, jaki otrzymał w ciągu ostatniej doby. Właściwie na tym etapie był gotów uznać go za jeden ze słabszych. Dokoła ewidentnie toczyła się walka, choć wszechobecne zarośla utrudniały ocenę tego, kto walczy z kim i, co ważniejsze, kto wygrywa. Potężnie zbudowany Sklavianin, który pchnął go na drzewo, teraz stał z głupią miną i rozglądał się dookoła. Rozkazy Jaromira, czy jak mu tam było, najwyraźniej dotyczyły tylko pilnowania jeńca. Nathaniel zaczął nawet bez zbytniego zapału rozważać możliwości ucieczki, kiedy jego strażnik po prostu upadł. Dopiero podchodząc bliżej, Książę dostrzegł, że z oka mężczyzny wystaje nóż. Tylko jedna osoba w tej okolicy miała ostrzami z taką precyzją.

Cass pojawiła się obok bezszelestnie. Nie odezwała się, jedynie przystawiła Nathanielowi nóż do gardła i wbiła wzrok w jego twarz.

– Przepraszam – powiedział Szary Strażnik, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Był zmęczony i chciał już tylko zasnąć.

Dziewczyna uśmiechnęła się i płynnym ruchem przecięła więzy, krępujące jego dłonie.

– Dziękuję. – Podniósł z ziemi miecz zabitego Sklavianina. Walka dookoła cichła.

Pojedyncze kształty przebiegały pomiędzy drzewami, ale nie mógł ich rozpoznać. Kobieta posłała kilka kolejnych noży pomiędzy zarośla, jeden czy dwa razy chyba nawet kogoś trafiła.

– Czysto! – dotarł ich głos Duncana.

– Czysto! – odpowiedział Magnus.

– Tutaj, szybko! – wrzasnął Edwin.

Cassandra natychmiast pobiegła w kierunku, z którego dobiegał jego głos. Nathaniel chciał dotrzymać jej kroku, ale nie zdołał. Zamiast tego powlókł się za dziewczyną, powłócząc nogami. Minął kilka kolejnych ciał i zaczął wdrapywać się na zalesione wzgórze, na którym stała reszta Szarych Strażników. Otaczali coś leżącego na ziemi. Dopiero kiedy dotarł na szczyt, zdał sobie sprawę, że była to osoba. Kobieta.

– Musimy się śpieszyć! – krzyczał Edwin.

– Przyprowadzę konie – zaproponowała Clara.

– Już za późno – stwierdził Magnus.

– Nie! – Cass padła na kolana przy ciele. – Ona nie może... Ona jest taka silna! Ona nie może!

Matylda leżała na przesiąkniętej krwią ziemi. Złamane ostrze wystawało z jej klatki piersiowej.

– To koniec – powiedział z rezygnacją Magnus. – Dopadła trzech.

Wskazał leżące dookoła trupy.

– Przy czwartym była odrobinę zbyt wolna – pochylił się i zamknął jej oczy.

Duncan odwrócił się i spojrzał w kierunku Nathaniela. Na jego twarzy malował się ledwo kontrolowany gniew.

– To ty! To twoja wina! – Podeszedł bliżej, zaciskając pięści. – Nawet nie byłoby nas tutaj, gdyby nie twoja głupota!

Złapał Księcia za ubranie, przyciągnął bliżej i rzucił na kolana przy ciele Matyldy.

– Spójrz na nią! To powinieneś być ty! Powinieneś być martwy zamiast niej!

Nathaniel nie odpowiedział. Nie było nic, co mógłby powiedzieć.

– Przyprawdzą konie. – Głos Magnusa przerwał ciszę, dopiero gdy mroczne milczenie zdawało się być jedyną prawdziwą rzeczą wokoło. – Weźmiemy ciało...

– Nie – zaprzeczył Duncan. – On ją będzie niósł, całą drogę do komandorii.

– Spójrz na niego, on nie jest w stanie nawet sam tam dojść. Co dopiero zanieść...

– To rozkaz. Zanieś ją i pochowaj. Sam.

– To szaleństwo – uparł się Edwin.

Nathaniel miał dosyć ich krzyków. Z trudem podniósł ciało Matyldy i wstał. Ręce niemal od razu zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, podobnie nogi, ale to nic. Przyzwyczyił się już do bólu. Wykonał pierwszy krok, później drugi i trzeci. Wracił do domu i tylko to się liczyło.

Rozdział VII

Padał deszcz, nieprzyjemna mżawka. Niesione mocnymi podmuchami wiatru krople niemal poziomo uderzały w twarze zebranych. Duncan pomyślał, że to bardzo odpowiednie do okazji.

– Z prochu powstałeś... – mówił kapłan, stojąc nad dziurą w ziemi, do której przed chwilą opuszczono trumnę z ciałem Matyldy. Tłum słuchał w milczeniu. Na polu obok komandorii zebrały się prawie dwie setki ludzi. Zaskoczyło to dowódcę rekrutów. Na ostatni pogrzeb, który się tu odbył, nie przyszedł nikt z okolicznych mieszkańców. To pokazywało, jak długą drogę przeszli przez ten rok. Jak wiele sympatii i dobrej woli zyskali u tych ludzi. Mimo okoliczności Duncan poczuł dumę. Osiągnęli swój cel. Przynajmniej jeden z nich.

Modlitwa dobiegła końca, a wraz z nią pogrzeb. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić. Niektórzy zatrzymywali się jeszcze przy Olafie lub Manfreyu, by złożyć kondolencje. Inni po prostu ruszali do domów, chcąc jak najszybciej schronić się przed deszczem.

– Panie Duncan, można na słowo? – Kupiec Bolit raczej stwierdził, niż spytał, podchodząc w towarzystwie centuriona Eritusa. Obaj mężczyźni ubrani byli w czarne płaszcze, ale poza tym nie mogli chyba bardziej się różnić. Jeden niski, oblepiony fałdami tłuszczu i przyozdobiony fantazyjną biżuterią, drugi wysoki, umięśniony i oszczędny, zarówno w słowach, jak i w ubiorze. Byli niczym zatopiony w lukrze tort i żołnierska żelazna racja.

– Czy to nie może poczekać? – odparł Duncan bez nadziei na pozytywną odpowiedź.

– Czekają już wystarczająco długo – uparł się grubas. – Moi ludzie są przerażeni, dwóch już musiałem wychłostać, bo gadali o ucieczce.

– Czy obrona kopalni nie jest zadaniem legionu?

– Przed bandytami – powiedział twardo żołnierz. – To brzmi raczej jak coś, czym powinna zająć się Szara Straż. Poza tym nie ukrywam, że większość moich ludzi pochodzi z Rubieży i są...

przesądni.

Ostatnie słowo wymówił z odrazą.

– Czyli boją się pójść na wzgórze – ocenił Szary Strażnik.

– Pójdą, jeśli im nakazę. Ale, jak mówiłem, to wasze kompetencje.

Dowódca rekrutów rozejrzał się dookoła. Olaf już kuśtykał do wieży, wspierając się na ramieniu Magnusa. Na polanie nie pozostał nikt inny, kto mógłby odbyć tę rozmowę.

– W czym dokładnie tkwi problem? Wczoraj mówiliście o jakichś śpiewach...

– Tak. Już trzy noce to trwa. Dziwaczne śpiewy, ognie na wzgórzach. Od strony tej samotnej wioski pomiędzy wzgórzami.

– Dalekiej Osady – sprecyzował centurion.

– Właśnie. To brzmi, jakby odprawiali tam jakieś rytuały. A za dnia zaczęli podchodzić bliżej kopalni. Przyglądają się z krzaków, zostawiają jakieś dziwne przedmioty. Takie z patyków, magiczne jak nic. Pewnie jakieś klątwy rzucają. A wczoraj moi ludzie zaczęli widzieć... rzeczy.

– Co konkretnie?

– No, jeden mówi, że cienie tańcowały. Inny się zarzeka, że coś za nim się odbijało w szybie. Zaczynają krążyć plotki o duchach i tym, że ci ze wzgórz przyzywają demony. Bajki, czy może raczej koszmary. Im szybciej się tym zajmiecie, tym lepiej.

– Postaramy się – zapewnił Duncan. – Ale moi ludzie są teraz w niezbyt dobrej formie...

– Bzdura – przerwał legionista. – Strata towarzysza broni nie jest łatwa. Ale służba to służba. A teraz, chłopcze, zbierz swoich ludzi i rozwiąż problem. Banda dzikusów z Puszczy wciąż nam zagraża, nie ma czasu na uzalanie się nad sobą. Doprowadź podwładnych do porządku albo znajdź kogoś, kto zrobi to za ciebie. Rozumiemy się?

Duncan miał ochotę zbuntować się, uderzyć centuriona. Zmęczyła go ta rozmowa. Kiepsko spał poprzedniej nocy i miał dosyć wszystkiego. Niestety zdawał sobie sprawę, że mężczyzna ma całkowitą rację.

– Szara Straż zna swoje obowiązki – zapewnił, naśladowując szorstki sposób mówienia żołnierza. – I nie potrzebuje, by Legion

Imperialny o nich przypominał.

– To właśnie chciałem usłyszeć, chłopcze. Jeśli potrzebujesz więcej ludzi, mogę oddelegować część moich żołnierzy, ale...

– Nie ma takiej potrzeby, jeszcze nie teraz. Najpierw musimy się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia. A teraz panowie wybaczą, ale mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Wymienili obowiązkowe uprzejmości i Duncan ruszył w kierunku bram komandorii. Nie miał ochoty wracać, nie miał też ochoty zabierać podkomendnych w czające się na wzgórzach nieznane. Śmierć Ulgara nie zrobiła na nim aż takiego wrażenia. Nord sam był sobie winny, nie znali go, nie zawdzięczali mu nic. Matylda była częścią rodziny. I do tego zginęła w boju, pod jego dowództwem.

Przy bramie spotkał Nathaniela. Księżę stał w deszczu, ubrany w zniszczony błękitny płaszcz. Na ramię zarzucił niewielki tobołek. Nie przypominał teraz dostojnego arystokraty. Wyglądał raczej żałośnie, jak przemoczony kundel. Zdeformowana opuchlizną twarz jedynie dopełniała efektu.

– To dla ciebie – powiedział cicho Everson, podając Duncanowi ukryte w skórzanym pojemniku pismo. – Moja rezygnacja. Wygrałeś.

Dowódca rekrutów w milczeniu wziął paczkę.

– Myślałem, że będziesz bardziej radosny z tego powodu.

– W tej sytuacji nie ma nic radosnego.

– Nie. Zdecydowanie nie. – Nathaniel spojrział w kierunku świeżej mogiły.

– Nie byłeś na pogrzebie.

– Nie byłem pewny, czy będę mile widziany. Poza tym... zdążyłem się już pożegnać.

– Wracasz do Terylu?

– Z pierwszym transportem złota. Więc pewnie dopiero za kilka tygodni. Do tej pory zostanę w gospodzie w Nowej Srebrnicy.

Przez pewien czas panowała cisza. Wydawało się, że obydwaj mają coś jeszcze do powiedzenia, ale żaden nie mógł się zdobyć na to, by zacząć.

– Żegnaj, Księżę – odezwał się wreszcie Duncan.

– Żegnaj, Szary Strażniku – odpowiedział Nathaniel Everson i

powoli, utykając, ruszył przed siebie.

*

Owalna twarz księżycy jaśniała na niebie. Mimo porannego deszczu dzień był ciepły i temperatura nie zmieniła się wraz z nadejściem zmroku. Krótka czerwcową noc zastała Duncana ukrytego w lesie, nieopodal Dalekiej Osady. Wcześniej odwiedził kopalnię i przyjrzał się rzekomym magicznym amuletom. W rzeczywistości były to przedmioty rytualne, sklecone z patyków, piór i kości zwierząt talizmany niejasnego pochodzenia. Być może faktycznie miały sprowadzić klątwę, a może ochronić przed złymi duchami. Całe mnóstwo podobnych przedmiotów zdobiło ściany prymitywnych ziemianek, stanowiących wioskę. Duncan nigdy wcześniej nie odwiedzał tego miejsca. Tutejsi ludzie zawsze trzymali się na uboczu. Rzadko kiedy schodzili ze wzgórz i nigdy nie zapraszali nikogo do siebie. Byli całkowicie samowystarczalni i bardzo wyczuleni na punkcie prywatności. Do tego stopnia, że stanowczo wyganiaли każdego, kto wszedł na ich teren.

Oczywiście, wywoływało to masę najrozmaitszych plotek wśród mieszkańców Nowej Srebrnicy. Powszechnie uważano ludzi z Dalekiej Osady za bandę dziwaków, od których lepiej trzymać się z daleka. Niegroźnych dziwaków, należałoby dodać, gdyż nikt nie pamiętał, by kiedyś faktycznie użyli przemocy. Podejrzewano ich za to o dawanie schronienia ukrywającym się pośród wzgórz degeneratom, takim jak zbiry służące Olbrzymowi.

Duncan przybył tutaj sam. Mówił sobie, że w pojedynkę ma większe szanse pozostać niezauważony, ale wiedział, że tak naprawdę nie chciał ryzykować straty kogoś więcej. Prędzej czy później będzie musiał znów podjąć to ryzyko, ale jeszcze nie teraz. Tej nocy mógł poradzić sobie sam.

Coś zaczęło się dziać krótko przed północą. W świetle księżycy kolejne postacie zaczęły opuszczać brudne zabudowania wioski i podążać na pobliską polanę. Przybywali pojedynczo i małymi grupkami. Ubrani w szmaty lub całkowicie nadzy, nadchodzili niosąc bukłaki, naczynia i drewno, zrzucając na kilka nasypów

wewnątrz niewielkich, ogrodzonych kamieniami kręgów. Kiedy całe chłopstwo było już na miejscu, z wioski wyszła ostatnia osoba. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, którego jedyne ubranie stanowiła noszona na głowie czaszka jelenia z wyjątkowo imponującym porożem.

Trzymał on płonąca pochodnię, przy użyciu której rozpałił na polanie sześć stosów. Jego nadejściu towarzyszyły narastające śpiewy. Z każdym kolejnym ogniem dołączały do nich dźwięki instrumentów. Różnego rodzaju piszczałek i bębnów. Kiedy ostatni, największy stos stanął w płomieniach, muzyce zaczął towarzyszyć taniec. Szalony, pełny energii i życia. Ludzie stawali się rozmytymi plamami, podczas gdy rytm stale przyśpieszał. Rogaty biegał pomiędzy tancerzami i co jakiś czas wrzucał w ogień garść proszku, podawanego mu przez ludzi dookoła. Wyrzucało to w powietrze różnobarwne iskry i nadawało dymowi przyjemny, słodkawy zapach.

Dum, dum, dum – bębny stale przyśpieszały, rytm był już nieporównywalny z niczym, co Duncan słyszał w życiu, a mimo to tancerze zdawali się za nim nadażać. Coraz bardziej rozmyci i niewyraźni. Nagle jakaś para wypadła z szalonego korowodu. Przez chwilę leżeli na ziemi, oddychając z trudem, a później wpadli sobie w objęcia. Za tymi pierwszymi podążyli wkrótce kolejni. Ktoś zaczął roznosić bukłaki i wlewać ich zawartość do glinianych naczyń. Ludzie pili i śpiewali.

Muzyka zwolniła i nagle stała się bardzo zmysłowa. Równocześnie było w niej coś zwierzęcego, przyciągającego. Duncan sam nie był pewny, kiedy opuścił swoją kryjówkę. Świat dookoła stał się jakby nierzeczywisty, rozmazany, pokryty kolorami i zapachami. Szary Strażnik wolnym krokiem wkroczył w krąg świateł, ostrożnie stąpając pomiędzy zalegającymi trawę ciałami, splątanymi w zmysłowej orgii. Wszyscy wokół byli spoceni, gorący, upojeni tym dziwnym transem. I on był jednym z nich.

Jakaś dziewczyna złapała go za dłoń i pociągnęła za sobą. Była piękna niczym anioł ze starych opowiadań. Najbardziej zmysłowa i ociekająca erotyzmem istota, jaka mogła kiedykolwiek zaistnieć na tym świecie. Duncan pragnął tej

kobiety, i to żądzą, jakiej nie zaznał jeszcze nigdy w swoim życiu.

Cały świat nagle skurczył się do jej niebieskich oczu, pełnych ust i jędrnych piersi. W płomieniach tańczyły duchy, a piękna bogini spoglądała z wielkiego ogniska z aprobatą na to, co działo się dookoła.

I był tam Olbrzym. Szyderczo spoglądał na scenę, podczas gdy młody Szary Strażnik z nabożną czcią całował najwspanialsze z ust, pozwalając, by ktoś ścigał z niego koszulę. Chciał już tylko stać się częścią tej wilgotnej, ogłupionej chucią masy, zlać się w całość z...

Właśnie wtedy jego wzrok zatrzymał się na miedzianym pierścieniu z herbem Szarej Straży. W nagłym przyływie zdrowego rozsądku odskoczył od dziewczyny, odruchowo łapiąc za rękojeść miecza. Świat nadal był zamazany i niewyraźny, przesłonięty fioletową mgłą. Pocierając oczy, Duncan spróbował ruszyć w kierunku skraju polany. Potknął się o kogoś i wylądował na ziemi, pomiędzy płataniną ludzkich ciał. Z bliska wyraźnie widział ich brudne, pokraczne korpusy, czerwone ze zmęczenia twarze i wybałuszone puste oczy. Uniósł się z trudem i spojrzał na niewiastę, która jeszcze przed chwilą wydawała mu się aniołem. Teraz była niska, zgarbiona, dziwnie nieproporcjonalna. Jej wspaniałe piersi stały się nieładnie obwisłe, a twarz brzydka, niesymetryczna, naznaczona śladami po ospie.

Wszyscy tacy byli. Lekko zdeformowani, dziwaczni, odpychający. I była tam też Ona. Bogini obserwująca spośród płomieni. Jej głowę zdobiło poroże, jej przypominające macki włosy wiły się jak stado węży. Oczy miała czerwone i drapieżne, usta wypełnione ostrymi nożami zębów. Ciało istoty wydawało się zszyte z licznych korpusów, hermafrodytyczne, miejscami pokryte czerwonymi łuskami. Na plecach miała parę wielkich, czarnych skrzydeł – jedno ptasie, drugie nietoperze.

Trzech mężczyzn podeszło do niej, jeden padł na kolana, a pozostali dwaj zaczęli śpiewać, po czym poderżnęli towarzyszowi gardło i wrzucili ciało w płomienie. Przez twarz potwora przemknął spazm rozkoszy.

Duncan zobaczył dosyć. Podniósł się z trudem i wznowił wędrówkę w kierunku linii drzew. Jakaś kobieta złapała go za rękę, próbowała przyciągnąć do siebie. Wyrwał się czym prędzej.

– To i tak koniec – powiedziała z rozbawieniem. – Wszyscy wkrótce zginiemy. Co za różnica?

– Pani chce ci się przyjrzeć – odezwał się jakiś mężczyzna, wskazując największy stos. Stwór faktycznie patrzył wprost na niego.

Próbował odejść, ale ludzie dookoła zaczęli go chwytać i ciągnąć w kierunku ognia. Wyrywał się, bił, kopał, wreszcie dobył miecza i ugodził jednego z napastników. Reszta zdawała się tego nie zauważać. Pani wydawała się tym wręcz rozbawiona.

Duncan wyprowadził kolejny cios i następny. Jego wzrok znów stał się zamazany, fioletowa mgła przysłaniała wszystko, obiecując spokój i ukojenie. By z tym walczyć, skupił się na gniewie, na nienawiści. Ciął na prawo i lewo z jak największą siłą.

Wreszcie udało mu się wyrwać. Dosłownie wyrąbał sobie drogę przez tłum i wpadł pomiędzy drzewa. Pędził na złamanie karku, z trudem łapiąc równowagę na nierównym terenie i starając się omijać liczne drzewa. Dopiero kiedy w uszach przestały mu dudnić rytmy bębnow, pozwolił sobie stanąć. Oddychał z trudem, ledwie dostrzegając zamazany i pokryty mgłą świat. Jego miecz oraz ubranie lepiły się od krwi. Co gorsza, nie był pewny, gdzie się znajduje.

– Ciężka noc? – spytał dudniący głos Olbrzyma.

Duncan momentalnie wyprowadził cios w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Zamiast przeciwnika trafił drzewo.

– Już to chyba przerabialiśmy – odezwał się tamten tuż za nim.

Kolejny atak, kolejne drzewo.

– Mam zwidy – stwierdził Szary Strażnik, z trudem wydobywając głos.

– Poniekąd. Nie jestem wytworem twojej wyobraźni, ale nie jestem również z tobą w tym lesie.

– Czego chcesz?

– Napawać się sytuacją? A może po prostu obserwować? Kto to

wie.

– Ci ludzie...?

– Użyteczne narzędzia – poprawił Olbrzym, w jego głosie brzmiało rozbawienie.

– To coś w płomieniach?

– Efekt uboczny. W magii, jak w życiu, czasami trzeba iść na kompromis z nieprzyjemnymi typami, by osiągnąć swój cel.

– Czego chcesz? – Duncan zdołał wreszcie opanować drzenie głosu.

– Drogi chłopcze, to nie jest ten rodzaj opowieści. Nie mam zamiaru zdradzić ci mojego planu. Pokonanie mnie będzie kosztowało więcej niż czcza gadanina.

Mgła rozwiewała się, a świat dookoła stawał się znów wyraźny.

– Twoje ciało naprawdę zostało zniszczone. Teraz jesteś tylko duchem, projekcją astralną lub podobnym zjawiskiem. Możesz tylko mówić – odparł dowódca rekrutów, łapiąc się upragnionej świadomości.

Wziął głęboki oddech. Odnalazł na niebie odpowiedni gwiazdozbiór i ruszył na południe, w kierunku cywilizacji. Ignorował dalsze słowa Olbrzyma. Wiedział już wszystko, czego mógł się tu dowiedzieć. Teraz potrzebował kogoś, kto poskłada wszystko w całość i wskaże mu wyjście z sytuacji. Ruszył do Starego Dębu.

*

Świtało, kiedy dotarł na miejsce. Mimo wczesnej pory Ilidia siedziała na swoim miejscu. Czekala.

– Witaj, Duncanie z Szarej Straży – odezwała się słabym głosem staruszki. – Co sprowadza cię w moje progi o tak wczesnej porze?

– Nie wiesz?

– Być może moja wiedza ma swoje granice. A może po prostu jestem uprzejma.

– Czym jest stwór w ogniu? – Mężczyzna był zbyt znużony na jej gierki słowne.

– Succubem.

– Jak go zatrzymać?

– Succuba czy Olbrzyma? Succuba będzie łatwo, to ludzie go przyzwali. Jeśli przestaną go czcić – odejdzie. Olbrzym zaś... Nie możesz go dotknąć, zranić mieczem. Nie możesz go nawet znaleźć. Ale możesz pokrzyżować jego plany. Powstrzymać mieszkańców Dalekiej Osady, zwalczać inne rzeczy, które spróbuje wywołać, zwalczać objawy.

– To za mało! Chcę go pokonać. Zniszczyć raz na zawsze.

W pomieszczeniu nastąpiła cisza. Zielarka uniosła głowę i pod kapturem dało się dostrzec jej niezdrowo żółte oczy. Przez chwilę uważnie przyglądała się zmęczonej twarzy Duncana, a później powiedziała to, co i tak oboje już wiedzieli.

– Oczywiście, że jest sposób. Zawsze jest sposób. Zwalczanie ognia ogniem. Ale doskonale wiesz, że wiąże się to z ceną. Zawsze jest cena.

– Jaką ceną? – Duncan pomyślał, że zdradzenie wszystkich zasad, których przyrzekał przestrzegać, samo w sobie jest sporą ceną, ale nie był na tyle naiwny, by sądzić, że na tym się skończy.

– Ból.

– Potrafię znieść ból.

– Nie twój ból, chłopcze. To byłoby zbyt łatwe. Ofiara musi być prawdziwa, musi kosztować. Inaczej to jedynie jarmarczne sztuczki. – Głos staruszki stał się silniejszy, bardziej zdecydowany. – Czy jesteś gotów ją zapłacić, czy najpierw spróbujesz bardziej... tradycyjnych metod?

Szary Strażnik nie odpowiedział. Wstał i ruszył w kierunku drzwi. Wiedział, że nie myśli rozsądnie. To nie był dobry moment na podejmowanie decyzji. Wyszedł na zewnątrz i wziął głęboki oddech. Musiał wrócić do domu, do komandorii. Odpocząć, oczyścić umysł. I przygotować się na to, co nadchodziło. Wciąż miał w zanadrzu kilka kart do rozegrania.

*

Lucius celowo uwiązał swojego konia kilkaset metrów od gospodarstwa, tam, gdzie znalazł rumaka Magnusa. Niezgrabnie

pokonał drewniany płot i cicho zakradł się do stodoły, szczególnie uważając na psa Brzydala. Mimo że słońce zdążyło już wspiąć się dosyć wysoko po nieboskłonie, okolica nadal wydawała się pogrążona we śnie. Mnich wślizgnął się do pomieszczenia i rozejrzał dookoła. Promienie wpadające przez przerwy między deskami ujawniały fragmenty garderoby, porozrzucone pomiędzy stosami siana.

– Magnus? – szepnął Szary Strażnik. – Magnus, jesteś tu?

Coś poruszyło się w sianie na poddaszu i po chwili oczom mężczyzny ukazała się otoczona zmierzwioną rudą czupryną głowa jednej z wnuczek starego Nolana. Zaspana dziewczyna usiadła i spojrzała w dół, równocześnie prezentując Luciusowi parę niewielkich, kształtnych piersi. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, a później Nolanówna zdała sobie sprawę ze swojej nagości i zanurkowała w siano. Mnich z pewnym zakłopotaniem stwierdził, że nie poświęcił twarzy niewiasty dosyć uwagi, by rozpoznać, do której z mieszkańek gospodarstwa należała.

– Co jest? – Tym razem z góry dobiegł męski głos. – Lucius, to ty?

– Duncan wzywa. Właśnie wrócił z Dalekiej Osady i kazał zwołać wszystkich. To znaczy nas i legion. Kapłana też. Starszych wiosek i...

– Dobra, rozumiem. Już schodzę. – Wielkolud ziewnął głośno i odwrócił się do swojej towarzyszki. – Przykro mi, dziewczyny, obowiązki wzywają.

Mnich dopiero teraz zauważył, że wśród elementów odzieży zaścielających podłogę są dwie sukienki. Z poddasza dobiegły odgłosy pocałunków, a później mężczyzna zeskoczył na jeden ze stosów siana i zaczął pośpiesznie zbierać swoje ubrania. Lucius tymczasem uważnie wpatrywał się w wyższą kondygnację, próbując dostrzec, kto jeszcze spędził tam noc. Zdecydowanie ulżyło mu, kiedy dostrzegł drugą rudą czuprynę.

– Zbierajmy się – nakazał Magnus. Z góry dobiegł chichot.

– Czy...? Tam były dwie kobiety, prawda? – spytał nieśmiało Mnich, gdy oddalili się od gospodarstwa.

– Tak, Arita i Tatria – odpowiedział Wielkolud obojętnie.

– Arita i... chwila, czyli to były... siostry?

– Tak.

– I ty... spałeś z dwiema naraz?

– No cóż. Nie naraz, choć... No, w każdym razie, w krótkich odstępach czasu.

– I zgodziły się na to?

– No cóż, nie protestowały... Właściwie to jakby same zaproponowały. To znaczy, byłem z jedną z nich i druga nas nakryła. Wypiliśmy trochę alkoholu... Czy naprawdę musimy o tym rozmawiać?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. – Ciekawość i zakłopotanie tematem walczyły w głowie Luciusa. – Po prostu... Wiesz, pomyślałem, że to trochę dziwne, że spędzasz tyle czasu rozmawiając z kapłanem i... sam rozumiesz. Święte pisma są dosyć kategoryczne w sprawie spania z kobietą przed ślubem. Nie przypominam sobie, by wspominały o spaniu z dwiema, lecz zgaduję, że zasada jest taka sama.

– Wiem. – Magnus wydawał się zakłopotany tym tematem nawet bardziej niż poprzednim. – Cóż mogę powiedzieć, życie jest krótkie. Jak mogę pozbawiać je możliwości spróbowania tego?

Wskazał na swoje ciało, prezentując niezbyt przekonujący, szelmowski uśmiech.

– Cytujesz Edwina.

– Cóż... Naprawdę nie mam pojęcia, co ci powiedzieć. Grzeszę, nie jestem doskonały. A jednak robimy coś dobrego jako Szarzy Strażnicy. Może nie zawsze wychodzi doskonale, ale gdyby nas tu nie było, ta okolica wyglądałaby dużo gorzej. I myślę sobie, że to przynajmniej zrównoważy fakt, że tych kilka... dziesiąt razy zdarzyły mi się... niezbyt krótkie chwile słabości.

Magnus uśmiechnął się smutno.

– Wiesz, chyba nigdy nie byłem z dziewczyną, którą bym kochał. Choć nie było ich też zbyt wiele, to znaczy tych, które kochałem. – Nie brzmiało to jak przechwałka, po prostu stwierdził fakt. – To dosyć krępujący temat do rozmowy tak zaraz z rana. Może po kilku głębszych.

– Wiesz... To trochę niezręczna sytuacja. Ta, w której cię zastałem.

- To też. Więc mamy spotkanie, powiadasz.
- Tak, obrady. Musimy się śpieszyć – zdecydował Lucius, kiedy dotarli do koni. – I... możemy jechać w ciszy, jeśli chcesz.

*

Narada odbywała się w na parterze wieży. Wokół dębowego stołu zasiedli starsi wszystkich wiosek oraz centurion Agreivius, kupiec Bolit, ojciec Norbert, Olaf i Duncan. Reszta Szarych Strażników siedziała pod ścianą. Było krótko po południu i Duncan nie znalazł jeszcze czasu, by przespać choćby chwilę, niemniej zdążył się przebrać i zjeść śniadanie. Popijał wzmacniający wywar, przygotowany przez Luciusa, przyglądając się twarzom zebranych. Widział, że jego opowieść wywarła na nich spore wrażenie. Pytanie brzmiało, czy wystarczające.

- Pierwsze słyszę, żeby succub był w stanie zrobić coś takiego.
- Jako pierwszy odezwał się Bolit.
- W historiach, które ja słyszałem, to one raczej gwałcą śpiących.

Zaśmiał się głupawo. Duncan w jednej chwili spojrzał na Luciusa. Mnich podniósł się i odkaszlnął. W rękach trzymał opasłe tomisko, jakby próbował się nim zasłonić przed widownią.

– Faktycznie, większość istot znanych pod wspólną nazwą succubus lub succub to byty stanowiące raczej małe zagrożenie. Nachodzące ludzi we śnie i spółkujące z nimi. Niemniej, kroniki Straży znają przypadki potężniejszych succubusów, posiadających własne kultury. Przed powstaniem Imperium były nawet plemiona, a nawet całe państwa-miasta oddające cześć demonom, które zakwalifikowalibyśmy jako rodzaj succubusów. Najczęściej kult praktykowano poprzez zabawy, picie i seksualne orgie.

- I kto powiedział, że religia musi być nudna? – szepnął Edwin.
- Opowieść Duncana pasuje do tych historycznych zapisów – kontynuował Lucius. – Choć składanie ofiar poprzez podrzynanie gardła to zdecydowanie anomalia, więc można przypuszczać, że to akurat sprawka Olbrzyma.

– Chwila – przerwał mu centurion Agrevius. – Co ma do tego wszystkiego ten cały Olbrzym? Bo odkąd tu przyjechałem, w kółko słyszę to miano, ale nikt nie potrafi mi wyjaśnić, kim on jest ani czego chce.

– To skomplikowane – stwierdził Duncan. – Olbrzym jest niezidentyfikowanym bytem, który najwyraźniej potrafi przetrwać mimo braku ciała. Do tego ma pewną władzę nad ludźmi zamieszkującymi na wzgórzach. Kiedy ostatnio z nim walczyliśmy, użył tych degeneratów, by porwać trzy dziewczynki, a następnie zamordować jedną z nich. Na szczęście udało nam się ocalić pozostałe dwie i przerwać rytuał, zanim osiągnął swój cel, ale...

– No właśnie, cel – upierał się legionista. – Jaki jest jego cel?

– Nie wiemy – przyznał dowódca rekrutów. – Ale jeśli wymaga podrzynania ludziom gardeł, zapewne nie jest to nic dobrego. Dlatego musimy działać i to szybko. Najlepiej jeszcze dzisiaj, zanim poświęcą więcej ludzi...

– Czyli nie wiemy, jaki jest jego cel – ponownie przerwał oficer. – Skąd wiemy, że to w ogóle jego sprawa? Z tego, co mówiłeś, oni składają ofiary temu succubowi. Może jeśli nic nie zrobimy, to bestia naje się trupów kolejnych dewiantów i sobie pójdzie. Najlepiej zabierając ich wszystkich ze sobą.

– Jak mówił Lucius, succuby nie żywią się śmiercią swoich wyznawców. Przypuszczalnie Olbrzym używa demona, by kontrolować tych ludzi i zmuszać ich do zabijania się. To rodzaj współpracy. Tak czy inaczej musimy zakładać, że to Olbrzym stoi za tym wszystkim i ma jakiś plan, którego realizacja z pewnością nie skończy się dobrze dla nikogo z zainteresowanych.

– Duncan starał się włożyć w swoje słowa jak najwięcej stanowczości, ale widział na twarzach zgromadzonych, że nie są przekonani. Mimo to postanowił przejść do głównego tematu: – Dlatego proponuję zebrać ludzi i wkroczyć do Dalekiej Osady jeszcze dzisiaj. Przed kolejną orgią.

– Mamy zaatakować wioskę zamieszkałą przez ponad setkę ludzi? – zdziwił się sędzia Adrian.

– Ci ludzie są prymitywni, niezorganizowani, słabo uzbrojeni i niewyszkoleni. Jestem pewien, że nie napotkamy silnego oporu.

Uderzając większą grupą, zaprawioną w bojach, zdołamy ich rozbić przy minimalnych stratach.

– Co nam da rozbić ich? – spytał Agrevius. – Rozbiegną się po wzgórzach, poukrywają i poczekają, aż sobie pójdziemy, a później wrócą. Poza tym, jeśli są tak tchórzliwi, to pewnie uciekną jeszcze zanim tam dotrzemy. Na pewno znają te wzgórza lepiej od nas, a nadejścia większego oddziału tak łatwo nie ukryjemy.

– Pomyślałem o tym – próbował uspokoić go Duncan. – Niewielka grupa przekradnie się dookoła wioski i uderzy od północnego wschodu. Zrobimy dużo hałasu i zmusimy ich do ucieczki na południowy zachód, tam będą czekać główne siły, rozwinięte na dłuższym odcinku, by złapać uciekających w pułapkę. Część na pewno się przecisnie, ale większość powinniśmy złapać.

– I to wystarczy, by powstrzymać ten tajemniczy plan tajemniczego Olbrzyma? – W głosie centuriona dało się słyszeć kpinę.

– Mam nadzieję...

– Ja mam pytanie – wtrącił się ojciec Norbert. – Co zrobimy z tymi ludźmi później? Bo mówimy tu o pochwyceniu prawie setki mieszkańców tej osady. Na jak długo? Gdzie będziemy ich trzymać? Kto będzie ich pilnował? Co będą jeść? Bo jestem pewny, że nie zmieszczą się w celach pod tą wieżą.

– No cóż, to bardziej problematyczne – przyznał dowódca rekrutów. – Przy odrobinie szczęścia, jeśli przeniesiemy ich w inne miejsce i powstrzymamy przed oddawaniem czci succubowi, demon odejdzie i problem rozwiąże się sam. Oczywiście w międzyczasie trzeba będzie stworzyć warunki do przetrzymywania tych ludzi. Legion ma dosyć pracy, przygotowując obronę przed atakiem Sklavian, więc będą się tym musieli zająć miejscowi. Dlatego zaprosiłem tu starszyznę.

– Nasi ludzie też są zajęci budową umocnień – zaprotestował Bors, starszy Nowej Srebrnicy. – Sam powtarzałeś, że to teraz najważniejsze.

– Więc nie wiadomo, co z nimi zrobić ani jak długo trzeba ich będzie przetrzymywać – podsumował kapłan. – Czy możliwe, że

nigdy nie będą wolni od wpływów succuba?

– Mało prawdopodobne – zapewnił Lucius.

– Więc możliwe. A nawet jeśli nie, to nadal jedynym rozwiązaniem jest ich zaatakować, zapewne zabić część z nich w walce, a następnie uwięzić resztę. Czy oczekujemy, że będą nam za to wdzięczni? Że po uwolnieniu nie będą szukać odwetu? Nie przyłączą się do zagrażających nam dzikusów?

– Obawiam się, że nie mam na to odpowiedzi – przyznał Duncan.

– Wygląda na to, że masz dla nas ogólnie bardzo mało odpowiedzi, panie Duncan – zauważył Bolit.

Przy stole wybuchło zamieszanie. Ludzie przekrzykiwali się, głównie wytykając kolejne wady zaproponowanego planu. Nawet na twarzach pozostałych rekrutów malowało się zważenie. Jedynie twarz Olafa zdawała się nie wyrażać nic. Po prostu siedział tam i patrzył. Czekał.

– Cisza! – krzyknął wreszcie dowódca rekrutów. – Dajcie mi coś powiedzieć! Przyszlście do mnie i poprosiliście, by Szara Straż zbadała sytuację, oceniła zagrożenie. Zrobiłem to i oto mój... Oto, co Szara Straż ma w tej kwestii do powiedzenia. Zagrożenie jest realne i może być poważne. Nie da się go zażegnać prostym rozwiązaniem. To będzie wymagało poświęceń i trudnych decyzji. I, prawdę powiedziawszy, nie mam jeszcze wszystkich odpowiedzi. Ale stoimy tu przed prostym wyborem. Możemy działać i próbować powstrzymać to, co nadchodzi albo stać na zboczu góry, czekając na lawinę i mieć nadzieję, że nie zmiecie ona nas wszystkich. No cóż, ja wolę działać, bo uwierzcie mi, każda lawina, której wywołanie wymaga, by ludzie podrzynali sobie nawzajem gardła, będzie na tyle silna, by zmieść przynajmniej część tej okolicy.

Zapadła cisza. Powoli, jeden po drugim, wszyscy zgromadzeni zwracali swój wzrok na twarz Olafa. Wreszcie Duncan podążył za nimi i dostrzegł, że na twarzy Szarego Strażnika pojawił się uśmiech.

*

Narada trwała jeszcze przez kilka godzin. Ustalono dokładny plan ataku, rozdzielono zadania i wybrano miejsce, gdzie przetrzymywani będą schwytani mieszkańcy Dalekiej Osady. Nie zabrakło przy tym sporów i kłótni, czasami denerwująco trywialnych. Kiedy wreszcie wszystko zostało powiedziane, uczestnicy spotkania rozjechali się, by przygotować swoich ludzi na to, co miało nastąpić tego wieczoru.

Duncan miał nadzieję, że po wszystkim znajdzie choćby chwilę na sen, ale los miał co do niego odmienne plany. Cały czas pojawiały się kolejne rzeczy do zrobienia i zanim się obejrzał, zbierał się do wyprawy, popijając wzmacniający napar Luciusa i zakładając kolczugę. W baraku siedział jeszcze Edwin, wybierając bełty do swojego kołczanu. Reszta rekrutów czekała już na zewnątrz, przy koniach.

– To była niezła przemowa, ta o lawinie – zagadał śpiewak.

– Dzięki.

– Wprawdzie odległość od najbliższego pasma górskiego sugeruje, że większość ludzi w tej okolicy nigdy nie widziała lawiny, ale mimo wszystko. Niemniej, tak się zastanawiam. Wiesz, tylko myślę na głos...

– Co?

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz? To znaczy, nie żebym wątpił w twoje umiejętności dowodzenia...

– Nie mam pojęcia – przyznał dowódca rekrutów. – Ale wierzę w to, co powiedziałem. Musimy powstrzymać Olbrzyma.

– Nawet nie wiemy, jakie są jego zamiary. Słuchaj, rozumiem, że lepiej coś robić, niż nie robić nic, ale... Nie sądzisz, że śmierć Matyldy może wpływać na twoją ocenę sytuacji?

– Dobra przemowa – odezwał się Olaf, wchodząc do pomieszczenia. – I dobre porównanie. Większość ludzi wie o lawinach tylko tyle, że są cholernie niebezpieczne i powinno się trzymać się od nich z daleka. Śmieszek, zostaw nas.

– Tak jest. – Bard pośpiesznie zebrał swoje rzeczy i wyszedł na zewnątrz.

– Doceniam pochwałę – przyznał Duncan. – Niemniej...

– Mam w dupie twoje docenianie! – przerwał mu ostro Szary Strażnik. – Co ty, kurwa, wyprawiasz?! Włóczysz się samotnie

nocami po zagrożonym terenie.

– Uznałem, że większa grupa za bardzo zwróci uwagę miejscowych...

– Chuj, a nie uznałeś! Jesteś dowódcą rekrutów, a nie jakimś cholernym Nomadem. Jeszcze jeden taki numer i wylatujesz z tej komandorii, rozumiemy się?

– Tak. – Rekrut spuścił głowę.

– No. Masz szczęście, że na tej naradzie pokazałeś, że jednak nie jest z tobą tak tragicznie.

– Więc sądzisz, że mam rację? Że musimy...?

– Nie mam pojęcia. Masz plan, widziałem gorsze. Słuchaj, młody, już ci mówiłem, nie jestem typem przywódcy. Ale spotkałem w życiu dosyć przywódców, by wiedzieć, że jakaś decyzja zwykle jest lepsza niż żadna. A teraz wbij sobie do głowy: to twoja gra, twoje rozdanie i twoje karty. Jadę z wami, więc jakby były kłopoty, będę pod ręką, ale to ty dowodzisz. A to znaczy, że musisz być gotowy na wszystko. Jeśli Pierwszy Imperator nadleci nagle na cholernym smoku, to masz sprawiać wrażenie, że od początku się tego spodziewałeś, rozumiesz? I pamiętaj, nieważne, jak to się skończy – podjąłeś decyzję, wzięłeś na siebie odpowiedzialność, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić. Więc pluj na to, co powiedzą inni. Jeśli wygrasz, będą cię całować w stopy, jeśli przegrasz... No cóż, pewnie wszyscy będziemy martwi lub w niewoli jakiegoś demona. Wtedy to już nie będzie istotne. Jakies ostatnie pytania?

Duncan pokręcił głową.

– I dobrze. Jeśli o mnie chodzi, już zasłużyłeś sobie na ten cholerny płaszcz. Ojciec byłby z ciebie dumny. A teraz idź i pamiętaj: nie musisz być nieomylny. Wystarczy, że wykonasz, co zamierzasz.

Dowódca rekrutów wyszedł na dziedziniec. Jego ludzie stali tam, uzbrojeni po zęby i gotowi do drogi. Czekali jedynie, aż wyda rozkaz. Duncan przełknął ślinę, walcząc z nagłą ochotą, by zostawić to i uciec jak najdalej.

– W drogę – powiedział krótko i dosiadł swojego konia.

*

Wkroczyli do wioski szybko i w sile. Magnus biegł obok Duncana, za nimi pozostali rekruci i kilku legionistów, w sumie piętnaście osób. Niewielu w porównaniu z liczbą przeciwników, ale nadrabiali uzbrojeniem, wyszkoleniem i determinacją. Wiele godzin zajęło im dotarcie na odpowiednią pozycję i słońce chyliło się już ku zachodowi, ale za to zdołali uniknąć zwiadowców wroga. A teraz wreszcie ruszyli, wrzeszcząc i próbując wystraszyć przeciwników.

Niepotrzebnie. Daleka Osada była pusta. Obskurne ziemianki stały na swoich miejscach, pomiędzy nimi walały się narzędzia, śmieci i tym podobne, ale brakowało ludzi i zwierząt hodowlanych, które uprzednio dostrzegł Duncan. Dowódca rekrutów nie pozwolił im zatrzymać się na długo, rzucił jedynie okiem na opuszczone zabudowania i natychmiast skierował oddział w stronę pobliskiej polany. Tam też odnaleźli swoich wrogów.

Wielkie ogniska dogasały już. Dookoła nich, na świeżej trawie, leżały nagie ciała mieszkańców. Nie było na nich śladów przemocy, brakowało krwi i porzucanej broni, które na ogół towarzyszyły poboju. Wyglądali wręcz spokojnie, jakby smacznie spali. Dopiero podchodząc bliżej można było zauważyć, że nie oddychali.

Jeden z legionistów cofnął się i zaczął wymiotować. Pozostali też wyglądali na zszokowanych. Oprócz Szarych Strażników. Nawet Lucius zdawał się patrzeć na wszystko zimnym, analitycznym wzrokiem. Po wydarzeniach ostatniego roku nie powinno to być aż tak zaskakujące, niemniej skłoniło Magnusa do krótkiej refleksji. Zmienił się, to miejsce ich zmieniło.

– Trucizna? – spytała Clara.

– Zapewne – ocenił Mnich. – W wodzie lub jedzeniu. Ktokolwiek ich zabił...

– Zrobili to sami – stwierdził Duncan posępnie. – Zabili wszystkie zwierzęta hodowlane, wzięli zapasy jedzenia i alkoholu. Przyszli tu za dnia i urządzili ucztę. Tańczyli, śpiewali, pili, składali hołd swojej bogini... A później zasnęli. Leżąc tu, jedni obok drugich. Spóźniliśmy się, to koniec.

– Ale nic się nie stało – zauważył Magnus. – Jeśli Olbrzym

dopiął swego, to czemu nic się nie stało?

– Może jeszcze tego nie dostrzegliśmy? – zastanowił się Edwin.

– Dzieje się – powiedziała Cass, spoglądając na południe. – Zbiera się energia. Duchy wrzeszczą. Zlatują się nowe. Ale to jeszcze nie koniec. To dopiero narasta.

– Śmierć tych ludzi musiała wyzwolić jakąś moc. Może przedarła zasłonę do innego świata? Ale cokolwiek ma się stać, dopiero się dzieje. Więc może jest jeszcze czas... – dokończył Lucius.

– Gdzie? – W głosie Duncana był pośpiech.

– Kamienna studnia przy wieży – odpowiedziała Cassandra.

– Tuż pod naszym nosem. – Dowódca rekrutów zerwał się do biegu. – Niech ktoś zajmie się trupami, wy wracajcie do komandorii, pozbądźcie się kraty ze studni, będziemy musieli wejść do środka.

– A ty?

– Ruszam po pomoc!

Głos Duncana dotarł już spomiędzy drzew. Magnus spojrzął na pozostałych rekrutów, na ich twarzach malowało się to samo zwątpienie, które nie opuszczało jego myśli.

– Słyszeliście rozkazy! – Spróbował przywołać ich do porządku.

– Wy dwaj, jak się nazywacie?

– Ziutek i Flavius – odpowiedział pośpiesznie jeden z legionistów.

– Ruszajcie na południe, powiedzcie waszemu dowódcy, co się tu stało. Niech przyśle kilku ludzi, żeby zebrali drewno, trzeba będzie spalić trupy. Starsi wiosek niech wracają do siebie i każą ludziom schronić się w domach. Niech nie wychodzą, dopóki nie wyślemy wiadomości, że jest bezpiecznie.

– Tak jest... – Flavius się zawahał. – Ale, panie, co ma się stać?

– Deus jeden wie, ale pewnie nic przyjemnego. Biegnijcie. Reszta za mną. Czas zająć się tym, za co nam płacą.

*

Było już po zmroku, kiedy Duncan dotarł na miejsce. Najtrudniejsza okazała się przeprawa przez las do miejsca, gdzie

zostawili konie. Dalsza droga minęła szybko. Noc była bardzo jasna, bezchmurne niebo było usiane gwiazdami i ozdobione wielkim księżycem.

Na miejscu oczekiwał go komitet powitalny złożony ze stada kotów. Tym razem zwierzęta siedziały na dachu chatki i uważnie przypatrywały się Szaremu Strażnikowi. Było ich więcej niż rankiem. Tak dużo, że cały dach wydawał się składać tylko z nich. Na okolicznych drzewach w podobnych ilościach zaległy kruki. Duncan zignorował to. Sztuczki nie robiły na nim wrażenia, w momencie kiedy na horyzoncie oczekiwało coś dużo bardziej złowrogiego.

– Powróciłeś – stwierdziła wiedźma bez cienia zaskoczenia, kiedy tylko przekroczył próg. – Czy to znaczy, że podjąłeś decyzję?

– Nie mam czasu na pytania, na które znasz odpowiedź – przerwał jej twardo. – Co mam robić, by go powstrzymać?

– Przygotujesz wywar i podasz go komuś do wypicia.

– Co sprawi ten napar?

– Ból. Dużo bólu. Ale da też siłę, by walczyć.

– Sam go wypiję.

– Wywar nie może dać mocy, jedynie wzmocnić już istniejącą.

– Dla kogo więc go przyrządzić?

– Doskonale wiesz, dla kogo. – Wiedźma wyjęła z rękawa szaty kartkę papieru. – Tu jest receptura wraz z wymaganymi formułami magicznymi. Wszystkie składniki są przygotowane. To nie zajmie ci dużo czasu.

– Czemu sama tego nie zrobisz?

– Już mówiłam. To, że znam słowa, nie oznacza, że jestem gotowa je wypowiedzieć. To twoja decyzja i twoje konsekwencje. Gotowy?

Duncan miał ochotę odwrócić się i wyjść. Wiedział, że powinien tak zrobić. Zakon nie zwalcza ognia ogniem, to pierwsza rzecz, jakiej go nauczono. Powtarzano mu to w nieskończoność. Było tysiąc powodów, by odejść i tylko jeden, by zostać. Wyciągnął rękę i wziął kartkę z recepturą.

*

– Musisz to wypić – powiedział Duncan, wyciągając fiolkę w kierunku Cassandry.

– Co to? – spytał Edwin, przyglądając się naczyniu.

– Nasza jedyna szansa – odpowiedział dowódca rekrutów.

Stali na dziedzińcu Komandorii 54, tuż obok wykonanej z szarego kamienia studni. Zajęło to kilka godzin ciężkiej pracy, ale żelazna krata zniknęła, poleciała w dół, a odgłos, który wydała przy zderzeniu z podłożem był ostatecznym dowodem, że zalegająca na dnie szybu ciemność nie skrywała nawet najmniejszej ilości wody.

– Czy dobrze zgaduję, że masz to od wiedźmy? – drażył temat bard.

– Tak, pomogła mi przygotować ten napar.

– Więc chcesz napoić Cass jakimś dziwnym wywarem od osoby podejrzewanej o używanie magii. Czy umknął mi gdzieś moment, kiedy przestaliśmy zwalczać takie rzeczy?

– To jedyna metoda, by powstrzymać Olbrzyma – upierał się Duncan.

– Powstrzymać przed czym? – Śmieszek nie ustępował. – Nawet nie wiemy, co chce zrobić. Nawet nie wiemy, czy coś się dzieje.

– Dzieje się – wtrąciła Cass, wyraźnie próbując nie patrzeć w kierunku studni. – I to coraz bardziej. To już niedługo.

– Może powinniśmy poczekać na Olafa – zaproponowała Clara.

– Co to da? – Duncan zaczynał mieć dosyć tej dyskusji. – On i tak nie podejmie decyzji, zostawi to mnie. Jak zawsze. Poza tym jego to nie obchodzi. Jeśli cała ta komandoria pójdzie w cholerę, to on tym szybciej dostanie się do swojej ukochanej Komandorii 11. Z dala od tego wszystkiego. Gdyby chciał wziąć na siebie odpowiedzialność, byłby tutaj, z nami. Zamiast tego pomaga w utrzymywaniu porządku w Nowej Srebrnicy. Co to w ogóle znaczy? Jeśli zawiedziemy, nie będzie Nowej Srebrnicy...

– Tego nie wiesz. – Włączył się do rozmowy Magnus. – I w tym tkwi problem, nie wiemy, co się stanie. A ty proponujesz coś, co wyraźnie łamie wszystkie zasady Szarej Straży. Lekarstwo, które może być gorsze od choroby.

– Masz lepszy pomysł? Ktokolwiek z was ma lepszy pomysł? Bo

bierne czekanie nie wchodzi w grę, a ja nie mam nic poza tą fiolką.

Zapadła cisza. Oczywiście, że nikt z nich nie miał odpowiedzi. Byli jedynie bandą młokosów, stojących naprzeciwko czegoś, co przerastało większość doświadczonych Szarych Strażników. Do tej pory udawało im się przetrwać dzięki szczęściu. Duncan miał tylko nadzieję, że jeszcze nie wyczerpali swojego zapasu farta.

Cassandra przyjęła fiolkę i powąchała zawartość. Skrzywiła się, spojrzała jeszcze raz na Duncana, a później wypija zieloną ciecz jednym haustem. Skrzywiła się ponownie i zakaszła, ale poza tym mikstura zadawała się nie wywierać żadnego efektu.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Lucius.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Obrzydliwe.

– I co teraz? – Edwin zwrócił się do swojego przełożonego.

– Teraz schodzimy na dół – odpowiedział Duncan z całą pewnością siebie, na jaką w tym momencie mógł się zdobyć. Podszedł do studni i sprawdził umocowanie drabinki sznurowej, następnie przełożył nogi przez krawędź, uważając na kikuty krat wciąż wystające z kamienia. Powoli zaczął schodzić w ciemność.

Po kilku metrach całkowicie stracił orientację. Żałował, że w zdenerwowaniu nie wpadł na to, by najpierw zrzucić tu zapaloną pochodnię. Wreszcie jego stopy dotknęły podłoża, przez podeszwę wyczuł żelazną kratę. Postawił na niej drugą nogę i momentalnie stracił równowagę. Najwyraźniej spadła na niestabilne podłoże. Po kilku bolesnych chwilach wyczuł, że leży na stercie wyschniętych patyków.

– Wszystko w porządku? – dobiegł go krzyk Magnusa.

– Tak! Tylko jest tu ciemno. Zrzućcie mi pochodnię!

Po chwili coś spadło z góry i przeleciało tuż obok głowy Duncana. Kolejne cenne minuty zajęło mu odnalezienie i rozpalenie pochodni, ale gdy się to udało, ulga błyskawicznie ustąpiła przerażeniu. Zdał sobie sprawę, że przedmioty, na których siedzi, w rzeczywistości są kośćmi.

Natychmiast zerwał się na nogi i rozejrzał. Były wszędzie. Stare, wyschnięte, łamiące się przy każdym jego kroku.

Ludzkie kości. Czaszki, żebra, biodra, wszędzie w zasięgu światła, całkowicie pokrywające podłogę.

– Co tam jest? – spytał Edwin.

– Cmentarzysko – odparł posępnie. – Możecie schodzić, nie widzę tu nic groźnego... Na razie.

Pierwszy dołączył do niego Magnus. Rozsądnie zniósł własną pochodnię przywiązaną do pasa. Za nim podążyli kolejni, postępując podobnie. Nikt nie dał po sobie poznać, że sterty kości robią na nim wrażenie, co wywołało u Duncana pewną dozę dumy.

– Co to za miejsce? – dopytywała się Clara.

– Pobojowisko – stwierdził Magnus, wygrzebując spośród szkieletów fragmenty broni i zbroi. – Bardzo stare pobojowisko.

– Niejedno – sprostowała Cass, jej głos brzmiał dziwnie, obco.

Z jamy, w której się znaleźli, wychodził korytarz. Kręta droga schodząca coraz niżej. Stąpając po kościotrupach, mijali ledwie widoczne malowidła, przedstawiające sceny batalistyczne. Niektóre były prymitywne i bardzo proste, inne szczegółowe i malowane z rozmachem. Realizm mieszał się w nich z fantazją, odmalowani z niebywałą dokładnością legionieści z groteskowymi demonami. Postacie na malowidłach zdawały się poruszać w świetle pochodni. Śledziły wzrokiem swoich gości, swoich nowych towarzyszy broni. Każde chrupnięcie miażdżonej kości wydawało ledwo słyszalny dźwięk. Może szept. Duncan nie był pewny. I do tego dochodził zapach. Nie był to smród rozkładu, a coś dużo bardziej intensywnego. Nikt z obecnych nie potrafił opisać tego, co czuli, ale wiedzieli, jakie wywoływało to w ich umysłach skojarzenia. Spokój, odpoczynek, sen, śmierć. Wreszcie wędrownica dobiegła końca. Ich oczom ukazała się potężna jaskinia, wypełniona jeszcze większą ilością ludzkich szczątków.

– Przybyliście – odezwał się dudniący głos Olbrzyma.

Wszyscy chwycili za broń i zwrócili się w kierunku przeciwnika. Stał on na skraju kręgu światła, rzucanego przez ich pochodnie. Wysoki i potężnie zbudowany, z szyderczym uśmiechem na ustach.

– Witajcie w moim domu. Czyż to nie zabawne, że leży on tuż

pod waszym? Od początku mnie to bawiło. Ale cóż sprowadza was w moje skromne progi?

Wzrok potwora skoncentrował się na Cassandrze. Dziewczyna odwzajemniła spojrzenie i zastygli tak w całkowitym bezruchu. Wykorzystując sytuację, Magnus zamachnął się na przeciwnika, ale jego ostrze przeszło przez ciało, nie napotykając żadnego oporu.

– Jego tam nie ma – wyjaśnił Duncan. To tylko złudzenie.

– Co się dzieje z Cass? – Clara podbiegła do przyjaciółki i pomachała ręką przed jej oczami. – To jakby była w jakimś transie.

– Walczy z Olbrzymem – ocenił Lucius.

*

Nagle cała jaskinia się zatrzęsała. Pochodnie zgasły, wywołując powszechną panikę. Wśród zamieszania powoli zaczęły pojawiać się małe światełka. Ogniki krążące nad kośćmi. Cass krzyczała. Z sekundy na sekundę coraz głośniejsze, zaś jaskinia wibrowała, jakby miała się zawalić. Edwin rzucił się w kierunku wyjścia. Lucius stał w miejscu, całkowicie sparalizowany strachem. Clara próbowała wybić Cassandrę z transu, potrząsając nią. Magnus wrzeszczał, domagał się odpowiedzi, wyzywał Olbrzyma do bezpośredniego starcia.

Duncan po prostu stał, oparty o ścianę. Wiedział, że nie ma już niczego, co mógłby zrobić. Zastanawiał się, czy to koniec. Czy odrzucił wszelkie zasady, którym służył i poprowadził swoich przyjaciół na śmierć? Czy dał się oszukać wiedźmie?

Nagle jakaś niewidzialna siła uniosła Szarych Strażników i rzuciła nimi o ściany, a później zapadła ciemność.

*

Cassandra stała na środku pola bitwy. Niezliczone zastępy wojowników ścierały się w całkowitym bezładzie. Nie było tu szeregów formacji, czy nawet stron. Jedynie chaos, krew i ból. Jakiś legionista zamachnął się na nią. Odskoczyła, ale ostrze

drasnęło ją w ramię. Ból był prawdziwy.

Skoczyła pomiędzy walczących, próbując uciec prześladowcy. Nagle z nieba sypnęły się strzały, jedna musnęła jej policzek. Walczący zdawali się nie zwracać na to uwagi. Ranieni krzyczeli i krwawili, ale nie przerywali walki. Nie zatrzymywali się nawet na moment.

A w środku tego szaleństwa, otoczony symfonią przemocy, stał Olbrzym. Górował nad całą sceną, ze stoickim spokojem przyglądając się zagubionej wśród walczących dziewczynie. Cass ruszyła w jego stronę. Przemykała pomiędzy wojownikami, unikając sypiących się z wszystkich kierunków ciosów. Czyjaś tarcza uderzyła ją w plecy, topór drasnął brzuch, nóż wbił się w nogę. Rozdzierało ją od środka, jakby eliksir wiedźmy przepalał wnętrzności. Kiedy wreszcie dotarła do celu, była wyczerpana, zbyt zmęczona, by uniknąć jego ataku.

Olbrzym złapał ją za głowę i uniósł w górę. Potężna ręka bez trudu zasłaniała całą jej twarz, dotyk palił, a śmiech zdawał się dobiegać zewsząd.

– I oto wysłali dziecko, by mnie powstrzymało. Żałosna próba żalosnej Komandorii.

Cisnął nią niczym szmacianą lalką. Przeleciała nad walczącymi w wiecznej bitwie duszami i uderzyła o kamienistą ziemię. Wylądowała twarzą w kałuży krwi. Dopiero brak powietrza zmusił ją do ruchu. Odwróciła się na plecy i zaczęła wycierać posokę z oczu.

Po chwili dotarło do niej, że nie słyszy już odgłosów walki. Rozejrzała się i dostrzegła, że wszyscy zamarli, zwrócenii w jej kierunku. Ból trawiący jej trzewia stawał się nieznośny. Z trudem podniosła się i wykonała pierwszy krok w kierunku Olbrzyma, ale wtedy wojownicy nagle ożyli. Wyciągali do niej ręce, wołając w setce dziwacznych języków. Wszyscy ruszyli, tratując się nawzajem, byle bliżej, byle jej dotknąć, a ich dotyk palił. Wypalał skórę, przepalał się przez fizyczną powłokę, dotykał duszy. Jedyne, co mogła zrobić, to krzyczeć.

I to też zrobiła.

W jednym przerażającym momencie jej wrzask zatrzęsł fundamentami tego świata. Skrwawieni żołnierze odlecieli od

niej jak wystrzeleni z katapulty. Ci bardziej oddaleni rzucili się do ucieczki, w panice, byle dalej. Jeszcze przed chwilą mordowali się nawzajem bez mrugnięcia okiem, a teraz czmychali jak małe myszki. Gdyby nie straszliwy ból wywołany przez eliksir wiedzy, mogłaby się roześmiać.

Ale nie wszyscy się jej bali. Nie on. Nie Olbrzym.

– Nie doceniłem cię – przyznał. – Myślałem, że jesteś tylko kolejnym czującym, ale ty jesteś czymś więcej. Jesteś jak ja. Ale to nadal za mało. Nawet z twoimi możliwościami nadal nie jesteś w stanie mnie pokonać...

– Dosyć! – przerwała mu. Ból był nie do wytrzymania, ale dawał jej siłę. Czowała to, jak wtedy, kiedy razem z chłopcem walczyli z Ciemnością. – Mam dosyć twojego gadania! Mam dosyć gadania was wszystkich! Zawsze, w każdej chwili, w mojej głowie, moich snach! Myślisz, że jesteś potworem?! Już nie!

Ruszyła naprzód, podkreślając każde słowo kolejnym krokiem, czując coraz większy ból i coraz większą siłę.

– Teraz... ja... jestem... złym... wilkiem!

Rzuciła się do przodu, wyjąc jak oszalała. Jej paznokcie były szponami, a zęby kłami. I nic na świecie nie mogło jej powstrzymać. Olbrzym dał się tym zaskoczyć, ale szybko odzyskał rezon. Zaczęli wymieniać ciosy, krzycząc i... spadając. Lecieli w dół z zawrotną prędkością, atakując się w sposób, którego Cass nie była w stanie nawet zrozumieć. Nie mieli ciał. Nie mieli nic prócz bólu.

Spadali przez kolejne poziomy piekła, podczas gdy wokół cały czas grzmiała bitwa. Krew, ogień i śmierć wypełniały wszystko, całą egzystencję Olbrzyma i tych, którzy towarzyszyli mu w tym miejscu. Ale nie zawsze tak było. Cassandra dostrzegała okruchy tego, co istniało wcześniej. Niczym cienie utraconego świata zapomnianego przez wszystkich, którzy w nim żyli. Echo śmiechu, szczęścia, rodziny, słońca, wiosny, wiary, honoru. Wszystko to pochłonięte zostało przez kolosalne fale zdrady, cierpienia i wiecznej wojny.

A potem, kiedy ból stał się już nie do wytrzymania, wszystko się zatrzymało i we dwójkę spadli na dno.

Leżała na plecach, otoczona śniegiem, powoli sypiącym się z

ciemnego nieba. Całe jej ciało zdawało się zrobione z cierpienia i koniec był jedynym, czego pragnęła. Żądała spokoju, choćby i wiekuistego. Zająłoby sporo czasu, zanim zdała sobie sprawę, że śnieg w rzeczywistości był popiołem. Dostrzegła płonące chaty i żalosne pobożowisko, na środku którego leżała. I była tam wieża. Wielka szara wieża, jak ta na herbie Szarej Straży. Jak ta w komandorii. I był też Olbrzym. Leżał obok niej, wyczerpany, umierający, pokonany.

– Więc to już – powiedział słabym głosem, pozbawionym wszelkich śladów dawnej buty. – Śniłem o tej chwili. Od tak dawna.

Cass próbowała podpełznąć do niego, ale zabrakło jej sił.

– Nie ufaj im – wyszeptał Olbrzym. – Kiedy już dadzą ci pierścień i płaszcz, i powiedzą, byś dla nich patrzyła. Nie ufaj im. Wreszcie zrozumieją, że przerażasz ich bardziej niż potwory, z którymi walczysz, i zdradzą cię.

Cassandra chciała odpowiedzieć, ale nic nie przyszło jej do głowy, więc patrzyła na słońce wychodzące zza chmur.

A później wszystko zniknęło w światłości.

*

Magnus podniósł się z trudem. W pomieszczeniu panował nieprzenikniony mrok. Gdzieś z wszechobecnej czerni docierały jęki Edwina.

Nagle na skraju jego pola widzenia zaiskrzyło światło pochodni. W słabym świetle pomieszczenie wydawało się niezmiennione. Szarzy Strażnicy podnosili się spod ścian. Cass leżała na środku pomieszczenia. Nie ruszała się.

– Musimy ją zabrać na górę – wykrzyczał. – Edwin, przynieś linę! Duncan... Duncan!

Dowódca rekrutów stał w rogu pomieszczenia, przyglądając się jakiemuś kształtowi.

– To Olbrzym – stwierdził zaskoczony.

Przed nim leżało coś. Dziwny kształt okazał się zawinięty w stary, zniszczony płaszcz. Pomarszczony, przykurczony, pozbawiony włosów starzec. Kiedy zbliżyli pochodnię do jego

głowy, mężczyzna otworzył oczy, białe i ślepe. Magnus odskoczył, instynktownie sięgając po miecz.

– Koniec – z trudem powiedział staruszek. – Nareszcie koniec.

– Jaki był twój plan?! – spytał twardo Duncan. – Co chciałeś zrobić?

– To już koniec. Stało się. Przegrałem i teraz spokój.

– Nie! Słyszysz mnie? Co chciałeś zrobić? Czego chcia...

– Wszystko znika we mgle... Czuję...

Po chwili nastąpiła grobowa cisza.

Dowódca rekrutów odłożył pochodnię i usiadł ciężko. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Wpatrywał się jedynie pustym wzrokiem w leżącego przed sobą trupa.

Wielkolud miał już odejść, ale jego uwagę zwrócił niewyraźny tatuaż na szyi starca. Podniósł pochodnię i przyjrzał się bliżej. Rysunek przedstawiał węża owijającego się wokół szarej wieży i szeroko otwarte oko.

– To pieczęć – odezwał się zmęczonym głosem Duncan. – A ten płaszcz pod warstwami brudu jest szary.

– Zakonnik.

*

Nawet przy nikłym świetle księżycy wyraźnie dało się dostrzec, że chatka wiedźmy była brzydka i brudna. Dookoła leżały śmieci, szkielety zwierząt i resztki jedzenia. Cuchnęło tu niemilosiernie. Magnus nie zwracał na to uwagi, bywał już w gorszych miejscach. Podszedł do drzwi szybkim krokiem i załomotał w nie kilka razy pięścią. Otworzyły się same, skrzypiąc przy tym nielitościwie. Biały gruby kot o niebieskich oczach siedział w kącie, przyglądając się przybyszowi. Poza nim w pomieszczeniu było jedynie małe palenisko i ona. Błada postać w czarnej, podartej szacie, ozdobionej kośćmi zwierząt. Stała przy ogniu, wyprostowana i emanująca siłą. Jej skórę pokrywały zmarszczki, ale z pewnością nie wyglądała tak staro, jak w opisach ludzi, z którymi rozmawiał.

– Witaj, Magnusie, synu Avagisa.

– Mam być pod wrażeniem? – spytał beznamiętnie, podchodząc

bliżej. Jego dłoń spoczywała pewnie na rękojeści miecza.

– To zależy tylko od ciebie. – Wiedźma zmierzyła przybysza wzrokiem. W jej ciemnych oczach nie dostrzegł nawet cienia strachu. – Przyszedłeś mnie zabić?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Czemu nie? Kiedy ostatnio popełniałeś morderstwo, byłeś bardziej zdecydowany. Czy mnie też każesz wykopać własny grób?

– Ocaliłem wtedy tę okolicę przed potworem. Czy ty jesteś potworem?

– Nazywano mnie już gorzej.

– Co do tego nie mam wątpliwości.

Przez chwilę toczyli pojedynek na spojrzenia. Magnus nie ustąpił, był całkowicie spokojny.

– Czemu więc przybyłeś, Magnusie, synu Avagisa?

– Nie nazywaj mnie tak – ostrzegł ją.

– Czyżbym trafiła w czuły punkt? Wybacz.

– Ponieważ powstrzymałem ojca Norberta, kiedy przyszedł cię wygnać. Powiedział wtedy, że tym sposobem na mnie spoczywa odpowiedzialność. I miał rację. To czyni mnie współwinnym.

– Współwinnym czego? Ocalenia tej okolicy przed zakusami Olbrzyma? Współwinnym kolejnego sukcesu Szarej Straży?

– Współwinnym tego, co stało się z Matyldą, Nathanielem, Cass i Duncanem.

– Cassandra dojdzie do siebie. Pozostała trójka sama wybrała swój los.

– Doprawdy? A co takiego im powiedziałaś? Duncanowi, Clarze, Nathanielowi. Wszyscy przyszli tutaj i rozmawiali z tobą. I wtedy to się działo. Łamali własne zasady, ulegali mrokowi. – Magnus pozwolił, by w jego głosie zabrzmiała odrobina gniewu. – Co im powiedziałaś?

– Jedynie prawdę. Wszyscy zadali mi pytania i każde z nich uzyskało odpowiedź. Czy ty również pragniesz odpowiedzi?

– Nie masz żadnej odpowiedzi, jakiej mógłbym pragnąć.

– Wiem, jak zginiesz.

– Interesuje mnie tylko to, jak żyję.

– Dobra odpowiedź, synu Avagisa.

– Nie nazywaj mnie tak! – Magnus zrobił krok w jej kierunku, ale powstrzymał się.

– Bo co, zabijesz mnie? – Wiedźma wydawała się rozbawiona. – Nie chcesz więc mojej prawdy. Czego zatem pragniesz, poza kimś, kogo mógłbyś winić?

– Sądzisz, że twoje gierki mnie przekonają? Że pozwolę, byś zamydliła mi oczy tak, że nie dostrzegę tego, co oczywiste? Jesteś wiedźmą. Nie zielarką, nie mądrą staruszką. Wiedźmą. A Szara Straż zwalcza wiedźmy. Dlatego to zrobiłaś, prawda? Pomogłaś Duncanowi, by wkraść się w jego łaski, a później zatruliła jego umysł. Sprawiałaś, by sam sięgnął po te przeklęte metody, złamał swoje przysięgi, zatracił własną duszę i przy okazji skrzywdził Cass, jedyną osobę, która może nas ostrzec, kiedy wreszcie sama sięgniesz po czary. Przy okazji namieszałaś w głowach Clarze i Nathanielowi.

– Ulegasz paranoi. Powiedz, czy dzicy też są moimi sługami? Czy pragnę zniszczyć całą okolicę?

– Nie wiem. Choć raczej bym tego nie wykluczał.

– Więc jednak wszystko tu jest moją winą. Co za szczęście, że ludzie nie są odpowiedzialni za własne czyny. To wszystko wina złej wiedźmy.

– To, że nie wiem, jak duży jest rozmiar twoich zbrodni, nie oznacza, że nie popełniłaś żadnych.

– Oczywiście, każdy ma coś na sumieniu.

– Znałem już takich jak ty. Uwielbiacie gadać. Mówicie, mówicie i mówicie. A kiedy wasze słowa wydadzą owoc, jedynie stwierdzacie, że to nie wasza wina. Że wy tylko mówiliście. Politycy, artyści i wiedźmy. Pierdoleni manipulatorzy.

– Przejdźmy więc do czynów, synu Avagisa.

– Nie nazywaj mnie tak! – Doskoczył do Ilidii i złapał ją za szyję.

– Podjąłeś więc decyzję. Znów będziesz oskarżycielem, sędzią i katem? – spytała staruszka, całkowicie ignorując jego wybuch.

– Ktoś musi.

– Umrzesz tak jak on. – Głos wiedźmy zabrzmiał inaczej, jakby dochodził z bardzo odległego miejsca. – Będziesz leżał samotny na łożu śmierci, a kiedy twoja dusza wreszcie opuści ciało, wielu

ludzi będzie prawie pochlebstwa, ale spośród tych których kochałeś nikt nie uroni nawet jednej łzy. Umrzesz jak twój ojciec, synu Avagisa.

Ostrze zagłębiło się w ciele Ilidii, przebijając je na wylot. Kobieta jęknęła cicho i nachyliła się do przodu, opierając głowę na ramieniu swojego zabójcy.

– Chcę, byś wiedział – wyszeptała z trudem – byś zawsze pamiętał moje prawdziwe imię... Ragana.

*

Przed świtem Magnus zatrzymał się przy jeziorze, by zmyć krew i sadzę z dłoni oraz twarzy. Długo patrzył, jak płonie dom czarownicy, jak koty uciekają z chaty, a mieszkańcy przychodzą lamentować. Uciekł przez okno na tyłach budynku, pozostawiając ciało wiedźmy na pożarcie ogniowi. Nie mógł nic poradzić na splamioną tkaninę ubrania, więc wtarł w nią ziemię. Pierwsze promienie słońca oświetlały już wieżę komandorii, kiedy dotarł na miejsce.

– Wyglądasz koszmarnie – przywitał go pełniący wartę przy bramie Edwin. – Ciężka noc z wnuczkami Nolana?

– Coś w tym stylu – odpowiedział beznamiętnie.

– Ponoć było jakieś zamieszanie w Starym Dębie.

– Plotki rozchodzą się tu błyskawicznie.

– No cóż, jakby na to nie patrzeć, nasza wspaniała siedziba leży przy głównym i jedynym trakcie tej okolicy. Więc słyszałeś coś o tym, co się działo?

– Ponoć spłonął dom wiedźmy. – Magnus nie miał sił, by kłamać.

– Doprawdy? – Bard udał zaskoczenie. – No cóż, może to i lepiej? Lucius musiał założyć Cass tyle opatrunków, że biedaczka wygląda jak mumia. Na szczęście to nic poważnego, choć kto wie, jak to odbije się na jej już i tak schorowanej psychice.

– Mamy jakichś gości? – spytał Wielkolud, patrząc na konie uwiązane na dziedzińcu.

– I to sporo. – Twarz Edwina jeszcze bardziej spochmurniała. – Przybyli krótko po twoim wyjeździe. Legioniści, starsi wiosek...

Przy okazji wyjaśniło się, co porabiał Olaf w czasie, kiedy my walczyliśmy ze złym, pradawnym demonem... czy czymkolwiek to było.

Odchrząknął i kontynuował:

– W nocy wrócili zwiadowcy legionu. Nie mieli najlepszych wiadomości. W sumie chyba rzadko mają. Ostatecznie wysłała się ich, by ostrzegali przed zagrożeniem, więc zwykle przynoszą złe wieści. To musi być strasznie niewdzięczna praca. Jak się okazuje, Jaromir nie kłamał. Cztery setki zbrojnych, może więcej. Zapewne więcej.

– Kiedy?

– Za dwa, góra trzy dni. Wiesz, nie znam się za bardzo na wojaczce. Czterystu uzbrojonych dzikusów to dużo?

– Nie, jeśli ma się do dyspozycji prawdziwy legion z południa.

– To, co mamy do dyspozycji, to nie jest prawdziwy legion z południa, prawda?

– Obawiam się, że nie jest to nawet podobne.

– Nagle moja cela w Błękitnym Porcie zaczęła się wydawać całkiem przytulna. Może powinienem tam wrócić?

– Tylko jeśli zabierzesz mnie ze sobą.

Rozdział VIII

Zabite deskami okna przepuszczały jedynie pojedyncze promienie słońca, pogrążając wnętrze karczmy w półmroku. Mimo że od ataku demona minęło niemal pół roku, Duncan miał wrażenie, jakby nadal w powietrzu można było wyczuć zapach krwi.

– Chciałbym myśleć, że postąpiłem właściwie – powiedział, siadając przy kontuarze i nalewając sobie piwa. – Myślę nad tym już drugi dzień i wciąż nie widzę żadnej innej drogi. Żadnego wyjścia. Po prostu zrobiłem to, co uznałem za konieczne. A mimo to wiem, że zrobiłem źle. Złamałem zasady, których przyrzekałem bronić i zapewne pogrzebałem swoje szanse na Szary Płaszcz. Ale to nie to najbardziej mnie w tym wszystkim denerwuje. Najgorsze jest to, że w ostatecznym rozrachunku nawet się nie dowiedziałem, co ten skurwysyn planował.

Zaśmiał się bez cienia humoru i rozejrzał po prawie pustym pomieszczeniu.

– Nie powinno być tu więcej ludzi? – zapytał.

– Karczmarz wziął swoją rodzinę i uciekł z ostatnią falą uchodźców – odpowiedział Nathaniel, nalewając sobie kolejne piwo. – Zapłaciłem mu sowicie, by zostawił alkohol.

– Nie powinieneś być uciec z nim?

– Nie. – Książę pokręcił głową. – Uchodźcy będą łatwym łupem dla zwiadowców Sklavian, że nie wspomnę o innych bandach, których w okolicy nie brakuje. Nathaniel Everson nie spocznie martwy w jakimś rowie.

– Wolisz zapieć się na śmierć?

– Wiedźma powiedziała, że sam wybiorę swój koniec. – Mężczyzna z uśmiechem pociągnął długi łyk z kufla.

– Wiedźma nie żyje.

– Słyszałem... Co cię tu sprowadza? Poza alkoholem i okazją, by wyzalić się na moim ramieniu?

– Potrzebuję cię – przyznał niechętnie Duncan. – W tej chwili potrzebujemy każdego miecza, jaki możemy zdobyć. I choć przykro mi to przyznać, twój miecz liczy się za dwa, może nawet za trzy, jeśli wytrzeźwiejesz.

– No proszę, nasz nieustraszony przywódca prosi mnie o pomoc. Musi być naprawdę źle.

– Gorzej. Jest ich więcej, są bardziej zaprawieni w boju i zapewne uderzą na nas już jutro.

– Więc oto koniec naszej historii, wzniesmy toast. – Nathaniel podniósł kufel. Mimo uśmiechu w jego głosie przebijała gorycz i rozczarowanie. – Za dwóch głupców, którzy myśleli, że zostaną Szarymi Strażnikami. Ba, jeden z nich naprawdę tego pragnął... Naprawdę sądziłem, że nam się uda. Nam dwóm. Gdybyś spytał kilka tygodni temu, powiedziałbym, że jedyną niewiadomą jest to, który z nas jako pierwszy założy złoty pierścień. I oto jesteśmy... Teraz chyba dadzą te cholerne płaszcze tym, którzy dożyją jutrzejszego zachodu słońca.

– Więc?

– Nie martw się, nie przegapiłbym tak chwalebnej bitwy – zapewnił Książę. Sarkazm w jego głosie sprawiał wrażenie wymuszonego. – To w gruncie rzeczy odpowiedni finał. Bitwa, w której nie chcę brać udziału, w miejscu, do którego nie chciałem przyjechać. Nigdy tego nie chciałem. Pierścienia, płaszcz. Chciałem dowodzić armią lub służyć na dworze. Ale mój ojciec zdecydował, że Eversonowie potrzebują kogoś w Szarej Straży. Dobro rodu tego wymaga, a dobry szlachcic zawsze robi to, czego życzy sobie familia. Bo jesteśmy lepsi, a bycie lepszym zobowiązuje... Czemu ja ci to mówię?

– Bo jesteś pijany, a ja jestem zapewne najbliższym odpowiednikiem przyjaciela.

Nathaniel zaśmiał się.

– Nawzajem.

– Nie przeczę. – Duncan dopił piwo i wstał. – Obronę przygotowujemy tutaj, w Nowej Srebrnicy. To znaczy, że musisz jedynie jutro rano wytoczyć się stąd i znaleźć jakąś broń. Będę wdzięczny, jeśli nie będziesz przy tym zbyt pijany.

– Nie martw się, mam jeszcze cały wieczór i noc. To dosyć czasu, by uczcić to, co nadchodzi i wytrzeźwieć. My, Eversonowie, zawsze umieramy na trzeźwo. Byłoby strasznym nietaktem stanąć przed wszystkimi wspaniałymi przodkami po pijaku. Mogliby nie uznać mnie za godnego.

Dowódca rekrutów ruszył do wyjścia, ale po kilku krokach zatrzymał się i spojrzał jeszcze raz na dawnego rywala.

– Naprawdę myślisz, że nie możemy wygrać?

– Możemy pokonać Sklavian. Ale ty i ja nie wygramy. My dwaj nie możemy wygrać.

– Clara nadal cię kocha.

– Wiem. Kto wie, może jeśli dożyjemy jutrzejszego zachodu, wybaczy mi wszystko i uciekniemy razem do Wolnych Miast, by żyć długo i szczęśliwie.

– Brzmi jak dobry plan.

– Brzmi jak cynizm.

*

Ponuro wyglądająca kolumna ludzi i wozów powoli pełzała drogą, opuszczając Stary Dąb. Magnus pozwalał, by przejeżdżali obok, nie poświęcając im wiele uwagi. Jego wzrok utkwiony był w wypalonych ruinach, które jeszcze niecałe dwie doby temu stanowiły chatkę wiedzmy. Myśli usilnie powracały do wydarzeń tamtej nocy. Do słów i czynów. Próbował wzbudzić w sobie pewność, która towarzyszyła mu, kiedy wbijał ostrze w ciało Ilidii, Ragany czy jakkolwiek brzmiało jej prawdziwe imię. Chwilami myślał, że mu się udaje, ale później znów dopadało go zwątpienie. Nie mógł pozwolić sobie na wątpliwości, nie teraz, kiedy tak niewiele dzieliło ich od bitwy.

Jego uwagę zwróciły jakieś krzyki w głębi wioski. Powoli zwrócił konia w tamtą stronę i wjechał między zabudowania.

– Nie idziemy! – wrzeszczał jeden z wieśniaków.

– Proszę nie być głupcem – próbował go przekonywać Lucius. – W Nowej Srebrnicy będziecie bezpieczni.

– Następni? – spytał Magnus, podjeżdżając do stojącej obok Amelii.

– To już piąta rodzina – podsumowała dziewczyna. – Ale trudno się im dziwić, Stary Nolan też nie chce się przenieść.

– Jeszcze go przekonam – zapewnił Wielkolud, siląc się na uspokajający uśmiech.

– To mój dom jest, panie! – wyklócał się gospodarz. – Z dziada

pradziada. Nie zostawię go jakimś dzikusom.

– I zapewniam, że będzie dalej stał, jak tu wróćcie. A tymczasem naprawdę bezpieczniej będzie za palisadą, z setką legionistów do obrony – argumentował coraz bardziej zirytowany Mnich.

– Większości rzeczy nie zdążymy spakować. Mam połowę majątku zostawić i dom na spalenie? I po co, żeby się dać zamknąć w pułapce bez wyjścia? Już lepiej nam uchodzić do lasu i się ukryć, jak pradziady uczyły.

– Nie ma na to czasu! – wtrącił się Magnus, przemawiając donośnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Macie prosty wybór. Możecie iść z nami, znaleźć schronienie dla waszych rodzin i okazję, by bronić ich jak przystało na mężczyzn. Albo możecie ukryć się w lesie i modlić, by Sklavianie was nie znaleźli. I wierzcie mi, śmierć na polu bitwy jest niczym w porównaniu z tym, co was spotka, jeśli ci łupieżcy dopadną was żywych. Ale, jak mówiłem, to wasz wybór! Więc albo pakujcie tyłki na wozy, albo idźcie zdychać w samotności. Ale cokolwiek wybierzeć, zróbcie to szybko, bo pozostałym śpieszy się, by dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Chłop nie znalazł odpowiedzi. Zawołał rodzinę i z rezygnacją zaczął ładować część dobytku na wóz.

– To było dosyć ostre – stwierdził Lucius. – Ten człowiek był głupcem, ale...

– Nie był – przerwał mu Magnus. – Po prostu nie chciał zostawiać swojego domu na pastwę hordy barbarzyńców. I nie powinien stawać przed takim wyborem. Tak czy inaczej, teraz nie ma czasu na pogaduchy i rozmyślanie. Czas goni.

– Pożar. – Ktoś krzyknął i wszystkie spojrzenia skierowały się na górujący nad lasem słup dymu.

– Nowa Srebrnica się pali!

– Za blisko – ocenił Lucius. – To raczej jakaś samotna farma. Jak...

– Farma starego Nolana – dokończyła Amelia posępnym tonem.

Magnus spiął konia do galopu i popędził traktem na wschód.

*

Ogień dogasał powoli. Trawę dookoła spalonych zabudowań pokrywał dywan sadzy. Przybyli na ratunek legionieści krążyli dookoła bez celu.

– Nikt nie ocalał – stwierdził Magnus, zdając raport Duncanowi. – Znaleźliśmy pięć ciał. Trzy zwęglone, przypuszczalnie należące do Starego Nolana i jego dwóch najmłodszych wnuczek – Julii i Karity. Petia i Tatria leżały tam.

Wskazał pobliskie krzaki i dodał:

– Nagie, zakrwawione. Sądząc po ranach, poszczuli je psami. W użyciu były też noże... Trudno powiedzieć, od czego konkretnie zginęły. Nigdzie nie ma ciała Arity.

– Być może zdołała się wymknąć. – Głos dowódcy rekrutów nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Może... Jeśli się ukryła, to już by wyszła. Jeśli uciekła, pewnie skieruje się do komandorii lub do Nowej Srebrnicy. Niedługo się dowiemy... Ale tak się nie stało – głos Magnusa był niczym mroźny wiatr. – Zabrali ją, by dostarczyła im rozrywki przed bitwą. Kiedy już zrobią z niej zakrwawiony ochłap mięsa, zabiją ją. Lub gorzej, uczynią niewolnicą i powiodą do puszczy, by jej udręka trwała dłużej. Tak się dzieje, kiedy te zwierzęta kogoś zabierają, nieprawdaż?

– Najczęściej – przyznał Duncan z rezygnacją.

– Podróżowałaś po świecie. Czy wszędzie jest tak jak tutaj?

– Wojny i grabieże zdarzają się we wszystkich częściach Imperium... Ale nie. Nie tak często i nie są tak krwawe, jak na Rubieżach. W Wolnych Miastach i na Terytoriach Centralnych zdarzają się miejsca, gdzie od stuleci nie widziano przemocy gorszej niż mordobicie na weselu.

– To musi być... dobre. Żyć w takim miejscu. A nie na tym przeklętym, skrwawionym pustkowiu.

– To nie czas na takie myśli. – Dowódca rekrutów rozejrzał się.
– Jak znosi to Amelia?

– Nie uroniła nawet jednej łzy, jest silna. Ale oni byli jej rodziną przez cztery lata, to musi... – zawahał się – ...to musi być okropne, być kobietą w tym świecie.

– Pochowajmy zmarłych i ruszajmy. To był zapewne tylko oddział zwiadowców, ale główne siły nie mogą być daleko. Nasz czas na przygotowanie dobiegł końca. Weź kilkunastu ludzi i zabierzcie resztę naszych rzeczy z komandorii, zmrok już blisko.

– Zawahał się. – Magnusie, muszę wiedzieć, że jesteś skoncentrowany. Wystarczy, że ja poświęcam za dużo czasu, rozpamiętując to, co się stało.

– Jestem skoncentrowany. – Wielkolud wyrwał się z zamyślenia. – Jestem gotowy. Jutro te zwierzęta przekonają się, jak bardzo jestem gotowy.

*

Edwin siedział na szczycie wieży i spoglądał na ludzi krzątających się po dziedzińcu komandorii. Ewakuacja dobiegała końca i wkrótce mieli wyruszyć do Nowej Srebrnicy. Na wojnę. Edwin nigdy nie uważał się za wojownika, nigdy też nie pragnął nim być. Walka na śmierć i życie brzmiała dobrze w balladach, ale w prawdziwym świecie niosła zbyt duże prawdopodobieństwo... no cóż, śmierci. I to nie takiej heroicznej, o której śpiewa się pieśni. Edwin był przekonany, że kiedy człowiek umiera, na polu walki nie pojawiają się anioły, walkirie ani żadni inni towarzysze ostatniej drogi. Jedynie ból i pustka.

– Już prawie czas. – Głos Cassandry wyrwał go z zamyślenia.

– Nie skradaj się tak. Chcesz, żebym dostał zawału?

– Nie skradałam się, po prostu mnie nie usłyszałeś. – Dziewczyna oparła się o balustradę. Wciąż wyraźnie utykała.

– Jak się czujesz?

– Lepiej. Rany szybko się goją. Lucius mówił nawet, że nienaturalnie szybko. – Przybrała minę typową dla ludzi zbliżających się do puenty strasznej historii.

– Oby nie za szybko, bo Duncan jeszcze każe ci faktycznie walczyć w tej całej bitwie.

– Mam taki zamiar.

– Co? – Bard nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Mam zamiar walczyć w bitwie.

– Jesteś ranna. Naprawdę myślę, że zrobiłaś już dosyć dla tego

miejsca. Nikt nie może wymagać, byś brała udział w tej rzezi.

– Nie mogę siedzieć beczynnienie. Sam zawsze mówisz o tym, że należy walczyć o to, co się kocha. O swoje miejsce na świecie.

– Nie ja, tylko autorzy ballad. I walczyłaś już dosyć.

– Nie ma już Matyldy, by nas chronić. Teraz sama muszę być silna. – Cass kiwnęła głową. – Walczyć o swój dom.

– Dom? Raczej nie nazwałbym tego miejsca domem.

– To najlepszy dom, jaki w życiu miałam. Pierwszy od małości. I jest tu rodzina.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Sam chyba nigdy nie miałem miejsca, które nazwałbym domem. Ani rodziny.

– Oczywiście, że jesteśmy rodziną – upierała się Cass.

– Naprawdę nie boisz się tej bitwy?

– Oczywiście, że się boję. Jestem szalona, nie głupia. Ale można rzec, że jestem teraz wilkiem, a wilki żyją w stadzie.

Uśmiechnęła się i spojrzała na chylące się ku zachodowi słońce.

– Wiem, że pewnie się ze mną nie zgodzisz, ale niezależnie od tego, co stanie się jutro, przyjazd tutaj był najlepszą rzeczą, jaka spotkała mnie w życiu.

– No, cóż, w moim przypadku pewnie przebija publiczną egzekucję. Choć osobiście raczej wstrzymam się z ostateczną opinią do jutrzejszego wieczora.

*

Olaf pociągnął łyk z piersiówki, ignorując wyraz dezaprobaty na twarzy centuriona.

– Może chlust? – zaproponował, wyciągając rękę do żołnierza.

Ostatnie promienie słońca przebijały pomiędzy drzewami, oświetlając drogę kolumnie legionistów zmierzającej do Nowej Srebrnicy. To była już ostatnia grupa, wszystko, czego nie zabrali z obozu, zostało zakopane lub zniszczone.

– Dziękuję, nie skorzystam. I pan również nie powinien, to źle działa na morale.

– Nie moich ludzi. Choć moich nawet tu nie ma. Pewnie są już na miejscu.

– Wybacz pan, że zwinięcie obozu po setce wojaków zajmuje

dłużej niż po ósemce.

– Nie robię zarzutów. Niejedną armię już widziałem. Wiem, jak to działa.

– A pana ludzie? Działają? Mieczem? Na polu bitwy? O ile pamiętam, tylko Magnus i ta poległa kobieta mieli faktyczne doświadczenie bojowe.

– Duncan i Nathaniel są dobrze wyszkoleni – dodał Szary Strażnik. – Lepiej niż ta zgraja.

– Tak, niemniej resztę pańskich ludzi stanowi bard, mnich, szlachcianka i wariatka.

– Powiedziałbym, że wszyscy jesteście wariatami, że nie uciekliście jeszcze daleko stąd. A o moich ludzi nie masz się co martwić. Sprawiają się w boju lepiej niż ci tutaj.

– W tej części świata wojna wydaje się rodzajem katastrofy naturalnej. Jak powodzie, śnieżyce i burze... Widziałeś to? – Agrevious wbił wzrok w drzewa. – Zasadzka. Stop! W prawo zwrot! Formować szyk!

Z lasu sypnęły się strzały. Olaf przeklął i zeskoczył z konia. Przy akompaniamencie gwizdków legioniści sprawnie ustawili się w linię wzdłuż drogi. Prostokątne tarcze odbiły wiele strzał, ale kilku zbrojnych padło na brukowaną drogę. Spomiędzy drzew dobiegł ich donośny krzyk. Kolejna fala strzał wbiła się w zwarty mur legionistów. Centurion Eritus zwałił się ze swojego rumaka z przebitym napierśnikiem. Mimo wszechobecnego hałasu Olaf zdołał usłyszeć głośnie chrupnięcie, kiedy głowa oficera zderzyła się z podłożem. W tym samym momencie z lasu wysypali się sklaviańscy wojownicy.

– Trzymać szyk! – wrzasnął Szary Strażnik, próbując utrzymać legionistów w garści. – Trzymać, kurwa, szyk!

Napastnicy z impetem uderzyli o ludzką ścianę. W ruch poszły miecze, topory i włócznie. Starzec z trudem przekrzykiwał wrzask umierających. Kolejne strzały spadły z nieba niczym deszcz. Jedna ugodziła go w ramię, kolejna w nogę. Jego pierwszą reakcją było zaskoczenie. Nawet nie poczuł bólu, jeszcze nie teraz. Linia obrony pękła i napastnicy zaczęli wlewać się na trakt. Olaf dobył miecza i rzucił się w ich stronę. Natarł na wyjątkowo szpetnego dzikusa, kiedy rany wreszcie dały o

sobie znać. Chwilę później dosięgnęła go sklaviańska włócznia.

*

Duncan zeskoczył z konia i rozejrzał się po oświetlonym pochodniami pobojowisku. Szybko dostrzegł znajomą twarz pomiędzy legionistami.

– Welin, prawda? Jesteś bardem.

– Raczej byłem. – Mężczyzna wyglądał na skrajnie wyczerpanego. Jego zbroję i tarczę pokrywała zaschnięta krew.

– Co tu się stało?

– Zasadzka – odparł Welin tonem wskazującym, że tłumaczy coś oczywistego dziecku.

– Tyle wiem. Dokładniej.

– Wypadli z lasu i zaczęli nas tłuc. Nasz centurion padł zaraz na początku. Najwyraźniej podobał mu się pomysł dowodzenia z konia. Za to Sklavianom bardzo spodobał się pomysł strzelania do faceta na koniu. Kto by pomyślał.

– Mniej cynizmu, więcej konkretów.

– Uderzyli na nas, odparliśmy ich. Po ich stronie padło prawie dwadzieścia trupów, pewnie drugie tyle było rannych. U nas trupów jest ponad trzydzieści, prawie dwudziestu rannych.

– Połowa legionu – podsumował Duncan, po czym ruszył w kierunku Luciusa. – Jak z nim?

– Wyjdzie z tego – odpowiedział Mnich, kończąc opatrywać rany Olafa. – Włócznia zsunęła się po kolczudze, nie uszkadzając niczego ważnego, ale stracił sporo krwi. Dałem mu zioła nasenne. Teraz musi odpoczywać. Duncan, posłuchaj... nie ma możliwości, żeby on wziął jutro udział w bitwie, że już nie wspomnę o dowodzeniu.

– Wiem – odpowiedział posępnie dowódca rekrutów.

– Ale teraz, kiedy centurion nie żyje, to znaczy, że...

– Że ja jestem następny w kolejce. – Wziął głęboki oddech, z trudem opanowując panikę. Już jadąc tutaj, wiedział, czego powinien się spodziewać, ale jakoś łudził się, że być może rany Szarego Strażnika nie będą aż tak poważne. Teraz nie pozostał już żaden, najmniejszy nawet listek figowy, by ukryć prawdę. –

Dobrze więc. Wy dwaj, Flavius i Ziutek, zbierzcie kilku ludzi i zdejmijcie ekwipunek ze zmarłych. Ciała legionistów wrzucie na wóz, szybko. Truchła Sklavian zostają. Niech przynajmniej kruki mają z nich jakiś pożytek.

*

Noc była ciepła. Księżyc i gwiazdy świeciły na nieboskłonie, niezasłoniętym przez choćby najmniejszą chmurkę. W Nowej Srebrnicy panowała nienaturalna cisza. Większość ludzi zebrała się na zewnątrz, dookoła ognisk. Ucztowali i pili, niektórzy nawet tańczyli, ale wszystko to było dziwne spokojne. Wyssane z radości. Czuło się w powietrzu, że niektórzy wykorzystywali ostatnią okazję do skosztowania uroków życia.

Magnus przeszedł wzdłuż barykady, sprawdzając, czy wszyscy strażnicy są na swoich miejscach. Był zmęczony, ale wiedział, że nie zdoła zasnąć. Jeszcze nie. Z ociąganiem skierował swoje kroki pomiędzy ogniska. Wolnym krokiem dotarł wreszcie do świątyni. Cicho wślizgnął się do środka. Panował tam tłok. Ludzie odmawiali wspólnie modlitwę do Deusa, prosząc go o łaskę. Większość z nich zapewne planowała robić to do końca bitwy, jakkolwiek by on nie był. Magnus podszedł do ojca Norberta i poprosił go o rozmowę. Wyszli do znajdującego się na tyłach świątyni pokoju, służącego kapłanowi za izbę mieszkalną.

– Słucham, synu. Co cię sprowadza? – spytał sługa Deusa, napełniając dwa prymitywne kielichy słabym winem.

– Chciałem się wypowiedzieć, by podążyć na tamten świat z czystym sumieniem – wyjaśnił Szary Strażnik.

– Śmierć może i jest pewna, ale jej terminu jeszcze nie ustalono, chłopcze.

– Mam nadzieję, ale wolę się przyszykować na najgorsze.

– Rozsądnie – pochwalił klecha. – W imieniu Deusa, Pana Naszego, przyjmę teraz twoje wyznanie win. Niech jego łaska spłynie na ciebie i oczyści sumienie, byś mógł iść dalej, wolny od dawnych błędów.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, kiedy Magnus zastanawiał się, od czego zacząć. W natłoku rzeczy, które chciał

powiedzieć, całkowicie zapomniał o czymś tak banalnym, jak początek.

– Mój ojciec był złym człowiekiem – powiedział wreszcie. – Miał na imię Avagis i w mojej wiosce był znany głównie jako pijak i nieudacznik. Okazjonalnie złodziej. Odkąd pamiętam, zawsze bił matkę, mnie i rodzeństwo. Avagis zwykle był zbyt pijany, by uprawiać ziemię, więc wszystko spadało na rodzicielkę. Była wiecznie zmęczona i przepracowana. Wreszcie zapadła na suchoty i odeszła. Po jej śmierci zaczęliśmy przymierać głodem. A ten skurwiel, przepraszam, pił jeszcze więcej i bił nas coraz częściej. Czasami musieliśmy uciekać do sąsiadów.

Wziął głęboki oddech i podjął na nowo:

– Na szczęście w wiosce było kilku dobrych ludzi. Kiedy miałem dwanaście, może trzynaście lat, po raz pierwszy mu oddałem. Zawsze byłem dużym dzieciakiem, a on przez to całe picie bardzo stracił siły. Pewnie byłbym w stanie pokonać go wcześniej, ale nigdy nie przyszło mi to do głowy. Aż do tamtego dnia. Wciąż pamiętam to wyraźnie. Zaskoczenie w jego oczach, przechodzące w strach wraz z kolejnymi moimi ciosami. Tłukłem go, dopóki młodsze rodzeństwo mnie nie odciągnęło. Starłem kostki o tę wredną mordę. Potem już nas nie tknął.

Przerwał raz jeszcze, jakby bardzo chciał przestać, ale słowa płynęły dalej:

– Zamieszkaliśmy z rodziną mamy, w innej wiosce. Pół roku później Avagis umarł. Znachor mówił, że to nie przeze mnie. Dopadła go choroba, alkohol go osłabił. Choć pewnie moje lanie mu nie pomogło. Wezwał mnie do siebie, wtedy, na łożu śmierci. Nas wszystkich. Nie pojechałem. Zabroniłem też rodzeństwu. Chciałem, by umarł w samotności. Myślałem, że to odpowiednia kara. Do dzisiaj go nienawidzę. Jak nikogo na świecie.

Przez chwilę milczał.

– Mówiłem ci już o Rikardzie, mordercy, którego zabiłem. W armii księcia też robiłem złe rzeczy. I nie mówię o walce, o bitwach. Mam na myśli grabieże, podpalenia, mordy... Ale nigdy nie zabijałem kobiet i dzieci. I nie gwałciłem. Ale też nie przeciwstawiałem się, kiedy inni to robili. Zwykle była na to zgoda naszego dowódcy, parę razy nawet rozkaz. Kim byłem,

żeby przeciwstawiać się słowom wielkiego pana? Tak wtedy myślałem.

– To wszystko dawne dzieje. Zapewne odkupione po stokroć twoją służbą dla ludzi tutaj – zapewnił kapłan.

– Może... Ale mam też coś nowszego. To ja zabiłem wiedźmę Iliidę. Przebiłem ją mieczem i podpaliłem ciało, by zatrzeć ślady.

– Czemu?

– Ponieważ była zła. Wiedziałem to, obydwaj wiedzieliśmy. Była wilkiem w owczej skórze, wiodącym moich przyjaciół na pokuszenie. Na zatracenie. Musiałem ją powstrzymać.

– Są inne metody. Wygnanie...

– Nie odeszłaby. Ludzie w Starym Dębie stanęliby w jej obronie, doszłoby do rozłamu, może nawet przemocy. To było jedyne rozwiązanie. Jedyna możliwość. Tak sobie powtarzam. Tak naprawdę sam nie wiem... Zmówiłem modlitwę nad jej ciałem – uzupełnił, natychmiast orientując się, jak głupio to zabrzmiało. – Nie chciałem jej śmierci. Po prostu... nie widziałem innej drogi.

– Wiesz, że zabójstwo zawsze jest grzechem – powiedział spokojnie ojciec Norbert. – Czasami może być usprawiedliwione. Kiedy broni się życia swojego lub innych. W bitwie. Jest uzasadnione. Ale nadal pozostaje złe.

– Wiem. I żałuję jej śmierci, ale nie tego, że ją powstrzymałem.

– Nie mogę ci odpuścić. Nawet wiedźma pozostaje dzieckiem Deusa. Zbrodnie możesz odpokutować jedynie czynami. Dobrem czynionym w przyszłości.

– W przyszłości czeka mnie więcej zabijania. Już jutro.

– Będziesz walczył w obronie tych, którzy sami nie mogą się bronić. To szlachetne...

– Nie – przerwał ostro Magnus. – Będę walczył, by zabijać. Ponieważ ich nienawidzę. Po tym, co zrobili dzisiaj. Po całym bólu i strachu, które na nas sprowadzili, które jeszcze sprowadzą jutro. Nienawidziłem swojego ojca jak nikogo innego. Do dzisiaj. Czy to czyni mnie złym człowiekiem?

– Czyni cię człowiekiem.

– Nie potrafię obronić nikogo. – Głos Magnusa przepełniała rezygnacja.

– Posłuchaj mnie, chłopcze. Posłuchaj uważnie. Jesteś człowiekiem zagubionym, ale w sercu nosisz dobro. Widziałem to w tobie już pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy i od tamtej pory wielokrotnie potwierdzałeś to swoimi czynami. I jutro staniesz na tej barykadzie z mieczem w ręku, ale nie będziesz go wznosił z nienawiści, a z miłości. – Głos kapłana przybrał na sile, niczym podczas żywołowego kazania. – Zrobisz to dla wszystkich tych, którzy są za słabi, by samemu się bronić. Wszystkich tych ukrytych za twoimi plecami. Ponieważ taką drogę wyznaczył ci Deus. I on może cię ocalić. Musisz mu jedynie zaufać. Walczyć jako obrońca, nie jako mściciel, a on przeprowadzi cię przez tę burzę. Uniesie twoje grzechy, wydobędzie z serca głęboko skrywaną dobroć, jeśli mu na to pozwolisz i wyrzekniesz się gniewu. Czy wierzysz, chłopcze?

– Staram się – odpowiedział Szary Strażnik szczerze.

– Czasami to wszystko, czego potrzeba. A teraz odpocznij, oczyść serce i uspokój myśli. Odpuszczam ci to, co mogę. I posyłam tam, byś odkupił pozostałe winy, broniąc tych owieczek przed zakusami wilków. Deus z tobą.

*

Pierwsze promienie słońca wpadały przez poły namiotu. Na zewnątrz rządził już harmider, nerwowa krzątanina przed nadchodzącą bitwą. W środku wciąż panował spokój. Lucius siedział na sienniku i wpatrywał się w spokojną twarz śpiącej Amelii. Wiedział, że niedługo będą musieli wstać i stawić czoła rzeczywistości, ale teraz, w tej jednej chwili, to wszystko nie istniało. Była tylko ona.

– Już ranek? – spytała dziewczyna, przeciągając się i ziewając głośno.

– Tylko jeśli wstaniemy i stąd wyjdziemy.

– Myślisz, że ktoś zauważy, jeśli tu zostaniemy?

– Możemy zaryzykować. – Uśmiechnął się i złożył pocałunek na jej ustach.

– Długo patrzyłeś, jak śpię? – spytała, wstając.

W pierwszej chwili Lucius nie odpowiedział. Był zbyt

rozkojarzony widokiem. Poprzedniej nocy było ciemno, więc dopiero teraz faktycznie zobaczył swoją kochankę nago. Wprawdzie nie miał zbyt wiele materiału porównawczego, ale jednego był pewny. Ten widok zapierał mu dech.

– Lucius – upomniała go Amelia.

– Jakiś czas. Wyglądałaś bardzo spokojnie. Nie chciałem tego przerywać, biorąc pod uwagę, co nas dziś czeka. – Odruchowo spojrzął w kierunku wejścia do namiotu.

– Więc wreszcie zgrzeszyliśmy – wtrąciła pośpiesznie dziewczyna. – I jak ci się podobało?

– Brak mi słów.

– To coś nowego. Czyżbym wreszcie znalazła sposób na wygrywanie z tobą w dyskusji? – Uśmiechnęła się zalotnie.

– Nie jestem pewny, na ile uczyniłoby mnie to przegranym. – Wstał i też zaczął się ubierać. – Wiesz może, jak rozpoznać, gdzie kolczuga ma przód?

Nagle poczuł, jak przyłgnęła do jego pleców, przytulając się z całej siły.

– Nie chcę, żebyś tam szedł.

– Muszę.

– Bardziej przydasz się na tyłach, pomagając rannym.

– Ranni muszą najpierw dożyć dotarcia na tyły. Ktoś musi ich opatrywać na miejscu. Poza tym jestem Szarym Strażnikiem, moje miejsce jest tam, w pierwszej linii.

– Widziałam, jak ćwiczysz z mieczem. Nie jesteś wojownikiem.

– Edwin też nie. Podobnie Clara i Cass. Ale oni tam będą. Bo po to tu jesteśmy, by chronić ludzi.

– Nie mogę stracić więcej. – W jej głosie zabrzmiał cień skrywanej rozpacz. – Nie tak szybko.

– Nie stracisz. – Odwrócił się i wziął ją w ramiona. – Wrócę do ciebie, choćbym miał wyrąbać sobie drogę przez bramy zaświatów.

– Przyrzekasz?

– Uwierz mi, po tym, co zrobiliśmy wczoraj, nawet horda Sklavian nie powstrzyma mnie przed przyjściem po więcej. A teraz, wracając do tej kolczugi...

– Plecy są tam, gdzie kaptur.

– Bardzo rozsądna uwaga. Dlatego stanowimy taki zgrany zespół.

– Możemy porozmawiać? – Dobiegł ich z zewnątrz głos Nathaniela.

– Chwila – odpowiedział Lucius, pośpiesznie wciągając spodnie. Złapał swój krótki miecz i wyszedł na zewnątrz, dając Amelii znak dłonią, by została w środku. – Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– Nie wydaje mi się, byśmy mieli o czym. – Mimo zdenerwowania Mnich nie mógł nie zauważyć, jak żałośnie wyglądał w tym momencie książę Terylu. Brudny, nieogolony, z twarzą poznaczoną siniakami nawet w większym stopniu niż twarz Luciusa.

– To ja o tym zdecy... Przepraszam. Przyzwyczajenie. – Głos młodego szlachcica był słaby, pozbawiony typowej siły i buty. – Przyszedłem tu, bo... Nie wiem, może to fakt, że idziemy do bitwy. Przepraszam. To chciałem powiedzieć. Za to.

Wskazał twarz rozmówcy.

– I ogólnie, za wszystko – dokończył.

– To nie mnie powinienesz przepraszać.

– Wiem.

– Słucham więc – powiedziała Amelia, wychodząc z namiotu. Z jej postawy emanowała siła i godność. Stanowiła całkowite zaprzeczenie tego, czym w tym momencie zdawał się Nathaniel.

– Przepraszam. Za to, co zrobiłem i co próbowałem zrobić.

– To nie wystarczy.

– Wiem, ale... wygląda na to, że w tej chwili nie mam nic więcej. Może po bitwie...

– Myślisz, że to takie łatwe? Że przestraszysz się śmierci, przybiegniesz tu, powiesz kilka słów i wszystko zostanie wybaczone?

– Nie. I nie boję się bitwy ani śmierci. Sam wybiorę swoją śmierć. I wiem, że to, co zrobiłem było... niewybaczalne. Członek rodu Eve... Ja. Ja powinienem być lepszy. I jeśli jakimś cudem zdołam przeżyć następnych kilka godzin, przysięgam, że zrobię, co w mojej mocy, by zadośćuczynić. Ale teraz jedyne, co mam, to słowa. Przepraszam.

– Przyjmuję twoje przeprosiny. Ale nie wybaczam ci. Może kiedyś, nie teraz.

– To więcej, niż mogłem liczyć. – Skłonił głowę i powoli ruszył pomiędzy szykujących się do bitwy ludzi.

– Książę! – zawołał za nim Lucius. – Powodzenia.

– Nam wszystkim – odpowiedział Nathaniel Everson i zniknął w tłumie.

*

Clara stała pośród ruin dawnej łaźni i rozmawiała z Cassandrą. Nathaniel spędził cały ranek, zastanawiając się, co jej powiedzieć. Niemniej teraz, kiedy wreszcie ją odnalazł, zdał sobie sprawę, że całkowicie brakuje mu słów. Stał więc oparty o jedną ze zniszczonych kolumn i czekał.

– I uważaj na łuczników – mówiła Clara, poprawiając rzemienie utrzymujące skórzaną zbroję Cass.

– Wiem.

– I jeśli cię złapią, zacznij mówić o duchach i tym podobnych sprawach. Ci Sklavianie są ponoć bardzo przesądni w tej kwestii.

– Wszyscy mi to powtarzają.

– I co jeszcze? – zastanawiała się Dama.

– Wiesz, że Książę Dupek się nam przysłuchuje?

– Wiem. Ale, jak cię uczyłam, jesteśmy damami, a na damy się czeka.

– Czy znów będziecie się całować?

– Jest to wielce wątpliwe.

– Czy zamiast tego go spoliczkujesz?

– Jest to znacznie bardziej prawdopodobne.

Nathaniel stwierdził, że nie znajdzie już lepszego momentu, więc postanowił się wtrącić.

– Witajcie, Claro, Cassandro. – Skłonił głowę.

– Witaj, Książę Dupku – odpowiedziała Cass, kłaniając się dworsko.

– Zapewne na to zasłużyłem – przyznał zmęczonym głosem.

– Jak najbardziej.

– Przepraszam.

- Co? – Dziewczyna była całkowicie zaskoczona.
- Przepraszam. Za to, co zrobiłem. Za wszystko, co zrobiłem. Dziewczyna przez chwilę patrzyła na niego ze srogą miną.
- Mówisz szczerze, czy tylko próbujesz zrobić dobre wrażenie?
- Jestem tak szczerzy, jak tylko potrafię być.
- Nie jestem pewna, jak dużo to znaczy w twoim przypadku. Ale chyba ci wierzę. Chyba muszę ci wierzyć w tej sytuacji. I może nawet... wybaczam – powiedziała i ruszyła przed siebie.
- To było zaskakująco łatwe.
- Nie martw się, ze mną nie pójdzie ci tak łatwo – zapewniła Clara.
- Wiem. Zapewne nie powinno być... Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co powiedzieć. Cały ranek biegam dookoła i przepraszam ludzi, jakby to miało coś zmienić. Choć tak naprawdę... – Znow uderzył w mur braku słów. – Przepraszam. To wszystko, co mam.
- To za mało – odpowiedziała, po czym wyjątkowo mocno spoliczkowała jego posiniaczoną twarz
- Jeśli przeżyjemy tę bitwę, poproszę cię o rękę – stwierdził z nagłą pewnością.
- Zwykłą służącą?
- Ciebie. Wszystkie inne bzdurne określenia mnie nie interesują. Po prostu chcę być z tobą. Mogę przykleknąć już teraz.
- Srogość zniknęła z twarzy dziewczyny. Otwierała już usta, by odpowiedzieć, kiedy usłyszała:
- Na palisadę! – wrzasnął ktoś. – Nadchodzą!
- Clara przyciągnęła go do siebie i pocałowała.
- Na szczęście – szepnęła.

*

Lutogniew minął zastępy uzbrojonych wojowników i wyszedł na wzgórze, z którego roztaczał się dobry widok na osadę. W ciągu ośmiu lat swojego życia nigdy nie widział niczego podobnego. Za palisadą widniały domy zrobione z białego kamienia. Większość była co prawda zrujnowana, ale nie

zmieniało to niezwykłości widoku.

– Jak podoba ci się osada smokobójców? – Spytał jego ojciec, Lutoszał.

– Niesamowita. – Dzieciak nie krył zachwytu. – Nie boisz się?

– Bitwy? Oczywiście, że się boję – przyznał mężczyzna, kucając. Jego skryta pod burzą włosów twarz nadal znajdowała wysoko nad głową chłopca. – Tylko szalenie nie boi się walki i śmierci. Ale tak właśnie pokazujemy nasze męstwo, pokonując strach i zdobywając chwałę na polu walki.

– A nie boisz się Szarych Strażników?

– Nasłuchałeś się o nich za dużo bajań. To tylko ludzie i padają od miecza, jak wszyscy inni – zapewnił wódz, czochrając włosy syna. – Już prawie czas. Niedługo poniesie się krzyk i miecze uderzą o tarcze. Byłem w twoim wieku, kiedy ojciec pierwszy raz zabrał mnie na wyprawę, bym zobaczył prawdziwą bitwę. Do dziś to pamiętam. Przed bitwą wziął mnie na bok i spytał, czy wiem, czemu atakujemy smokobójców. Ty wiesz?

– Bo są bogaci... i mieszkają na naszych ziemiach i... bo zabili smoka?

– Nie, chłopcze. Choć to prawda. To kiedyś były nasze ziemie. Puszcza ciągnęła się wtedy daleko na zachód. Do czasu, aż przyszły armie niewolników, którzy sami zostali niedawno zniewoleni, a teraz zniewalali innych. Zabrali naszą ziemię, wyklęli naszych bogów i zniszczyli zwyczaje. A teraz spójrz na nich. Są niczym myszy złapane w pułapkę, z wszystkimi tymi kosztownościami. Bogactwo uczyniło ich słabymi, tak jak ubóstwo uczyniło nas silnymi. Zdeterminowanymi. I teraz wróciliśmy, by odebrać, co nasze. Ukarać ich słabość, rozcinając spasione brzuchy. Bo jednej rzeczy na tym świecie bogowie nigdy nie wybaczą. Słabości. Rozumiesz? Jak już skończymy, przyniosę ci szary płaszcz z ciała jednego z tych Strażników, o których tak ciągle rozprawiasz.

– Mój własny szary płaszcz?

– A czemu nie? Jesteś moim synem. Następnym wodzem Synów Węża. Kto bardziej zasługuje na taki płaszcz?

– Niech Wąż cię prowadzi, tato.

– Niech prowadzi nas wszystkich.

*

Duncan przeszedł pomiędzy zebranymi mężczyznami. Ponad trzy setki zbrojnych. Głównie chłopów uzbrojonych w siekiery i widły, ale znaleźli się też pośród nich łucznicy i prawie pół setki legionistów. No i oni, jego drużyna, z symbolem Szarej Wieży na piersi, uzbrojeni i gotowi do walki.

– Wszystko na miejscu? – spytał Magnusa i Nathaniela.

– Przez lewą flankę nie przejdą – zapewnił Wielkolud.

– Przez prawą raczej też nie – stwierdził Książę.

– Więc chyba już czas. – Mężczyźni podali sobie dłonie. – Dobrze było was poznać. Mimo wszystkich różnic, które nas dzieliły, nie znam nikogo, kogo wolałbym mieć u swojego boku w tym dniu.

– Może poza tysiącem legionistów – wtrącił Edwin.

– Manfrey, idziemy – nakazał Magnus. Skłonił się pozostałym i ruszył na swoje stanowisko.

– Na mnie też pora – zdecydował Nathaniel. – Flavius, Ziutek, za mną. Awansowaliście na adiutantów.

Dwaj legioniści nie wydawali się szczególnie zadowoleni z nowego stanowiska, ale lojalnie podążyli za księciem. Duncan odprowadził ich wzrokiem. Czuł nieprzyjemną suchość w ustach i robiło mu się niedobrze. Wziął głęboki oddech i spojrzał w kierunku wroga. Pojedyncze ruiny znaczyły pole, przez które zaraz miała przebiec szarża Sklavian. Jeśli plan ułożony przez Olafa i centuriona Agreviusa się powiedzie, ich atak rozbije się o naszpikowany zaostrzonymi palami wał ziemny i górującą nad nim prymitywną palisadę. Wszystko było gotowe, on musiał już tylko utrzymać obrońców w garści. Nie pozwolić, by poddali się strachowi. Chcąc nie chcąc pomyślał o Polinie. O nocach spędzonych razem w małej chatce. Mógłby to mieć. Żonę, dzieci, kawałek ziemi. Życ spokojnie, z dala od niebezpieczeństw. Ale nie. Na dobre i na złe, on już dawno wybrał swoją drogę. W tej jednej chwili jasności poczuł całkowitą pewność co do swoich czynów i decyzji. Był spokojny.

– Wielki dzień, Mnichu – powiedział Edwin gdzieś obok. – Najpierw kobieta, teraz bitwa. Zaliczasz błyskawiczny kurs

bycia prawdziwym mężczyzną, co? Jak się czujesz?

– Spokojniej, niż się spodziewałem.

– A ty, Welin?

– Spierdalaj – odpowiedział legionista, dochodząc do siebie po zwróceniu śniadania.

– Myślałem, że po wczorajszej bitwie dziś będziesz spokojniejszy. Zwłaszcza, że to nie była twoja pierwsza zasadzka Sklavian.

– Prawdę powiedziawszy – bard splunął i wyprostował się – mam wrażenie, że po wczorajszej jestem jeszcze bardziej przerażony.

– Oto radosna myśl.

– Może to i lepiej – stwierdził Lucius. – Ponoć do bitwy powinno się iść na czczo. W razie trafienia w brzuch to...

– Kiepskie wyczucie tematu – powiedział bard, klepiąc po plecach znów wymiotującego Welina. – Spokojnie, chłopaki, jak się zacznie, po prostu trzymajcie się mnie, mam talent do wychodzenia cało z opresji.

– Ostatnia szansa, by uciec – wtrącił się dowódca rekrutów spokojnym, niemal żartobliwym tonem.

*

Najpierw nadleciały strzały. Większość wbiła się w palisadę i nasyp ziemny, ale niektóre sięgnęły celów. Potem nadbiegli ludzie. Setki wrzeszczących, uzbrojonych po zęby dzikusów. Tym razem to od strony obrońców poleciały pociski. Edwin krzyknął radośnie, kiedy jeden z jego bełtów trafił rosnącego Sklavianina w głowę. Kilku kolejnych napastników padło gdzieś po drodze. Tych, którzy dotarli do umocnień, powitał deszcz kamieni. Rozebrane fragmenty ruin wielkości pięści, a czasami głowy, sypały się z barykady. W niektórych punktach wylewano na wspinających się barbarzyńców wrzątek. Okropne krzyki umierających niosły się nad wioską. W pierwszej chwili mogło się nawet wydawać, że to wystarczy, niemniej złudzenie szybko ustąpiło okrutnej rzeczywistości. Duncan wskoczył na ostrokół i zaczął rozdawać ciosy na prawo i lewo, celując w głowy

wspinających się przeciwników. Od podnóża nasypu do szczytu bariery były niecałe trzy metry. Ta nieduża odległość w środku bitwy stawała się dla wielu nie do pokonania.

– Duncanie! – krzyknął Magnus, podbiegając.

Dowódca rekrutów zeskoczył ze swej pozycji na ostrokole, ustępując miejsca innym.

– Co się dzieje?

– Niewielka grupa próbuje nas obejść od lewej. Uderzą od tyłu.

– Weź oddział wypadowy. Przechwyćcie ich. Tylko uważaj, żeby nie dopadli was na zewnątrz.

Wielkolud pokiwał głową na znak, że rozumie i ruszył na swoją pozycję.

– Trzymamy się – zauważył z nadzieją w głosie Lucius, opatrujący ranę jednego z legionistów.

– To dopiero początek – odpowiedział Duncan, wracając na swoje miejsce. Mimo wszystko poczuł się lepiej. Nie złamali się od pierwszej fali. Teraz nadszedł czas na zapasy, przepychankę, w której wygrywał ten, kto dłużej zdoła utrzymać się na nogach.

*

Magnus i jego ludzie spadli na przeciwnika niczym orzeł na swoją ofiarę. Wyskoczyli zza barykady przy akompaniamencie strzał i dobiegli do barbarzyńców, zanim ci zdecydowali, czy powinni się bronić, czy uciekać. Szary Strażnik biegł na czołe oddziału. Wpadł pomiędzy przeciwników, rozdając ciosy na prawo i lewo. To nie była walka jeden na jednego na placu ćwiczeń, to było coś bardziej w jego stylu. Rąbanina, w której siła i zajadłość liczyły się bardziej niż skomplikowane techniki, których nauczali szermierze z zachodu. A w sile i zajadłości przerastał Magnus większość wojowników na tym polu bitwy. Niestety, nie można było tego powiedzieć o jego żołnierzach. Mimo początkowej przewagi, walka była zażarta. Sklavianie nie oddawali skóry tanio. Zmusili atakujących do długiej potyczki, dając czas na przybycie swoim towarzyszom. Wielkolud niemal zagubił się w kolejnych cięciach, ale słowa ojca Norberta nadal odbijały mu się w głowie. Był opiekunem, nie mścicielem. Do

tego w tym momencie był również dowódcą. Miał inne, ważniejsze obowiązki, niż zabijanie wrogów. W ostatniej chwili dał rozkaz do odwrotu, samemu wycofując się na końcu. Kilka pocisków przemknęło tuż obok jego głowy, Deus jednak okazał się łaskawy. Mimo strat, wypad zakończył się sukcesem. Sklavianie cofnęli się, zabierając swoich rannych.

*

– Przebili się – krzyknął ktoś z lewej strony.

Duncan jednym susem zeskoczył z palisady. Zwołał kilku żołnierzy i ruszył w kierunku wyrwy. Wszystkie mięśnie bolały go niemiłosiernie, a wiedział, że najgorsze dopiero nadchodzi. Na szczęście wyrwa nie okazała się duża. Zaledwie kilku napastników zdążyło się wdrzeć się do osady. Obrońcy uderzyli na nich z rozpędu dziką szarżą. Przyparli do ściany i wyrznęli. Duncan ciął i siekał, gdzieś obok Clara zwijała się w piruetach i zgrabnych unikach, niemal tańcząc po polu bitwy. Mimo że często sprawiała wrażenie bezbronnej, wpajane od najmłodszych lat lekcje szermierki przynosiły plon. Rok regularnych treningów w Straży też nie zaszkodził. Krótco później na miejsce dotarł Magnus, wracający ze swoimi ludźmi. Razem zatamowali napływ Sklavian, ale minęło zaledwie kilka chwil, nim wezwanie pomocy dobiegło z kolejnego miejsca. Co gorsza, na zabudowania wioski sypnęły się płonące strzały. Pierwsze rysy na murze oblężonych, zwiastujące nieuniknione załamanie. Dowódca pocieszał się tym, że tak wiele ciał wrogów zalegało wzdłuż nasypu. Oni też nie mogli dłużej tego wytrzymać. Ziarna w klepsydry przesypywały się dla obydwu stron.

*

Nathaniel starał się cały czas wspomagać walczących, ale jego siły topniały z każdym rannym i martwym podwładnym spadającym z barykady. Już dwa razy wrogowie przebijali się do środka i dwukrotnie Książę wypychał ich, atakując z Flaviusem i Ziutkiem u boku. Lata nauki nie przygotowały go na to, co działo

się dookoła. W czasie lekcji taktyki nauczyciele zawsze zakładali, że władca Terylu będzie miał do dyspozycji doświadczonych wojowników. Tymczasem tutaj przyszło mu dowodzić wystraszonymi chłopami. Mógł utrzymać ich w garści, zorganizować oddział na jakiś czas, ale im dłużej trwała bitwa, tym mniejszą czuł kontrolę nad swoimi ludźmi. W tym momencie na barierze stały co najmniej cztery kobiety. W jednej z nich Nathaniel rozpoznał zabójczynię Ulgara. Walczyła z zjadłością godną następczyni zmarłego wikinga, wymachiwała siekierą raz za razem, gromiąc napastników. Nagle zniknęła. Potknęła się lub ktoś z drugiej strony pociągnął ją za nogę i ściągnął na dół. Jej miejsce natychmiast zajął jakiś dzieciak. Obrona trwała. Przynajmniej tutaj, na prawej flance, gdzie wrogów było wyraźnie mniej, a morale obrońców i tak wyraźnie się chwiało. Najgorzej było w centrum, tam wróg co chwila wdierał się do środka. Zapewne część Sklavian już przedostała się w głąb osady. Koniec był bliski.

*

– Więcej wody! – krzyczała Amelia, kierując próbami gaszenia zabudowań. W panującym chaosie nie było to łatwe. Gdy tylko gasili jeden pożar, gdzie indziej wybuchały dwa kolejne. Co gorsza, ranni przybywający z pola bitwy przynosili coraz gorsze wieści. Ponoć porażka była tuż, tuż. Z pewnością równie blisko było do wybuchu paniki wśród ludzi zebranych w wiosce, zmieniającej się błyskawicznie w płonąca pułapkę. – Polina, więcej wody!

Polina nie odpowiedziała, nie mogła. Leżała obok pobliskiej studni, wciąż trzymając wiadro. Z jej pleców wystawał topór. Dwóch osmolonych, ubranych w niedopasowane elementy zbroi barbarzyńców stało nad jej ciałem. Mówili coś w swoim dziwnym języku. Gaszące ogień kobiety chciały uciekać, ale nie miały dokąd. Były uwięzione pomiędzy płonąca karczmą a napastnikami.

Ci ruszyli naprzód. Amelia stanęła im na drodze. Jeden z agresorów zamachnął się na nią mieczem, ale cios nie doszedł

celu. Łupieżca wydawał się zaskoczony, kiedy padał na ziemię z nożem wystającym z piersi. Drugi nie zdążył nawet zareagować, kiedy kolejne ostrze wbiło mu się w oko. Cassandra sprawnie zeskoczyła z dachu i szybko odzyskała broń z ciał Sklavian.

– Zły wilk – powiedziała, pokiwała głową i popędziła dalej.

*

Dym i gorące podmuchy wiatru doprowadzały Edwina do szału. Przeładowanie kuszy zajmowało coraz dłużej, a łzawiące oczy nie pomagały w celowaniu. W balladach wszystko wyglądało inaczej, lepiej, bardziej honorowo. W tym piekle zdecydowanie nie było niczego szlachetnego. Jedyne pocieszenie dla barda był fakt, że Welin stał obok, osłaniając jego plecy. Lucius gdzieś im zniknął w tym zamieszaniu. Pobiegł opatrywać rannych. Do końca lekarz – pomyślał bard, posyłając kolejny pocisk w kierunku nacierającej masy.

– I tyle – stwierdził, patrząc na niemal pusty kołczan. Wyjmował ostatni bełt, kiedy dostrzegł nad sobą wyjątkowo rosnącego Sklavianina. Mężczyzna wznosił już topór do ciosu, a zarówno Welin, jak i miecz Szarego Strażnika były zbyt daleko. Trubadur zadziałał odruchowo, rzucił kuszą w twarz przeciwnika, wyskoczył do przodu i wbił bełt w podbródek barbarzyńcy, wpychając z całych sił. Nie było to może eleganckie zagranie, ale takiego stylu walki nauczyły go uliczki Błękitnego Portu. W walce na śmierć i życie nie było miejsca na elegancję.

*

– Będziesz żył – obiecał Lucius, kończąc opatrywać kolejnego legionistę.

Podniósł wzrok znad rany i z zaskoczeniem odkrył, że dookoła wrze walka. Skupiony na niesieniu pomocy, nie zauważył, że doszło do kolejnego wyłomu. Natychmiast chwycił za miecz, lecz nie za bardzo wiedział, co z nim zrobić.

Rozglądając się, dostrzegł Brianę, dziewczynę, którą Edwin i Magnus swego czasu próbowali uczynić jego pierwszą.

Wydawało się, jakby to było w poprzednim życiu. Teraz siedziała na jakimś barbarzyńcy, tłukąc w jego głowę kamieniem. Kolejny najeźdźca dopadł do niej, obalił na ziemię i zaczął dusić.

Lucius chciał pomóc, ale nie wiedział, jak. Ścisnął mocniej miecz i próbował ruszyć na ratunek, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Padł na kolana, oddychając z trudem. Jego umysł chciał ruszyć do walki, ale ciało po prostu odmawiało posłuszeństwa. Pełznął więc na czworakach, powoli.

Wreszcie udało mu się podnieść, ale od razu potknął się o jakieś zwłoki. Chciało mu się wymiotować ze strachu. Wszelkie próby racjonalizowania sytuacji znikwały w chaosie paniki. Wiedział, że czas ucieka, że dziewczyna słabnie z każdym uderzeniem serca.

Znów doprowadził się do pionu i podszedł bliżej. Znów nie był pewny, co dalej. Był lekarzem, nie żołnierzem. Chciał pomagać, nie zabijać. Wreszcie złapał miecz oburącz i ciął na odlew, mierząc w dzikusa. Trafił w coś i przeciwnik zwałił się na ziemię.

Było jednak za późno. Briana leżała bez ruchu, z maską bólu i strachu zastygłą na twarzy.

Dookoła znów zrobiło się spokojnie, walka przeniosła się gdzie indziej. Trafiony przez Mnicha Sklavianin jęczał, próbując dotknąć szerokiej rany na plecach. Lucius mógł mu pomóc, opatrzyć tę ranę. Zamiast tego wzniósł miecz do ostatecznego ciosu, ale do tego też nie potrafił się zmusić. Odszedł więc. Ruszył szukać kolejnych rannych.

*

Clara sprawnie ominęła kolejny cios, zmyliła przeciwnika fintą i cięła przez twarz. Kolejne ciało zwałiło się na zdobioną mozaikami posadzkę starej łaźni. Basen powoli zaczynała wypełniać krew.

Ostatni z napastników stał kilka metrów dalej, zasłaniał się potężnym cielskiem klęczącego Bolita, trzymając zakrzywiony nóż przy jednym z podbródków kupca.

– Proszę, mam złoto – błagał mężczyzna. Sklavianin jednak całkowicie go ignorował. Krzyczał coś w swoim języku, zapewne

nakazując kobiecie, by rzuciła broń. Był młody, młodszy niż Szarzy Strażnicy. Nie mógł mieć więcej niż czternaście lat. I był przerażony.

W innych okolicznościach Clara mogła go przekonać, by się poddał, ale teraz dookoła trwała bitwa, ona była zmęczona, pokryta sadzą, krwią i potem, a on nawet nie mówił w jej języku.

– Przepraszam – powiedziała cicho i ruszyła w jego kierunku.

– Musisz mnie ocalić! – darł się rozpaczliwie Bolit. – Jesteś Szarą Strażniczką, musisz!

Chłopiec również krzyczał, wbijał ostrze coraz mocniej w szyję zakładnika. Kiedy Szara Strażniczka wybiła się do przodu, jednym ruchem uwolnił fontannę krwi. Uderzenie serca później ostrze Clary otworzyło i jego gardło. Dwa trupy padły jeden na drugiego, dolewając więcej czerwieni do rosnącej kałuży.

– Przepraszam – powtórzyła dziewczyna. – Ale nie zamierzam tu umierać. Nie teraz, kiedy czeka na mnie księżę z bajki.

*

Kolejny wróg padł na czerwone od posoki błoto. Duncan otarł czoło z potu. Oddychał ciężko. Powietrze falowało od gorąca, a wszędzie dookoła walały się trupy. Gdzieś obok dostrzegł ciało Jokova z rozłupaną czaszką. Najpierw zabrałem mu żonę, a teraz poprowadziłem go na śmierć – pomyślał z goryczą. Ale było warto. Nadal stali, nadal trzymali palisadę.

– Cofają się! – zawołał ktoś.

Początkowo przywódca nie zrozumiał tych słów. Wydawały się obce i niemożliwe.

– Cofają się – powtórzył Magnus, podbiegając bliżej. – Udało się.

Dowódca rekrutów dopiero teraz zrozumiał, co się dzieje. Z trudem wspiał się na nasyp i spojrzał na drugą stronę. Sklavianie faktycznie byli w odwrocie. Udało się.

Nathaniel przybiegł, potykając się. Wołał coś.

– Szybko! Musimy atakować!

– Co?

– Musimy atakować. Teraz, zanim się przegrupują. Nie wytrzymamy kolejnego uderzenia. To nasza jedyna szansa! – Książę wskoczył na palisadę obok swojego dowódcy. – Inaczej wszystko na nic.

Mężczyzna rozejrzał się. Jego ludzie byli wyczerpani, pokryci sadzą i krwią, wyglądali jak armia żywych trupów.

– Nie damy rady – stwierdził.

– Nie mamy wyboru – zapewnił podkomendny.

Od strony przeciwników sypnęły się strzały, kolejni obrońcy padli, wśród nich trafiona pociskiem Cassandra. Duncan chciał do niej podbiec, ale Nathaniel złapał go za ramię.

– Zaraz się przegrupują! Podejmij decyzję! Teraz!

Szary Strażnik zawahał się. Jak mógł wydać taki rozkaz? Po tym wszystkim, co już przeszli? Usłyszał głośny świst i zdążył jeszcze dostrzec nadlatujący pocisk. Nie poczuł nawet bólu. Wszystko wydarzyło się szybko, tak jak obiecała wiedźma.

*

Nathaniel miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Jakby cały świat nagle się zatrzymał. Strzały były trzy. Pierwsza przemknęła tuż obok jego twarzy. Kolejna utkwiała w barykadzie. Jedynie trzecia sięgnęła celu. Wbiła się prosto w serce Duncana. Dowódca rekrutów próbował jeszcze odwrócić głowę, by spojrzeć na księcia Terylu. Nie zdołał. Miecz wypadł mu z ręki i spadł na ziemię, za nim podążyło ciało. Po prostu sturlało się z nasypu i wylądowało pośród wyczerpanych towarzyszy broni. To był koniec. Włosek, na którym trzymała się odwaga obrońców, właśnie pękł. Nie przetrwają kolejnego ataku.

– Do mnie! – wrzasnął szlachcic. – Musimy atakować! Magnus, zbierz wszystkich, zanim wróg się przegrupuje! Do ataku! Do ataku! – Stał na barykadzie, wrzeszcząc z całych sił, podczas gdy kolejne pociski śmigły mu wokół głowy. Część ludzi zerwała się, inni patrzyli na niego jak na szaleńca. Nikt nie ruszył się w stronę nasypu.

Czas dać przykład – pomyślał Książę i zeskoczył na drugą stronę. Wylądował pomiędzy trupami napastników i ruszył

naprzód. Z zadowoleniem zauważył, że kolejni obrońcy podążają w jego ślady. Ruszyli. Udało mu się. Pierwszy moment ulgi szybko zniknął, kiedy zauważył, że zbyt długo zwlekali. Część barbarzyńców już zaczęła się zbierać dookoła wielkiego, zarośniętego wojownika, być może ich wodza. Znow atakowali.

Nathaniel rozejrzał się. Flavius i Ziutek byli tuż za nim. Podobnie Magnus, Edwin, Welin, nawet Lucius. I Clara. Pędziła z krzykiem. Wszyscy wrzeszczeli. Księżę Terylu uśmiechnął się. Oto miał swoją chwalebna szarżę, prosto z legend. Pędził z mieczem w dłoni, na spotkanie śmierci, którą sam sobie wybrał. Godny koniec dla kogoś takiego jak on.

Dwie najeżone żelazem żywe fale zderzyły się przy akompaniamencie wrzasków i szczęku metalu. Nathaniel z rozpędu ciał pierwszego przeciwnika, uniknął ostrza kolejnego. Kątem oka dostrzegł, jak Manfredy pada przebity włócznią. Sędzia Adrian spoczął tuż obok syna, z twarzą zmiażdżoną ciosem maczugi. Widział, jak Edwin desperacko broni się przed dwójką przeciwników, jak upada w zamieszaniu. W chaosie nie mógł ocenić, która strona wygrywa. Uderzył kolejnego barbarzyńcę i ruszył w kierunku potężnego wojownika, którego uznał za głównodowodzącego. Krzyknął, wyzywając go do walki i błyskawicznie pożałował tego czynu.

Wprawdzie zdołał sparować pierwszy cios potężnego, dwuręcznego miecza, ale siła uderzenia niemal wytrąciła mu broń z ręki. Próbował przejąć inicjatywę, ale był już zbyt zmęczony i powolny. Wojownik zbył jego starania śmiechem i kopniakiem posłał na kolana. Księżę w desperacji powiódł wzrokiem dookoła. Jego ludzie padali jeden po drugim. Bitwa była przegrana. Dostrzegł Clare, broniącą się przed sforą dzikusów. Jej szermierczy trening na nic nie zdawał się w ścisłości bitwy. Jeden z przeciwników zaatakował ją od tyłu i zdzielił po plecach maczugą.

– Zdychoj – powiedział Lutoszał łamanym imperialnym i wyprowadził ostatni cios. Nathaniel zerwał się w ostatniej chwili i skoczył do przodu. Obalił przeciwnika i zaczął dźgać mieczem w brzuch. Wreszcie uniósł ostrze oburącz i wbił je w twarz barbarzyńcy. Z trudem dźwignął się na nogi, wypatrując w

zamieszaniu Clary. Zbyt późno dostrzegł przeciwnika z włócznią. Broń zagłębiła się w jego ciele, przechodząc na wylot. Książę Terylu zdołał jeszcze złamać drzewce i zamachnąć się na napastnika, ale ból sparaliżował go w połowie ruchu. Znow znalazł się na kolanach. Poczuł, jak kolejny cios trafia go w plecy. Cały świat stał się czerwony. A później zapadła ciemność.

*

– On chyba już nie żyje – stwierdził cicho Edwin.

Lucius dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że słowa te były skierowane do niego. Nie był pewny, od jak długiego czasu dźgał twarz najeźdźcy, ale słowa barda wydawały się prawdziwe. Spojrzał na nóż. Nawet nie pamiętał, skąd go wziął. Powoli zsunął się z ciała barbarzyńcy i padł na plecy. Było pięknie, słoneczne popołudnie. Dookoła panowała cisza, zakłócana jedynie przez zlatujące się na ucztę ptaki.

– Jesteś cały? – spytał bard.

– Chyba tak – odpowiedział powoli. Nie czuł bólu, przynajmniej nie takiego, który przychodził z ranami. Był zmęczony, skrajnie wyczerpany. Z trudem usiadł i spojrzał na swoje ubranie. Pokrywała je krew, ale zdawało się, że nie była jego. – Chyba jestem cały...

Po chwili spytał:

– Wygraliśmy?

– Nadal żyjemy, więc chyba tak.

Mnich przeniósł wzrok na rozmówcę. Trubadur klęczał kilka metrów dalej, ślady łez wyraźnie znaczyły swoją drogę w pokrywającej twarz posoce. Na kolanach trzymał głowę Welina. Szary Strażnik gładził jego zlepione czerwienią włosy.

– Nie żyje – wyszeptał. – Głupiec zasłonił mnie przed ciosem. Ostrze przeszło przez oko. Na wylot. Miał niesamowicie zielone oczy. Jak kot.

Lucius rozejrzał się. Ostatni Sklavianie umykali z pola bitwy. Ludzie chodzili między ciałami, zbierając swoich rannych i dobijając wrogów. Nad Nową Srebrnicą wciąż wznosiły się słupy dymu, ale pożary wyraźnie już dogasały.

– Muszę iść – stwierdził nagle, zrywając się na nogi. – Muszę znaleźć Amelię.

– Powinieneś – przyznał Edwin.

– Idziesz? – spytał niepewnie Lucius.

– Jeszcze tu zostanę. Pożegnaj się.

Mnich potwierdził skinieniem głowy. Podniósł z ziemi swój miecz i ruszył w kierunku wioski. Szedł powoli, potykając się. Chciał biec, ale nie mógł do tego zmusić mięśni. Mijał umierających wrogów, ignorował ich. Nie miał na to czasu. Z trudem wspiął się na nasyp ziemny i niezgrabnie sturlał do środka. Tu również panowała nienaturalna cisza. A może jedynie tak mu się zdawało po hałasie bitwy. Zatoczył wzrokiem dookoła i wreszcie znalazł ją. Stała pomiędzy rannymi, niczym czarny od sadzy anioł w samym środku piekła. Podniósł się z trudem, ale tym razem zdołał pobiec. Gdzieś po drodze zgubił broń. To nieważne, nic już nie było ważne. Padli sobie w ramiona i przytulili się z całych sił, tak by nic już nie mogło ich rozdzielić.

– Wyjdź za mnie – powiedział z nietypową dla siebie pewnością. By dopiero po chwili zreflektować się i paść na kolana. – Wyjdziesz za mnie?

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem.

Nagle, choć na chwilę, wszystkie okropności tego dnia zniknęły, a życie stało się piękne jak nigdy.

*

Lutogniew spoglądał na pobojuwisko ze wzgórza. Widział, jak jego ojciec pada, jak kolejni ludzie wybiegają z osady, dołączając do walki, jak przewaga powoli przechyla się na stronę ofiary, zmuszając drapieżnika do ucieczki. Bezbłędnie wyczuł ten moment, kiedy pole było stracone, gdy pozostał już tylko odwrót.

– Czas na nas – stwierdził jeden z wojów, Miłowit, wbiegając na wzniesienie. Niósł ze sobą wielki miecz, który jeden z przodków Lutogniewa zdobył w jakiejś dawno zapomnianej bitwie. – Twój ojciec poległ.

– Widziałem. – Chłopiec był spokojny i pogodzony z tym, co się stało. Całe życie wpajano mu, że śmierć jest czymś naturalnym,

a ta poniesiona w bitwie czymś wręcz chwalebny. – Padł od ciosu Szarego Strażnika.

– Tak. Tego, którego niedawno pojmał Jaromir. Najwyraźniej był więcej wart, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Ale spotkał go zasłużony koniec. Zginał od mojej włóczni. To jest teraz twoje. – Podał chłopcu złotą bransoletę z wygrawerowanym węzem.

Lutogniew potwierdził skinieniem głowy i wziął podany mu przedmiot.

– Niedługo ruszy pościg – stwierdził.

– Niezbyt szybko po tej rzezi. Ale lepiej, żebyśmy byli daleko, kiedy nadejdzie. Będę cię chronił w drodze powrotnej. Jesteś teraz naszym wodzem i przyszłością Synów Węża.

*

Cassandra wpatrywała się w niebo. Nuciała cicho starą kołysankę, prośbę do Deusa, by zlitował się nad tymi, którzy odeszli. Próbowwała zagłuszyć nią szepty. Nie rozumiała, co mówiły, ale wiedziała, że jest ich dużo. Setki.

– Żyjesz? – spytał Magnus, stając nad nią.

– Chyba tak. A ty?

– Rozmawiam z tobą.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Chyba nie – przyznał, uśmiechając się z trudem.

Cass spojrzała na strzałę, wystającą z jej piersi. To tłumaczyło ból.

– Dasz radę się podnieść? – zapytał Wielkolud.

Zaprzeczyła. Magnus przez chwilę rozglądał się dookoła. Potem schylił się i spojrzał jej prosto w oczy.

– Będę musiał cię podnieść – powiedział przepraszająco. – Robię to dla twojego dobra.

– Wiem. Nie szkodzi.

Wsunął pod nią ręce, a później dźwignął do góry i nagle znalazła się w jego ramionach, niesiona nad pobojobiskiem. Nigdy nie lubiła dotyku, ale tym razem było inaczej. Było bezpiecznie. Oparła głowę na piersi Magnusa i na chwilę szepty

odeszły.

– Jak nam poszło? – zapytała wreszcie.

– Wygraliśmy. Szalona szarża Nathaniela zadziałała. Sklavianie rozpierzchli się we wszystkich kierunkach. Ich wódz padł trupem, ponoć z ręki samego Księcia. I co ważniejsze, żyjemy.

– Wszyscy?

– Nie wiem. Lucius żyje, widziałem, jak wracał z pola walki. Ale wydaje mi się, że Nathaniel poległ. No i Duncan.

– No i Duncan – powtórzyła, spoglądając na zostające w tyle ciało dowódcy rekrutów.

Magnus przeniósł ją dalej od ostrokołu i położył na znalezionej ławie.

– Mnichu! Tutaj! – krzyknął i po chwili pojawili się nad nią Lucius i Amelia.

– Oddychasz normalnie? Możesz poruszać palcami? – pytali, a ona odpowiadała, aż zobaczyła uśmiech na twarzy Luciusa.

– Strzała minęła płuco i chyba nie uszkodziła niczego ważnego. Da się wyczuć grot pod skórą, więc prawie przeszła na wylot. Będzie trzeba przepchnąć, zalać ranę ciepłym winem lub innym alkoholem i opatrzyć. Ale poza tym powinno być dobrze. Za kilka dni będziesz znów na nogach.

– Widziałeś innych? – spytał Magnus.

– Edwin jest na poboju. Nic mu nie jest. Nie mam pojęcia, co z Nathanielem i Clarą... Naprawdę nam się udało – stwierdził Lucius jakby z niedowierzaniem.

– Szarzy Strażnicy! Panowie Szarzy Strażnicy! Tutaj! – Dobiegło ich wołanie z barykady

– Kto to? – spytała Amelia.

– Ci dwaj legioniści, którzy łazili za Nathanielem – rozpoznał Magnus. – Ziutek i Flavius. Coś niosą.

– Kogoś! – zawołał Mnich. – To Nathaniel. – Zerwał się do biegu.

Cass odwróciła głowę i spojrzała w kierunku nadchodzących. Faktycznie nieśli księcia Terylu. Na dużej tarczy, jak jakiegoś antycznego herosa. Lucius dopadł do nich, zaczął nasłuchiwać oddechu leżącego, potem coś krzyczał. Wszyscy zaczęli się

bardzo spieszyć w kierunku świątyni Deusa. Amelia została i delikatnie zabrała się za opatrywanie rany po strzale. Mówiła coś, ale Cassandra już jej nie słuchała. Patrzyła na ciało Duncana, spokojnie leżące na ziemi. Pozostawione samo sobie, do czasu, aż ktoś pomyśli o chowaniu zmarłych. Wtedy pewnie będzie miał pogrzeb godny bohatera. Zasłużył na to. Wszystkie szepty zasłużyły, ale on szczególnie. Doprowadził ich aż tutaj. Teraz mógł już odpocząć. Czas, by ktoś inny przejął stery i poprowadzili ich dalej.

*

W pomieszczeniu panował półmrok. Cuchnęło tu śmiercią. Nathaniel na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność. Nie był pewny, jak długo to trwało. Czasami byli tam ludzie, inni rekruci, czasami był całkowicie sam. Wszystko to zlewało się ze snami, sprawiając, że sam już nie wiedział, co jest prawdziwe. Czasami ona była tam z nim, żyli razem, z dala od wszystkich problemów. Szczęśliwi.

Kiedy wreszcie się obudził, naprawdę obudził, leżał w prostym łóżku w jakiejś chacie. Nad łóżkiem stał Magnus, przypatrując mu się w ciszy.

- Ile czasu minęło? – spytał z trudem.
- Cztery dni – odpowiedział Wielkolud.
- Po tym, że żyjemy, wnioskuje, że wygraliśmy.
- Twoja ostatnia szarża przeważała szalę.

Mimo bólu Książę pozwolił sobie na uśmiech.

- Wreszcie miałem rację. Gdzie Clara?

Magnus milczał, ale jego mina starczyła za odpowiedź.

- No tak. Więc Duncan i Clara. Kto jeszcze?

– Pozostali mieli szczęście. Tylko draśnięcia i siniaki. Ale w bitwie i od ran zginęło prawie sto pięćdziesiąt osób po naszej stronie. Dużo więcej po stronie Sklavian. Legion został całkowicie rozbity, przeżyło ich tylko dziesięciu. W tym twoi adiutanci. Sami znieśli cię z pola walki.

– Zawsze potrafiłem zdobywać lojalność – uśmiechnął się. Znów wbił wzrok w sufit. Naprawdę nie chciał zadawać kolejnego

pytania, ale wiedział, że musi. To było jak zdzieranie opatrunku z rany, najlepiej zrobić to jednym ruchem. – Jak zginęła?

– W bitwie. Nie musisz teraz znać szczegółów...

– Muszę.

Magnus zawahał się. Wyraźnie nie był pewny, jak zacząć.

– Znaleźliśmy jej ciało dopiero dwa dni po bitwie. W lesie. Była... naga i... ślady wskazywały... Wygląda na to, że zabrali ją z pola walki żywą. Uciekli na pewną odległość, a później zgwałcili. Brutalnie. A na koniec zostawili samą w lesie, by powoli wykrwawiła się na śmierć.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– To nic – powiedział wreszcie Nathaniel łamiącym się głosem.

– Była tylko służącą. Niczym więcej. Nikim istotnym.

Magnus wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zrezygnował. Zamiast tego odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Odpoczywaj – rzucił jeszcze i zamknął za sobą drzwi, zostawiając Księcia samego w półmroku. W towarzystwie jedynie wspomnień, myśli i snów.

*

Wielkolud wyszedł z chaty i wziął głęboki oddech. Nowa Srebrnica odbudowywała się powoli. Dzieci biegały pomiędzy chatami, śmiejąc się, ranni siedzieli na zewnątrz, ciesząc się wspaniałą pogodą. Uprzątnięto już trupy i powoli wracała normalność.

– Jak nasz książę? – spytał Olaf, podchodząc bliżej. Z powodu ran musiał wspierać się na kulach.

– Lepiej. Lucius mówi, że za kilka dni zacznie chodzić.

– To dobrze. Przybył transport z Komandorii 42, przywieźli nowe rozkazy od Rady. I zabiorą to. – Uniósł dłoń, w której trzymał zwitek papierów. – Moje rekomendacje. Pozytywne, dla całej waszej piątki. Gratuluję.

Magnus pozwolił sobie na uśmiech, choć sukces miał gorzki smak.

– Za kilka dni wyruszymy do Czarnej Skały, na ceremonię

Pieczętowania – kontynuował starzec. – Pierścienie, płaszcze i cała reszta. Jak tylko Nathaniel będzie w trochę lepszym stanie. Pięciu z dziewięciu. Okazuje się, że ostatecznie pobiliście statystykę.

– Zginęła czwórka zamiast dwójki – zauważył Wielkolud.

– Cóż można rzec, statystyka to suka. Przynajmniej tak zwykł powiadać jeden Kruk, którego kiedyś znałem. Tak czy inaczej, ja będę się...

– Mam pytanie – wtrącił Magnus. – A raczej prośbę. Po ceremonii, kiedy już będziemy pełnoprawnymi Strażnikami, chciałbym tu wrócić.

– Tu?

– Do Komandorii 54. Na stałe. By dokończyć to, co zaczęliśmy.

Olafa przybrał smutny wyraz twarzy. Przez chwilę zdawał się szukać odpowiednich słów. Wreszcie wyrzucił z siebie te, które miał.

– Komandorii 54 już nie ma.

– Słucham?

– To nowe rozkazy od Rady. Likwidacja. Misja zakończona niepowodzeniem.

– Ale wygraliśmy! Pokonaliśmy Olbrzyma i dzikusów. Wygraliśmy!

– Za mało i za późno. Bolit nie żyje, górnicy w większości uciekli lub zginęli, legion poszedł w cholerę. Nie znajdzie się raczej nikt chętny na powtórkę. Nie teraz. Ale to i tak nie jest powód. Ten atak nie był odosobniony. W ciągu ostatnich dwóch lat ataki Sklavian stały się cztery razy częstsze. I ta liczba nadal rośnie. Do tego zapuszczają się coraz dalej. Atakują nas bandy z głębi Puszczy, takie, o których nigdy tu nie słyszano. Przybywają z daleka, całymi plemionami. Nie wiemy, co ich tu gna, ale to już nie wyprawy łupieżcze, a powolna inwazja.

– Więc uciekniemy przed walką?

– Nie jesteśmy legionem. Nie przybyliśmy tu toczyć wojny. A widziałeś, jak wygląda legion w tej części świata. Rada ewakuuje wszystkie komandorie na wschód od Czterdziestki Dwójki do czasu, aż sytuacja się wyjaśni. To znaczy, że ja wreszcie jadę na zasłużony odpoczynek w Komandorii 11, a was przydzielą tam,

gdzie Rada uzna, że jesteście potrzebni.

- Nie możemy zostawić tych ludzi na łaskę dzikusów!
- Mogą odejść z nami. Nikt ich nie zmusza, by tu zostali.
- To ich domy. Ich własność z dziada pradziada...
- Więc muszą zdecydować, co jest dla nich cenniejsze, ziemia czy życie. Tak czy inaczej, nasza misja dobiegła końca, żołnierzu. Mamy nowe rozkazy i nowe obowiązki. Teraz gra toczy się o całą Rubież. Takie miejsca jak to muszą poradzić sobie same.

*

Nathaniel przebudził się i zdał sobie sprawę, że ktoś trzyma jego dłoń. Powoli otworzył oczy i dostrzegł Cassandrę, siedzącą przy jego łóżku.

- Dotykasz mojej dłoni – zauważył cicho.
- Tak – stwierdziła z uśmiechem. – Teraz tak robię. Metoda małych kroczków, jak określił to Edwin.
- Czemu dotykasz mojej dłoni?
- Bo nie ma tu już Clary, by się nami opiekowała. A ty jesteś ranny i potrzebujesz, żeby ktoś się tobą zaopiekował. Mam przestać?
- Nie – odpowiedział po zastanowieniu. – Więc oto, jak nisko upadłem. Musi się mną opiekować wariatka.
- Już niedługo. Za kilka dni, jak będziesz mógł wstać, pojedziemy do Czarnej Skąły i dostaniemy płaszcze, pierścienie oraz tatuaże. Olaf mówił, że będą tam nauczyciele, aby pokazać mi, jak nie słuchać głosów. Chyba już nie będę tak szalona. – Kiwnęła głową. – I część ludzi stąd jedzie z nami. I zabieramy wszystkie sieroty. Znajdzie się dla nich jakieś zajęcie w komandoriach i może kiedyś też zostaną rekrutami.
- Więc teraz nie tylko zabijamy demony i Sklavian, ale też ratujemy sieroty.
- Ratujemy każdego. Jesteśmy bohaterami.
- Nie jesteśmy. Jesteśmy bandą głupich dzieciaków, które stanęły przed czymś, co je przerastało.
- Ocaliliśmy wszystkich przed Olbrzymem.
- Nawet nie wiemy, co chciał osiągnąć Olbrzym...

– Ja wiem – przerwała mu. – Chciał uwolnić swoich towarzyszy, te wszystkie potępione duchy uwięzione w jaskini pod wieżą. Ale one potrzebowały ciał. Ludzkich ciał. Gdyby mu się udało, wzięłyby je jak własne. Setki ludzi w tej okolicy zginęłyby i zastąpiłyby ich wojownicy Olbrzyma. Tylko że oni byli szaleni, zbyt długo tkwili w nieskończonej bitwie. Nie mogli już wrócić do normalności. Zabiliby wszystkich pozostałych, a później ruszyliby na poszukiwanie kolejnej walki. I robiliby to, aż ostatni by zginął. Ale wcześniej umarłyby tysiące, może dziesiątki tysięcy. I Olbrzym o tym wiedział, ale chyba też był już szalony. Próbował uwolnić ich od tak dawna, że stał się ślepy na konsekwencje. Koniec końców był najlepszym, co mogło ich spotkać w tej udręce. Jakby nadzieją, światłem w ciemności. Więc ostatecznie Duncan miał rację. To, co zrobił, spowodowało cierpienie, ale też ocaliło nas wszystkich. Zrobił to, po co tu przybyliśmy.

– A teraz nie żyje. On, Matylda, Clara...

– My żyjemy. Dzięki nim. – Nachyliła się i pocałowała go w czoło. – Śpij. Lucius mówił, że musisz odpoczywać. A ja będę tutaj, zaopiekuję się tobą. Jesteśmy teraz stadem i wierzę, że możemy się bronić.

W przedziwny sposób te słowa naprawdę sprawiły, że poczuł się lepiej. Może to miejsce wreszcie doprowadziło go do szaleństwa. Tak czy inaczej, posłuchał. Zamknął oczy i zapadł w sen.

*

Cień starej wieży padał na miejsce, gdzie cztery kamienne nagrobki wyrastały z ziemi, każdy ozdobiony imieniem i symbolem Szarej Straży.

– Nie jestem dobrym mówcą – stwierdził Olaf, patrząc na zebranych. – Dlatego będzie krótko. Tu spoczywają rekruci Szarej Straży. Ulgar, Matylda, Clara i Duncan. Wszyscy zginęli na służbie, broniąc tego miejsca przed zakusami wrogów. I choć nigdy nie uzyskali płaszczy, zdecydowanie na nie zasłużyli. Ich imiona na zawsze wpisane zostaną do kronik Zakonu. Teraz wy

też się pożegnajcie. Wkrótce ruszamy.

Cassandra podeszła do grobów i zaczęła układać na nich kwiaty.

– Powinieneś tu być – powiedział Nathaniel, stając przed nagrobkiem Duncana. – My przybyliśmy tu, bo nie mieliśmy dokąd pójść lub ktoś nas do tego zmusił. Ale ty... ty naprawdę chciałeś być Szarym Strażnikiem.

Spojrzał jeszcze na grób Clary i odszedł. Inni nie mieli nic do dodania. Zdążyli już pożegnać się w ciągu tych dni, które minęły od bitwy.

– Dziękuję – szepnęła Cass, nachylając się nad grobami Duncana, Matyldy i Clary. – Teraz już zadbam o siebie sama. Poradzę sobie. Teraz już mam rodzinę.

Odwróciła się i spojrzała na nich. Na potężnego Magnusa, żegnającego się z miejscowymi. Luciusa i Amelię, wtulonych w siebie, rozprawiających o księgach, które można znaleźć w Kruczej Skale. Edwina grającego smutną melodię. I Nathaniela z trudem idącego o kulach, ale zbyt dumnego, by poprosić o pomoc. Cassandra podeszła do niego i zaproponowała własne ramię. Nie odmówił.

– Nowi Szarzy Strażnicy – zauważył Śmieszek, podchodząc i łapiąc Księcia z drugiej strony. – Najlepsi obrońcy ludzkości. – Nie wiem jak wy, ale ja mam wrażenie, że ludzkość ma przesrane.

Epilog

Czarna Skała była potężną, prastarą fortecą, wyrastającą z ziemi w samym centrum kontynentu. Jej masywne mury górowały nad dziesiątkami wiosek, podporządkowanych władzy Szarej Straży. Od stuleci żaden z władców Spornych Ziem nie odważył się naruszyć terytoriów podlegających Radzie. Niezliczone mity powstały na temat samej twierdzy. Jej rozmiar i niezwykła, kanciasta architektura były tematem wielu domysłów. Nie pomagał też fakt, że nigdzie na obszarze podlegającym władzy Imperium nie odnaleziono złoza, z którego mogły pochodzić olbrzymie, doskonale ociosane kamienne bloki, których użyto do budowy. Wielu mówiło, że zamek powstał w wyniku działania magii lub zbudowała go jakaś prastara rasa. Inni opowiadali, że cała konstrukcja została przeniesiona z odległej krainy.

Nathaniel przez chwilę przyglądał się żelaznym wrotom, ozdobionym płaskorzeźbą przedstawiającą zastępy ludzi otaczające dobrze znany mu symbol Szarej Wieży. Kiedy wreszcie zrobił krok do przodu, drzwi otworzyły się same, ukazując duże pomieszczenie, oświetlone setkami rozstawionych na podłodze świec. Rekrut ruszył przed siebie, ostrożnie stąpając po długim, czerwonym dywanie. Rany wciąż dawały o sobie znać, a nie chciał potknąć się w takim momencie. Kiedy wreszcie dotarł na środek sali, już czekał na niego Mistrz Ceremonii. Wysoki, łysy, pomarszczony starzec w podłużnej szarej szacie uważnie przyjrzał się młodzieńcowi, zanim podjął decyzję. Jakies niewyraźne kształty poruszały się na skraju wzroku Księcia.

– Tarcza, lewe ramię – powiedział staruszek i odwrócił się w stronę potężnego kamiennego stołu, zastawionego miseczkami zawierającymi różnych kolorów farby. Podniósł igłę, po czym stanął obok Nathaniela, nucąc swoją mistyczną inkantację.

Kiedy Nathaniel przeszedł przez małe boczne drzwiczki, jego poprzednicy już tam byli. Czekali w malutkim pokoiku, w którym stała tylko obita aksamitem ława i wisiały wyblakłe gobeliny, ozdobione zapomnianymi już scenami z historii Straży. Wyczuwał ich. Mówiono mu, że tak będzie, co nie czyniło tego uczucia mniej dziwacznym i niepokojącym. Nie wiedział, ilu było

Strażników w tej twierdzy, ani kim byli, ale odczuwał ich obecność.

Przy ceremonii wkładania płaszczy obecna była cała Rada i wielu zaproszonych gości, w tym jego rodzina. Ojciec i bracia, których nie widział od ponad roku. Mimo to jedynym, o czym mógł myśleć Książę, było dziwaczne uczucie w jego głowie. Nie był sam. Był częścią czegoś większego, przerastającego wszystko, co do tej pory znał. Również Cass zdawała się nieobecna, patrząc na stojącego w tyle chłopca – dzieciaka, którego eskortowali do Komandorii 42 tak wiele miesięcy temu.

Podczas ceremonii każde z nich zaprezentowało swoją Pieczęć. On przedstawił trójkątną tarczę z herbem Zakonu. Magnus podniósł rękę, pokazując miecz, ozdabiający wewnętrzną stronę jego przedramienia. Lucius rozsunął koszulę, odsłaniając zwieńczone łukiem drzwi, wytatuowane tuż nad sercem. Edwin wskazał szyję, na której zadomowił się wróbel. Ostatnia była Cassandra. Wzniosła do góry rękę i ukazała nadgarstek, na którym znajdowało się szeroko otwarte oko.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Marcin A. Guzek



Urodzony w 1986 r. magister historii, fantasta, bloger, zapalony RPGowiec, długoletni członek Stowarzyszenia Rzeszowski Klub Fantastyki „Nawigator”. Okazjonalnie pisuje na portalu Bestiariusz, do jego dorobku pisarskiego należą opowiadania: *47. Oddział Zwiadu Imperialnego* (antologia *I żywy stąd nie wyjdzie nikt*); *Tamta Kobieta* (35 numer „Kwartalnika literacko-artystycznego „sZAFa”) i *Szatnia* („Creatio Fantastica”, nr 3 (45) 2014).

Betelowa rebelia: Spisek Daniel Nogał



W Betelii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Lożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniecona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betelową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczaje nagów, gadzich mieszkańców Betelii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygryskiej Wyspie...

Betelia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

„Porządne, awanturnicze fantasy. Jest tu bunt i spisek, są walki i pościgi oraz twardzi bohaterowie. Nogał stworzył wciągający świat, a to dopiero początek serii!”

Marcin Jamiołkowski, autor *Okup krwi*, *Order*, *Bezsenni* i *Keller*
<http://geniuscreations.pl/ksiazki/betelowa-rebelia-spisek-daniel-nogal/>

Malajski Excalibur

Daniel Nogał



Kuala Lumpur, nieodległa przyszłość. Trwa zimna wojna pomiędzy globalnymi potęgami, czyli Chinami i światem arabskim, stolica Malezji stanowi zaś jedną z głównych aren konfliktu. Owain Llewelyn, specjalista od zdobywania trudno dostępnych informacji, otrzymuje nietypowe zadanie: ma odnaleźć Taming Sari, legendarny malajski artefakt. Przyjmując zlecenie, wplątuje się w grę, w której chodzi już jednak o coś więcej, znacznie więcej, niż tylko o zdobycie pamiątkowego ostrza.

Na planszy pojawiają się kolejni gracze: chiński i kuwejcki wywiad, nigeryjskie i hinduskie gangi, triada oraz tajne stowarzyszenie, które od dawna nie powinno istnieć. Giną ludzie, odżywiają uśpione konflikty, w wieloetnicznym malezyjskim kotle zaczyna wrzeć. A to przecież dopiero początek.

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/malajski-excalibur-daniel-nogal/>

Idź i czekaj mrozów Marta Krajewska



W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodzianka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.”

Paweł Majka, autor *Pokoju światów*, zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego „Autorka wymieszała z wprawą dobrze wyszkolonej zielarki elementy demonologii i mitologii słowiańskiej, komponując własną, smakowitą mieszankę.”

Witold Jabłoński, autor cyklu *Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer* PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/idz-i-czekaj-mrozow-marta-krajewska/>

Pokój światów

Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY
IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

NOMINACJA DO NAGRODY
IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>

Pokój światów

Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY
IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

NOMINACJA DO NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>

Okup krwi



Marcin Jamiołkowski

Herbert wiezie spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje wprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej. Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk!

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/okup-krwi-marcin-jamiołkowski/>

Order

Marcin Jamiołkowski



Magia powróciła do Warszawy, a wraz z nią nadciągnęły kłopoty – zaginął ważny dla bezpieczeństwa stolicy artefakt. Prowadzone konwencjonalnymi metodami śledztwo nie przynosi rezultatów, a więc czas na rozwiązania magiczne. Do pomocy zostaje zwerbowany Herbert Kruk.

Kto planuje wyrządzić krzywdę pozbawionej ochrony Warszawie i jej mieszkańcom?

Jaką moc kryje w sobie Order, który miasto otrzymało kilkadziesiąt lat temu z rąk potężnego maga i dlaczego został skradziony?

„Coś się wydarzy” - mówią ogłoszenia w autobusach. Czy ponure przeczucia Herberta się sprawdzą? Jakie sekrety skrywają tajemnicze tunele, położone głęboko pod Warszawą?

Tropy prowadzą w różne miejsca, a czasu jest jak zwykle za mało.

„Wpędzić maga w kłopoty to jedno, ale wplątać tak ciekawie i zabawnie, jak to zrobił Marcin Jamiołkowski, to naprawdę wyższa szkoła jazdy.

Dawno się tak świetnie nie bawiłem, czytając książkę polskiego autora.

Dodatkowy plus za podejście do magii oraz legend. Naprawdę pomysłowa urban fantasy.”

Romuald Pawlak, autor bestsellerowych powieści *Armia ślepców*, *Inne okręty* i *Rycerz bezkonny*

DRUGI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/order-marcin-jamiolkowski/>

Bezseni

Marcin Jamiołkowski



W stolicy wybucha seria tajemniczych pożarów. W dziwny sposób łączą się one z niezwykle błękitnym płomieniem, który nawiedza sny młodej blogerki, wabiąc przypadkowe ofiary i paląc je na popiół. Ktoś lub coś morduje Bezsennych, ulubieńców Złotej Kaczki, niepodzielnie władającej magiczną Warszawą.

Herbert Kruk jak zwykle ma szczęście – lub pecha – znaleźć się w samym centrum wydarzeń.

Czy mag wygra wyścig z czasem i zdoła ponownie ocalić stolicę? Jakie intrygi rozgrywają się na Dworze Złotej Pani? Czy agent rosyjskiego Archiwum X okaże się sojusznikiem, czy może śmiertelnym wrogiem? Jaką cenę trzeba będzie zapłacić za pomoc rusalki? I wreszcie – czy warszawski czarodziej zdoła uratować swoją matkę, od lat zamkniętą w magicznym kryształce?

Herbert Kruk z tomu na tom coraz bardziej zaskakuje i zmienia się jak Warszawa, która już teraz tętni magią i mocą.

TRZECI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/bezsenni-marcin-jamiolkowski/>

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina Jacek Wróbel



W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekieł czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiozerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i dawnymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłodami rzucanymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

„Życie wędrownego maga i alchemika powinno być usłane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu „Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orznięci klienci potrafią całe lata chować urazę...”

Andrzej Pilipiuk, jeden z najpoczytniejszych polskich pisarzy fantastycznych, „ojciec” Jakuba Wędrowicza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/cuda-i-dziwy-mistrza-haxerlina-jacek-wrobel/>



KUPUJ W
madbooks.pl

Spis treści

Rozdział I	12
Rozdział II	50
Rozdział III	90
Rozdział IV	128
Rozdział V	168
Rozdział VI	218
Rozdział VII	256
Rozdział VIII	288
Epilog	326